

**Jillian Grey**

# **Grzechy**

*Sins*

**Przekład: Anna Pajek**

*Trzem towarzyszkom moich zabaw dziecińczych,  
najbliższym memu sercu:  
Michael, Jannie i Christianne,  
jedynym w swoim rodzaju i bardzo pięknym.  
Kocham was.*

**15 STYCZNIA 1995**

**PROLOG**

Niewinny wygląd paczki zmylił czujność Carrie Roberts Pearson. Rozcięła wielką tekturową kopertę nożem do przecinania listów i wyciągnęła ze środka kolorowy magazyn. Jej jedwabiste, nieskazitelnie zarysowane brwi uniosły się w wyrazie zdziwienia. Gdy jednak napotkała wzrok kobiety, spoglądającej na nią z okładki *Playmate*, zdziwienie ustąpiło miejsca szokowi i przerażeniu.

— O, mój Boże — westchnęła, chwytając kurczowo róg biurka i opadając na krzesło.

Minęło dziesięć lat i twarz na okładce zmieniła się, dojrzała, stając się twarzą kobiety raczej niż dziewczyny, lecz nadal była to twarz, którą rozpoznałaby wszędzie. Te włosy — wspaniała grzywa włosów, których tak zawsze jej zazdrościła. Te oczy.

Trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami przerzucała pismo, dopóki nie znalazła rozkładówki i jeszcze jednego zdjęcia swojej przyjaciółki z dzieciństwa. Zdjęcie było zmysłowe, tak jak zamierzył fotograf, lecz to wyraz oczu modelki przyciągał uwagę. Patrzyła wyzywająco, buntowniczo i przez jeden nierealny moment Carrie wydało się, iż wyzwanie zostało skierowane do niej.

Zazdrość, o której już niemal zapomniała, powróciła znowu, gdy przyglądała się szczegółom prowokującej fotografii. Nie pamiętała już prawie tych nieprawdopodobnie długich nóg, skóry o barwie kości słoniowej i cudownego kontrastu smukłych bioder i pełnych piersi.

Lecz całą resztę — pełne, odęte wargi, oczy błękitne niczym letnie niebo, cienką doskonałość nosa i tę płonąca grzywę gęstych rudych włosów — wszystko to pamiętała, podobnie jak pamiętała każdy szczegół swego ostatniego spotkania z przyjaciółką. Dziesięć lat temu jej twarz była równie piękna, nie było w niej jednak wówczas wyzwania, pogardy, nie było też dziewczęcej bez troski. A jednak nawet wówczas ta twarz, ściągnięta w wyrazie cierpienia, zalana łzami i wykrzywiona przerażeniem — nadal porażała swym pięknem, jakby żadne z tych uczuć nie było w stanie odebrać jej urody. Prawdę mówiąc, ów wyraz skrzywdzonego dziecka tylko złagodził piękno jej rysów, sprawiając, iż uroda dziewczyny nabrała eterycznej niemal delikatności. Carrie przypomniała sobie dziś tamto dziwne uczucie nienawiści, którego doświadczyła podczas ostatniego spotkania z przyjaciółką.

Przewróciła stronę, niemal nie zwracając uwagi na kolejne zdjęcia, szukając artykułu, który musiał towarzyszyć sugestywnej rozkładówce. Jest!

Rikki Blue. A zatem zmieniła nazwisko. I nic dziwnego. Któż mógłby ją za to winić — po tym, co ją spotkało?

Carrie czytała dalej, jej oczy szybko przebiegały linijki tekstu, dopóki nie zatrzymały się na zdaniu, które potwierdziło nękające ją obawy. Ericka Blue Cassidy, obecnie Rikki Blue, wracała do domu. Wracała do St. Joan.

Magazyn zsunął się z jej kolan, gdy kołysała się na krześle, powtarzając wciąż w kółko, niczym refren.

— Och, mój Boże. Och, mój Boże. Och, mój Boże.

\* \* \*

Właśnie wszedł do biura, gdy sekretarka zawiadomiła go, że jest do niego przesyłka. Oznaczona jako osobista i poufna. Czy chciałby, żeby mu ją przyniosła?

Oczywiście, że chciał. To mogły być informacje, których zażądał od FBI.

Ale nie były.

Keen Bohannon odrzucił magazyn na biurko, dopiero wówczas zdając sobie sprawę, że nie wypuścił powietrza od chwili, kiedy wyciągnął czasopismo z koperty. Odetchnął powoli, wpatrując się w twarz z przeszłości, twarz pierwszej dziewczyny, którą pokochał. Do diabła, jedynej dziewczyny, którą kiedykolwiek pokochał. Boże, była teraz jeszcze piękniejsza. Zmieniła się, dojrzała, lecz nadal bardzo przypominała dziewczynę, którą pamiętał.

Te pełne wargi, te szafirowe oczy, podłużne, niczym klejnoty, ta masa ciemnorudych włosów. Poczul pierwsze drgnienie tęsknoty, pragnienia, na które nie pozwalał sobie od lat... i żalu za tym, co utracili. Nie, do cholery, za tym, co zostało im ukradzione.

Jego oczy śledziły artykuł, zatrzymując się w połowie.

— Dlaczego, Blue? — zapytał. — Dlaczego tu wracasz?

\* \* \*

— To bluźnierstwo! — Wielebny Brett Pearson wybuchnął gniewem, gdy tylko przekroczył próg domu. Rzucił magazyn na stolik do kawy, a jego zielone oczy płonęły furją, gdy zwrócił się do żony: — Ta dziwka przysłała to plugastwo do kościoła, Carrie! Do mojego kościoła! Dwie damy, które akurat pomagały w biurze, widziały te... te śmieci. Wyobrażasz sobie, co musiały o mnie pomyśleć?

— Wiem, Brett. Tak mi przykro. Mnie też to przysłała.

— Po co? Co jej strzeliło do głowy?

— Czytałeś artykuł? — spytała, zacierając nerwowo dłońie.

— Oczywiście, że nie! Przecież mówiłem ci, że dwie nasze siostry były ze mną w biurze. Dlaczego? Co tam jest napisane?

— Ona tu wraca, Brett. Właśnie kupiła stację radiową. Przyjeżdża w przyszłym miesiącu.

— Dobry Boże!

\* \* \*

Aaron Grant był właśnie w biurze, gdy weszła jego żona i położyła magazyn przed nim na biurku.

— I cóż, doktorze, pamiętasz ją?

Aaron gwizdnął cicho.

— O rany, czy to naprawdę nasza Ericka? Do diabła, kochanie, wygląda nie najgorzej.

Pam klepnęła męża mocno po ramieniu.

— O ile pamiętam, już wówczas uważałeś ją za wystarczająco ładną.

— Widzę, że pamięć dobrze ci służy, kochanie. — Wziął magazyn do rąk i przez chwilę przeglądał go, szukając rozkładówki. — A niech mnie! Spójrz tylko na te wszystkie bazooki, które ma na sobie!

Pam wyrwała mu czasopismo z rąk, udając gniew i śmiejąc się. Jej mąż lubił ładne kobiety, lecz była absolutnie pewna, że jej nie zdradza. Jak zwykle mu powtarzała, gdyby kiedykolwiek posunął się dalej, niż tylko do podziwiania na odległość, z pewnością by go wykastrowała.

Posadził ją sobie na kolanach, obejmując ramionami jej wystający brzusek i starając się

odebrać jej magazyn.

— Przestań, zrobisz krzywdę dziecku!

— Żartujesz? Ten dzieciak już jest większy ode mnie. A teraz pozwól mi popatrzeć. — W końcu udało mu się odebrać jej czasopismo. — Tylko rzucę okiem — powiedział przymilnym tonem, który sprawił, że zachichotała.

— Jesteś rozpustnym staruszkiem.

— Ja? A czy to ja kupiłem ten magazyn?

— Ja też go nie kupiłam. Przysłano mi go przesyłką ekspresową dziesięć minut temu.

— I przyniesienie go tutaj zajęło ci aż dziesięć minut?

Pam zaczerwieniła się.

— Oglądałam zdjęcia. Przyznaję się do winy.

Aaron nadal wpatrywał się w fotografie, pogwizdując fałszywie.

— Musisz przyznać, że jest na co popatrzeć. Myślałam, że ona pracuje teraz w radiu, czy coś takiego. Jest jakąś gwiazdą w Nowym Jorku, prawda? Więc co jej zdjęcia robią w magazynie z panienkami?

Pam umknęła zwinnie z kolan męża — nie lada wyczyn, jeśli się jest w ósmym miesiącu ciąży.

— Pracuje w radiu. W Bostonie, nie w Nowym Jorku. Nie jestem pewna, o co chodzi z tą okładką, ale wydaje się raczej oczywiste, że chciała zwrócić uwagę na swój powrót do St. Joan.

Aaron Grant odwrócił się z krzesłem, by spojrzeć na żonę.

— Ale dlaczego wraca?

— Kupiła tę stację radiową, lecz chyba oboje dobrze wiemy, że nie jest to jedyny powód.

\* \* \*

— Hej, Junior, twój ojciec powiedział, żebyś natychmiast przywłókł do niego tyłek, jak tylko pokażesz się w biurze — powiedziała ładna blond łączniczka do zastępcy Allana Witcomba, gdy tylko pojawił się w biurze szeryfa.

— Co go tak pogoniło? — spytał Allan.

— Może chodzi o ten magazyn, który przysłano dziś rano ekspresem.

— Tak? I gdzie on jest?

— Twój ojciec go zabrał.

— Jak to się stało, skoro był zaadresowany do mnie? — spytał.

Tanya Sweeny wzruszyła ramionami.

— Wiesz, jak to jest. Jeżeli przychodzi coś zaadresowane A. Witcomb, to automatycznie kieruję to do szeryfa. Nie zauważyłam dopisku „Junior”, dopóki nie było za późno.

— Powiedz mi coś więcej.

— To jeden z tych magazynów porno, wiesz? Chyba *Playmate*. Tak czy inaczej, na okładce jest jedna z twoich dawnych koleżanek — Tanya roześmiała się. — Kapujesz? *Playmate Magazine* i twoja stara koleżanka?

Allan podrapał się po karku, w jego oczach odbiło się rozdrażnienie.

— Kapuję, Tanya. Lecz nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

— No cóż, kiedyś nazywała się Ericka Cassidy, ale zmieniła nazwisko na Rikki Blue.

Nie pytaj mnie, dlaczego. Te zdjęcia są mocne, naprawdę mocne. — Potrząsnęła dłońmi, jakby sparzyły ją fotografie.

— Ale to artykuł tak zdenerwował twój ojca.

— Wykrztuś to wreszcie, Tanya.

Tanya milczała nadąsana jeszcze przez chwilę, dopóki wyraz jego oczu nie ostrzegł jej, by zrobiła to, o co prosił.

— Ona wraca do St. Joan. I to wszystko.

— Wszystko? Do diabła, dziewczyno, możesz mi wierzyć, na tym się nie skończy. To kłopot przez duże K.

\* \* \*

Sally Jane Matthers także przeczytała artykuł. Siedziała teraz, wyglądając przez okno widokowe, wychodzące na jezioro. W jasnym wiosennym słońcu jego powierzchnia błyszczała niczym tafla błękitnego szkła, usiana diamentami. Był taki piękny, ten raj Ozark. Lecz nie zawsze tak było.

W tamtych czasach cały ten obszar skalany został przez przemoc i strach. Lecz, Jezu Chryste, to było dziesięć lat temu.

Spojrzała w dół na czarującą twarz swojej przyjaciółki z dzieciństwa.

— I co, Ericka, co ty, u diabła, kombinujesz?

## **KSIĘGA 1**

*Wyjdźcie moje przyjaciółki, pobawcie się ze mną  
I przynieście swojej lalki  
Wdrapiemy się na moją jabłonkę  
Opróżnimy zbiornik na deszczówkę  
Pohuścimy się na drzwiach od piwnicy  
I znowu będziemy najlepszymi przyjaciółkami  
Na zawsze.*

Saxie Dowell

## 17 MAJA 1985 — 28 MAJA 1985

### ROZDZIAŁ 1

#### MAJ 1985

Były piękne. Nie było to coś, o czym zwykły rozmyślać. Prawdę mówiąc, nie było to nic wielkiego. Nie w małym miasteczku na pojezierzu — St. Joan w stanie Missouri, o 8 335 mieszkańcach... może, gdyby pani Bennet nie urodziła bliźniaków... lub gdyby nie zdarzyło się jeszcze jedno morderstwo.

Lecz dziś Ericki Cassidy i Carrie Roberts nie obchodziło ani morderstwo, ani nie narodzone dzieci. Z niecierpliwością oczekiwały najważniejszego, jak dotąd, tygodnia swego życia. Znajdowały się o krok od tego gigantycznego skoku w dorosłość — matury.

Przeszły obok jadalni w centrum miasteczka i skierowały się w stronę ekskluzywnego butik, nastawionego na zamożną klientelę, złożoną z miejscowych bogaczy i zasobnych turystów, którzy zjawiali się tu licznie każdej wiosny i lata.

Głowy odwracały się za nimi, lecz dziewczęta nie zwracały na to uwagi. Już prędzej zwróciłyby uwagę, gdyby ludzie im się nie przyglądali. Obie były piękne, choć w diametralnie różny sposób. Tak diametralnie różny, jak różne były ich dzieje i plany na przyszłość. Być może właśnie ta odmienność na początku tak je do siebie przyciągnęła. Lecz pomimo całej ciekawości, właściwej swemu wiekowi, nigdy nie starały się poznać całej głębi dzielących je różnic, które prawdopodobnie tak bardzo ugruntowały ich przyjaźń. A była to bliska przyjaźń.

— Więc mów prawdę — nalegała Ericka, kiedy czekały na zmianę świateł. — Czy to rzeczywiście jest tak, jak piszą w *Cosmopolitan*? — Miała na myśli, oczywiście, seks i choć mówiła na pozór poważnie, tak naprawdę tylko drażniła się z przyjaciółką, nie oczekując uczciwej odpowiedzi.

— O, Boże, Ericka, odczep się! — jęknęła Carrie, nie patrząc na przyjaciółkę, tak jak spjrzałyby na każdą inną dziewczynę. Być może była to sprawa wysokiego wzrostu Ericki — prawie pięciu stóp i dziesięciu cali, podczas gdy ona miała zaledwie pięć stóp i trzy cale. — Brett i ja nie robiliśmy tego!

— Tak, pewnie, a papież nie jest katolikiem. Daj spokój, Carrie, dostrzegam różnicę pomiędzy maślanymi oczami a tym pożądlivym, głodnym wzrokiem, jakim się w siebie wpatrujecie, kiedy wam się wydaje, że nikt na was nie patrzy. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Powinnaś mi powiedzieć.

— Prawdziwy z ciebie wrzód na tyłku, wiesz o tym? Światła zmieniły się i obie dziewczyny zeszły z chodnika.

W połowie jezdni Ericka zatrzymała się nagle i uderzyła w pierś w wyrazie dramatycznego protestu.

— Nie mogę uwierzyć, że przyszła żona wielbego Brettta Pearsona wyraża się w ten sposób!

Carrie zachichotała i odrzuciła do tyłu długie blond włosy, spoglądając na czekających na zmianę świateł kierowców. Pociągnęła Erickę za ramię i powiedziała:

— Chodź wreszcie! Ludzie się na nas gapią!

— Ludzie zawsze się na nas gapią — stwierdziła Ericka bez śladu skromności.

— Ericka!

— Nie zrobię ani kroku dalej, jeżeli mi nie powiesz, czy seks jest rzeczywiście tak



fantastyczny, jak mówią. To dla mnie ważne.

Twarz Carrie płonęła, lecz nie przestała się śmiać.

— Będiesz mogła sprawdzić to sama, gdy Bo przyjedzie za tydzień ze szkoły.

— Chyba rzeczywiście mogłabym — Ericka zrezygnowała z protestu i podążyła za przyjaciółką, zwłaszcza że światła w końcu zmieniły się, a jeden z kierowców nacisnął na klakson i wychyliwszy się z okna samochodu, zawołał: — Kopnięte dzieciaki!

— To dokąd teraz? — spytała Carrie dziesięć minut później, gdy wyszły z butików, niosąc na rękę plastikowe torby z sukniemi.

Ericka wzruszyła ramionami.

— Wszystko mi jedno. Możemy pójść do ciebie i pokazać sukienki najpierw twoim rodzicom, albo moim. Jak wolisz.

— Chodźmy do mnie. Jest pora lunchu, a twoja mama nie gotuje.

— Boże, co za logika! Czy Brett zdaje sobie sprawę, jak bardzo możesz okazać się mu pomocna?

— A czy Bo zdaje sobie sprawę, jaki z ciebie numer? — odpaliła Carrie inteligentnie.

— Oczywiście, że nie. Byliśmy na randce tylko trzy razy, i to prawie dwa miesiące temu. Lecz teraz, kiedy wraca z college'u, będę miała całe wakacje, żeby powoli zaprezentować mu moje zalety.

Kiedy wróciły do czerwonego kabrioletu, który Ericka dostała od rodziców na osiemnaste urodziny zaledwie tydzień wcześniej, Carrie odczekała, aż przyjaciółka otworzy drzwi, a potem, pochylając się nad prawym zderzakiem, potrząsnęła głową i powiedziała:

— Nie chwytam tego.

— Nie chwytasz czego? — spytała Ericka, wrzucając torbę na ciasne tylne siedzenie i wdrapując się na miejsce kierowcy.

Carrie także usadowiła się na przednim siedzeniu i dopiero wtedy odpowiedziała.

— Zawsze byłaś taka porządna. Doskonała średnia w szkole, randki wyłącznie z kujonami i lektura książek w swoim pokoju, kiedy mogłabyś oglądać MTV. I nagle, co się dzieje? Umawiasz się z najbardziej napalonym chłopakiem w mieście, kupujesz obcisłą sukienkę i wypytujesz mnie o seks. Co z tobą?

— Ze mną wszystko w porządku — odparła spokojnie Ericka, zapalając samochód i włączając się do ruchu. — Zawsze lubiłam robić wszystko po kolei. Jestem Bykiem. Co mam ci powiedzieć? My, Byki, jesteśmy raczej systematyczne.

— To znaczy, chcesz powiedzieć, że teraz najważniejszy dla ciebie jest seks.

— Może. Jeszcze nie wiem. Ale moje priorytety się zmieniają i tak być powinno. Pomyśl o tym. Porządek przede wszystkim. A na drugim miejscu zmiany. Poza tym, lubię czytać. A co do facetów, to z kim miałam się umawiać, jak nie z pilnymi studentami? W klasach maturalnych jest tylko 121 osób i choć Brett zdał maturę w zeszłym roku, to on i Danny Lightner byli jedynymi przystojnymi facetami w naszej szkole, odkąd przeszłyśmy do dziewiątej klasy.

— I Danny jest pedałem, a Bretta nigdy nie lubiłaś.

Ericka roześmiała się i przewróciła oczami.

— Danny nie jest pedałem! Boże, jaka ty jesteś prowincjonalna, Carrie. Skąd ci się biorą takie pomysły?

— Czy kiedykolwiek widziałas go z dziewczyną? — rzuciła jej wyzwanie Carrie.

— Wiesz, że nie, ale to jeszcze nie znaczy, że jest pedałem. Ma zamiar zostać księdzem. Katolickim księdzem.

— Co tylko uwiarygodnia moją teorię. Celibat nie jest naturalny. Jezu, pomyśl tylko o tych wszystkich historiach, które się słyszy, tych o księżach uwodzących małych chłopców.

Ericka potrząsnęła głową. Nie była już rozbawiona. Ciasne poglądy Carrie i jej wrogie nastawienie wobec wszystkiego, co nie zgadzało się z jej przekonaniem, bardzo ją niepokoiło.

— Jesteś świętoszką, Carrie, i do tego przekonana o swoich racjach. Boże, jak to możliwe, że się zaprzyjaźniłyśmy. Nie zapominaj, że należę do kościoła episkopalnego.

Carrie nie czuła się urażona. Nie obrażała się prawie nigdy. Jest na to zbyt gruboskórna i pewna siebie, pomyślała Ericka.

— No cóż, moja słodka, mimo to nadal jesteś protestantką. Oczywiście, Brettowi bardziej podobałaby się nasza przyjaźń, gdybyś była baptystką, jak my, lecz nawet on przyznaje, że bez błędnych i grzeszników tego świata niewiele byłoby dla niego roboty.

Jej ciemne oczy błyszczały figlarnie i Ericka zachichotała, pomimo wcześniejszego zdenerwowania.

— Twoje na wierzchu, Roberts — powiedziała.

— Czy to nie miłe?

— Nie, i nie próbuj wystawiać mojej cierpliwości na większą próbę. Nie byłabym tak wyrozumiała dla twojej arogancji i przekonania o własnej nieomyślności, gdybym nie rozumiała, że pomiędzy twoimi rodzicami a Brettem nie miałaś cienia szansy, by stać się inna. Kiedy tylko zaczęliście ze sobą chodzić w ósmej klasie, od razu wiedziałam, że dokończycie dzieła zniszczenia, które zapoczątkowali twoi rodzice.

— I tak bardzo mnie lubisz i wiesz o tym.

— Tak. To jedyna skaza na mojej skądinąd doskonałej egzystencji.

— Ha, ha, ha — powiedziała Carrie.

— A wracając do twego faceta, to kiedy on wraca do domu ze Springfield?

— Jutro. Powiedział, że wpadnie do mnie wieczorem, jak tylko zobaczy się ze swoimi.

— No, to wyjaśnia te rumieńce na twoich policzkach. Już robi ci się gorąco na myśl o tym spotkaniu.

— Może byś tak przestała? I czemu bez przerwy rozmawiamy o seksie? Czy Keen Bohannon aż tak ci się podoba?

Ericka wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem. To znaczy, on jest bardzo przystojny i zabawny, lecz nie znamy się jeszcze zbyt dobrze. Ale całuje, jakby był stworzony do tej roboty.

Podążyła spojrzeniem za wzrokiem Carrie, kiedy zjeżdżały z autostrady w kierunku Bar-Ber-Keen Estates.

— A może spotkalibyśmy się w czwórkę na deptaku jutro wieczorem? Mogłabyś powiedzieć Brettowi, żeby popatrzył, jak Bo to robi. Może by się czegoś nauczył.

Carrie roześmiała się, lecz kiedy spojrzała na przyjaciółkę, jej oczy miały poważny wyraz.

— Co jest? — spytała Ericka w odpowiedzi na pytanie, którego jej przyjaciółka najwidoczniej nie miała ochoty zadać.

— Nic. Szkoda, że nie lubisz Bretta choć trochę bardziej.

— Nie chodzi o to, że go nie lubię, Carrie. Po prostu nie jest w moim typie. — Przygryzła wargę, by ukryć uśmiech, po czym dodała: — I nadal uważam, że jego pobożne, gorliwe zachowanie to tylko poza i pewnie nieźle mu odbija, gdy zgasną światła.

Carrie nie odpowiedziała, lecz z irytacją założyła ręce na swoich małych piersiach i odwróciła głowę, by wyjrzeć przez okno.

Ericka nie mogła powstrzymać chichotu.

— Przepraszam, już nie będę cię męczyć. Czy nie wydają się dziś bardzo zainteresowana seksem?

Nie mogąc się oprzeć, Carrie zaniechała dąsów i odwróciła się, by popatrzeć na przyjaciółkę:

— No pewnie! Przysięgam, wcale nie jestem pewna, czy to dla ciebie bezpieczne, żebyś spędzała lato z Bo. Czy twoja mama wie, co ci chodzi po głowie?

— Nie, ale na pewno by się nie wściekła, tak jak twoja. Moi rodzice są bardzo tolerancyjni.

— Ha! To prawdopodobnie najbardziej karygodne niedomówienie ostatniego dziesięciolecia. Moja mama co rano niemal dostaje palpacji, kiedy twoja matka przebiega obok naszego domu w tym obcisłym i skąpym stroju do joggingu.

Ericka roześmiała się. Potrząsnęła głową, zwalnając i podjeżdżając do krawężnika obok domu Carrie. Lecz kiedy się odezwała, w jej tonie nie było już rozbawienia.

— Chodzi nie tylko o seks, Carrie, ale o wszystkie te rzeczy, których jeszcze nie robiłam. To chyba śmierć Cindy Rachwalski sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać. Tyle jest rzeczy, których jeszcze nie doświadczyłyśmy. A jeżeli i nam coś się przytrafi? Czy możesz sobie wyobrazić, że za dwa lata będziesz już martwa?

Na wzmiankę o morderstwie młodej kobiety, której żadna z nich dobrze nie знаła, Carrie przeciągnęła dłonią po długich włosach, zmarszczyła brwi i wykrzywiła usta w wyrazie niesmaku.

— Nie mogę powstrzymać się od myślenia, że sama się o to prosiła.

— Żartujesz! To straszne! Jak możesz w ogóle tak mówić? Nie obchodzi mnie, kim była, ani jak żyła, żadna kobieta nie zasługuje na to, by rozbić jej głowę kijem baseballowym.

— Och, wiem, że to straszne, lecz ona zadawała się z jakimiś bardzo niemiłymi ludźmi. Wiesz, mój tata powiedział, że przyjaźniła się z tą Bunny Apperson, której poderżnięto gardło zaledwie tydzień przed śmiercią Cindy, a to oznacza, że prawdopodobnie znała także tego właściciela lombardu, który został zamordowany w taki sam sposób jak ona.

— A ty, jak przypuszczam, uważasz, że oni wszyscy zasłużyli na to, co ich spotkało?

— Och, nie, oczywiście, że nie. Nikt nie zasługuje na coś takiego. Lecz spójrzmy prawdzie w oczy, Ericka, ten świat jest pełen zła, a jeśli pozwolisz, by zło stało się częścią ciebie, to musisz stawić czoła konsekwencjom.

— O Boże, czy tak właśnie twierdzi twoja matka, czy jest to doktryna, wyznawana przez przyszedłego wielbnego Bretta Pearsona?

— Ani to, ani to — stwierdziła Carrie, sięgając po swoją sukienkę i otwierając drzwi samochodu. — Ja po prostu wiem, co jest słuszne, a co nie, i tyle. I ty wiesz to także. Spójrz na nas. Nie włóczyłyśmy się nigdzie wieczorami i nikt nas nie zamordował.

— Jakbym słyszała panią Roberts — mruknęła Ericka, gdy Carrie wysiadła z samochodu.

— Co mówiłaś? — spytała.

— Nic — odparła Ericka.

— To co, idziesz, czy nie?

Ericka otrząsnęła się z irytacji. Nie był to odpowiedni dzień, by przejmować się postępującą świętoszkowatością przyjaciółki. Złapała sukienkę, wrzuciła kluczyki do torebki i pospieszyła przez trawnik za przyjaciółką.

— Zaczekaj! Jesteś pewna, że twoja mama nie jest dziś zajęta? Mogę pojechać do domu.

— Nie bądź niemądra. Zawsze w piątek rano chodzi do fryzjera, a nasza gospoia sprząta w tym czasie dom. Jestem bardziej niż pewna, że plotkuje teraz przez telefon z jedną ze swoich przyjaciółek.

Kiedy weszły do domu, Carrie zawołała:

— Mamo, wróciłam! Chciałabym pokazać ci nową sukienkę.

— Jestem w kuchni, Carrie Ann, rozmawiam przez telefon. Przyjdź tu, kiedy już się przebierzesz.

Carrie spojrzała wymownie na przyjaciółkę, a potem skinęła głową w stronę holu.

— Przebierz się w pokoju gościnnym. Ja pójdę na górę, lecz nie waż się pokazywać mamie, dopóki nie wrócę.

— Tylko nie zwracaj sobie głowy poprawianiem makijażu czy wkładaniem rajstop. Umieram z głodu.

Ericka weszła do gościnnej sypialni, jak jej powiedziano, i położyła suknię na łóżku. Zaczęła już ściągać podkoszulek przez głowę, gdy pomyślała, że lepiej będzie pójść do kuchni i powiedzieć pani Roberts, że tu jest, na wypadek, gdyby zechciała wejść po coś do pokoju. Nie chciała jej przestraszyć.

Przez chwilę stała w holu, czekając na przerwę w rozmowie, która pozwoliłaby jej wejść.

— A czy nie mówiłam ci, kiedy się tu sprowadzili, że do nas nie pasują? Przekłęci Jankesi! On jest w porządku, pomijając już nawet tę manię wielkości. Poeta—laureat, rzeczywiście! Lecz ona. Za kogo ona się uważa, żeby pisać o nas książkę? Wanda Mae twierdzi, że ma zamiar przedstawić St. Joan jako prawdziwą jaskinię grzechu. Drugi Peyton Place. Mówię ci, Phoebe, musimy zebrać się razem i znaleźć sposób, żeby powstrzymać...

— Pani Roberts! — przerwała jej Ericka, nie mogąc już dłużej słuchać tych okropnych rzeczy, które pani Roberts i matka Brettta wygadywały o jej rodzicach. Trzęsła się cała, walcząc z pragnieniem, by spoliczkować tę kobietę. Pragnęła bronić rodziców, powiedzieć tej głupiej wieśniaczce, że jej rodzice prawdopodobnie mieli więcej przyzwoitości w małym palcu niż ona i jej obłudne przyjaciółki razem wzięte. Chciała zapytać, o czym, u diabła, one mówią. Jej rodzice, para popularnych autorów powieści, nigdy nie sportretowaliby w książce ludzi, którzy byli ich przyjaciółmi i sąsiadami. Błąd. Te kobiety nie były przyjaciółkami jej matki. Lecz zszokowany wyraz twarzy Marylou Roberts sprawił jej niemal równie wielką satysfakcję, jak przemowa, którą miała zamiar wygłosić.

— Och, Ericka, kochanie, nie wiedziałam, że tu jesteś.

— Najwidoczniej. Przepraszam, że przeszkadzam, lecz prosiłabym o przekazanie Carrie, że musiałam wyjść. Właśnie sobie przypomniałam, że obiecałam zjeść lunch z rodzicami.

I nie czekając, aż matka Carrie zdoła się pozbierać, odwróciła się na pięcie i niemal biegnąc dopadła drzwi wyjściowych. Kiedy już była na zewnątrz, zaczęła biec... biegła tak i płakała. Jak oni śmieli? Jak?

\* \* \*

Carrie zeszła na dół za ledwie w chwilę po nagłym odejściu przyjaciółki.

— Ericka, jestem gotowa, a ty? — zawołała z salonu.

Lecz zamiast Ericki do pokoju weszła jej matka, której perfekcyjny makijaż psuły widoczne na policzkach dwie czerwone plamy.

— Ależ kochanie, wyglądasz prześlicznie!

Carrie szybko zapomniała o wymownych rumieńcach na policzkach matki i obróciła się, wykonując doskonały piruet.

— Jak, myślisz, spodoba się Brettowi? Marylou Roberts zachichotała.

— Brett Pearson pomyślałby, że wyglądasz bosko bez względu na to, co miałabyś na sobie, lecz ta sukienka jest z pewnością bardzo twarzowa. Zawsze dobrze ci było w bieli. Doskonale podkreśla twoją miodową karnację.

— Poczekaj, aż zobaczysz Erickę. Jej jest miętowozielona. Mary Kate powiedziała, że to kolor miętowych lodów. Z tą masą rudych włosów wygląda w niej jak marzenie, a obfita spódnica sprawia, że jej nogi wyglądają na jeszcze dłuższe. — Zwróciła się w stronę gościnnego pokoju. — Nie rozumiem, co ona tam tak długo robi.

— Hmm, Carrie Ann, obawiam się, że ona już poszła.

— Poszła? Dokąd?

— Do domu, jak sądzę.

— Ale dlaczego? Dzwoniła jej matka?

— Nie, ale, no cóż, obawiam się, że podsłuchiwała, jak rozmawiałam przez telefon z matką Bretta i to ją zdenerwowało. Przeprosiłabym ją, ale nie dała mi szansy.

Może mogłabyś zrobić to w moim imieniu, gdy będziesz z nią rozmawiać? Choć nie przepadam za Lindą i Lawrence'em Cassidy, to za żadne skarby nie chciałabym zranić Ericki. To dziecko jest prawdopodobnie jedynym, co zrobili, jak należy.

— O czym ty mówisz, mamó? I co takiego mogłaś powiedzieć przez telefon do Phoebe, co zraniłoby Erickę aż tak, by skłonić ją do odejścia?

— Nie miałam zamiaru ci o tym mówić, Carrie Ann. Wiem, jak bardzo jesteście sobie bliskie. Ale wygląda na to, że jej rodzice zwrócili swoje zawodowe zainteresowania na nas, swoich sąsiadów, a ja nie mam zamiaru siedzieć bezczynnie i czekać, aż ujawnią światu wszystkie nasze sekrety i kompletnie nas przy tym ośmieszają.

Carrie odetchnęła głęboko, starając się zachować spokój.

— Nie wiem, o czym mówisz. Co to znaczy, że zwrócili na nas swoje zawodowe zainteresowania?

— Książka, Carrie Ann. Piszą o nas książkę.

— Och, to po prostu śmieszne. Nie zrobiliby tego. A poza tym, oni nie piszą o prawdziwych ludziach, wszystkie ich książki to czysta fikcja. — Carrie uśmiechnęła się, a jej brązowe, nakrapiane złotem oczy błysnęły wyzywająco. — A poza tym, jakież to tajemnice macie wy i wasi przyjaciele, które byłyby na tyle interesujące, by o nich pisać?

— Nie bądź zuchwała. Oni naprawdę piszą książkę. Wanda Mae już skopiowała kilka rozdziałów w sklepie papierniczym dla Lindy. Powiedziała, że udało jej się zaledwie zerknąć do środka, lecz twierdzi, że książka jest bardzo śmiała, a nawet wulgarna.

Carrie zmarszczyła brwi.

— I wymieniono w niej nazwiska wasze i waszych przyjaciół?

— Nie, oczywiście, że nie. Nazwiska zostały zmienione, by ochronić niewinnych, jak to zwykle mówią w telewizji, ale i tak wszyscy będą wiedzieli, że chodzi o nas. A poza tym Howard Barnes ze sklepu spożywczego potwierdził, że Linda wypytywała ludzi już od miesiący. Nazywa to zbieraniem materiałów.

Carrie potrząsnęła głową. — Nadal nie kapuję. Jeżeli nazwiska zostały zmienione, to musi być fikcja. Więc czym się tak przejmujecie? Pisarze cały czas opisują prawdziwe życie w miasteczkach, prawdziwe sytuacje, i nawet ludzi, lecz nie oznacza to jeszcze, że wszystko, co o nich piszą, jest prawdą.

— Och, co ty możesz wiedzieć? — powiedziała Marylou, machając niecierpliwie dłonią. — Jesteś tylko dzieckiem.

— Dostatecznie dużo, by wiedzieć, że jesteś niemądra. Tak jakby ktokolwiek z nas miał jakieś ciemne sprawy do ukrycia. Kto by się przejmował, że napiszą książkę o naszym miasteczku? A poza tym, wiem dosyć, by zdać sobie sprawę, że zawsze byłaś zazdrosna o państwa Cassidy.

— Co za bzdura! Jesteś bardzo niegrzeczną młodą damą, Carrie Ann. Dlaczego miałabym być zazdrosna? Na miłość boską, to przecież tylko Jankesi!

— Tak, ale oboje mają dyplomy. I nie mów mi, że nie złości cię, iż wszyscy mężczyźni w Bar-Ber-Keen Estates wstają wcześniej co rano tylko po to, by popatrzeć, jak pani Cassidy biega. Gorąca z niej mamuśka, że zacytuje tatusia.

— Dość tego, Carrie Ann! Nie mam zamiaru stać tutaj i pozwalać, by moja własna córka

sprawiła, że czuję się jak niedouczona megiera!

Carrie podeszła do matki i ucałowała ją w policzek.

— Nie bądź niemądra, mamó. Ty także wyglądasz wspaniale, a to, że nie ukończyłaś college'u nie oznacza, że uważam cię za głupią. Po prostu chciałabym, żebyś trochę inaczej spojrzała na rodziców Ericki. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką, a jej rodzice są zupełnie w porządku. Po prostu nigdy nie dałaś im szansy.

— Jadaliśmy razem obiad przy różnych okazjach, młoda damo. Wszyscy należymy do tego samego klubu, i nawet grałam w tenisa z Lindą.

— Tak, i za każdym razem, gdy tylko się z nimi rozstałaś, pędziłaś do telefonu, żeby plotkować o nich z Phoebe, lub Wandą Mae, lub Sissy. Nie czekając, aż matka zbierze argumenty do dalszej sprzeczki, Carrie pocałowała ją jeszcze raz w policzek i odwróciła się w kierunku schodów.

— Mam zamiar się przebrać, zanim zabrudzę sukienkę. — W połowie schodów zatrzymała się, spojrzała w dół na matkę i dodała: — A potem zadzwonię do Ericki i przeproszę ją.

— Nie zrobisz niczego takiego! Przede wszystkim nie powinna była podsłuchiwać.

Carrie zaśmiała się po cichu. Czasami jej matka była po prostu niemożliwa.

— Wątpię, czy ona podsłuchiwała, mamó. Prawdopodobnie chciała po prostu powiedzieć ci „dzień dobry”. Lecz tak czy inaczej, nadal mam zamiar przeprosić ją i wyjaśnić, że źle cię poinformowano. To moja najlepsza przyjaciółka i mamy tydzień maturalny. Nie chciałabym, żeby cokolwiek popsulo się między nami. Proszę...

— No dobrze, powiedz jej, co chcesz. Idę przygotować sałatkę owocową na lunch. Chcesz trochę?

Carrie uśmiechnęła się szeroko na samą myśl o sałatce.

— Brzmi wspaniale. Zaraz do ciebie dołączę. Przeskoczyła kilka stopni, lecz zwolniła, gdy matka napomniała ją, że damy nie biegają.

Zadzwoniła do Ericki nawet zanim zdjęła sukienkę, lecz doktor Cassidy powiedział, że córka nie wróciła jeszcze do domu.

— Czy mógłby pan przekazać jej, by do mnie zadzwoniła? To bardzo ważne.

Lawrence Cassidy roześmiał się cicho.

— A czy powiedziałabyś mi, gdyby nie było ważne? — Drażnił się z nią swoim dobrze ustawionym, spokojnym głosem, który sprawił, że Carrie musiała się uśmiechnąć.

— Może raz czy dwa — zaśmiała się. — Ale tym razem to naprawdę ważne. — Przez chwilę wahała się, czując się nieco niełojalna wobec matki, lecz brnęła dalej. — Obawiam się, że mama uraziła jej uczucia. Ona — to znaczy mama — rozmawiała przez telefon z mamą Bretta. Rozmawiały o panu i pani Cassidy.

— Tak? — zapytał, najwidoczniej czekając na ciąg dalszy.

— O waszej książce. Ktoś powiedział mojej matce, że piszecie o St. Joan. — Zaśmiała się znowu, tym razem cokolwiek nerwowo. — Wszyscy obawiają się, że zrobicie z naszego miasteczka prawdziwą jaskinię grzechu, taki rzeczywisty Peyton Place.

— Doprawdy? No cóż, częściowo mają rację. Rzeczywiście, akcja, naszej ostatniej książki rozgrywa się w turystycznym miasteczku, położonym nad jeziorem i Linda zbierała materiały, podczas gdy ja pracowałam nad ogólnym zarysem książki, ale zapewniam cię, że nie mamy zamiaru portretować w niej naszych przyjaciół i sąsiadów.

— Powiedziałam mamie, że nie zrobilibyście czegoś takiego, ale z jakiegoś powodu wszyscy wydają się strasznie podekscytowani.

— Może zadzwonimy z Lindą do paru osób i spróbujemy je uspokoić?

— Doskonały pomysł — zgodziła się Carrie.

— Mam lepszy. Doktor Grant pomagał Lindzie w zbieraniu materiałów. Może byłoby lepiej, gdyby to on porozmawiał z ludźmi. — Jego głęboki baryton rozbrzmiał śmiechem, kiedy powiedział: — W końcu, może sobie być podstępny, pobłażającym sobie Jankesem, lecz jest tu o wiele dłużej niż my i ludzie zapomnieli już, skąd pochodzi.

Carrie poczuła się zażenowana, że ojciec Ericki wie, co ludzie o nich mówią, lecz nie mogła oprzeć się jego urokowi.

— Prawdopodobnie ma pan rację — zachichotała razem z nim.

— A wracając do sprawy, powiem Erice, żeby do ciebie zadzwoniła.

— Dziękuję — odparła, odkładając słuchawkę i jednocześnie rozpinając sukienkę. Była to obcisła, dopasowana sukienka, lecz Carrie wolała zsunąć ją przez biodra, niż ściągać przez głowę. Kiedy wieszala suknię na wieszaku i nakrywała plastikową torbą, uchwyciła kątem oka swoje odbicie w lustrze. Ubrana tylko w majteczki, gdyż rzadko nosiła biustonosz — jej małe piersi nie wymagały tego — przypomniała sobie, o czym rozmawiały z Ericką po drodze ze sklepu i zobaczyła, że jej twarz oblewa się rumieńcem na wspomnienie, jak jej przyjaciółka drażniła się z nią, wypyując o seks z Brettem. Skłamała, upierając się, że nigdy tego nie robili. W rzeczywistości robili to już od dziesiątej klasy, lecz Brett nalegał, aby przysięgła, że nigdy nikomu o tym nie powie.

Była to jedyna rzecz, którą zataiła przed swoją przyjaciółką — może z wyjątkiem tego, co jej matka i kilka innych kobiet w St. Joan sądziło o rodzicach Ericki — i czuła się z tego powodu winna. Ale, do licha, Brett miał przecież przyjąć święcenia i zostać księdzem. Jego reputacja musiała zatem pozostać nieskalana.

Wieszając sukienkę w szafie, zachmurzyła się. A poza tym, nie chciała przyznać, że choć tak bardzo go kochała, to seks z nim nigdy nie sprawiał jej przyjemności. Czytywała te same artykuły w *Cosmopolitan* co Ericka i nie mogła przestać się dziwić, czemu zawsze czuje się taka nędzna i brudna, ilekroć to robili. Czy coś z nią było nie w porządku? A może z Brettem? Zwykle taki troskliwy i pełen ciepła, wówczas stawał się kimś zupełnie innym. Prawie gburowatym i zdecydowanie egoistycznym. Czy inni faceci naprawdę kochali się ze swymi żonami czy przyjaciółkami, mówiąc im różne miłe głupstwa, jak twierdzili autorzy artykułów, czy też byli jak Brett — zainteresowani tylko doprowadzeniem sprawy do końca?

Nie, zdecydowanie nie mogła powiedzieć o tym Erice, a poza tym co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? Ericka nadal była dziewicą. Nie mogłyby porównać swoich doświadczeń.

Carrie westchnęła i usiadła na brzegu łóżka, by wciągnąć dżinsy. Być może sprawy ulegną zmianie, kiedy już będą małżeństwem i będą mogli robić to w łóżku, zamiast na tylnym siedzeniu samochodu, twardej ziemi lub ladzie w warsztacie jego ojca. Miała taką nadzieję. Tak bardzo go kochała. Seks stanowił jedyny problem, a on nawet nie wiedział, że jest to problem. Nigdy mu o tym nie powiedziała. Brett nie lubił krytyki. A poza tym, pod każdym innym względem był przecież doskonały.

\* \* \*

Ericka jeździła w kółko przez prawie pół godziny, zanim w końcu wróciła do domu. Zostawiła sukienkę w domu Robertsów, lecz nie miała zamiaru teraz po nią wracać. Ciągle była zbyt wściekła, by móc rozmawiać choćby z Carrie.

Powinna była powiedzieć coś więcej, bronić swoich rodziców. Lecz jak mogła to zrobić, skoro nie wiedziała nawet, o czym one mówią.

Była jednak przekonana, że jej rodzice nie pisali książki o mieszkańcach St. Joan. Nie zrobiliby czegoś takiego. Zaśmiała się gorzko. Przeklęci Jankesi! Co za ironia. Pomimo pretensji

pani Roberts do bycia damą z Południa, jej rodzice mieli więcej cech arystokratycznych w małym palcu niż ona w całym ciele. Na przykład, nigdy nie plotkowali. Marylou Roberts mogłaby uczyć się z ich książek ciepła, współczucia i zrozumienia.

Pomijając obecne wzburzenie, Ericka była równie wyrozumiała i łatwa we współżyciu, jak jej rodzice, toteż po półgodzinie krążenia samochodem po mieście jej gniew zaczął opadać i skierowała się w stronę domu.

Gdy weszła, ojciec siedział przy biurku w swoim gabinecie. Zawołał ją, gdy tylko zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

— Tak, to ja! — odparła, zmierzając ku schodom, by ukryć się w swoim pokoju.

— Czy mogłabyś przyjść tu na chwilę, Rikki?

— Tak, tato — powiedziała, opierając się o framugę drzwi.

— Dzwoniła Carrie. Prosiła, by cię przeprosić za niegrzeczne zachowanie matki. Wydawała się bardzo zawstydzona.

Nie komentując tego, co usłyszała, Ericka weszła do pokoju i opadła na kanapę, stojącą niedaleko miejsca, gdzie siedział.

— Byłam tak wściekła, że mogłabym wrzeszczeć na panią Roberts. Jak śmiała mówić o was w ten sposób!

Niebieskie oczy Lawrence'a Cassidy rozbłysły rozbawieniem nad brodą w kolorze soli i pieprzu.

— Takie zachowanie sprawia, że człowiek zaczyna się zastanawiać, czy nie ma tu jakichś smakowitych sekretów do odkrycia, prawda?

Ericka nie mogła powstrzymać uśmiechu, jednak potrząsnęła głową.

— Chciałabym tak myśleć, ale sam powiedziałeś, że pomijając te morderstwa sprzed kilku tygodni, jest to najmniej inspirujące miasto na świecie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się tym przejmują. Prawdopodobnie żałują, że nie mają na sumieniu żadnych podniecających, plugawych sekretów, które moglibyście odkryć.

— Ach, myślę, że trafiłaś w sedno. Przypuszczam jednak, że twoja mama i ja ponosimy częściowo winę za tę sytuację. Powinniśmy byli powiedzieć wszystkim, co robimy. Piszemy książkę o społeczności bardzo podobnej do tej z St. Joan i twoja matka zbierała informacje, które pozwoliłyby nam dobrze oddać klimat takiego miasteczka, ale zapewniam cię, że będzie to czysta fikcja, podobnie jak wszystkie nasze książki.

— Wiem. Nie miałam zamiaru w ogóle o tym wspominać.

— Wstała i podeszła, by pocałować pełne zmarszczek czoło ojca. — Nie martw się o mnie. Nie dbam o to, co piszecie, jak długo wasze książki są tak gorące, że aż para idzie.

— No cóż, mogę cię zapewnić, że ta też będzie taka.

— Zaśmiał się miękko, bardziej do siebie niż do Ericki. — I możesz powiedzieć rodzicom swoich przyjaciół, że Linda i ja nie musimy nikogo podglądać, by znaleźć materiał do naszej książki.

— Jakbym tego nie wiedziała! Przez większość nocy musiałam spać przy włączonym telewizorze, żeby nie słyszeć, co dzieje się w waszej sypialni.

Lawrence Cassidy bez powodzenia usiłował przybrać skruszony wyraz twarzy, jednak nie udało mu się ukryć uśmiechu, który błyszczał w jego oczach. — A ja myślałem, że jesteśmy tacy dyskretni!

— Ha! — powiedziała, zmierzając w stronę drzwi. — Jest to prawdopodobnie ostatnie słowo, jakiego bym użyła, opisując ciebie i mamę. — Przerwała z ręką na drzwiach, by odwrócić się do niego i rzucić przez ramię: — Mam tylko nadzieję, że kiedy wyjdę za mąż, też będę taka szczęśliwa.



— A ja mam nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko. Nie jestem jeszcze tak stary, by mieć zięcia.

Erica zaśmiała się, jak tego oczekiwał. Lawrence Cassidy miał sześćdziesiąt dwa lata, o dwadzieścia więcej niż jej matka. Ale pomimo tego zaawansowanego wieku wydawał się Ericie młodszy niż większość jej rówieśników.

— Nigdy się nie zestarzejesz — powiedziała.

— Dobry Boże, mam nadzieję, że nie! Dlatego właśnie przeprowadziliśmy się do tej oazy świeżego powietrza — by zachować młodość na zawsze.

Uśmiechnęła się czule.

— Kocham cię, tato.

— Oczywiście, dlaczego miałabyś mnie nie kochać? Przecież jestem wspaniały.

— I skromny.

— Nie uważam, by skromność była prawdziwą zaletą. Ludzie albo zdają sobie sprawę z własnej wartości, albo nie czują się pewnie. Jeżeli wiedzą, ile są warci i zaprzeczają temu, jest to fałszywa pokora. Jeżeli nie są pewni własnej wartości, to nie wierzą, że mają jakiegokolwiek zalety.

Erica przewróciła oczami, a potem pomachała dłonią w geście pożegnania.

— Do zobaczenia później. Mam zamiar zająć się pisaniem mojej mowy pożegnalnej.

— Zadzwoń do Carrie — przypomniał jej ojciec.

— Zadzwonię.

Była już niemal za drzwiami, kiedy ojciec znów ją zatrzymał.

— Hej, Erica, dzwonił do ciebie jakiś młody człowiek.

Błyskawicznie znalazła się znowu w pokoju.

— Kto?

— Keen Bohannon.

— Bo! Dzwonił do mnie? Kiedy? Czy jest w domu? Czy to była zamiejskowa?

Lecz zanim ojciec zdołał odpowiedzieć na ten zalew pytań, telefon znowu zadzwonił.

— Odbiorę w swoim pokoju — zawołała Erica, biegnąc po schodach i przeskakując po dwa stopnie naraz.

— Halo? — spytała bez tchu w kilka sekund później.

— Cześć, moja słodka — powiedział Keen Bohannon przeciągle.

— Bo! Cześć! — A potem, opadając na łóżko, dodała już bardziej zwyczajnym tonem. — Miło cię słyszeć. Jesteś już w domu?

— Tylko dwie mile od ciebie, dziecinko.

— Kiedy przyjechałeś?

— Mniej więcej godzinę temu. Zadzwoniłem, gdy tylko rozpakowałem samochód, ale twój tata powiedział, że wyszłaś.

Erica uśmiechała się od ucha do ucha, skręcając w ręce kabel telefoniczny.

— Gdybym wiedziała, że przyjedziesz tak wcześnie, nie ruszałabym się z domu.

— Zobaczę cię dziś wieczorem?

— Oczywiście. Dokąd chciałbyś pójść?

— Parę osób ze szkoły powiedziało, że spotykają się wieczorem na deptaku. Myślę, że można—by zacząć od tego, a potem zobaczymy, co się wydarzy.

— Brzmi zachęcająco. O której?

— Odpowiada ci ósma?

— Doskonale.

— A co słyhać w starym St. Joan? — zapytał.

— Nic. Wiesz, jak tu jest. Nigdy nie dzieje się nic podniecającego.

Roześmiał się.

— Wydaje mi się jednak, że kiedy przyjechałem na ferie wiosenne, wydarzyło się parę rzeczy, które mógłbym uznać za podniecające. O ile pamiętam, kilka razy szyby w moim samochodzie aż zaparowały z wrażenia.

Zachichotała.

— I czy nie zdarzyło się kilka morderstw?

— Nie przypominaj mi — powiedziała. — W szkole o niczym innym nie gadają.

— Nudziarze. No dobrze, porozmawiajmy o nas. Czy nadal jesteś najwspanialszą dziewczyną na jeziorach?

Wspominając uwagi ojca na temat skromności, Ericka zaśmiała się i odpowiedziała:

— Oczywiście.

## ROZDZIAŁ 2

Tak zwany deptak stanowił długi na milę pas sklepów z pamiątkami i osobliwościami, lokali typu „fast food”, salonów gry i innych przybytków rozrywki. Było tu także mnóstwo samochodów, wypożyczalnie łodzi, jedna dobra restauracja oraz trzy bary. Młodzież, mieszkająca nad jeziorem, za punkt zborny obrała sobie punkt sprzedaży hamburgerów, zwany po prostu „Buns”. Barek miał zewnętrzne patio, wychodzące na jezioro, które kształtem przypominało podkowę. To właśnie tam Bo i Ericka spotkali się wieczorem z kilkorgiem swoich przyjaciół.

— O rany, popatrzcie na tę laleczkę! Już na sam widok kręci mi się w głowie — powiedział Aaron Grant, kiedy Ericka wysiadła z corvetty Bo. — Stary sędzia Ramsey powinien wyjąć spod prawa wszystko, co tak wygląda, a Scooter powinien już tu być, żeby ją aresztować.

Ericka roześmiała się, zadowolona z bezceremonialnego komplementu, którego jednak nie potraktowała poważnie. Nie dlatego, że nie zdawała sobie sprawy, że wygląda naprawdę dobrze. Wręcz przeciwnie, po południu spędziła ponad dwie godziny, pracując nad fryzurą i makijażem, a potem jeszcze jedną, wybierając i zestawiając ze sobą na pozór zwykły, lecz doskonale przemyślany strój.

Lecz Aaron Grant był niepoprawnym flirciarzem. W wieku dwudziestu trzech lat już zapracował sobie na reputację kobieciarza. Popularna anegdota mówiła nawet, iż żadna kobieta nie jest bezpieczna, odkąd zdobył dyplom lekarza i zawiesił swoją tabliczkę obok wywieszki ojca. Choć wzrostu mniej niż przeciętnego, mierzył sobie bowiem niecałe pięć stóp i sześć cali, był jednak przystojnym mężczyzną o piaskowych włosach, głęboko osadzonych orzechowych oczach i łatwym uśmiechu.

Prawdę mówiąc, ludzie spodziewali się, że będzie dobrze wspierał długoletnią praktykę swego ojca. Ole Doc Grant, jak go nazywano, ceniony był za swój spokojny, miły sposób obchodzenia się z chorymi i jego syn zdawał się posiadać tę samą umiejętność. Było to bardzo pocieszające.

Bo otoczył ramieniem szyję Ericki.

— Radzę ci pamiętać, że ta jest moja, człowieku — powiedział, wyciągając rękę w modnym wśród młodych ludzi geście powitania, polegającym na wykonaniu kilku szybkich ruchów z udziałem zaciśniętych czubków palców i wysoko uniesionej dłoni. — Jak leci, chłopaki? Gotowi do przelecenia kogoś?

— To było wulgarnie, Bo — powiedziała Pamela Sue Brown, dziewczyna Aarona.

— Cześć, Pam — Ericka pozdrowiła młodą kobietę, którą знаła tylko dlatego, że mieszkały w pobliżu. Pamela Sue była w tym samym wieku co Bo, lecz wiek nie odgrywał w tej małej społeczności takiej roli, jak miałyoby to miejsce w dużym mieście. „Ci, co mieli”, jak nazywano około dwudziestu naj—zamożniejszych rodzin w mieście, trzymali się razem. „Ci, co nie mieli”, robili to samo, tyle że dalej w górę deptaka, w barze hamburgerowym, zwanym „Big Jim’s”.

Ze sklepu wyszedł Junior Witcomb ze swoją dziewczyną, Sally Jane Matthers, dźwigając pełną torbę hamburgerów i frytek. Znów wymieniono pozdrowienia i Junior postawił torbę na stole.

— Śmiało, sięgajcie — zachęcał. — Kupiłem tonę hamburgerów, częstujcie się.

Sally Jane, pospolicie wyglądająca dziesiętnastolatka o rudych włosach — jednak nie w tym ciemnorudym, wibrującym odcieniu co włosy Ericki, lecz raczej kolorem przypominających marchewkę — blada, niemal pozbawiona rzęs, obdarowana za to przez Stwórcę niemiłosierną ilością piegów, była bezsprzecznie jedną z najbardziej popularnych dziewcząt w mieście,

zarówno ze względu na swoją osobowość, jak i dlatego, że ojciec jej był nie tylko najbogatszym człowiekiem w okolicy jezior, lecz w całym Missouri. Podobnie jak ojciec Bo, Clemens Matthers był prawdziwym posiadaczem ziemskim. Jednak o ile Bert Bohannon sukces zawdzięczał głównie szczęściu i przypadkowi, o tyle ojciec Sally swój olbrzymi stan posiadania osiągnął dzięki wrodzonej przebiegłości i bezwzględności.

W ostatnich dziesięciu latach wielu nieszczęśników padło ofiarą recesji, a Clemens, który na miłą potrafił wywachać okazję, zawsze zjawiał się, by skorzystać na ich pechu. Na pozór ustepliwy, o łatwym uśmiechu, często chełpił się, że potrafiłby przegadać, przechytryć i wymanewrować najlepszych z nich. Na szczęście Sally Jane, choć odziedziczyła swadę po ojcu, nie miała w sobie jego bezwzględności. Doskonałe połączenie genów zaowocowało w sferze charakteru, dając jej wrażliwość i delikatność uczuć jej matki, choć w sferze wyglądu przynosząc kompletną klępkę. Uśmiechnęła się, ukazując długie dziąsła i końskie zęby, co bynajmniej nie dodało jej urody.

— Cześć, Ericka. O rany, wyglądasz wspaniale!

— „Wspaniale” nawet w części nie oddaje prawdziwego stanu rzeczy — powiedział Bo, pozwalając, by jego ramię, które dotąd pozostawało owinięte wokół jej szyi w geście posiadacza, zsunęło się na talię dziewczyny.

— Tak, nie ma sprawiedliwości na świecie. Niektórzy dostają zdecydowanie więcej niżby należało.

— Tobie także nic nie brakuje — powiedział Bo.

Sally Jane zmarszczyła swój mały zadarty noseć, stanowiący jej największą ozdobę i uśmiechnęła się do Juniora.

— Tak, no cóż, Bóg dał mi bogatego tatusia i instynktowną wiedzę, co należy robić, gdy już znajdziemy się na tylnym siedzeniu samochodu. Nie mogę się skarżyć.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, choć Ericka zarumieniła się, gdy raczej poczuła, niż zobaczyła, że Bo na nią spogląda. Czy wiedział, że myślała o nim w ten sposób od ich ostatniej randki sześć tygodni temu?

— A gdzie twoja kumpelka? — spytała Sally Jane. — Myślałam, że wy dwie jesteście niczym siostry syjamskie.

— Szykuje się na powrót Bretta jutro wieczorem.

Para motocyklistów na harleyach zwolniła przed barem, by sprawdzić silniki, a potem szybko odjechała. Zgromadzona na patio gromadka popatrzyła w stronę, w którą odjechali.

— Boże, to prawdziwa szarańcza — jęknęła Pam. — Myślę, że Scooter powinien ustawić znaki zabraniające wstępu i zostawić je do przyszłego miesiąca. Cieszymy się swoim terytorium, dopóki pospólstwo zupełnie nie zaleje miasta.

— Nie powiem mojemu ojcu, że opowiadasz takie rzeczy — powiedział Bo. — Dostałby zawału.

Wszyscy zgodzili się z nim. Gdyby nie turyści, zjeżdżający gromadnie nad jezioro, St. Joan szybko stałoby się miastem duchów. Dobrobyt mieszkańców zależał od turystyki, a już niczyj bardziej niż Berta Bohannona, właściciela Bar-Ber-Keen, największego kompleksu wypoczynkowego w środkowych stanach.

— Nawet twój ojciec nie miałby nic przeciwko temu, żeby ci nieszczęśnicy trzymali się z dala o kilka tygodni dłużej — powiedział Junior. — Przynoszą wyłącznie kłopoty.

Bo potrzęsnał głową.

— Oni tylko zachowują się głośno.

— A do tego są skąpi. Nie wydają pieniędzy na nic, poza piwem — dodał Junior. Wzruszył ramionami. — Ale kogo to obchodzi, prawda? Żyj i daj żyć innym, oto moja dewiza.

— Przynajmniej dopóki nie zaczniesz pracować ze swoim ojcem. Wtedy zmienisz śpiewkę. Zamiast siedzieć tu z nami, będziesz rozdawał nam mandaty — oświadczyła Sally Jane, wsuwając mu dłoń pod ramię.

— A kiedy to ma nastąpić? — spytała Ericka, siadając przy stole z Juniorem i Sally Jane.

Junior wręczył jej hamburgera i torebkę frytek.

— Kiedy mam zostać zastępcą? W poniedziałek. Trzymajcie kciuki, żeby nie wydarzyło się więcej morderstw. Nie chciałbym grzebać się w czymś takim.

— No, wspaniale. Jestem w domu dopiero od godziny, a już słyszę o morderstwie — powiedział Brett Pearson, wychodząc zza rogu. Trzymał za rękę Carrie.

Na kilka minut wszyscy zapomnieli o hamburgerach, może z wyjątkiem Sally Jane, której burczenie w żołądku nie pozwalało oderwać się od jedzenia. Pozdrawiano nowo przybyłych i wyrażano zdziwienie z powodu ich niespodziewanego zjawienia się.

— Chciał zrobić mi niespodziankę — powiedziała Carrie, przewracając oczami. — To dlatego wyglądam jak fleja.

— Akurat! — powiedziało chórem dwoje czy troje spośród towarzystwa. Carrie Ann Roberts zawsze wyglądała doskonale.

— Siadajcie — powiedział Bo, wślizgując się na betonową ławę obok Ericki. — Mamy dość hamburgerów, żeby wyżywić armię.

Carrie sięgnęła po frytki, a Brett popatrzył na swoich przyjaciół.

— Więc co mówiliście o morderstwie?

— Nic — powiedziała Pamela Sue. — Junior w poniedziałek zaczyna pracować u ojca. I ma nadzieję, że od razu nie będzie musiał ścigać morderców.

— Czemu się tym przejmujesz? St. Joan to jedno z najspokojniejszych miejsc w kraju — stwierdził Brett.

— Było. Czas przeszedł — zauważył Junior. — Te trzy morderstwa w kwietniu nie poprawiły statystyki. I nie zapominajcie o małej Dottie Hooper zeszłego lata.

— To co innego. Zabił ją własny ojciec — zauważyła Sally Jane z ustami pełnymi soczystego hamburgera.

— Biedactwo — powiedziała Carrie. — Miała dopiero sześć lat. I co za przypadek, gdyby psy jej ojca nie odkopały grobu, nikt by nawet nie wiedział, co się z nią stało. Byłaby jeszcze jednym nie rozwiązany przypadkiem morderstwa, jak te trzy w kwietniu.

— No cóż, nie wiemy co prawda, kto zabił Cindy i pozostałą dwójkę, ale mój tata uważa, że musieli zajmować się rozprowadzaniem narkotyków, albo czymś takim. Byli przyjaciółmi. Trzymali się razem.

— Nie sądzę — powiedział Aaron potrząsając głową i podnosząc stopę, by ułożyć ją na jednej z betonowych ław, okalających stoliki. — Może rozprowadzali narkotyki, ale przynajmniej Cindy na pewno ich nie brała. Mój tata twierdzi, że większość z tych, którzy handlują narkotykami, sama bierze.

Ericka zadrzała.

— Zapomniałam, że twój tata jest także koronerem, nie tylko lekarzem ogólnym. Czy ty też będziesz się tym zajmował?

Aaron wzruszył ramionami.

— Chyba tak. Kiedy — i o ile — ojciec przejdzie na emeryturę.

— A co z Bunny i tym facetem, Roperem? Czy oni brali? — spytała Ericka.

— Mój tata twierdzi, że nie. Podśledzałem, jak rozmawiał o tym z ojcem Juniora po wykonaniu autopsji. Powiedział, że we krwi nie było śladu narkotyków, choć nie oznacza to, że nigdy ich nie zażywali. Lecz Cindy była jego pacjentką. Wiedział, że jest czysta.

— Więc jaki był między nimi związek? — spytała Carrie. Aaron wzruszył ramionami. — Kto wie? Mój tata powiedział, że w dzień po śmierci Bunny, Cindy przyszła się z nim zobaczyć. Była bardzo zdenerwowana.

— No, to chyba rozumiałe — wtrącił się Brett. — W końcu była jej przyjaciółką. Jeżeli były zamieszane w coś nielegalnego, pewnie obawiała się, że sama też jest w niebezpieczeństwie. Czy powiedziała coś?

Oczy wszystkich zwróciły się na Aarona z wyrazem oczekiwania.

— Nie wiem. Nie zwierzył mi się. Po prostu podsłuchałem końcówkę jego rozmowy ze Scooterem. Ale nie wierzę, że Scooter mówi prawdę i że nie mają żadnego śladu.

Teraz grupka zwróciła się w stronę Juniora, który łąpczywie pożerał hamburgera. Wzruszył ramionami.

— Nie patrzcie tak na mnie — powiedział, chwytając zwisający kawałek sałaty i pakując go sobie do ust. Kiedy kęs został wreszcie przełknięty i popity wodą sodową, dodał:

— Nie wiem nic poza tym, co przeczytam w aktach, ale wydaje mi się, że wszystkie tropy prowadzą donikąd. Słyszałem, jak ojciec mówił do mamy, że jeśli doktor Grant nie przypomni sobie nazwiska, które wymieniła Cindy, możemy nigdy nie poznać prawdy.

— Jakiego nazwiska? — spytały unisono Carrie i Pamela Sue. Ich oczy błyszczały niezdrową fascynacją.

— Nie mam pojęcia. Co to w ogóle jest? Zabawa w śledztwo? O niczym więcej nie słyszałem — protestował Scooter.

— Więc może pogadamy o czymś innym — zaproponowała Ericka. — Moi rodzice też o tym rozmawiali, zanim zjawił się Bo. Od sześciu tygodni nikt o niczym innym nie myśli. Aż ciarki chodzą po plecach.

— Czy twoi rodzice wprowadzą te morderstwa do swojej książki? — spytała Sally Jane.

— Cii — ostrzegła Carrie. — Książka jej rodziców to tabu.

— Och, wcale nie — powiedziała Ericka, nie ukrywając rozdrażnienia. — Po prostu nie podoba mi się, że ludzie oskarżają ich o coś, czego nie zrobili.

— Czyżby coś nam umknęło? — spytała Sally Jane. Ericka westchnęła, żałując, że temat w ogóle został poruszony. Spojrzała na Carrie z ukosa.

— Jej matka i kilka innych kobiet uważają, że moi rodzice piszą demaskatorską książkę o St. Joan, a oni niczego takiego nie robią.

— No, w pewnym sensie chyba jednak robią — powiedziała Carrie, broniąc przypuszczeń swojej matki. — Przecież akcja rozgrywa się w St. Joan.

— Nie, nie rozgrywa się — powiedziała Ericka dobitnie, w jej niebieskich oczach błyszczał gniew. — Mówiłam ci przez telefon, że książka jest o fikcyjnym mieście, podobnym do St. Joan, lecz nie ma nic wspólnego z wami ani z waszymi rodzinami.

— To dlaczego twoja matka biega wokół jeziora i wypytuje wszystkich i dlaczego spędza godziny nad mikrofiszkami w bibliotece, czytając stare roczniki *Sztandaru St. Joan*?

— O Boże! — jęknęła Ericka, przesuwając dłońmi po swoich gęstych, rudych włosach. — Naprawdę zaczynasz mnie doprowadzać do szału, Carrie. Mówiłam ci przez telefon, że moja matka po prostu chce być sumienna. Stara się poznać klimat małego amerykańskiego miasteczka, to wszystko.

Carrie czuła się dotknięta tonem przyjaciółki. Z nieprzyjemnym błyskiem w oczach powiedziała:

— Czy twój tata wie, ile ona czasu spędza w Circle G z ojcem Aarona?

— O, Jezu — odezwała się Sally Jane.

— No cóż, rozwiedziony facet z pewnością czuje się nieco samotnie, żyjąc bez kobiety na

dwustu sześćdziesięciu akrach, a odkąd ojciec dziesięć lat temu rozwiódł się z moją matką, przez cały czas tęsknił za damskim towarzystwem — zażartował Aaron, próbując zapobiec nieprzyjemnej scenie, na którą najwyraźniej się zanosilo.

Erica była teraz naprawdę wściekła, lecz uśmiechnęła się do Aarona, a potem popatrzyła na swoją najlepszą przyjaciółkę.

— No cóż, Carrie Ann, mogłabym przysiąc, że wydawało mi się, iż słyszę ten pretensjonalny, kulturalny głos Marylou Roberts wychodzący z twoich ust, kochanie — powiedziała, naśladowując afektowany ton głosu matki Carrie.

Twarz Carrie zaczerwieniła się pod opalenizną, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, Bo wstał i pociągnął za sobą Ericę.

— Chodźmy, chciałbym pospacerować z tobą po deptaku. Pochwalić się tobą. Zobaczyć, jak ci palanci na motocyklach zielenieją z zazdrości.

Erica uśmiechnęła się do niego, wdzięczna za pomoc w wybrnięciu z niezręcznej sytuacji. Natychmiast pożałowała, że zażartowała sobie z matki Carrie, naśladowując jej przesadnie południową, przeciąglą wymowę, ale zrobiła to, zanim w ogóle zdała sobie sprawę, co mówi.

— Do zobaczenia później, chłopcy — powiedziała, starając się nie patrzeć na swoją najlepszą przyjaciółkę, lecz zanim udało jej się umknąć, Brett wstał i zagroził jej drogę.

— Myślę, że powinnaś modlić się, by Bóg uwolnił cię od gniewu, który nosisz w sercu, Ericko. Carrie jest twoją najlepszą przyjaciółką.

— Opuść sobie, Pearson — powiedział Bo, biorąc Ericę za rękę i wyprowadzając ją z towarzystwa.

Zdołali odejść zaledwie kilka kroków, kiedy Erica usłyszała, jak Carrie mówi obronnym tonem:

— Nie wiem, czemu ona tak bardzo nie znosi mojej mamy. W końcu to jej matka zachowuje się tak, że ludzie o niej plotkują.

Zatrzymała się, hamując gwałtownie, lecz Bo pociągnął ją za rękę.

— Daj spokój, nie pozwól jej się zdenerwować. Ona po prostu małpuje to, co mówi Marylou, a ta jest zwyczajnie zazdrosna i dlatego obgaduje twoją matkę.

Spojrzał na nią, a jego usta rozchyliły się w seksownym półuśmiechu. — Musisz przyznać, że twoja matka warta jest, by na nią popatrzeć. Gdyby była samotna, miałbym ciężki dylemat, próbując zdecydować, z którą z was mam chęć się umówić.

Erica uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Dzięki.

— No chodź, dajmy sobie spokój z deptakiem.

— Co masz na myśli?

— Chcę być z tobą sam. Sześć tygodni zaostrzyło mój apetyt. — Roześmiał się, widząc jej przestraszony wzrok. — Chciałbym dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Nie udało mi się to podczas ferii wiosennych. Chcę, żebyś opowiedziała mi wszystko.

— A co tu jest do opowiadania? — spytała, chichocząc niemal podświadomie. — Przez dziesięć lat mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Nasi rodzice przyjaźnią się przez cały ten czas.

Wrócili do samochodu. Bo otworzył drzwi dla Ericki, czekając z odpowiedzią, dopóki nie usadowi się za kierownicą i nie zjedzie z autostrady. Potem spojrzał na nią, ujął jej dłoń, położył sobie na dzinsach i podjął rozmowę tam, gdzie ją przerwali.

— Czy ktoś nazywa cię Ricky? — zapytał.

— Owszem, tata. A co?

— Nie wiem. Po prostu tak się zastanawiałem. Myślę o tobie jako o Ricky. Czy mógłbym tak cię nazywać?

— Oczywiście, bardzo chętnie, zwłaszcza gdybyś wymawiał to prawidłowo: R–i–k–k–i.

— Ach, dama ma egzotyczne upodobania. No widzisz, już dowiedziałem się o tobie czegoś nowego. Może powinienem dać ci na urodziny boa dusiciela.

Ericka roześmiała się.

— Nie ma mowy. A poza tym, moje urodziny były dwa tygodnie temu.

— Tak, coś mi się wydaje, że o tym pamiętałem — powiedział, puszcżając jej dłoń, by otworzyć schowek, dzielący ich siedzenia. Wyjął z niego małą, opakowaną w posrebrzaną folię paczuszkę.

— Wszystkiego najlepszego, Rikki — powiedział, wręczając ją Ericce.

Ericka ze zdziwieniem zauważyła, że dłoń, którą wyciągnęła, by wziąć od niego paczuszkę, drży.

— Nie powinieneś był.

— Ach, jest także skromna. Zaśmiała się i poklepała go po nodze.

— Nie jestem skromna. Wiem, co mówię. Nie powinieneś był, ale cieszę się, że to zrobiłeś.

— Skąd wiesz, że się cieszysz, jeszcze nie otworzyłaś.

— Nie chcę otwierać tego teraz.

— Dlaczego? — spytał tonem, w którym dał się słyszeć odcień chłopięcego niemal rozczarowania.

— Taka już jestem. Lubię smakować przyjemności, odkładać je na później. Mój tata jest taki sam. W naszej rodzinie to mama jest tą impulsywną osobą, która nie znosi czekać.

— W porządku. Kupuję to. No to opowiedz mi jeszcze coś o sobie. Na przykład, jakie są twoje pozostałe imiona.

— Ale nie śmieję się — powiedziała.

— Dlaczego miałbym się śmiać?

— Ponieważ na drugie imię mam Blue.

Zjechali na boczną drogę, która wiła się wokół jednej z gór Ozark. Mniej więcej w połowie zjechała Bo zatrzymał samochód, zaparkował go i odwrócił się na siedzeniu, by na nią popatrzeć.

— Nie ma w tym nic śmiesznego — powiedział spokojnie. — Masz najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Prawdę mówiąc, chyba nie będę mówił do ciebie Rikki. Myślę, że dla mnie będziesz Blue.

Ericka uśmiechnęła się, ale spuściła wzrok na paczuszkę, którą trzymała na kolanach. Czują się zażenowana sposobem, w jaki na nią patrzył, przesuając po jej twarzy powoli czarnymi oczami o długich rzęsach, choć, z drugiej strony, sprawiało jej to przyjemność.

— A co z twoim imieniem? — spytała, bawiąc się wstążką, którą najwidoczniej zawiązał sam, sądząc po nieudolnie uformowanej kokardzie. — Dlaczego twoi rodzice dali ci na imię Keen?

Spojrzała na niego znowu i ze zdziwieniem zauważyła, że się zaczerwienił. Był taki przystojny, tak pewny siebie, taki... taki... doskonały. Czy tacy mężczyźni jak on naprawdę mogą czuć się zażenowani?

— Nie musisz mi mówić, jeżeli nie chcesz — powiedziała.

Wzruszył ramionami i uśmiech, o który u niego było tak łatwo, powrócił na jego twarz.

— Dlaczego, to żaden sekret. Do diabła, znasz mojego staruszka. Hałaśliwy, gburowaty posiadacz.

— Lubię twój tatę — wystąpiła w jego obronie Ericka. Grymas, który pojawił się na jego twarzy, zniknął tak szybko, że Ericka natychmiast zwątpiła, czy o ogóle go tam widziała. Wzruszył ramionami.

— Ja także. Prawdę mówiąc, lubię go właśnie dlatego, że taki jest. Jest bogaty — cholernie bogaty, jak sam o sobie mówi — lecz nie urodził się takim jak Pearsonowie, Robertowie czy



Matthersowie. On nawet nie zarobił tych pieniędzy. Po prostu w nie wszedł, dosłownie. Lecz chodzi o to, że pieniądze go nie zmieniły. Myślę, że to pocieszające.

— To prawda — zgodziła się. — Ale wracajmy do twego imienia.

— Dobrze. Mój tata po prostu pomyślał sobie, że posiadanie syna to wielka radość.\*  
Powiedział o tym mojej mamie i jedno z nich zdecydowało, że dadzą mi tak na imię.

— Więc dlaczego wszyscy mówią na ciebie Bo?

— Żartujesz? Czy wyobrażasz sobie, jak tłumaczę każdej nowo poznanej osobie, skąd wziął się tak dziwaczny przydomek?

Ericka roześmiała się.

— Rozumiem twój punkt widzenia. Ja przynajmniej nie musiałabym wyjaśniać każdemu, dlaczego nazwali mnie Blue.

Bo nie odpowiedział, lecz dotknął jej twarzy palcem. — Czy wiesz, że w twoim dołeczku mieści się cały czubek mojego palca? — spytał.

— Przestań — powiedziała, odsuwając jego rękę. — Zawstydzasz mnie.

— Nie wierzę. Jestem pewien, że faceci zalecali się do ciebie, od kiedy uśmiechnęłaś się po raz pierwszy.

Potrząsnęła głową.

— Daj spokój, kogo chcesz nabrać? Z twoim wyglądem?

— Nie, naprawdę, rzadko chodziłam na randki.

— Dlaczego?

— Zapomniałaś, jaka to mała miścina. Nie ma tu zbyt wielkiego wyboru, a ja jestem dosyć wybredna.

— No cóż, na jesieni świat stanie przed tobą otworem, kiedy pojedziesz na Wschód, do Harvardu.

Skinęła głową.

— To zabawne, jak nasze pragnienia się zmieniają. Podczas świąt Bożego Narodzenia myślałam, że nie wytrzymam do jesieni. A teraz żałuję, że nie mogę pojechać gdzie indziej.

— Na przykład, gdzie?

— Na przykład do Northwestern — powiedziała po krótkim wahaniu.

Bo uśmiechnął się szeroko, a jego ciemne oczy zajaśniały zadowoleniem. — Więc dlaczego tam nie pojedziesz?

— Nie mogę. Moi rodzice studiowali na Harvardzie...

— I na pewno by marudzili, gdybyś pojechała gdzie indziej — dokończył za nią.

— Och, prawdopodobnie powiedzieliby, żebym robiła, co uważam za stosowne, ale wiem, że byliby zawiedzeni.

— A Ericka Blue Cassidy nigdy nie zawodzi swojej rodziny.

— Nie, jeżeli tylko mogę tego uniknąć.

Pochylił się ponad dzielącą ich siedzenia skrytką, ujął w dłoń jej twarz i pocałował ją w usta.

— Boże, jesteś słodka, Blue — powiedział w długą chwilę potem, gdy wreszcie ją wypuścił.  
— Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, nie mogłaś mieć więcej niż osiem czy dziewięć lat...

— Dziesięć — powiedziała, zupełnie nie dbając o to, że właśnie zdradza sekret, tak troskliwie ukrywany przez osiem lat.

Jedna z jego ciemnych brwi uniosła się lekko, lecz nie skomentował sprostowania Ericki.

— Dziesięć. Pomyślałem sobie wtedy: „Oto najpiękniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek widziałem”.

---

\* Keen (ang.) — tu: wielki, głęboki, serdeczny — przyp. tłum.

Roześmiał się i odwrócił na siedzeniu, tak że teraz wpatrywał się w jasne, letnie niebo.

— Choć miałem wtedy prawie czternaście lat, mierzyłem niewiele ponad pięć stóp wzrostu, a ty byłaś już niemal tak wysoka jak teraz. Powiedziałem więc sobie, że lepiej będzie, jeśli zaczekam i przekonam się, czy wyrośniesz na olbrzymkę.

— Och, przestań — śmiała się Ericka. — Nie mogłam być aż tak wysoka.

— Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy zobaczyłem cię znowu następnego lata, byłaś już o dwa cale wyższa ode mnie. Postanowiłem wtedy rozstać się z marzeniami o tobie. Moja męska duma nie mogła dopuścić, bym zakochał się w dziewczynie, która góruje nade mną jak wieża.

— Lecz teraz jesteś wyższy ode mnie o dobre cztery czy pięć cali.

— Tak, teraz. Ale nie wtedy. Do szesnastu lat nie rosłem zbyt szybko. I do tego czasu starałem się ciebie unikać, ponieważ obawiałem się, że nadal rośniesz szybciej niż ja. Nie wiem, czy widziałem cię więcej niż raz przez trzy czy cztery letnie wakacje. Przynajmniej do czasu gdy skończyłaś szesnaście lat.

— Pojechałam z rodzicami do Europy, a potem do Azji i do Australii. Co roku inny kontynent. Mieli w planie jeszcze Afrykę i Południową Amerykę, ale wiosną tatuś rozchorował się na serce.

— Tak, pamiętam, że mama coś o tym wspominała. Musiał przejść jedno z tych badań. Lecz dziś wieczorem wyglądał wspaniale. Chyba już czuje się lepiej.

— Czuję się doskonale, lecz mama bez przerwy się nad nim trzęsie. Chce, aby rzucił alkohol i papierosy.

— Ale on nie chce o tym słyszeć, co?

Ericka roześmiała się i potrząsnęła głową.

— Nie. Mówi, że od papierosów może dostać raka, od alkoholu zwariować, a libido mojej matki w końcu przyprawi go o atak serca. Z drugiej strony, palenie działa na niego kojąco, alkohol sprawia, że czuje się beztroski, a matka go zaspokaja. Powiedział, że trudno mu wyobrazić sobie lepszą śmierć niż wtedy, gdy jest się spokojnym, beztroskim i zaspokojonym.

— Rzeczywiście, trudno byłoby prosić o więcej. Mądry starszek z tego twojego taty.

— Najmądrzejszy.

— Hej!

— O obecnych nie mówimy — zaśmiała się.

— Chcesz wysiąść i popatrzeć na jezioro z wysokości kilkuset stóp?

— Pewnie, lecz najpierw chciałabym otworzyć mój prezent.

— Zsunęła niecierpliwie wstążkę, a potem papier, wręczyła mu niepotrzebne opakowanie i otworzyła pudełko. Sięgnęła do niego i głęboko wciągnęła powietrze: — Och, Bo...

— Odznaka mojego bractwa — wyjaśnił niepotrzebnie.

— Nie mogłem się zdecydować, co ci podarować. A potem pomyślałem, że jedziesz na jesieni na Harvard i wtedy przyszedł mi na myśl jedyny prezent, który utrzyma te wilki z dala od ciebie i będzie ci mnie przypominał. Czy będziesz ją nosiła, Blue? Będziemy chodzili ze sobą, kiedy będziesz na studiach? Wiem, że proszę o wiele, skoro do tej pory nie miałaś zbyt wiele okazji, by się umawiać, ale zależy mi na tobie... bardzo.

Przyglądała się jego twarzy, walcząc ze wzruszeniem, które ścisnęło jej gardło. Boże, był taki przystojny. Przystojniejszy nawet niż wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, w dwa lata po tym, jak osiedlili się w St. Joan. Przyglądała mu się, gdy tylko mogła, zdarzało się nawet, że zakradała się w pobliże hoteli ze słabą nadzieją na zobaczenie go na korcie tenisowym lub w trakcie wykonywania poleceń ojca. Uważała go za najbardziej doskonałą pod względem wyglądu osobę, jaką kiedykolwiek widziała. A teraz był już mężczyzną. Jego smukłe ciało wypełniło się,

mięśnie tworzyły wypukłości tam, gdzie przedtem ich nie było. Jego twarz, niegdyś miękka i delikatna, była teraz bardziej pociągła, kości policzkowe uwydatniły się, a linia szczęki stała się mocniejsza i bardziej ostra w zarysie. Orli nos, który niegdyś wydawał się nieco zbyt długi w dziecinnej twarzy, teraz doskonale harmonizował z pełnymi ustami. Tylko smolście czarne włosy i głęboko osadzone oczy o długich rzęsach pozostały nie zmienione. A teraz prosił ją, by została jego dziewczyną, by nie chodziła z nikim innym, dopóki nosi jego odznakę. Z trudnością powstrzymywała się, by nie kopać nogami i nie krzyżeć z radości. Przez wszystkie te lata trzymała swój sekret w tajemnicy, nie powierzając go nikomu, nawet Carrie ani rodzicom. Teraz miała ochotę wyskoczyć z samochodu i wykrzyżeć go tak, by usłyszała ją cała okolica.

— Uch, och — powiedział, kiedy milczenie przedłużało się. Nie dając jej szansy na wypowiedzenie słów, które zniszczyłyby jego nadzieje, budowane przez ostatnie sześć tygodni, otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

Ericka wygramoliła się szybko za nim.

Odwrócił głowę na dźwięk otwieranych drzwi samochodu, zmuszając się, by wysłuchać jej wyjaśnień. Ericka nie podeszła jednak do niego, lecz skierowała się w stronę krawędzi zbrocza.

— Wszystko w porządku, Blue, nie musisz...

— Hej, wy tam! — zawołała przez stulone dłonie. St. Joan, słyszysz mnie? Będę chodziła z najwspanialszym facetem w całych Stanach!

Złapał ją od tyłu, uniósł i bezpiecznie odstawił od krawędzi urwiska. Posadził ją u podstawy gigantycznego dębu i odwrócił tak, że musiała spojrzeć mu w twarz, a potem przytrzymał mocno za ramiona i zaczął całować. Całował ją długo i namiętnie. A kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był zaledwie zduszonym szeptem.

— Jesteś szalona — powiedział. — I jesteś moja.

— Przypnij mi to — powiedziała Ericka niemal bez tchu, ściskając odznakę. — A potem pocałuj mnie tak jeszcze raz.

Tym razem otoczył ją ramionami, przyciskając się do niej całym ciałem. Jego język przez kilka rozkosznie długich sekund pocierał drażniąco czubki jej zębów, by wreszcie wsunąć się za nie i spleść się z jej językiem. Miała na sobie króciutki podkoszulek, więc kiedy otoczyła go ramionami, jego ręce dotknęły ciepłego ciała jej talii. Lecz po zaledwie kilku minutach jakiejś takiej samokontroli, palce Bo zaczęły zwolna przesuwając się po jej plecach, przez chwilę krążyły po brzuchu, by wreszcie zatrzymać się w dole stanika. Jęknął, niepewny, czy może jej tam dotykać. W odpowiedzi na to nieme pytanie zacisnęła mocniej ramiona wokół jego szyi, a potem palce Bo znalazły drogę przez elastyczny materiał i wreszcie, spragnione, dotknęły miękkiego ciała jej pełnych piersi.

— Och, Blue, jesteś taka miękka — wyjęczał w jej usta. Podciągnął niecierpliwie stanik i nakrył jej piersi dłońmi, ugniatając palcami nabrzmiałe sutki, ssąc jednocześnie jej język i przygryzając lekko wargi.

Ericka czuła się tak, jakby poraził ją prąd. Tylko że wówczas ból nie był tak rozkoszny. Jęknęła, gdy ścisnął jej sutek pomiędzy dwoma palcami. Uświadomiła sobie, że napiera na niego biodrami. W chwilę później poczuła, jak jego dłoń wciska się pomiędzy nich, zmierzając w stronę jej krocza i momentalnie zastygła w bezruchu.

— Och, nie przestawaj teraz, Blue. To takie cudowne uczucie. Ruszaj się, ruszaj się tak jak przedtem, napieraj na moją rękę. O, Boże, Blue, nie przestawaj teraz.

Lecz ona nie słuchała. Odepchnęła go.

— Nie mogę — szepnęła, zanim wysunęła się z jego objęć i przebiegła krótką odległość, dzielącą ich od samochodu. Oparła się o maskę, rozdarta pomiędzy nadzieją, że Bo zostanie pod drzewem, dopóki ona nie zdoła się pozbiierać, a oczekiwaniem, by do niej podszedł, przytulił ją i

powiedział, że wszystko w porządku, i że rozumie.

Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego podszedł do skraju urwiska, gdzie stała zaledwie kilka minut temu. Oddychał z trudnością i nie mógł wykrztusić ani słowa, oparł więc dłonie na udach i przez chwilę stał tak, wciągając powietrze do płuc wielkimi haustami. Gdy wreszcie jako tako doszedł do siebie, wyprostował się i przyłożył do ust stuloną dłoń. Hej, St. Joan, Blue Cassidy jest moją dziewczyną! A wy możecie się wypchać!

### ROZDZIAŁ 3

Ericka oparła się o drzwi, nasłuchując, jak dźwięk silnika samochodu Bo cichnie w oddali. Właśnie podrzucił ją do domu i teraz wracał do kompleksu hotelowego, gdzie mieszkał z rodzicami. Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy dziewczyny, kiedy dotknęła małej odznaki, przypiętej do bluzki. Miała stałego chłopaka! I to kogo, Keena Bohannona, najprzystojniejszego faceta, jakiego kiedykolwiek widziała!

Zmierzając na górę do swego pokoju, zerknęła po drodze na drugie piętro, gdzie jej rodzice przerobili poddasze na obszerną i wygodną sypialnię. Dostrzegła, że przez drzwi sączy się światło, zawołała więc: — To ja, jestem w domu!

— Chodź do nas, kochanie — zachęciła ją matka.

Westchnęła. Kochała rodziców... przesadnie, sądząc po tym, jak większość jej przyjaciół ustawicznie uskarżała się na swoich rodzicieli. Ona nie miała powodu się skarżyć, nie mogła nawet lamentować z powodu kar i ograniczeń. Trio, jakie tworzyli wraz z matką i ojcem pozostawało ze sobą w związku niemal doskonałym, w którym nie było miejsca na kłótnie, gdzie prawie nigdy nie rozmawiano podniesionym głosem i gdzie zachęcano do wypowiedania swego zdania. Lecz teraz wołałaby raczej choć na chwilę zachować wspomnienie tego szczególnego wieczoru tylko dla siebie.

Posłusznie weszła jednak na górę, oparła się o framugę drzwi i przywitała z rodzicami, którzy leżeli już w łóżku, czytając i spoglądając na nią ponad oprawkami okularów.

— Wydaje mi się, że to musiała być bardzo udana randka — powiedział Lawrence do żony.

Jak oczekiwał, Ericka uśmiechnęła się.

— Bardzo udana.

— A zatem ten młody człowiek to nie tylko kolejna ładna buzia? — spytała Linda.

— Nie — zgodziła się Ericka.

— Ale na razie wołałabyś o tym nie rozmawiać — powiedziała matka.

Ericka westchnęła ponownie. Za żadne skarby nie chciała urazić ich uczuć. — To coś zupełnie dla mnie nowego, innego. Chciałabym trochę się tym nacieszyć.

Linda i Lawrence uśmiechnęli się do siebie.

— Wiemy, co czujesz, prawda, kochanie? — powiedział Lawrence do żony. — Po dwudziestu latach nadal zdarzają się nam chwile, którymi pragniemy nacieszyć się w samotności.

Ericka uśmiechnęła się i okrążyła łóżko najpierw z lewej strony, by ucałować ojca, a potem z prawej, by wymienić uścisk z matką.

— Jesteście tacy wyrozumiali. Założyłabym się, że wszyscy inni rodzice na świecie nalegaliby, aby usłyszeć wszystkie szczegóły.

Lawrence z przesadną powagą zmarszczył brwi.

— Ach, skoro wszyscy inni rodzice na świecie by nalegali, to znaczy, że nie wykonujemy swoich obowiązków, jak należy. A ty jak myślisz, Lin?

— Myślę, że powinniśmy zmienić temat — powiedziała jego żona, wsuwając dłoń pod kołdrę, by potrząsnąć ją o udo męża. A potem, zwracając się do Ericki, dodała: — Widziałas się z innymi kolegami?

Ericka z ulgą opadła na wielkie łożo, podwijając pod siebie nogę.

— Ze wszystkimi. Wszyscy wrócili już na wakacje ze swoich uczelni. Nawet Brett Pearson, którego spodziewano się dopiero jutro.

Nie zdawała sobie sprawy, że spochmurniała, mówiąc to, dopóki jej matka nie zapytała, co się

stało.

— Och, nic takiego, naprawdę. Chodzi o Carrie. Pokłóciłyśmy się, czy coś w tym rodzaju.

— Ty i Carrie? Trudno mi w to uwierzyć — powiedziała Linda Cassidy.

— Pewnie znowu o książkę — dodał Lawrence.

— Tak jakby. Nic wielkiego. Ona po prostu zbyt poważnie traktuje to, co mówi jej matka, a wszyscy wiedzą, że Marylou Roberts to prawdziwa mistrzyni plotek.

— No cóż, książka jest już skończona. Prawdę mówiąc, wysłaliśmy ją dziś po południu. Wszelkie spekulacje i całe to gadanie skończą się za kilka tygodni, a jeśli nie, wyślemy odbitki Marylou, żeby obalić jej teorię o tym, że uwzięliśmy się, by wpędzić ją w zakłopotanie.

— Nie martwi mnie to specjalnie — powiedziała Ericka, wruszając ramionami. — Już bardziej obchodzi mnie, że Carrie tak się ostatnio zmieniała... to i to całe gadanie o morderstwach, ilekroć zbierze się razem kilkoro z nas.

Ericka zauważyła jeszcze jedną szybką wymianę spojrzeń pomiędzy rodzicami, lecz tym razem nie towarzyszył jej uśmiech. Zamiast tego, w ich spojrzeniu dało się zauważyć coś jakby lęk. Lecz to przecież niemożliwe. Odrzuciła tę niedorzeczną myśl i wstała.

— Jednak kiedy już poszliśmy sobie z deptaka, randka była bardzo udana. — Wskazała na odznakę na swojej koszulce. — Poprosił mnie, żebym została jego dziewczyną.

— Tak właśnie sądziłam — powiedziała Linda. — Ale ponieważ nic nie mówiłaś, to i ja wolałam milczeć.

— Jutro. Opowiem wam wszystko jutro. Teraz chciałabym pójść do łóżka i śnić tylko o nim.

— Ach, ta pierwsza miłość — stwierdziła Linda bez śladu kpiny w głosie.

— Ależ, moja droga, czyżby oznaczało to, że już o mnie nie śnisz? — zapytał Lawrence, najwidoczniej przekomarzając się z żoną.

— Oczywiście, że tak, lecz nie są to czułe sny o odkrywaniu siebie. Moje są zdecydowanie lubieżne.

— Och, wy dwoje — powiedziała Ericka, przewracając oczami i zsuwając się z łóżka. — Dobranoc. Kocham was. — Już przy drzwiach odwróciła się i spojrzała na nich przez ramię. — Czy moglibyście dziś zachowywać się cicho? Chciałabym śnić swoje własne sny, nie zakłócone przez was oboje.

Rodzice zaśmiali się, ale nie obiecali niczego, zauważyła Ericka, wracając do swego pokoju.

Kiedy przygotowywała się do snu, wspomnienia z randki mieszały się z obrazem rodziców. Przypomniła sobie głęboki timbre głosu Bo, dotyk jego dłoni na swojej skórze, a potem pomyślała o rodzicach, leżących na górze w swoim łożu. O matce, nadal młodej i zgrabnej, wyglądającej niemal jak nastolatka w jaskraworóżowej koszuli nocnej, z brązowymi włosami związanymi na czubku głowy pasującą do koszuli różową wstążką, z niebieskimi oczami, błyszczącymi miłością do człowieka, którego poślubiła dwadzieścia lat temu.

Jej ojciec spał nago, zawsze tak robił, i choć jego ciało nosiło więcej oznak przemijającego czasu, on także prezentował się nad podziw dobrze. Być może to miłość utrzymywała ich w takiej formie. Kiedy ściągała bluzkę przez głowę, aby położyć ją na łóżku i odpiąć odznakę, zastanawiała się, czy ona i Bo będą ze sobą tak długo jak jej rodzice i czy da im to tyle zadowolenia? Czy będą tak do siebie pasowali? Lecz przecież, pomyślała, wyslizgując się z dzinsów i majteczek, takie rozważania nie mają sensu, skoro dopiero się poznali, zaczęli wzajemnie odkrywać, jak wspomniła jej matka. Z miejsca, w którym się znajdowali, daleko jeszcze było do miłości.

No, może nie tak bardzo daleko.

W piętnaście minut później wsunęła się pod kołdrę i, jak zawsze, ułożyła wygodnie na brzuchu. Po chwili przewróciła się znowu na plecy. Czytała gdzieś, że ludzie śnią częściej

właśnie na plecach, a dziś spodziewała się wielu pięknych snów, wywołanych wspomnieniami. A poza tym, leżąc w tej pozycji, mogła zapaść w sen z ręką na odznace, którą przypięła do nocnej koszulki.

Lecz Ericka nie śniła tej nocy, a przynajmniej nie śniła o Bo. Prawdę mówiąc, nie śniła o niczym, dopóki dźwięk syren, rozbrzmiewający w oddali, nie przywołał koszmaru tak strasznego, że obudziła się z krzykiem.

Usiadła wyprostowana na łóżku, drżąc na wspomnienie okropnych wizji. Objęła rękami kolana. Od strony autostrady nadal dobiegał nieustający dźwięk syren. Widocznie zdarzył się jakiś okropny wypadek.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, lecz ranek był mglisty i nie mogła dziś dostrzec autostrady, choć zwykle udawało jej się to bez problemu.

Poszła do łazienki, by ochłapać twarz zimną wodą. Zastanawiała się, dlaczego jej krzyk nie zaalarmował żadnego z rodziców i nikt nie przybiegł, by ją uspokoić, tak jak robili to, gdy była małym dzieckiem, dręczonym przez koszmary. Lecz kiedy spojrzała na stojący na nocnym stoliku budzik, sprawa się wyjaśniła. W pół do szóstej. Jej matka pewnie już biega, a ojciec udał się na swój poranny spacer.

Ericka była zmęczona. Spała tylko pięć godzin. Może powinnam przejąć nawyk rodziców, korzystających z popołudniowej drzemki, pomyślała. Teraz była zbyt podenerwowana, by chociaż próbować znów zasnąć.

Pomyślała o śnie i przebiegł ją dreszcz. Zmusiła się, by o tym nie myśleć i przywołała w pamięci obraz Bo. Uśmiechnęła się do siebie. Miał po nią przyjechać o piątej i zabrać ją na barbecue w Country Clubie, zorganizowane z okazji Dnia Pamięci. Przez cały miesiąc z niecierpliwością wyczekiwała tego dnia, lecz teraz nie była już taka pewna, czy chce tam pójść. W klubie na pewno pojawią się Robertsonowie, Pearsonowie i wszyscy znajomi, którzy opowiadają niestworzone historie o jej matce i ojcu. Choć, z drugiej strony, dziś pewnie obejdzie się bez plotek, skoro będą tam także jej rodzice.

Włożyła szorty i wielki podkoszulek, związała gęste włosy na czubku głowy i zbiegła ze schodów.

Gdy w pół godziny później zjawili się jej rodzice, gorąca kawa już na nich czekała.

Na widok córki, stojącej w kuchni, Linda i Lawrence zamarli w drzwiach wejściowych.

— Mój Boże, to ja zamęczam się bieganiem, żeby mieć zdrowe serce, a ty niemal przyprawiasz mnie o zawał, gdy tylko postawię stopę w domu — powiedziała Linda. — Ty jesteś jeszcze młoda, kochanie. Lecz mój biedny mechanizm jest już zbyt stary, żeby narażać go na taki szok.

— Ha, ha, ha — powiedziała Ericka. — Bardzo śmieszne.

— No cóż, musisz sama przyznać, że jest to pewne zaskoczenie. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz wstałaś w sobotę przed dziesiątą.

— Och, ja pamiętam doskonale — powiedział Lawrence.

— Kiedy przygotowywałaś się do końcowych egzaminów, pewna młoda dama nie tylko wstawała przed świtem, ale zdawała się w ogóle nie sypiać.

— O, tak, jak mogłam zapomnieć — powiedziała Linda chichocząc i obejmując męża. — No cóż, jak sądzę, raz na osiemnaście czy siedemnaście lat to i tak nie najgorzej. — I, kiwając palcem przed twarzą córki, dodała: — Lecz niech ci to nie wejdzie w nawyk, kochanie. Twój ojciec i ja przywykliśmy już do tej rutyny i jest nam z tym dobrze. Nie zależy nam na wprowadzaniu nowych zwyczajów.

— Prawdziwa z was para komików.

— A, jesteśmy nieco zrzędlivi tak wcześnie rano, co? A już się obawiałem, że możesz być

przesadnie radosna — powiedział Lawrence. Poklepując pośladek żony, zaproponował: — Idź pierwsza pod prysznic, a ja zagrzeję obwarzanki.

Po kilku minutach Lawrence dołączył do córki przy kuchennym stole.

— Dlaczego wstałaś tak wcześnie, Rikki? Chyba nie z powodu tego swojego młodego człowieka?

— Nie, miałam złe sny. To chyba przez te syreny. A kiedy już się obudziłam, nie chciałam z powrotem zasnąć, bo bałam się, że koszmar powróci. Był naprawdę okropny.

— Chciałabyś mi o nim opowiedzieć?

— Nie pamiętam wszystkiego. To był jeden z tych głupich snów, gdzie nic nie trzyma się kupy. Stałam z kolegami na skraju drogi, a ktoś uderzał Cindy Rachwalski kijem baseballowym. Kilkoro spośród nas dopingowało tego kogoś, krzyczało, żeby uderzał mocniej. Szlochałam. A potem zabrzmiały syreny i ona była już martwa. Staliśmy nadal wokół niej, gdy przyjechała policja i karetka. Pojawił się Scooter i wypytywał wszystkich, kto to zrobił, a każdy wskazywał na kogoś innego i mówił, że to tamten. — Ericka zadrżała. — Mówiłam ci, że to głupi sen, lecz nieźle mnie wystraszył.

— Przypuszczam, że śniła ci się jej śmierć, ponieważ rozmawialiście o niej wczoraj wieczorem. Wiem, że to musiało być dla ciebie nieprzyjemne przeżycie, ale pamiętaj, że sny, nawet koszmary, często pełnią funkcję oczyszczającą. Teraz, kiedy już ci się to przyśniło, prawdopodobnie będziesz mogła przestać się tym zamartwiać. Morderstwo jest zawsze przerażające, a już zwłaszcza kiedy zamordowany zostaje ktoś, kogo znamy. Chyba powinniśmy byli porozmawiać z tobą o tych morderstwach, zamiast starać się je zignorować.

— Nie. Nie chcę nawet o tym myśleć. Śmierć mnie przeraża.

— Śmierć nie powinna cię przerażać, Rikki. To po prostu ostatni etap życia. Coś, czemu wszyscy musimy stawić czoła. Wiem, że nie jest to zbyt przyjemny temat do rozmyślań, lecz powiadają, że na tym wszystko się nie kończy, choć oczywiście nikt z nas nie pali się, żeby to sprawdzić.

Ericka wstała i okrążyła stół, by objąć ojca i ucałować czubek jego głowy.

— Kocham cię, tatusiu. Zawsze potrafisz sprawić, że czuję się lepiej.

— A co ze mną? — spytała Linda, wchodząc do kuchni.

Ericka odwróciła się, żeby popatrzeć na matkę. Ubrana w obcięte džinsy i skąpą bluzeczkę, Linda Cassidy wyglądała jak kobieta o połowę młodsza. Jej nogi, niemal równie długie i smukłe jak nogi Ericki, połyskiwały złoto w świetle poranka.

— Aaa, ty. Jestem o ciebie zazdrosna, wyglądasz stanowczo zbyt dobrze, jak na swój wiek. A poza tym masz tę samą doskonałą karnację co Carrie. Wyglądasz wspaniale, nawet kiedy nie jesteś opalona. Ja, niestety, odziedziczyłam bladą cerę po tatusiu.

Linda zajęła się wyjmowaniem z lodówki dżemu, masła i kremowego serka, stwierdzając przy tym:

— Kiedy będziesz miała tyle lat co ja, będziesz zadowolona ze swojej jasnej karnacji, wygląda się wtedy o wiele lepiej.

Ericka roześmiała się.

— Boże, to znaczy że będę musiała wyglądać na osiemnaście lat, bo ty wyglądasz najwyżej na dwadzieścia pięć.

— Uważam, że nie jesteś zupełnie obiektywna w tej sprawie, moja kochana dziewczynko, ale tym niemniej, dziękuję ci.

— Mówię poważnie, i nie jest to tylko moje zdanie. Wszyscy uważają, że jesteś naprawdę wspaniałą babką. Nawet Bo powiedział wczoraj, że gdybyś nie była mężatką, nie wiedziałby, z którą z nas ma ochotę się umawiać. A kobiety w mieście są tak zazdrosne, że nawet nie potrafią



tego ukryć.

Linda wyłożyła na talerz ciepłe obwarzanki i zaniósła je na stół.

— Bardzo mi to pochlebia, Ericko, naprawdę, ale nie chciałabym, żeby ludzie byli zazdrośni o to, jak wyglądam. Nie znaczy to, że nie jestem zadowolona, że trzymam formę. Ciężko nad tym pracuję, a robię to tylko dlatego, że uwielbiam twego ojca i chcę, żeby zawsze miał na mnie taką ochotę jak w dniu, kiedy się pobraliśmy. Wszyscy inni mogą mnie tylko podziwiać. Pamiętaj, że łatwo możesz zwrócić na siebie uwagę, jeśli jesteś piękna, lecz nie utrzymasz tego zainteresowania, jeśli nie będzie w tobie nic poza urodą.

— Doprawdy? — dobiegło od strony Lawrence'a, który natychmiast został ukarany precyzyjnym ciosem obwarzankiem w głowę. Ericka ciągle jeszcze się śmiała, kiedy jej matka włączyła radio, by złapać wiadomości o szóstej. Tak bardzo kochała swoich rodziców. Gdyby wszyscy rodzice byli tacy jak jej, nie byłoby...

Ciało doktora Jasona Granta zostało znalezione wczesnym rankiem w jego domu na farmie w Circle G przez syna, który umówił się z ojcem na piątą rano, by wspólnie łowić ryby. Policja nie podała jeszcze przyczyny zgonu, lecz Aaron Grant rozmawiał z naszym reporterem zaledwie kilka minut temu. Powiedział, że jego ojciec został najwidoczniej zastrzelony przez osobę lub osoby, które włamały się do domu i prawdopodobnie zostały przez doktora zaskoczone. Dalsze informacje podamy w miarę ich napływania.

A oto inne wiadomości...

— O, Boże, Lawrence. Jason nie żyje. — Linda zasłoniła usta dłonią, a jej oczy wypełniły się łzami. — Nie myślisz chyba...

Lawrence błyskawicznie wstał z krzesła i stał już za żoną, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Ścisnął ją mocno dłońmi za ramiona, pochylił się do jej ucha i powiedział uspokajająco:

— Na razie nic jeszcze nie myślę, Lin. Nie wiemy nic ponad to, co właśnie usłyszeliśmy.

— A, jeżeli...?

A, jeżeli co? — pomyślała Ericka. — O co tu chodzi? — spytała, kierując pytanie do obojga rodziców.

— O nic, 'Rikki, naprawdę o nic. Po prostu przeżyliśmy szok, to wszystko.

Ericka czuła się dotknięta. Było oczywiste, że rodzice starają się coś przed nią ukryć, a zdarzyło się to po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią.

— Nigdy dotąd mnie nie okłamywaliście — powiedziała, nie ukrywając, jak bardzo czuje się zawiedziona.

— Ależ, kochanie, nikt cię nie okłamuje — powiedziała matka, która najwidoczniej nagle poczuła się lepiej.

— Więc powiedzcie mi, o co tu chodzi — zażądała, czując jak łzy napływają jej do oczu, i zalewa ją fala paniki. Tata Aarona nie żył! Zamordowany w swoim własnym domu! I to Aaron go znalazł! Jakże to straszne! Przerazające!

— Uspokój się, Rikki — powiedział ojciec, nieco bardziej burkliwie niż zazwyczaj. Uścisnął ramiona żony jeszcze raz i zajął swoje miejsce za stołem. — Twoja matka obawia się, że może być jakiś związek pomiędzy Jasonem... Głos mu się załamał, lecz odchrząknął, przez chwilę walczył ze zdenerwowaniem i w końcu powiedział: — Twoja matka obawia się, że może być jakiś związek pomiędzy śmiercią Jasona, a tymi poprzednimi morderstwami w zeszłym miesiącu.

— Ale przecież powiedzieli, że to byli włamywacze.

— I prawdopodobnie tak właśnie było.

Ericka potrząsnęła głową, słysząc to uproszczone wyjaśnienie.

— Ale wy tak nie uważacie. Dlaczego? Dlaczego? Odpowiedzcie mi. Przestraszyliście mnie niemal na śmierć.

Tym razem to Linda odpowiedziała swej ogarniętej paniką córce, najwyraźniej przewyciężając przy tym własny lęk.

— Twój ojciec ma absolutną rację, Ericka. Chyba po prostu zbyt histerycznie zareagowałam.

Ericka uderzyła dłonią w stół.

— Do diabła! Przestańcie traktować mnie jak dziecko. Dlaczego w ogóle pomyśleliście, że może być jakiś związek?

Kiedy czekała na odpowiedź, zauważyła tę samą ukradkową wymianę spojrzeń, którą zaobserwowała, ilekroć mowa była o morderstwach.

— Proszę, powiedzcie mi. Lawrence potrząsnął głową.

— Nie ma zbyt wiele do mówienia. Jak wiesz, Jason i twoja matka spędzili wiele czasu razem, zbierając materiały do naszej ostatniej książki, która opowiada o życiu lekarza z małego miasteczka i doktor Grant okazał się bardzo pomocny. Lecz kiedy pracowali razem, Jason wiele razy wspominał o morderstwach, zupełnie jak twoi przyjaciele, snując różne przypuszczenia. Może nieco więcej niż przypuszczenia, a ponieważ podzielił się swymi obawami z twoją matką, ona z kolei opowiedziała o nich mnie.

— Na przykład jakimi obawami.

— Niczym, o czym moglibyśmy teraz dyskutować, Rikki — powiedział Lawrence stanowczo, już nie tym miękkim, cierpliwym tonem, lecz poważnie, jak musiał przemawiać, gdy jeszcze był profesorem. — Wysnuł kilka teorii, dotyczących tożsamości mordercy, które mogą być słuszne lub nie, lecz kiedy je przedyskutowaliśmy, porozmawiałem z Jasonem i przyznał, że tak naprawdę są to tylko teorie, nie poparte prawie żadnymi dowodami. Obiecał jednak, że porozmawia o nich ze Scooterem. Nie wiem, czy zrobił to, czy nie. Lecz, Rikki, to bardzo ważne, żebyś nikomu o tym nie mówiła. Można zniszczyć komuś życie, wysuwając przypuszczenia, oparte głównie na zbiegu okoliczności.

— Twój ojciec ma rację.

— Niczego nie powiem — zachnęła się Ericka z oburzeniem.

— Nie jestem dzieckiem i nie jestem głupia.

— Oczywiście. Nikt tu niczego takiego nie sugerował. Chodzi tylko o to, że choć z jednej strony teorie Jasona mogą mieć sens, to z drugiej mogą być kompletnie chybione.

— Wiem. Jezu, zachowujecie się, jakbym nie miała odrobiny rozumu.

— To nieprawda i jeśli chcesz, żebyśmy uwierzyli, że naprawdę jesteś dorosła, przestań reagować przesadnie na to, co mówimy. Jesteśmy twoimi rodzicami i mamy prawo martwić się o ciebie.

Ericka spojrzała na nich rozszerzonymi oczami.

— A zatem przypuszczacie, że coś w tym musi być.

— Uważamy, że może istnieć taka możliwość, ale możemy też być w błędzie. Tak czy inaczej, ważne jest, by nikt nie dowiedział się, że Jason rozmawiał o tym ze mną, bo może się to okazać katastrofalne w skutkach.

— Nic nikomu nie powiem. Wystarczy, że mama Carrie rozpowiada o twoich częstych wizytach w jego domu, mamo. To byłaby dopiero woda na jej młyn.

— Ach — powiedział Lawrence. — To dlatego tak się wściekłaś na Carrie wczoraj wieczorem.

— Już nie jestem wściekła, lecz ona coraz bardziej przypomina mi swoją matkę. Jezu, wyobraźcie sobie tylko, co to będzie, kiedy wyjdzie za Brettą. Pomyślcie, jakie plotki będzie mogła rozsiewać, będąc żoną proboszcza największej kongregacji w St. Joan.

— Na samą myśl ciarki przebiegają mi po plecach — zgodził się z córką Lawrence i zaśmiał się głębokim, dudniącym śmiechem.

Lecz chwila wesołości szybko minęła i wszyscy znowu wrócili myślami do śmierci Jasona Granta.

— Biedny Aaron — powiedziała Ericka miękko.

— Biedna Rhonda. Choć byli rozwiedzeni, Jason powiedział mi, że ostatnio kilka razy zjedli razem kolację i że Rhonda chciała się z nim pogodzić.

Ericka wzruszeniem ramion potraktowała wypowiedź matki.

— Nie sądzę. — A potem dodała, uśmiechając się krzywo. — Myślę, że gdyby to była prawda, usłyszałabym o tym od Carrie. Jej matka jest dość zaprzyjaźniona z Rhonda Grant.

— Ericka! — powiedziała Linda, zakrywając dłonią usta, by stłumić śmiech. — To straszne.

— Wcale nie. To prawda.

— Ona ma rację, Lin — powiedział Lawrence, chichocząc z cicha i odsuwając krzesło. — Chyba powinienem zadzwonić do Rhondy i Aarona. Zapytać, czy czegoś nie potrzebują.

Linda położyła dłoń na ramieniu męża.

— Zaczekaj chwilę, kochanie. Dajmy im trochę czasu, jest dopiero wpół do siódmej. Myślę, że jeśli zadzwonisz o ósmej, to będzie i tak wystarczająco wcześnie.

Ericka wstała.

— Idę pod prysznic, a potem chyba się jeszcze na chwilę położę. Zatrzymała się przy drzwiach kuchni. — Obudźcie mnie, gdyby zadzwonił Bo. Nie wydaje mi się, żeby mieli ochotę urządzać teraz barbecue.

— O, wręcz przeciwnie — stwierdził Lawrence. — Impreza z pewnością się odbędzie. Jeśli nie z jakiegoś innego powodu, to choćby po to, by dać ludziom możliwość omówienia wszystkich krwawych szczegółów.

Tym razem żadne z nich się nie roześmiało. Plotki w St. Joan mogły być zabawne, lecz mogły być też paskudne.

## ROZDZIAŁ 4

— A niech to wszyscy diabli! — powiedział Scooter Witcomb, rzucając kapelusz na biurko. — Niech to diabli! Co się stało z tym miastem?

Było to pytanie retoryczne, już choćby dlatego, że szeryf był w swoim biurze sam. Właśnie wrócił z miejsca zbrodni. Czwartego miejsca zbrodni w ciągu ostatnich siedmiu tygodni. I to dzisiejsze nie podobało mu się ani odrobinę bardziej. Nie chodziło tylko o morderstwo. Nie, było w tym coś więcej. Ta cała cholerna krew. Scooter nienawidził krwi. Zawsze tak było. Widok krwi sprawiał, że robiło mu się niedobrze. Choć to ostatnie i tak nie było tak okropne jak te poprzednie. Co za potworność. Dwoje z głowami niemal odciętymi od ciała, i ta trzecia, która już prawie wcale nie przypominała istoty ludzkiej po tym, jak ktoś zmasakrował jej głowę kijem baseballowym.

Inną okropną stroną morderstwa, którą musiał się zająć, kiedy już jego żołądek przestał wyczyniać dzikie podskoki, była konieczność powiadomienia rodziny. Zwłaszcza kiedy ofiara była przyjacielem. A Jason Grant przyjaźnił się z całym miastem. O, nie od początku. Najpierw był tylko jeszcze jednym przeklętym Jankesem. Lecz stary Jason — a właściwie wówczas młody Jason — ciężko pracował, by pozyskać sobie szacunek i przyjaźń swoich sąsiadów. I wygrał tę batalię. Walczył, ignorując sceptycyzm i złe języki niechętnych mu mieszkańców. Był dobrym lekarzem i jeszcze lepszym przyjacielem.

Scooter otarł łzę, która pojawiła się nie wiadomo skąd w kąci oka, i opadł ciężko na krzesło, które zatrzęszczało protestując przeciwko obarczaniu go takim ciężarem. Potarł mocno twarz i powoli grymas smutku zniknął pod naciskiem jego serdelkowatych palców. — Do wszystkich diabłów! — mruknął raz jeszcze i wyprostował się, słysząc, że ktoś puka do drzwi. — Proszę wejść!

Waylin Parks, jego zastępca od ponad piętnastu lat, wsunął głowę przez uchylone drzwi i podał szeryfowi szarą tekturową teczkę. — Proszę, szeryfie — powiedział. — Doktor Ohtau obiecał, że wpadnie tu dziś wieczorem lub jutro rano, żeby zrobić sekcję.

— Dobrze, myślę, że jutro rano wystarczy. Jak byśmy nie wiedzieli, co go zabiło.

— Chyba ma pan rację — zgodził się Parks, rzucając na biurko pustą teczkę, nie zawierającą jeszcze niczego, poza naklejką z nazwiskiem doktora Granta. — No cóż, chyba pójdę i zostawię pana, żeby mógł pan napisać raport. Ja już swój napisałem jakąś godzinę czy dwie temu i chyba wstąpię gdzieś na lunch. Przynieść panu coś?

— Nie, tylko powiedz Marcie, żeby nie łączyła żadnych rozmów, dopóki jej nie powiem. Chciałbym uporać się z tym, dopóki jeszcze wszystko pamiętam.

— Dobra. — Waylin otworzył drzwi, a potem, najwidoczniej zmieniając zdanie, po cichu zamknął je z powrotem. — Czy ma pan jakieś zdanie na ten temat, szeryfie? To znaczy, czy sądzi pan, że to naprawdę był włamywacz?

— Mam kilka pomysłów.

Waylin odczekał jeszcze chwilę, lecz widząc, że jego szef nie kwapi się, by podzielić się z nim owymi pomysłami, wzruszył lekko ramionami i wyszedł z pokoju.

Scooter podrapał się w kark i sięgnął po ołówek, lecz jego uwagę przyciągnął stos grubych teczek, leżących po lewej stronie biurka. Wzdychając donośnie, zaklął raz jeszcze i rzucił ołówkiem przez pokój, doświadczając uczucia pewnej satysfakcji, kiedy ołówek uderzył o ścianę i jego ostry koniec odłamał się z głośnym trzaskiem.

Siedem nie rozwiązanych morderstw w ciągu roku. Bogu dzięki, ludzie nie wiedzieli o

wszystkich, myśleli, że było ich tylko cztery — pięć, wliczając Jasona Granta.

Przyciągnął do siebie stos teczek, pozwalając ręką ześliznąć się po zakurzonej powierzchni skoroszytu, leżącego na wierzchu. A potem, z jeszcze jednym głośnym westchnieniem, zaczął przeglądać je jeszcze raz, tak jakby nie robił tego już wielokrotnie podczas ostatnich kilku tygodni, łudząc się, że wpadnie wreszcie na jakiś trop, że natknie się na coś, co pozwoli mu znaleźć odpowiedź. Gdyby mógł rozwiązać choć jedną z tych spraw...

\* \* \*

Katy Bryant. Dziewięć lat. Ciało znalezione w jeziorze 14 czerwca 1984. Utonięcie. A przynajmniej tak wszyscy sądzili, dopóki doktor Grant nie przeprowadził autopsji i nie stwierdził, że dziewczynka została uduszona własnymi majtkami. W jej gardle znaleziono kilka włókien. Dobra policyjna robota. Przed śmiercią dziecko zostało zgwałcone, także analnie. Na szczęście rodzice dziewczynki nie pochodzili z St. Joan, lecz przebywali tu na wakacjach i wyjechali natychmiast po znalezieniu zwłok. Tym samym pierwsze orzeczenie, które zostało już podane do prasy, nie musiało zostać zmienione. Nie było sensu niepokoić mieszkańców. Nawet Jase zgodził się, że nic by to nie dało. Sprawcą był prawdopodobnie ktoś przejezdny, kto dawno już opuścił te strony, zważywszy że ciało znalezione dopiero po trzech dniach.

Jimmy Barter. Sześć lat. Znaleziony w płytkim grobie sześćdziesiąt mil za miastem przez obozowiczów 3 lipca 1984. Obszar ten nie podlegał jurysdykcji Scootera, ale to stary Jase przeprowadzał autopsję, a szeryf z Black Mountain w Missouri przesłał policji St. Joan wszystkie dokumenty, dotyczące sprawy, na wypadek gdyby Scooter natknął się na coś interesującego, co mogłoby mieć związek z zabójstwem. Także ta ofiara została zgwałcona, jak dziewczynka Bryantów. Chłopiec był też torturowany. Obu zbrodni mógł dokonać ten sam sprawca. Kto wie?

Ręka Scootera zdrząła, gdy sięgnął po następny skoroszyt. Ta sprawa była najgorsza. Nie tylko ze względu na przemoc — gardło ofiary zostało rozcięte tak głęboko, że głowa niemal odpadła od tułowia. Szeryfem wstrząsnął dreszcz. Tyle krwi. Nie zapomni tego do końca życia.

Bunny Apperson. Dwadzieścia sześć lat. Ciało znalezione przez właścicielkę lokalu w mieszkaniu ofiary 4 kwietnia 1985.

Scooter ledwie mógł o tym myśleć. Znał Bunny... bardzo blisko. To właśnie sprawiało, że czuł się tak okropnie.

Arvis Ray Witcomb, dla sąsiadów i przyjaciół Scooter, ożenił się jako siedemnastoletni chłopak, to znaczy był żonaty przez ponad połowę swego życia. Teraz miał zaledwie trzydzieści dziewięć lat.

Syn jednego z największych hodowców bydła w okolicy został wysłany do college'u, gdzie dostał stypendium piłkarskie. Sądził, że czeka go wspaniała przyszłość, dopóki w noc powrotu do domu nie uwiódł ładnej małej Althei Macomber na tylnym siedzeniu cadillaca sevilla swego ojca. Pobrali się w dziewięć tygodni później, a ich syn, Allan Ray, urodził się w sześć miesięcy i tydzień po tym fakcie.

Althea okazała się dobrą żoną i jeszcze lepszą matką, bardzo oddaną swoim dwóm mężczyznom, jak nazywała jego i małego Allana. Do diabła, chciała nawet nazwać chłopaka Arvis Ray Witcomb Junior, lecz Scooter nigdy by na to nie pozwolił. Nie pozwoliłby obarczyć

takim przydomkiem nawet psa. Uśmiechnął się na samo wspomnienie. Nic takiego oczywiście nie nastąpiło. Chłopak otrzymał na imię Allan, choć i tak wszyscy, z Altheą włącznie, nie nazywali go inaczej niż Junior.

Nigdy nie żałował, że jego życie potoczyło się właśnie tak, mimo że musiał zrezygnować z marzeń o karierze futbolisty. Ukończył studia, pracując na pół etatu, by utrzymać swoją nową rodzinę. Odmówił przyjęcia pomocy ze strony swojego starszka, gdyż warunki, związane z finansową pomocą, okazały się nazbyt ciężkie do spełnienia. A poza tym nigdy nie interesowała go hodowla. Zamiast tego, gdy tylko uzyskał dyplom, złożył podanie o przyjęcie go na stanowisko zastępcy szeryfa.

Nie żałował niczego, z wyjątkiem swego związku z Bunny Apperson. Nie planował, że się z nią zwiąże. Był to czysty przypadek. Pewnego dnia po prostu weszła do jego biura i zanim się zorientował...

\* \* \*

— Cześć, mój słodki, ty jesteś tu wielkim szefem?

Scooter popatrzył znad biurka, niezadowolony, że mu przeszkodzono. Zastanawiał się, jak, u licha, udało jej się ominąć Marthę.

— Przepraszam bardzo, ale co pani tu robi? Uśmiechnęła się, nie prowokująco lecz szczerze i przyjacielsko, i powiedziała:

— Szukam oficera dyżurnego. — Zarzuciła na ramię torebkę, nie omal trafiając go nią w twarz. — Wywieszka na drzwiach mówi, że to pan. W biurze nie było nikogo, kto powiedziałby mi coś innego, więc oto jestem.

Pomimo wcześniejszej irytacji, Scooter uśmiechnął się. Była ładna — bezczelna i apetyczna ze swymi ewidentnie rozjaśnionymi włosami i ładnymi ciuchami, które podkreślały krągłości jej ciała. Chyba najbardziej spodobały mu się jej oczy — duże, okrągłe niczym pięciocentówki i błyszczące, jak nowe miedziane monety.

— Jak ci na imię, skarbie?

— Bunny. Bunny Apperson.

— No dobrze, Bunny. Co mogę dla ciebie zrobić? — spytał.

— Mógłby pan znaleźć tego dupka, który ukradł mój samochód.

Scooter wstał, okrążył biurko i stanął, opierając się biodrem o jego róg.

— Kiedy został skradziony?

— Zaledwie dziesięć minut temu i tylko o dwieście jardów od pańskiego biura. Coś panu powiem: jeżeli coś takiego nie jest w stanie przestraszyć osoby, której własność skradziono pod samym nosem prawa, to już nic jej nie przestraszy.

— A gdzie dokładnie zaparkowałaś? — zapytał, choć powinien odesłać ją z powrotem do biura Marthy, która przyjąłaby zgłoszenie. Lecz, prawdę mówiąc, rozmowa z panną Bunny Apperson (uznał, że nie jest mężatką, bo na jej palcu nie było widać obrączki) sprawiała mu przyjemność.

— Właśnie panu powiedziałam. Tuż obok, na ulicy. Obok budynku sądu.

Scooter uśmiechnął się.

— Od dawna tu mieszkasz, Bunny? Nie przypominam sobie, żebym cię kiedykolwiek widział.

— Przeprowadziłam się do St. Joan mniej więcej miesiąc temu — powiedziała, a potem uśmiechnęła się, tym razem bardziej świadomie i prowokująco. — Bo co? Ludzie tu kradną samochody wyłącznie obcym?

— Nie, a już na pewno nie w biały dzień. Jesteśmy na to za sprytni — powiedział Scooter,

przekomarzając się. Doskonale się przy tym bawił. — Ale obawiam się, że mamy brzydki zwyczaj odholowywania pojazdów, które zostały zaparkowane tam, gdzie parkowanie jest zabronione.

— O, do diabła, chyba nie chce mi pan powiedzieć, że odholowaliście mój samochód. Nie widziałam żadnego znaku zakazu. — Po chwili uśmiechnęła się znowu. — No, może widziałam taki mały znaczek, ale wpadłam do sądu tylko na dziesięć minut i na pewno nawet wy nie odholowalibyście mojego samochodu aż tak szybko.

— Ja osobiście raczej nie, lecz mój zastępca prawdopodobnie tak. Wiesz co, ponieważ jesteś nowa w tym mieście i nie wiesz jeszcze, jak poważnie traktujemy tu przepisy, tym razem ci daruję. Poczekaj minutkę, zadzwonię do niego i powiem, żeby przyprawił samochód pod moje biuro.

— Och, zrobi pan to? Wspaniale! Dopiero dostałam pracę kelnerki w Purple Hooter, wie pan, w tym lokalu przy tamie i sama nie wiem, skąd wzięłabym pieniądze, by go od was wykupić. — Nie czekając, aż Scooter coś powie, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. — Umówmy się, że kiedy wpadnie pan tam na drinka, dostanie go pan za darmo.

— Zgoda — roześmiał się Scooter.

Nie miał zamiaru przyjmować tego rewanżu. Nie był wielkim zwolennikiem alkoholu, a te dwa czy trzy piwa w tygodniu, na które sobie pozwalał, lubił wypijać w domu lub gdzieś w mieście, w kawiarni, razem z chłopakami. Lecz następnego dnia nogi jakoś same zaniósły go do Purple Hooter.

Bunny wydawała się naprawdę zadowolona, że go widzi i rzeczywiście nie musiał płacić za drinki. Wypił dwa piwa, po czym zsunął się z wysokiego stołka i ruszył do drzwi. Bunny pobiegła za nim, by podziękować mu, że przyszedł. To go wzruszyło, gdyż jej podziękowania zabrzmiały tak, jakby wpadł na herbatę do jej mieszkania, nie zaś do knajpy na piwo.

W trzy dni później wybrał się do Purple Hooter ponownie. Gdy przyszedł, Bunny jeszcze nie było. Rozczarowany, postanowił wypić piwo i zwiąć czym prędzej do domu, lecz zanim opróżnił szklanekę, zobaczył, że stoi w drzwiach. Uśmiechnęła się do niego, po czym zamieniła kilka słów z właścicielem, Redem Duncanem i wsunęła się na wysoki barowy stołek obok niego.

— Cześć — powiedziała. — Co słyhać u najmilszego na świecie stróża prawa?

— O rany, nie mam pojęcia, kto to taki — powiedział, drapiąc się po karku. — Lecz jeśli kiedykolwiek poznam kogoś takiego, na pewno go zapytam.

Nie było to bardzo zabawne, lecz ona śmiała się, jakby opowiedział najzabawniejszy kawał na świecie. Zamówił jeszcze jedną kolejkę, tym razem także dla niej.

Został w lokalu aż do zamknięcia, a potem odprowadził ją do domu, gdyż powiedziała mu, że mieszka w pobliżu, w mieszkaniu nad deptakiem.

Zaprosiła go na górę, ale odmówił, tłumacząc, że chętnie przyjmie zaproszenie kiedy indziej. Spodobał mu się wyraz rozczarowania na twarzy dziewczyny, kiedy odrzucił zaproszenie. Zupełnie, jakby był kimś szczególnym. Do diabła, nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy Althea ostatni raz patrzyła na niego w ten sposób.

W następną niedzielę przechodził przypadkowo koło jej mieszkania.

Naprawdę był to czysty przypadek. Nie zaplanował tego. Nikt przecież nie planuje tego rodzaju rzeczy. A przynajmniej nikt, kto jest szczęśliwy w małżeństwie. Poza tym, choć nosił odznakę szeryfa, pewnych barier społecznych w St. Joan po prostu się nie przekraczało, chyba że wymagała tego praca. I choć nie rozmawiał ze swoim ojcem od ponad piętnastu lat, to przecież nadal był Witcombem.

I oto dzwonił do drzwi Bunny Apperson w niedzielne popołudnie, gdy nie miał służby i powinien był siedzieć w domu z żoną i dzieckiem.

Aczkolwiek nieco skrepowana jego wizytą, wydawała się zadowolona, że przyszedł. Swoje zakłopotanie wyjaśniła panującym w mieszkaniu nieporządkiem.

— Przepraszam — powiedziała, wzruszając lekko ramionami. — Nie spodziewałam się gości.

Pozbierała porzucane gazety, ubrania, opakowania po jedzeniu i kilka szklanek, po czym wyniosła to wszystko za jednym zamachem, by ukryć gdzieś w głębi mieszkania. Wróciła po kilku sekundach, wycierając dłonie w dzinsy.

— Chyba nie jestem najlepszą gospodynią. Lecz proszę usiąść.

— To moja wina, że wpadłem tak bez zapowiedzi. Powinienem być jakoś cię zawiadomić.

— Nic się nie stało. Podoba mi się w St. Joan, lecz nie mam tu jeszcze zbyt wielu przyjaciół. Wie pan, czasami czuję się nieco samotna.

— Tak, wyobrażam sobie. Co do mnie, to mieszkam tu od urodzenia. A ty skąd pochodzisz?

Położyła na chwilę dłoń na jego kolanie, a potem zaskoczyła go, przechodząc przez jego nogi i siadając pomiędzy nimi na niskim stoliku.

— Ale niech pan obieca, że nie będzie się śmiał — powiedziała.

— Przysięgam na Boga.

— No dobrze. Pochodzę z małego miasteczka w Arkansas, zwanego Hog Holler Gully. Całe miasto liczy niewiele ponad sześciuset mieszkańców. Wyjechałam stamtąd, gdy miałam dziewiętnaście lat. Przeniosłam się do Little Rock. Do licha! Początkowo trudno mi było uwierzyć, że w jednym miejscu może być tyle ludzi! — Roześmiała się, marszcząc nos i zanim się zorientował, całował już piegi na jego koniuszku.

— Jesteś słodki — powiedziała. — Większość mężczyzn śmiałaby się z tego. To znaczy z tego, że Little Rock nie jest przecież Nowym Jorkiem, ani niczym takim. A potem zobaczyłam ogłoszenie, w którym St. Joan określono jako „mały kawałek raj”. Powiedziałam wtedy do siebie: „Bunny Apperson, to miejsce w sam raz dla ciebie. I oto jestem”. — Popatrzyła na obskurne ściany swojego mieszkania. — Choć trudno to chyba nazwać rajem, prawda?

— Byłaś już na jeziorze? — spytał szybko. Potrząsnęła głową.

— To dlatego jeszcze nie odkryłaś tego raj. Bo on tam jest. — Ujął ją za rękę, zmuszając do wstania. — Chodź, zabiorę cię na wycieczkę.

— Masz łódź? — spytała.

— Tak, i to jeszcze jaką!

Pojechali popływać w zatoczce, a właściwie popluskać się na płyciźnie i jakoś tak się stało, że Scooter zaczął kochać się z nią w wodzie. Było to najśłodsze doświadczenie jego życia, lecz, Boże, okupione straszliwym poczuciem winy.

Przez kilka następnych tygodni trzymał się z dala od Bunny, unikając nawet zbliżania się do niebezpiecznego terenu. Lecz pewnego wieczoru znowu zapukał do jej drzwi.

Gdy otworzyła drzwi i zobaczyła, kto za nimi stoi, jej oczy powiedziały mu, że czuje się zraniona. Lecz nie naskoczyła na niego, jak zrobiłaby to Althea. Po prostu ujęła jego dłoń i wprowadziła go do środka z uśmiechem, który krył w sobie zaledwie cień wymówki. Tym razem kochali się w łóżku.

Bunny należała do kobiet, które bez zahamowań wyrażają swoje zadowolenie i kiedy po dwóch godzinach Scooter opuszczał jej mieszkanie, czuł się niemal olbrzymem.

Wrócił do niej następnego wieczoru, i jeszcze następnego, zawsze pół godziny po jej powrocie z pracy.

Nie wiedział, dlaczego wdał się w ten romans. Do diabła, kochał swoją żonę. Lecz Bunny sprawiała, że czuł się mężczyzną. A poza tym, o nic go nie wypytywała. Nie chciała nic wiedzieć o jego przeszłości, pracy ani o żonie. Nie pytała, gdzie był, kiedy nie był z nią. Nawet kiedy nie



pojawił się u niej przez kilka dni, nie stawiała żadnych pytań. W przeciwieństwie do Althei, która wypytywała go o wszystko. Do cholery, ta kobieta wypytywała o niego nawet Marthę i Waylina.

I tak to trwało prawie przez rok. Jeśli idzie o niego, mogłoby trwać zawsze, lecz w końcu zdał sobie sprawę, że nie jest w porządku wobec Bunny. Miała dopiero dwadzieścia pięć lat. On zaś miał żonę, dziecko, prawie dwadzieścia kilo nadwagi i zbliżał się do wieku średniego. A jednak zabolalo go, gdy pewnego dnia Bunny powiedziała, że może powinni przestać się widywać.

— Mam teraz kilku przyjaciół, Scooter — powiedziała. — Moje życie się zmienia. Ty zawsze będziesz moim największym przyjacielem w St. Joan, lecz może już pora, byś wrócił do żony i zapomniał o tym, co nas łączyło. To ślepy zaulek dla nas obojga.

Stał w drzwiach. Nawet nie pozwoliła mu wejść, by mogli spokojnie się pożegnać. A do tego szeptała i oglądała się nerwowo przez ramię. Na Boga, czuł się jak głupiec, kiedy zdał sobie sprawę, że ktoś u niej jest i że ona nie chce, aby ten ktoś dowiedział się o nim.

— Tak, pewnie, Bun. Do zobaczenia — powiedział tylko. Uśmiechnął się przy tym, a nawet mrugnął i powiedział, że będzie mu jej brakowało, lecz płakał przez całą drogę do domu.

Trzymał się z daleka, tak jak sobie życzyła, lecz nie przestawał o niej myśleć. Podczas świąt Bożego Narodzenia czuł się okropnie. Jeszcze w październiku kupił Bunny prezent. Nie pamiętał już, ile razy wyciągał go z szuflady biurka i spoglądał na małą paczuszkę, żałując, że nie nadarza się okazja, by go jej wręczyć. A potem, w lutym, postanowił, że po prostu to zrobi.

Był sobotni wieczór. Wpadł do biura, by wziąć papiery, które chciał przejrzeć w domu w weekend.

Chodziło o sprawę, w której miał zeznawać przed sądem w Jefferson City w poniedziałek. Zobaczył pudełko i pomyślał sobie: właściwie, dlaczego nie? Dlaczego nie miałby pojechać w stronę tamy na patrol, a potem zatrzymać się przy Hooterze i wręczyć jej prezent?

Lecz Bunny nie było w pracy. Zapytał o nią jedną z dziewczyn i ta powiedziała mu, że Bunny odeszła.

— Podobno dostała jakąś dobrze płatną pracę. Nie wiemy, jaką. Powiedziała, że niedługo będzie miała dość pieniędzy, by przeprowadzić się do lepszej dzielnicy.

Scootera bardzo to wszystko zaskoczyło. Bunny nie miała wykształcenia. Nie umiała nawet pisać na maszynie ani obsługiwać komputera. Powiedziała mu to, kiedy zapytał, czemu nie znajdzie sobie pracy w jakimś biurze, zamiast sterczeć za barem. Co za zajęcie mogła podłapać, by zarobić taką forszę, jaką się chwaliła?

Pojechał do jej mieszkania, żeby ją o to zapytać.

Już kiedy parkował samochód, usłyszał dźwięki głośnej muzyki. Przejęło go dojmujące uczucie straty, gdy uświadomił sobie, iż rzeczywiście znalazła nowych przyjaciół i to tak wielu, by zorganizować spore przyjęcie. Prawie zmienił zdanie, lecz w końcu: czemu nie? Chciał ją zobaczyć. Po prostu da jej prezent, upewni się, że u niej wszystko w porządku i pójdzie sobie.

Już przez drzwi słyszał jej śmiech, a kiedy otworzyła, zobaczył w jej oczach wyraz zaskoczenia i konsternacji.

— Masz trochę czasu? — zapytał.

Spojrzała przez ramię, zawahała się, lecz w końcu wzruszyła ramionami i zamknęła drzwi. Nie dość szybko jednak, by nie zauważył twarzy Cindy Rachwalski i nie usłyszał, jak mówi:

— Ściszcie tę muzykę, to policja.

— Nie wiedziałem, że przyjaźnisz się z Cindy — powiedział, gdy Bunny stanęła przy nim w korytarzu.

— Bo się nie przyjaźnię. Po prostu pracujemy razem.

— Tak, słyszałem, że zmieniłaś pracę. Co teraz robisz?

— Nie dzisiaj, dobrze, Scooter? Mam gości.

— Jasne. No cóż, nie zatrzymuję cię. Po prostu chciałem ci to dać. — Podał jej małą paczuszkę. — To nic wielkiego, tylko taki drobiazg, który kupiłem dla ciebie na Gwiazdkę. Najpierw nie miałem zamiaru ci go dawać, ale potem pomyślałem sobie: czemu nie? W końcu kupiłem go dla ciebie, więc możesz go dostać.

Przez chwilę nie patrzyła na niego. Stała tam, wpatrując się w pudełko. A potem z drżącym, nieśmiałym uśmiechem odpakowała je, wcisnęła Scooterowi zielono-czerwony papier i wstążkę, i otworzyła pudełeczko. Kiedy wsuwała na palec pierścionek, w jej oczach zalśniły łzy, a Scooter poczuł, jak coś ściska go za gardło.

— Hej — powiedział burkliwie. — Nie płacz. Ten pierścionek to nic takiego. Po prostu coś, co zobaczyłem i co przypominało mi ciebie.

— Jest piękny — powiedziała, a potem, ocierając łzy, spytała: — Dlaczego przypomina ci mnie?

Czuł się trochę nieswojo, muzyka dobiegająca zza drzwi rozpraszała go, sprawiała, że trudno mu było mówić o swoich uczuciach do niej. Nie był to dobry moment, lecz lepsza okazja może się już nie trafić. Przystępując z nogi na nogę, powiedział więc:

— Sam nie wiem. Zawsze myślałem o tobie, jako o osobie o dwóch stronach charakteru. Jednej sprytniej i trochę bezczelnej, a drugiej naiwnej i w jakiś sposób niewinnej. Ten pierścionek jest taki sam. Niby różne kolory, a przecież to samo złoto. Podobnie jak ty, Bunny.

Znowu zaczęła płakać. Objęła go ramionami za szyję i przycisnęła twarz do jego koszuli. Zaczął ją pocieszać, mówić, że wszystko będzie dobrze, że wróci następnego dnia i wtedy porozmawiają, lecz w tym momencie reflektory podjeżdżającego samochodu zalały parking jasnym światłem, a Bunny gwałtownie odskoczyła od niego, szybko ocierając łzy i rozglądając się wokół niczym przerażone zwierzątko.

— Lepiej już idź, Scooter. — Pocałowała go w policzek i odwróciła się bez słowa.

— Czy mógłbym przyjść kiedy indziej, porozmawiać z tobą? Może o twojej nowej pracy?

— Nie! Odejdź, Scooter! Trzymaj się z dala ode mnie! Mam teraz nowych przyjaciół.

I zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wśliznęła się z powrotem do mieszkania. Stał tam, czując się jak ostatni frajer i przysłuchiwał się, jak ktoś za drzwiami pyta, czy szeryf przyszedł, żeby zażądać zakończenia zabawy. A potem Bunny ze śmiechem odpowiedziała:

— Nie, po prostu prosił, byśmy zachowywali się nieco ciszej. Nic wielkiego.

Scooter odwrócił się i już miał zacząć schodzić po schodach, gdy prawie wpadł na mężczyznę, który właśnie wchodził na górę. Znał tego człowieka. Był to Lonny Roper, właściciel lombardu na deptaku.

— Jakieś kłopoty, szeryfie? — zapytał Lonny.

— Nie — odparł Scooter. — Żadnych kłopotów. Poprosiłem tę panią, żeby ściszyła muzykę, bo sąsiedzi się skarżą.

— Dopilnuję, żeby to zrobiła, szeryfie. Dziękuję, że pan wpadł.

— Tak, już pan się o wszystko zatroszczy.

— O, może się pan o to założyć, szeryfie. Jestem najbardziej troskliwym facetem w okolicy.

\* \* \*

Scooter ponownie potrząsnął głową, odczytując nazwiska na dwóch ostatnich teczkach. Cindy Rachwalski i Lonny Roper. Co, u licha, mogli mieć wspólnego z Bunny, co kosztowało ich życie?

Gdyby tylko poszedł tam jeszcze raz, spróbował porozmawiać z Bunny. Może dowiedziałby

się, co robiła i z kim się zadawała, poza dwiema pozostałymi ofiarami morderstw. No cóż, płacz nad rozlanym mlekiem niczego już tu nie zmieni.

Westchnął ciężko, po czym otworzył dolną szufladę i wyjął formularz. Musi zająć się sporządzeniem raportu z miejsca śmierci Jasona. Wyjął z górnej szuflady następny ołówek, lecz zamiast zabrać się do pisania, siedział jeszcze przez chwilę na blacie biurka, zastanawiając się nad pytaniem, które zadał mu jego zastępca, Parks. Czy naprawdę uważał, że to po prostu włamanie, przy którym sprawy wymknęły się spod kontroli? Ssąc dolną wargę przypomniał sobie wiadomość, którą przekazała mu Althea, gdy wrócił do domu w wieczór, poprzedzający trzydniową wyprawę na ryby.

— Słuchaj, A.R., dzwonił Jason. Mówił, że musi z tobą porozmawiać — powiedziała Althea, kiedy zdejmował brudne wadery i buty w piwnicy domu.

— Tak? Kiedy dzwonił?

— Wczoraj. Wydawał się bardzo rozczarowany, że pojechałeś do Branson. — Roześmiała się. — Powiedział, że jeśli ludzie dowiedzą się, że wolisz łowić gdzie indziej niż we własnym jeziorze, nie wpłynie to najlepiej na turystykę. Zanim odłożył słuchawkę, poprosił, żebyś zadzwonił do niego najszybciej, jak będziesz mógł.

— Zastanawiam się, co to mogła być za ważna sprawa — powiedział Scooter, spoglądając na zegarek. — Chyba spróbuję zadzwonić do niego rano. Teraz już za późno.

— Może jednak powinieneś zadzwonić teraz. Powiedział, że z kimś rozmawiał i że ma pewien pomysł co do tych morderstw w kwietniu. Powiedział też, że bym nikomu o tym nie mówiła.

Jakbym nie miała własnego rozumu, żeby plotkować o pracy policji z moimi przyjaciółkami — obruszyła się Althea. Scooter zignorował jej urażony ton.

— Do licha, Altheo, to może być przełom, na który od dawna czekamy. Nie powiedział nic więcej?

— Nie, ani słówka. Chyba uważał, że nie można mi ufać.

Scooter westchnął. Jego żona była miłą kobietą, tyle że nieco drażliwą. Wziął ją w ramiona i pocałował w czubek głowy.

— Ależ, kochanie, jestem pewien, że Jason nie miał niczego takiego na myśli. Jest lekarzem, przyzwyczajonym do zachowywania dyskrecji. Wiesz, tajemnica lekarska i tak dalej. A poza tym, odkąd rozwiódł się z Rhondą, nie ma nawet żony, z którą mógłby porozmawiać. No, już dobrze. Wyglądasz, jak zbity pies. Chodźmy do łóżka. Nie trzymałem cię w ramionach przez trzy noce.

— Nie chcę tego robić, A.R.

Scooter westchnął. Nic nowego. Kiedy ostatnio chciała?

— Ale przecież mogę cię chociaż przytulić, prawda? — spytał.

— Dopóki...

— Do diabła, nawet cię nie dotknę!

— Dlaczego nie przeniesiesz się na tapczan, zamiast na mnie wrzeszczeć?

— Cholera, dlaczego w ogóle mam spać? Może po prostu pojedę na patrol i będę jeździł w kółko przez resztę nocy. W ten sposób nie będziemy przebywać pod jednym dachem i nie będziesz musiała się bać, że dotknę cię choćby palcem!

— No cóż, teraz przynajmniej nie będę się zamartwiać, że poszedłeś do tej Apperson — powiedziała twardo.

Scooter usiadł ciężko na schodach i ukrył twarz w dłoniach.

— Nigdy nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, prawda?

— Twój własny syn cię widział, A.R. Widział, jak cudzołożyłeś z tą kobietą w jeziorze. W biały dzień! Jak którekolwiek z nas mogłoby o tym zapomnieć?

— Nie wydaje mi się, żeby Junior miał jeszcze o to do mnie pretensje. Kiedy została zamordowana i przyszedł do mnie, żeby mi powiedzieć, co widział zeszłego lata, porozmawiałem z nim. On rozumie, że to był błąd. Dlaczego ty nie możesz tego zrozumieć?

— Ponieważ to nie był tylko błąd, który zdarza się pod wpływem chwili, jak zdarzył się nam, kiedy byliśmy dziećmi. Miałaś z nią romans. Zakochałeś się w niej.

— Nigdy nie powinienem był ci tego mówić. Myślałem, że postępuję uczciwie. Robię to, co poleca Kościół. Odślaniam swoją winę i wyznaję mój grzech. Lecz nikt mi nie powiedział, że będę musiał płacić za to przez resztę życia.

— Bzdura! Powiedziałeś mi tylko dlatego, że Junior cię przyłapał i bałeś się, że wszystko się wyda. Lecz zapamiętaj sobie jedno, A.R. Nie pozwolę się poniżyć. Nie dopuszczę do tego, by wszystkie moje przyjaciółki dowiedziały się, że sypiałeś z tą... tą dziwką. Zajmujesz się tym morderstwem, więc postaraj się, by nic nie wyszło na jaw.

— Mam pracę do wykonania, Altheo. Nie mogę cały czas zamartwiać się, że ludzie się dowiedzą — powiedział Scooter, czując się bardziej zmęczony niż kiedykolwiek od lat. — Idź do łóżka. Prześpij się na tapczanie.

Althea nie poruszyła się, objęła tylko ramionami swoją szczupłą pierś.

— Nie masz zamiaru zadzwonić do Jasona?

— Nie, zadzwonię do niego rano. Czuję się zbyt zmęczony, by myśleć.

\* \* \*

Dlaczego wówczas nie zadzwonił? Wzdychając przeciągle, wpisał nazwisko ofiary w górną rubrykę formularza.

— Do diabła, Jase, przepraszam cię — powiedział. A potem: — Co miałeś na myśli, mówiąc, że z kimś rozmawiałeś? Czy ktoś powiedział ci coś w zaufaniu? Że był świadkiem morderstwa? Z kim rozmawiałeś, staruszk?

Skubiąc palcami grzbiet nosa, przeklinał swego pecha, potem żonę, a wreszcie Bunny. Biedną, martwą Bunny. A potem zabrał się za pisanie raportu o śmierci doktora Jasona Granta.

Doktor został najwidoczniej obudzony przez osobę czy osoby, które włamały się do jego domu pomiędzy północą a piątą rano. Aaron Grant, syn ofiary, zeznał, że rozmawiał z ojcem telefonicznie tuż przed północą. Umówili się, że wybiorą się na ryby wcześniej rano, jeszcze zanim doktor Grant otworzy o dziewiątej gabinet. Aaron przyjechał o piątej dziesiątej. Powiedział, że tylne drzwi były otwarte. Znalazł ojca leżącego na podłodze w kuchni, zabitego dwoma strzałami w pierś, oddanymi z broni palnej. I choć na pozór nic z domu nie zginęło, wydaje się, że doktor Grant musiał zaskoczyć włamywacza czy włamywaczy, którzy właśnie zabierali się do rabowania jego dobytku.

— Do ciężkiej cholery! — zaklął Scooter i posłał ołówek śladem pierwszego. Przysięgał bronić obywateli St. Joan, a tymczasem jak dotąd jedyną osobą, którą udało mu się ochronić, był on sam.

Pięć osób nie żyje, a on przejmuje się swoją reputacją. Ukrył głowę w ramionach i zapłakał tak, jak nie płakał od dnia, w którym zgodził się poślubić Altheę.

## ROZDZIAŁ 5

Coroczne barbecue w Country Clubie w St. Joan było wydarzeniem, na które wszyscy czekali. Zwykle zjawiało się tam około trzystu osób. Było to jedno z tych nielicznych spotkań towarzyskich, ukierunkowanych raczej na rodzinę niż samych członków. Choć zwyczaj nakazywał, by rodziny przybywały razem, to potem rozdzielały się — dzieciaki gnały do basenów czy pokojów zabaw, zaś dorośli gromadzili się w barze lub odbywali obowiązkową rundkę golfa — w tym roku wszyscy trzymali się razem, tworząc zamknięte grupki lub przyłączając się do innych rodzin. Wszyscy rozmawiali o ostatniej tragedii, zamordowaniu doktora Jasona Granta.

Kiedy rodzina Cassidych weszła do sali, dobiegły ich strzępki rozmów, dotyczących oczywiście śmierci lekarza.

— Powiedział, że strzelali do niego trzy razy.

— Och, naprawdę, słyszałam, że tylko dwa. Lecz nawet to wydaje się dziwne. Po co włamywacz miałby marnować aż tyle czasu? To znaczy, dlaczego nie strzelił i nie zwiął? Jego atutem był element zaskoczenia.

— Mówię wam, już pora, żeby Scooter zastosował jakieś sankcje. Nie możemy pozwolić, by przyjeżdżał tu każdy Tom, Dick czy Harry, jaki tylko zechce. Musi być jakiś sposób, żeby prześwietlić turystów.

— Nawet nie wiemy, czy to ktoś z zewnątrz.

— Chyba nie myślisz, że mógłby to być ktoś z nas?

— Nie nas, moja droga. Lecz równie dobrze mógł to być ktoś z St. Joan. Mamy tu dość biedoty. Czy już zapomnieliście, że zaledwie miesiąc temu jakiś mężczyzna został aresztowany za włóczenie się po terenie Jasona? To mógł być ten sam facet.

Ericka wzdrygnęła się.

— To przerażające, prawda? — spytała rodziców.

— Tak, to prawda — zgodził się Lawrence. — Lecz musimy zachować poczucie proporcji. Jedno włamanie nie świadczy jeszcze, że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

— Racja — zgodziła się Linda. — Jason mieszkał w całej tej wielkiej posiadłości sam. — Potarła nerwowo ramiona i rozejrzała się wokół. — Jakoś tu dzisiaj niezbyt przyjemnie, prawda? Żałuję, że tego nie odwołali. Nikt nie ma nastroju do zabawy.

— To prawda, lecz mimo to Rhonda postąpiła słusznie, nalegając, by nie odwoływać imprezy. Jest Dzień Pamięci i Jason na pewno chciałby, by jego przyjaciele zebrali się tu i wspominali go.

Ericka przestała zwracać uwagę na rozmowę. Właśnie dostrzegła Bo, który stał z siostrą i rodzicami. Kiedy odwrócił twarz w jej stronę, pomachała do niego dyskretnie, czując, jak przenika ją dreszcz, gdy mrugnął w odpowiedzi, powiedział kilka słów do rodziców i ruszył w jej stronę.

Pozdrowił grzecznie jej rodziców, a potem odciągnął ją na bok najszybciej, jak tylko się dało, żeby powiedzieć jej, jak pięknie wygląda.

— Ile razy cię widzę, za każdym razem jesteś ładniejsza, Blue. Zacerwieniła się, słysząc, jak wymawia jej drugie imię, co z jakiegoś tajemniczego powodu zabrzmiało bardziej osobiście niż komplement.

— Dzięki — powiedziała, uśmiechając się do jego ciemnych oczu. Skinęła głową w stronę rodziny Bo. — Petite także wygląda ładnie. Dobrze jej w tym nowym uczesaniu.

Bo podążył za nią spojrzeniem, lecz potrząsnął głową. Jego siostra była równie mała, jak on

duży. Jej przydomek bardzo do niej pasował, gdyż rysy Petite były jakby zminiaturyzowaną wersją rysów innych osób z wyjątkiem oczu, które, duże i okrągłe niczym guziki, wyglądały na jeszcze większe pod masą kruczoczarnych włosów, przyciętych krótko, tak by tworzyły wokół jej drobnej twarzyczki ciemną ramę. Ubrana była w morelowy komplet, składający się z szortów i bluzki, którego kolor doskonale podkreślał oliwkowy odcień jej karnacji i wydawał się bardzo odpowiedni dla szesnastolatki.

Najwidoczniej wyboru stroju dokonała jej matka, gdyż Petite, pozostawiona sama sobie, rzadko wkładała na siebie coś innego niż podarte dżinsy, porozciągana bluzę lub czarne kolarzówki i kusą bluzeczkę bez rękawów. Ericka uśmiechnęła się, gdy wzrok jej padł na kolczyki. Bunt dziewczyny przejawiał się w wyborze kolczyków — olbrzymich i odzwierciedlających jej zamiłowanie do rzeczy dziwacznych: z lewego ucha Petite zwieszały się dwa czterocentymetrowej wielkości szkielety, w prawym zaś tkwiła miniaturowa trumna.

Bo potrząsnął głową.

— To mama wybrała strój. Lecz kiedy tu przyszliśmy, Petite poszła do toalety i wyłoniła się z niej z tym paskudztwem w uszach. Mama mało nie zemdląła z wrażenia, ale za wszelką cenę stara się uniknąć sceny. Problem z moją siostrą polega na tym, że nie mają sposobu, by wywrzeć na nią nacisk. Jeżeli zamkną ją w domu, będzie całkiem zadowolona, przesiadując w swoim pokoju i słuchając hard rocka z aparatury, nastawionej na cały regulator. Kiedy zabiorą jej stereo, układa własne piosenki i wyśpiewuje je na całe gardło, aż hotel trzęsie się w posadach.

Ericka roześmiała się.

— Ona jest inna, to prawda, lecz ja ją lubię. Jest indywidualistką w najlepszym tego słowa znaczeniu.

— Albo w najgorszym — powiedział Bo, lecz bez wielkiego przekonania. Było oczywiste, że przepada za swoją dziwną małą siostrzyczką i Ericka poczuła przyływ ciepłych uczuć, gdy zobaczyła, że jego oczy błyszczą z dumy.

Bo rozejrzał się po sali.

— Jakoś tu dzisiaj dziwnie, prawda? Bardziej przypomina to czuwanie przy zwłokach niż zabawę. Czy myślisz, że twoi rodzice narobią szumu, jeśli wyjdziemy na mały spacer?

Ericka roześmiała się. — Moi rodzice rzadko robią szum o cokolwiek. Poczekaj, powiem im, że wychodzimy.

— Zaczekam na ciebie przy drzwiach.

Obserwował, jak idzie przez pokój i duma rozsadzała mu pierś. Jest jego. Nosi jego odznakę. Sam widział. I niech to diabli, jeżeli nie była najładniejszą istotą, jaką kiedykolwiek oglądał. Ta masa rudych włosów, błyszczących niczym ognista aureola i te długie, wspaniałe nogi.

Zobaczył, że śmieje się z czegoś, co powiedział jej ojciec, a potem spogląda na niego przez ramię i znowu się śmieje. O czym, u diabła, oni mogą rozmawiać? Było mu to obojętne. Najważniejsze, że jest szczęśliwa. Jedyne osoba w tej sali, która ma odwagę śmiać się nie zważając na strach i ponury nastrój. Bo rozejrzał się wokół. Większość z tych ludzi to hipokryci, pomyślał. A już zwłaszcza Marylou Roberts i Phoebe Pearson. One przecież nawet nie lubiły starego Doca Granta. Rozmawiały o nim, jakby był jakimś szpiegiem, przysłanym tu, by szerzyć wśród wroga śmiertelne choroby. Wiedział na pewno, że Pearsonowie nie leczyli swych dzieci u Doca Granta, lecz zawozili je do Jeff City do jakichś wymyślnych pediatrów. A jedynym powodem, dla którego Marylou Roberts tego nie robiła, byłaby konieczność wyrzeczenia się smakowitych plotek, zbieranych w poczekalni doktora, gdzie bez przerwy biegała po prostu po to, by trochę powęszyć. A teraz popatrzcie na nie, jak ocierają oczy wykwintnymi koronkowymi chusteczkami. Bo potrząsnął głową. Dzięki Bogu, jego matka nie jest tak afektowana.

Nieświadomie pobiegł spojrzeniem do miejsca, gdzie stała jego matka, rozmawiając z Altheą

Witcomb i jego uśmiech z ironicznego przeobraził się czuły. I co z tego, że jej spódnice były trochę zbyt obcisłe i o kilka centymetrów krótsze, niż nakazywały panujące w St. Joan obyczaje. I może rzeczywiście fryzura matki była nieco zbyt wypracowana, lecz ona przynajmniej niczego nie udawała. Żadnych pretensji do bycia kimś, kim nie jest, żadnej sztuczności. Miała największe serce w całym mieście, dość duże, by wybaczać sąsiadom złośliwości, których jej nie szczędzili. „Powinieneś im współczuć, Bo. Gdyby nie byli tak nieszczęśliwi, nie odczuwaliby potrzeby mówienia źle o innych.” Taka właśnie była. Nawet w niedzielę, gdy „porządni” obywatele St. Joan unikali jej w kościele, udawała, że tego nie widzi. Jedyna prawdziwa chrześcijanka w tym budynku, tak często wówczas myślał.

Popatrzył teraz na siostrę, która stała sama w kącie z tak dobrze mu znanym, nadąsanym wyrazem twarzy. Obserwował, jak wyciąga z torebki papierosa i zapalniczkę. Zmarszczył brwi i z dezaprobatą potrząsnął głową. Do diabła, Petite. Dlaczego jego siostra nie potrafiła zrozumieć, że jest jedyną istotą na świecie, która może naprawdę zranić ich matkę? Nawet jeśli wybaczała winy całemu światu, ze swymi dziećmi włącznie, to jednak złe postępowanie tych ostatnich nadal ją bolało. Nawet jego ojciec nie mógł już zranić Bobbi Bohannon... a przynajmniej nic w głębi serca, a tylko to miało znaczenie. Och, oczywiście, nadal mógł przysporzyć jej siniaków, lecz, o dziwo, w miarę jak coraz mniej przejmowała się tym, co robi jej mąż, bił ją jakby rzadziej. Lecz Petite mogła zranić matkę do żywego i aż nazbyt często to robiła. Zupełnie, jakby sprawiało jej to przyjemność. Zupełnie jak teraz, pomyślał, widząc, że jego siostra wypuszcza długą smukłą dymu niemal pod nosem matki.

Nie zauważył, że Ericka wróciła, dopóki nie dotknęła jego ramienia i nie spytała:

— O co chodzi?

Zwrócił twarz lekko w jej stronę, nie odwracając wzroku od siostry i zapytał:

— Zaczekasz tu na mnie chwileczkę, Blue? Mam tam siostrę, której ktoś musi przemówić do rozumu.

— Nie bądź dla niej zbyt ostry, Bo — powiedziała Ericka, spoglądając przez pokój na Petite.  
— Ona jest teraz w trudnym wieku.

— Tak, i wydaje mi się, że w coraz trudniejszym — powiedział, odchodząc szybko i zaciskając dłonie w pięści.

Ericka obserwowała, jak podchodzi do siostry, a potem wrywa papierosa, zwisającego nonszalancko spomiędzy jej zaciśniętych warg, lecz dalszy ciąg sceny umknął jej uwadze, gdyż nagle obok niej pojawiła się Carrie, a za nią Brett.

— Cześć! — powiedziała Carrie, jakby nie pokłóciły się poprzedniego wieczoru.

Ericka zdecydowała się dać spokój sporom. Marzyła o tym, by porozmawiać z przyjaciółką. Uśmiechnęła się z prawdziwą ulgą.

— Cześć! Przyszliście dopiero teraz?

— Nie, spacerowaliśmy po terenie przez jakąś godzinę, ale zbiera się na deszcz, więc postanowiliśmy wrócić i przyłączyć się do żałobników.

Zmarszczyła swój mały, zadarty nosek w sposób, który był zarówno komiczny, jak pełen wdzięku i choć Ericka czuła, że tragiczna śmierć doktora Granta to coś zbyt poważnego, by pobudzać do śmiechu, nie mogła powstrzymać chichotu.

— Strasznie tu dzisiaj smętnie. Pewnie wszyscy nadal są w szoku. Trudno uwierzyć, że on nie żyje. Moja mama jeszcze wczoraj była u niego na pogawędce.

— Nadal pisze tę książkę? — spytała Carrie, przewracając niecierpliwie oczami, by sprowokować Erickę.

Ericka już się nie śmiała, lecz także nie wybuchła gniewem, jak poprzedniego wieczoru.

— Nie, książka została ukończona, tak mi powiedzieli. I wysłana do wydawcy.

— To po co poszła do doktora Granta? Jest chora? — spytał Brett z troską w głosie.

Erica przyjrzała mu się, szukając w jego twarzy śladu sarkazmu, lecz nie znalazłszy go i czując się winna z powodu swoich podejrzeń, uśmiechnęła się do Bretta:

— Nie, po prostu obiecała, że upiecze dla niego jeden ze swoich placków z anansem i owocami passiflory, w rewanżu za to, że tak jej pomagał. — A potem zwróciła się do Carrie. — Ta książka to thriller medyczny, o małomiasteczkowym lekarzu, takim jak doktor Grant, który morduje swoich pacjentów. — Roześmiała się. — Mama powiedziała, że doktor Grant to człowiek o przebiegłym, diabolicznym umyśle. Zdziwił ją, podsuwając jej kilka niesamowitych pomysłów. Powiedziała mu, iż cieszy się, że jest tak z gruntu dobrym człowiekiem, bo gdyby był zły, byłby prawdziwym potworem. I co za ironia, pomyślcie tylko. Doktor pomaga pisać kryminał o lekarzu mordercy, a potem sam zostaje zamordowany. Nadal nie mogę uwierzyć, że on nie żyje.

— To rzuci cię na nasze uroczystości szkolne w przyszłym tygodniu — powiedziała Carrie.

— Carrie! — powiedział Brett karcącym tonem, zupełnie jak jego ojciec.

— Wiem. To brzmi podle, ale to prawda. Spójrzcie na nich wszystkich. Twoja matka i moja nie przestają płakać, odkąd tu przyszliśmy.

Nikt nie odgrywa smutku lepiej niż one, pomyślała Erica, lecz uśmiechnęła się łagodnie, próbując bronić punktu widzenia przyjaciółki.

— To rzeczywiście brzmi okropnie, Brett, ale rozumiem Carrie. Moi rodzice powiedzieli mi, żebym dodała coś na temat doktora Granta do mojej mowy podczas uroczystości zakończenia szkoły. To takie przygnębiające.

— Jezu, ciesz się, że to ty wygłosisz mowę, a nie ja — powiedziała Carrie. — Lubiłam Doca Granta, ale trudno by mi było znaleźć coś odpowiedniego, co mogłabym powiedzieć, i co nie klóciłoby się z nastrojem. — Przerwała, żeby rozejrzeć się dookoła. — Moja matka mówiła chyba, że Rhonda i Aaron też mają się tutaj pokazać, ale jeszcze ich nie widziałam, a ty?

— Pewnie wkrótce się pojawią — powiedział Brett.

— Tak. Mam nadzieję, że Scooter nie przyjdzie. Mama powiedziała, że Martha dzwoniła do niej dziś rano i mówiła, że Scooter jest naprawdę wyprowadzony z równowagi przez te morderstwa. Chodzi i wypytuje, kogo tylko może, gdzie był pomiędzy trzecią a czwartą rano. Uważają, że Doc zginął właśnie o tej porze.

Bo podszedł do nich, a jego ciemna cera wydawała się jeszcze ciemniejsza, tak bardzo był rozgniewany.

— Cześć, Pearson, cześć, Carrie. — Złapał Erickę za rękę i powiedział: — Chodźmy.

Erica wzruszyła ramionami w geście przeprosin i podążyła za nim. Na zewnątrz zatrzymał się gwałtownie, objął ją i pocałował. Kiedy po dłuższej chwili wreszcie wypuścił ją z objęć, Erica głęboko zaczerpnęła powietrza.

— O rany, jeżeli gniew sprawia, że tak całujesz, będę musiała pomyśleć, jakby tu częściej wyprowadzać cię z równowagi.

Nie roześmiała się, jak tego oczekiwała, lecz z tym chmurnym grymasem na twarzy wydawał się Ericie jeszcze bardziej przystojny. A mimo to brakowało jej tego krzywego uśmiešku. Spróbowała ponownie.

— Jesteś bardzo seksowny, gdy tak się wściekasz.

Uśmiech powrócił na jego twarz, a wraz z nim pojawiło się spojrzenie, które można byłoby opisać tylko jako namiętne i pożądlive.

— To może znajdziemy sobie miejsce, w którym będziemy mogli dokładniej sprawdzić, jaki jestem seksowny.

Erica zachichotała. Zbiegli szybko po schodach, ale zwolnili, mijając czerwone, białe i



niebieskie balony i latarnie, zawieszane przy bramie dla uczczenia patriotycznego święta.

Nie odzywali się do siebie, lecz ich palce stykały się od czasu do czasu, podobnie jak ich biodra. Ericka westchnęła z zadowoleniem, uświadamiając sobie, jak dobrze było tak iść razem, nie odczuwając potrzeby mówienia czegokolwiek i po prostu ciesząc się sobą. Gdy zeszli z alejki i skręcili w zaniedbaną dróżkę, Bo objął Erickę za szyję, a w chwilę później ona wsunęła palce do kieszonki z tyłu jego dżinsów. Ścieżynka, którą szli, wiała się całymi milami pośród wzgórz i lasów, a Ericka żałowała, że nie mogą iść nią do końca. Lepiej nie, pomyślała, spoglądając ukradkiem na ciemniejące niebo. Choć było dopiero po trzeciej, słońce skryło się za chmurami i dobrze zdawała sobie sprawę, że burza, którą zapowiadano w prognozie pogody, wkrótce nadejdzie.

— Chcesz wracać? — spytał Bo. Spojrzała na niego, zaskoczona.

— Nie, dlaczego?

— Widziałem, jak patrzysz na niebo. Zaraz zacznie padać. Jeżeli boisz się deszczu, możemy wracać.

Potrząsnęła głową.

— Nie, dobrze mi tu, gdzie jestem.

Przesunął ramię z jej szyi na plecy i skierował ją ku małej polance, widocznej pomiędzy drzewami. Rozejrzał się wokół za miejscem do siedzenia, a potem usiadł na ziemi po turecku i posadził ją sobie na kolanach.

— A jak teraz?

— Doskonale — powiedziała, wzdychając lekko. — Naprawdę, doskonale.

Znow pogrążyli się w milczeniu, lecz w chwilę później na polankę wskoczył jeleni i przestraszył ich równie mocno, jak siebie, gdy tak pojawił się nagle w odległości nie większej niż dziesięć stóp. Jego ciemne oczy wyrażały panikę, kiedy obrócił się wdzięcznie w powietrzu i wskoczył z powrotem pomiędzy gęste listowie odwiecznego lasu.

— Czyż nie był piękny? — spytała Ericka.

— Pełen wdzięku, o długich nogach, dziki i swobodny. Zupełnie jak ty.

— Och, ja nie jestem dzika. Jestem chyba najbardziej zrównoważoną osobą w St. Joan. Czasami żałuję, że nie jestem bardziej... szalona, to znaczy, bardziej swobodna, lecz zbyt cenię sobie harmonię, by choć spróbować przekroczyć granicę.

— Czy to dlatego nigdy nie chodziłaś na poważnie z żadnym chłopakiem?

Ericka odwróciła wzrok, spoglądając na miejsce, w którym zniknął jeleni.

— Nie. Czekałam na ciebie — powiedziała szczerze. Usłyszała, jak mocno wciągnął powietrze, słysząc to wyznanie i przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedziała zbyt wiele. Czy będzie się z niej śmiał?

— Czuję, że zakochałem się w tobie, Blue. Nigdy nie czułem nic podobnego. — Zaśmiał się z głębi piersi, a potem powiedział: — Nie wstydź się. Spójrz na mnie. — A kiedy to zrobiła, pocałował ją delikatnie i z czułością. — Miałem mnóstwo dziewczyn, Blue, lecz żadna nie była taka jak ty. Cieszę się, że na mnie czekałaś. Nie zniósłbym myśli, że ktoś cię przytula, całuje, kocha się z tobą.

Poczuła płomień, który jego słowa rozpały na jej policzkach i w głębi jej ciała.

— Nie patrz na mnie w ten sposób. Nie mam zamiaru cię poganiać, ale chciałbym, żebyś wiedziała, że cię pragnę. Naprawdę, bardzo cię pragnę.

— Ale ja nie mogę. Jeszcze nie.

— Ale chcesz tego. Skinęła głową.

— Tak, ale jeszcze nie mogę.

— No, dobrze — powiedział, lecz w jego głosie usłyszała rozczarowanie.

Obróciła się tak, by być do niego zwrócona twarzą i objęła dłońmi twarz, Bo, zanurzając w jego czarne włosy długie palce.

— Nie bądź rozczarowany. Nigdy tego nie robiłam, Bo. A kiedy to zrobię, będę chciała zrobić to z tobą, lecz chcę, by wszystko odbyło się jak należy. Chcę, żeby była to jedna z ostatnich rzeczy, jakie u siebie odkryjemy.

— Musimy lepiej się poznać, czy o to chodzi? Wzruszyła ramionami, lecz odpowiedziała:

— Chyba tak. Chyba o to mi chodzi.

Podsunał ramię pod plecy Ericki; a potem obrócił ich oboje tak, że teraz ona leżała na trawie, a on spoglądał na nią z góry. Krzyknęła cicho, zaskoczona, a potem roześmiała się z ulgą.

— No dobrze — powiedział. — A teraz opowiedz mi o sobie, tylko niczego nie pomijaj.

— Jesteś szalony, wiesz o tym?

— Raczej szaleńczo zakochany. Zachmurzyła się.

— Nie, Bo. Nie mów mi takich rzeczy, dopóki nie będziesz pewny tego, co mówisz. Powiedziałam ci: nie jestem dzika ani swobodna. Poważnie traktuję swoje uczucia. To jedyne, co naprawdę należy tylko do mnie i chcę, żebyś i ty traktował je poważnie.

— Och, kochanie, jestem tak poważny, jak to tylko możliwe. Przez chwilę błędził spojrzeniem po jej twarzy, pozwalając swym oczom napawać się do woli doskonałością jej rysów, a ona poddała się magnetycznej sile jego spojrzenia, które sprawiało, że czuła się częścią niego.

— Opowiedz mi — powiedział zduszonym szeptem. Zaśmiała się nerwowo.

— Na przykład o czym?

— Na przykład o twoich ulubionych kolorach. O tym, co lubisz jeść. Kim chcesz zostać po skończeniu szkoły. Czy chcesz pozostać w St. Joan na zawsze czy planujesz przenieść się do dużego miasta, takiego jak Boston, skąd pochodzą twoi rodzice? Jaki jest twój ulubiony zespół muzyczny? Czy czujesz się lepiej rano, czy wieczorem? Czy jesteś lepsza z matematyki,

czy wolisz angielski? — Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej. — Czy jesteś na coś uczulona? Lubisz psy czy koty? Jaka jest twoja ulubiona dyscyplina sportu? Jakie lubisz filmy? Czy...

— Dość! Zupełnie się już pogubiłam — poskarżyła się ze śmiechem. — Jesteś szalony — powtórzyła.

Jego oczy także się śmiały, kiedy wpatrywał się w nią.

— Chyba tak, chyba rzeczywiście muszę być szalony, skoro siedzimy tu i marnujemy czas na rozmowę.

Uderzyła go zwiniętą dłonią w ramię.

— Bądź poważny.

— O tym też już mówiliśmy, prawda?

— Bo!

— No dobrze — powiedział, udając, że się poddaje. — Skoro nie chcesz opowiedzieć mi wszystkiego o sobie, będziemy musieli spędzić czas w jakiś inny sposób.

Złapał ją za ręce, przytrzymał je po obu stronach jej głowy i pocałował ją. Tym razem jego usta nie były czułe i delikatne, lecz gładne i pożądlive i Ericka odpowiedziała na pocałunek niemal bez wahania.

Po chwili Bo położył się na niej, a jego pocałunki stały się jeszcze bardziej żarliwe. Jego usta wsysały jej język, przygryzały dolną wargę. Czuła twardą szczecinę jego zarostu, który drapał delikatną skórę jej szyi i policzków, lecz nie zwracała na to uwagi. Skupiła się na płomieniu, jaki budził w jej ciele i na tym, jak jej ciało reagowało na jego pieczyoty. Puścił jej ręce i wsunął dłonie pod bluzkę, by dotknąć delikatnego ciała na brzuchu. Ericka przesunęła palcami po jego gęstych włosach, potem przeniosła dłonie na kark i barki, gdzie mogła do woli rozkoszować się

twardością jego mięśni. Kiedy Bo zaczął napierać biodrami na jej miednicę, wykonując powolne, koliste ruchy, wygięła ciało w łuk, by odpowiedzieć na jego wezwanie. Przeszył ją dreszcz, kiedy poczuła zdradzieckie zgrubienie, które nagle zaczęło naciskać na jej udo. Usłyszała jego jęk i sama odpowiedziała zduszonym westchnieniem. Bo podsunął jej biustonosz do góry i zaczął ssać sutek. Wbiła paznokcie w jego plecy. A potem jego druga ręka, ta, która nie pieściła jej piersi, nagle znalazła się w jej szortach, buszując w kępce loków pomiędzy nogami. Wiedziona intuicją uniosła biodra ku jego poszukującym palcom i jej protesty utonęły pod naporem nie znanej dotychczas namiętności. Kiedy jego palce dotknęły jej pomiędzy nogami, a potem, po chwili drażniących pieszczot, wsunęły się do środka, przycisnęła twarz do jego szyi i ugięła kolana, unosząc ku niemu biodra.

— O, Boże, Bo... — jęknęła.

— Nie każ mi teraz przestawać, Blue. Proszę.

Ujęła w dłonie głowę Bo i przycisnęła jego usta do swoich z nie mniejszym niż jego pragnieniem, zapominając o swoim postanowieniu, że będzie czekała.

Odsunął się od niej zaledwie na chwilę, potrzebną, by rozpiąć jej szorty. Kiedy już tego dokonał, popatrzył jej w oczy, te krystalicznie przejrzyste, błękitne zazwyczaj oczy, które pod wpływem pożądania stały się szaroniebieskie i wyszeptał miękko, głosem zduszonym przez namiętność:

— Powiedz mi, Blue...

Lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, pierwsza kropla deszczu upadła na jej pierś, a za nią następna i następna. Przeklinając pod nosem, Bo leżał na niej jeszcze przez chwilę, lecz w końcu uznał się za pokonanego. Wstał i podał Erice rękę, by pomóc jej się podnieść.

— Musimy iść — powiedział. — Za pięć minut przemokniemy do suchej nitki.

Erica zawahała się, odsuwając dłonią z twarzy włosy, już i tak wilgotne, może nie tyle z powodu deszczu, ile nadmiaru przeżyć.

— Nigdy nie uda nam się dobiec do klubu, zanim zmokniemy — powiedziała.

— Wiem — powiedział. Wziął ją za rękę i pociągnął w przeciwnym kierunku. — Ale możemy dobiec do remizy, jeżeli dobrze wyciągniemy nogi.

— Poczekaj — powiedziała Erica, zatrzymując się i odwracając od niego. — Muszę zapiąć szorty.

Usłyszał w jej głosie zażenowanie i zaklął cicho pod nosem.

— Co mówiłeś? — zapytała, spoglądając na niego przez ramię.

— Powiedziałem, że przepraszam.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Powoli badała wzrokiem jego twarz, choć deszcz zdawał się przybierać coraz bardziej na sile.

— Nie przepraszaj — powiedziała. — To ja powinnam była to przerwać.

Już miał zaprzeczyć, lecz pora nie była odpowiednia na dyskusje. Porozmawiają później, kiedy już będą bezpieczni przed deszczem. Ponownie wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

Bieg szybko zmienił się w prawdziwy wyścig z czasem. Kiedy wreszcie dopadli remizy, roześmiani i bez tchu, Erica oparła dłonie na kolanach i łąpczywie wciągając powietrze, zapytała:

— Jesteś pewien, że wolno nam tu przebywać?

— Nie wiem, ale uważam, że lepiej zostać tu niż narazić się na uderzenie pioruna.

— Jak długo to może potrwać?

Bo spojrzął przez okno na rozdzierane błyskawicami niebo.

— Może przejść w parę minut lub ciągnąć się przez resztę dnia, a nawet nocy. — I, dostrzegając w jej oczach niepokój, zapytał: — Twój rodzice będą się bardzo martwić?

— Oni na ogół nie są skłonni do hysterii, tylko że ja z reguły zawsze wracam o ustalonej porze i mówię, dokąd idę. — Wzruszyła ramionami. — Ale przez to przyjęcie i całe zamieszanie mogą nawet nie zauważyć, że mnie nie ma.

— Dziecinko, jakoś nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek mógł nie zauważyć twojej nieobecności, jeśli trwa dłużej niż chwilę.

Uśmiechnęła się, zawstydzona, gdyż jego ton nagle przypomniał jej, jak bardzo sprawy wymknęły się spod kontroli tam, na polance.

Jakby czytając w jej myślach, Bo odwrócił się, by znowu wyjrzeć przez okno.

— Przepraszam cię, Blue. Powiedziałaś „nie”, a ja nalegałem. Gdyby nie zaczęło...

Stanąła za nim, objęła go w pasie ramionami i przycisnęła policzek do jego mokrej koszuli, przylegającej do muskularnych barków.

— Ja także nie zrobiłam niczego, by to przerwać — powiedziała cicho.

Z głośnym westchnieniem obrócił się do niej i otoczył ją ramionami.

— Od tej chwili zwolnimy trochę tempo.

— Musiałeś sobie pomyśleć, że jestem bardzo nieopanowana, co?

— Nie, Blue, uważam, że jesteś niemal doskonała. Lecz nie chcę popsuć tego, co jest między nami przez zbyt ni pośpiech. Nie skłamałem, kiedy ci powiedziałem, że zakochałem się w tobie. Wiem, że to brzmi jak stara śpiewka, którą powtarza się każdej dziewczynie, ale przysięgam na Boga, że nigdy dotąd nikomu tego nie mówiłem. Chcę, żeby wszystko między nami było w porządku, kiedy będziemy się kochać.

— Ja także tego chcę — powiedziała, wspinając się na palce, by go ucałować. — I nie chcę czekać wieki, po prostu chciałabym, żeby ten pierwszy raz był naprawdę wyjątkowy, zgoda?

Uśmiechnął się powoli, tym swoim drażniącym, świadczącym o pewności siebie półuśmiechem, który sprawił, że serce mocniej zabiło jej w piersi już wówczas, w dzieciństwie, kiedy ujrzała go po raz pierwszy.

— Tak, Blue, zgoda, ale, do licha, jeżeli będziesz tak na mnie patrzyła, będziemy musieli spotykać się tylko w miejscach publicznych, inaczej nie rękę za siebie.

— Ja także.

Jęknął, a ona zaśmiała się na widok jego komicznej miny, wyrażającej przesadny ból i mękę.

— Potrafisz utrudnić to facetowi.

— I dobrze, czytałam w *Cosmopolitan*, że należy kazać mężczyźnie czekać, żeby cała rzecz nabrała dla niego wartości.

Potrząsnął głową i przewrócił oczami.

— Czego oni was uczą, tak jakbyście wy, kobiety, nie znały wystarczająco dużo sposobów, by zaleźć mężczyźnie za skórę.

— No cóż — powiedziała Ericka, podchodząc do drzwi i otwierając je: — Słyszałam, że zimne prysznice i gimnastyka bardzo dobrze wpływają na tego rodzaju dolegliwości.

— Spryciara — powiedział, zatrzymując się jeszcze na chwilę, by pocałować ją szybko po raz ostatni. — Jeżeli trafi mnie piorun, pamiętaj, że mogłem umrzeć jako człowiek szczęśliwy.

— Nawet o tym nie wspominaj — powiedziała poważnie.

— Tak, wydaje mi się, że to nie było w najlepszym guście, zważywszy że tata Aarona... no, wiesz.

Ericka potarła dłońmi ramiona, czując jak dreszcz przechodzi jej po plecach.

— Pośpiesz się, dobrze?

Obserwowała, jak biegnie, dopóki nie skrył go deszcz, a potem podeszła do krzesła w rogu, by usiąść i poczekać na jego powrót. Czuła się trochę nieswojo, siedząc tak sama w małej, słabo oświetlonej chatce, a wspomnienia wszystkich rozmów na temat morderstw zaczęły zalewać jej

umysł, napawając ją przerażeniem.

Skoczyła na równe nogi i bardzo rozsądnie postarała się odegnać niepożądane myśli, przywołując wizerunek mężczyzny, którego kochała.

Stała u progu odkrycia wszystkich cudownych tajemnic kobiecości, a najprzystojniejszy mężczyzna na świecie miał być jej przewodnikiem. Nie miała zamiaru pozwolić, by coś zepsuło jej to, co miało nadejść. Podeszła do okna i napisała palcem na zaporowanej szybie: „E.C. kocha K.B.”

Nie musiała czekać długo. Już po półgodzinie Bo przyjechał po nią dżipem cherokee swego ojca. Był jednak dziwnie przygaszony, a nawet ponury i wszelkie próby rozweselenia go, choćby przez żartobliwe wypominanie mu, że jego nastrój jest równie czarny jak pogoda, zawiodło. Przez resztę wieczoru Bo pozostawał milczący i nieobecny myślami. Nawet kiedy przyjęcie się skończyło i poszli do kina, jego nastrój nie zmienił się.

— Czy stało się coś, o czym nie wiem, a może jesteś na mnie zły... wiesz, o co? — zapytała, kiedy wracali do domu po obejrzeniu „Fatalnego zauroczenia”.

Uśmiechnął się, słysząc to, a nawet ujął jej dłoń w swoją.

— Nie jestem na ciebie zły, Blue. Jakżebym mógł? Uważam, że jesteś jedyną doskonałością w moim życiu.

— Więc co się stało? Jesteś taki nienaturalnie spokojny od kiedy przyjechałeś po mnie do remizy.

— Nic. — I znowu ten zagadkowy uśmiech. — Naprawdę.

— No dobrze — poddała się w końcu, choć czuła żal, że nie okazał jej zaufania.

Przy drzwiach pocałował ją tylko raz, ot, takie dziobnięcie w policzek.

— Zadzwoń do ciebie jutro. Moglibyśmy pojechać do Stone Fall, zrobić sobie piknik.

Erica kiwnęła głową na znak zgody. Prawdę mówiąc, już cała drżała z emocji na myśl o pikniku w tym romantycznym miejscu, o którym legenda mówi, iż młody francuski arystokrata, Jean Paul Deveaux, zbudował tu na początku dwudziestego wieku zamek, oczarowany przepięknym widokiem, roztaczającym się z góry Ozark, gdzie z jednej strony zbocze spadało ku jezioru stromym klifem, wysokim na trzysta stóp, zaś z drugiej rozciągały się liczne łąki, pośród których torowały sobie drogę kręte strumienie, wypływające z bijących tu źródeł.

Pięć lat zajęło mu dostarczenie na górę wystarczającej ilości kamienia, by zbudować zamek odpowiedni dla królowej. Lecz jego „królowa” okazała się nadmiernie wrażliwą dziewczyną i najlepszego bostońskiego towarzystwa, która szczerze znienawidziła to dzikie pustkowie. Porzuciła męża i dwoje dzieci, urodzonych podczas swego krótkiego pobytu w Stone Fall. W niecałe trzy tygodnie później młody ojciec zginął wraz z dziećmi podczas — jak niektórzy mówili — tragicznego wypadku, uciekając z zamku objętego pożarem, spowodowanym przez uderzenie pioruna. Inni utrzymywali jednak, że sam podpalił dom, a potem wziął dzieci na ręce i skoczył ze szczytu klifu. Jakkolwiek było, młodzi kochankowie odwiedzali to miejsce od dziesiątków lat. Erica była w Stone Fall wiele razy z rodzicami i koleżankami z klasy, lecz to miał być pierwszy raz, kiedy podda się romantycznej atmosferze tego miejsca, którą dotychczas zaledwie zauważała.

Widząc, że Bo odchodzi, Erica zawołała niepewnie: — Bo.

Zatrzymał się, na wpół odwrócony, lecz nawet z odległości dwunastu stóp mogła widzieć, że się uśmiecha, a jego oczy znów błyszczą humorem.

— Ani przez chwilę nie myślałam, że chcesz tak odejść i zostawić mnie z tym jednym, nędznym pocałunkiem.

Kilkoma susami znów znalazł się przy niej, objął ją i zaczął całować tak jak przedtem. Poczwała, jak jej wnętrze reaguje tym samym skurczem przyjemności.

Kiedy odsunął się od niej w długą chwilę potem, Ericka ciężko chwytała powietrze. Wargi jej pulsowały. Ze śmiechem przyłożyła palce do ust i powiedziała.

— Trzeba przyznać, że wiesz, jak wzburzyć we mnie krew. Mrugnął. — Jeszcze niczego nie widziałaś, dziecinko. Roześmiała się i była w tym śmiechu zarówno ulga, jak rozbawienie. Bo był znowu z nią i cokolwiek dręczyło go przedtem, zostało najwidoczniej zapomniane.

Jakby czytając w jej myślach, oprzytomniał, oparł rękę o ścianę w pobliżu jej głowy i powiedział, pochylając się nad nią.

— Przepraszam cię za ten podły nastrój wcześniej. Chyba powinienem był ci wyjaśnić. To nic takiego. Po prostu mój ojciec natarł mi niezłe uszu, że naraziłem cię na zmknięcie i burzę.

— Ależ to nie fair. Czy wyjaśniłeś mu, co się wydarzyło?

Krzywy uśmiezek powrócił na swoje miejsce.

— Chyba nie mógłbym mu tego powiedzieć, a może mógłbym?

Ericka roześmiała się, klepiąc go po ręce.

— Nie miałam na myśli tego.

Zaśmiał się krótko, pocałował ją jeszcze raz szybko w usta i odsunął się od niej.

— Zadzwoń do ciebie wcześniej rano, Blue. Prześpij się trochę i śnij o mnie.

Jak zawsze po dziesiątej wieczór, jej rodzice byli już na górze w swojej sypialni. Światło przenikało spod drzwi, które jednak pozostały zamknięte, sygnalizując, że chcą pozostać sami. Ericka zawołała, że jest już w domu i pospieszyła do swego pokoju. Jednak w niecałą minutę później matka zapukała do jej drzwi.

— Ericko, kochanie, mogę wejść?

— Oczywiście. — Uśmiechnęła się, ściągając przez głowę bluzę. — Weszłabym do was, ale drzwi były zamknięte.

Linda nie skomentowała słów córki, lecz przysiadła na łóżku.

— Dobrze się bawiłaś?

— Było w porządku.

— Tylko w porządku? — naciskała Linda.

Ericka wyskoczyła z bluzki i szortów, a potem wrzuciła ubranie do kosza i podeszła do szafy, by wyjąć z niej szlafrok. Uśmiechnęła się, zawiązując pasek wokół talii.

— Skończyło się lepiej, niż się zaczęło. Bo całuje naprawdę fantastycznie.

Choć jeszcze przed chwilą Linda obserwowała córkę ze zmarszczonymi brwiami, teraz uśmiechnęła się, słysząc to.

— Tak, to bardzo ważne. To była jedna z tych rzeczy, które bardzo szybko spodobały mi się u twego ojca. Ale nie powiedziałaś mi, dlaczego pozostała część randki nie była równie wspaniała.

Ericka podwinęła pod siebie długie nogi i usiadła na łóżku obok matki.

— Było w porządku, tylko Bo był jakiś nie w humorze. Powiedział, że ojciec skarcił go za to, że zostawił mnie w lesie.

— Trochę więcej niż skarcił, sądząc z tego, co widzieliśmy — powiedziała Linda, z nieobecna miną pocierając przedramię.

— Co masz na myśli?

— Obawiam się, że to przeze mnie. Byłam trochę wytrącona z równowagi z powodu tego morderstwa i kiedy zaczęło padać, a ty nie wracałaś, naprawdę zaczęłam się martwić. Tata mówił mi, żebym nie zachowywała się jak dziecko, ale ja dalej krążyłam pod oknem. Chyba ludzie to zauważyli, między innymi Bert Bohannon. Właśnie pytał mnie, co się stało, kiedy zobaczyliśmy, że Keen biegnie przez trawnik. Zanim zdążyłam odpowiedzieć Bertowi, już wyszedł na zewnątrz. Barbara wybiegła za nim. Zobaczyłam, że Keen coś do nich mówi i śmieje się, więc domyśliłam się, że wszystko w porządku. Już miałam się odwrócić, kiedy zauważyłam, że Bert wymachuje

ramionami i że jest naprawdę wściekły. Barbara położyła mu dłoń na ramieniu, lecz ją odepchnął, a kiedy powiedziała coś jeszcze, uderzył ją na odlew. Wtedy Keen wszedł pomiędzy nich, a Bert uderzył go pięścią w żołądek.

— O, mój Boże. Tylko dlatego, że złapał nas deszcz? To straszne. Bo nie mógł zachować się lepiej. Zaprowadził mnie do chatki strażników, zanim w ogóle zdążyłam zmoknąć.

— Wiem. Byłam wściekła. Powiedziałam ojcu, co zobaczyłam i razem wyszliśmy, by uspokoić Berta.

— I co on na to?

— To właśnie jest najdziwniejsze. Oni wszyscy zachowali się tak, jakby nic się nie stało. Bert powiedział coś o was, że jesteście „parą niemądrych dzieciaków, które nie mają dość rozumu, żeby nie wychodzić, kiedy zanoszą się na deszcz”, a Bobbi roześmiała się i dodała coś o młodych zakochanych, którzy nie zauważają nawet, że leje im się na głowy.

— A Bo? Co on powiedział?

Linda potrząsnęła głową.

— Niewiele. Nie pozbierał się tak szybko jak matka. Wyjaśnił po prostu, co się wydarzyło i powiedział, że ma zamiar wziąć dzipa swego ojca i pojechać po ciebie. Bert rzucił mu kluczyki, jak gdyby nic się nie stało.

— No tak, to wyjaśnia, dlaczego był taki milczący przez resztę wieczoru. — Podciągnęła kolana i oparła na nich brodę. — Miałabym ochotę walnąć pana Bohannona w żołądek! Co za padalec! Nic dziwnego, że Bo mówi tylko o matce i siostrze, a prawie nigdy nie wspomina o ojcu.

— Lubisz go, prawda?

Ericka skinęła głową, uśmiechając się lekko na znak potwierdzenia. — Myślę, że chyba się zakochałam. — I, pochylając głowę na bok, zapytała: — Brzmi głupio?

— Ani trochę. Kiedy spotkałam twego ojca i zakochałam się w nim, byłam tylko o trzy lata starsza od ciebie. Ale uważaj. Dzieci, które pochodzą z takich rodzin jak Bohannonowie, często mają w sobie wiele ukrytego gniewu. I jeśli nie znajdują dla niego innego ujścia, zdarza się, że wybuchają i odgrywiają się na jakiejś Bogu ducha winnej ofierze.

— Mamo, mówimy o Bo.

— Wiem, i sama zawsze go lubiłam, ale, no cóż, nie spiesz się za bardzo. Upewnij się, że naprawdę go znasz, zanim oddasz mu serce.

Ericka przez dłuższą chwilę wpatrywała się w matkę.

— O rany, ty się naprawdę martwisz...

Linda pochyliła się, by pocałować córkę w czoło, a potem zsunęła się z łóżka i podeszła do drzwi.

— Nie, prawdę mówiąc, ufam temu przystojnemu młodzieńcowi, lecz nie chcę, by stała ci się jakaś krzywda.

— Zaufaj mi, mamo. Znam Bo. On nigdy nie zrobiłby mi krzywdy.

— W porządku — powiedziała Linda, lecz Ericka zauważyła, że wyraz troski bynajmniej nie zniknął jej z oczu.

— Mamo? — powiedziała nagłaco.

— To prawdopodobnie nic takiego, lecz kiedy rozmawiałam z Jasonem o książce, rozmowa zesłała na te morderstwa z zeszłego roku. Zaczęliśmy rozpatrywać psychologiczny profil mordercy — no wiesz, jakiego rodzaju osoba mogłaby popełnić tak brutalne morderstwa...

— Och, mamo, chyba nie myślisz, że Bo mógłby zrobić coś takiego — powiedziała Ericka głosem, który niewiele różnił się od szeptu.

— Nie, nie myślę — powiedziała Linda z przekonaniem. — Lecz jeden z profili, o których

wspomniat Jason, opisywał ofiarę przemocy w rodzinie.

Ericka poczuła nagły błysk gniewu, skierowany przeciw matce.

— To jakaś paranoja! Nie mogę uwierzyć, że w ogóle mogłaś pomyśleć coś takiego. Boże, znamy go przecież od dziecka!

Linda przesunęła dłonią po włosach.

— Nie myślałam tak, Ericko, naprawdę, lubię go. I widząc pełen powątpiewania wyraz twarzy córki, dodała: — Przysięgam. Lecz jestem matką i martwię się.

— Nie musisz martwić się z powodu Bo. Linda westchnęła, otwierając drzwi.

— Prawdę mówiąc, nie przestanę martwić się o was wszystkich, dzieciaki, dopóki morderca Jasona i innych nie zostanie złapany.

— Ale przecież doktor Jason został zabity przez włamywacza. A tego, kto zabił Cindy i innych, prawdopodobnie już dawno tu nie ma. Junior mówi, że jego ojciec jest o tym przekonany.

Linda Cassidy potarła dłonią kark.

— Chyba zbyt często przysłuchiwałam się tym kasetom, które nagraliśmy z Jasonem. I kiedy rano dowiedziałam się, że on nie żyje, moja wyobraźnia zaczęła szaleć.

— No już dobrze, uspokój się. Jezu, ale będę miała sny!

Teraz roześmiała się Linda.

— Pomyśl wówczas o tym, jak wspaniale całuje Bo i jestem pewna, że to skutecznie odpędzi koszmary.

Ericka uśmiechnęła się.

— Ty też powinnaś pójść za swoją własną radą. Przestań rozmyślać o morderstwie i idź ucałować tatusia.

— To najlepszy pomysł, o jakim od dłuższego czasu słyszałam. Dobranoc.

— Jedno pytanie, mamó?

Linda odwróciła głowę, spoglądając na córkę wyczekująco.

— Doktor Grant został zamordowany przez włamywacza, prawda?

— Oczywiście — potwierdziła Linda, lecz Ericka usłyszała jeszcze, co matka dodała, kiedy zamknęły się za nią drzwi pokoju córki. — Mój Boże, przynajmniej mam taką nadzieję.



## ROZDZIAŁ 6

*Jutro. To na tym musimy teraz skupić nasze marzenia, to planować i po to pracować. Dziś jeszcze wszyscy razem kroczyliśmy po czerwonym dywanie, by odebrać nasze dyplomy. Lecz nasze jutra będą tak różne, jak odmienne są od siebie wschody słońca każdego dnia. Niektórych czekają wybitne osiągnięcia, sukcesy i obietnica powodzenia. Inni zaznają smaku klęski, frustracji, walki, a nawet zniechęcenia, lecz jest to nasza przyszłość. I o tym, jaka ona będzie, w dużym stopniu zadecyduje to, jak przygotowaliśmy się do niej przez ostatnie cztery lata.*

*Pewien człowiek, przyjaciel wielu z nas, ktoś, kto naprawdę się o nas troszczył, wierzył w nasze jutro i pracował, by uczynić je dla nas łatwiejszym. Doktor Jason Grant był lekarzem, który dawał nam szczepionki, lekarstwa i balony, jeśli byliśmy grzeczni podczas badania, lecz dawał nam także coś, o czym większość z nas nigdy nawet nie pomyślała. Dawał nam nadzieję na lepsze jutro. Doktora Granta nie będzie tu z nami, by dzielić nasze jutro. Stało się tak z powodu bezsensownego aktu przemocy, lecz wiem, że...*

Keen rozejrzał się wokół po twarzach innych przyjaciół i rodziców, którzy przybyli tu dzisiaj na uroczystość z okazji rozdania dyplomów ukończenia szkoły. Mało kto spośród obecnych nie miał wilgotnych oczu. Większość z nich rzeczywiście opłakiwała zamordowanego doktora Granta, lecz inni, a między innymi jego ojciec, nie byli niczym innym, jak tylko gromadą hipokrytów.

Spoglądając ku podium, na którym Ericka wygłaszała właśnie mowę pożegnalną w imieniu absolwentów, rozmyślał raczej o dniach wczorajszych zeszłego tygodnia niż o przyszłości, o której mówiła. Tak bardzo cieszył się na ten tydzień, do licha, na całe lato, na wszystkie te tygodnie... od pierwszej randki z Ericką. Lecz jakoś wszystko się zmieniło. No dobrze, nie wszystko. Była przecież Blue. Tak, Blue to naprawdę ktoś. Piękna — tak piękna, że zapierało mu oddech, ilekroć na nią patrzył — inteligentna, zabawna i pełna ciepła. Miała wszystko, czego mógł pragnąć mężczyzna. A on jej pragnął. Pragnął jej, jak cholera.

Lecz inne sprawy, związane z przyjazdem do domu, jakoś piekielnie się pokomplikowały.

Po pierwsze, Petite. Bardzo się o nią martwił. Choć był w domu zaledwie od tygodnia, już dwa razy udało jej się wymknąć. Mama za każdym razem ją kryła, udało się więc uniknąć awantury z Bertem. (Bert. Jeden Bóg wie, jak bardzo go nienawidził. I nie był żadnym ojcem, a jedynie palantem, którego poślubiła matka). Lecz jeszcze gorsze od włóczenia się nie wiadomo z kim było to, że Keen przyłapał siostrę na paleniu trawki i miał wszelkie powody, by podejrzewać, że używa także mocniejszych narkotyków. Do licha, za każdym razem, kiedy przeglądał się w jej oczach, aby przyczesać włosy, spojrzenie Petite było takie szkliste. I te jej zmienne nastroje.

Brzydki grymas wykrzywił twarz Keena, kiedy pomyślał, że nawet gdyby Bert dowiedział się o wszystkim, i tak nie uderzyłby córki. Nie, bicie było zarezerwowane dla jego matki... albo dla niego. No cóż, lepiej, żeby bił jego niż matkę. Spojrzał w prawo, zobaczył, że matka obserwuje go, więc uśmiechnął się do niej. Sięgnęła po jego dłoń i uściśnęła ją mocno.

— Ona jest naprawdę wspaniała, ta twoja dziewczyna — powiedziała.

— Tak, mamo, jest.

— Szkoda, że ojciec nie mógł się wyrwać z hotelu. Byłby pod wrażeniem.

Jak diabli. Jediną osobą, która mogła wyrzucić wrażenie na Bercie, był on sam.

Wszyscy zaczęli klaskać i Keen ze skrucą uświadomił sobie, że Ericka skończyła

przemawiać. Pochwycił jej spojrzenie i stojąc, włożył dwa palce do ust i z aprobatą zagwizdał. Wynagrodziła go cudownym uśmiechem i pomachała lekko dłonią na powitanie.

Teraz przemawiał dyrektor i Keen natychmiast wyłączył się, powracając myślami do swego ojca, Berta, człowieka, którego nienawidził.

To właśnie w poniedziałek podczas pogrzebu doktora Granta, Keen po raz pierwszy tak jasno określił swoje uczucia wobec ojca. Nie, żeby kiedykolwiek go lubił. Co to, to nie. Nikt nie lubił Berta Bohannona. Niektórzy co prawda podziwiali go, choć Keen za Boga nie potrafił zrozumieć, za co. Jasne, ta mała ropucha miała pieniądze. Do licha, on się w nich tarzał, choć nie zarobił ich własnymi rękami. Był na to zbyt głupi — ten prosty Cajun o ambicjach wielkich niczym czołg amfibia, który zresztą tak bardzo przypominał. Powinien być zadowolony, siedząc do końca życia pośród bagien, kłusując na aligatory, chlejąc whiskey w jakiejś speluncie i rżnąc dziwki, które udało mu się poderwać. Gdyby nie jego brat, Roy, Bert Bohannon nie byłby wart więcej niż butelka taniego trunku, którego używał.

To Roy Bohannon był człowiekiem z ikrą. Opuścił bagna, gdy miał czternaście lat i pojechał do Oklahomy, gdzie zatrudnił się w jednym z przedsiębiorstw naftowych. Zaledwie w sześć lat później kupił sobie mały skrawek ziemi — jak mówiła matka Keena, kupił go tanio podczas którejś z aukcji rządowych. Zaparkował swoją rozlatującą się przyczepę na posiadłości, która składała się z trzydziestu trzech akrów prerii i dwóch dużych stawów i w trzy lata później zbudował tam dom. Nic nazbyt wyrafinowanego. Nic takiego jak Bar-Ber-Keen.

Bobby nadal lubiła rozglądać się po ośrodku wypoczynkowym Bohannonów. Potrzęsała wówczas głową i mówiła: — Roy na pewno byłby zdumiony, że dzięki jego pieniądzom można było wybudować taki hotel. On sam nigdy nie zatrzymał się w żadnym lepszym miejscu niż te tanie motele przy deptaku. Nawet, kiedy już miał pieniądze. Nie był człowiekiem, który mierzyłby wysoko. Zwykł był powtarzać, że jeśli mężczyzna ma nad głową solidny dach i dobrą kobietę u swego boku, to znaczy, że ma raj na ziemi.

Keen często miał matce za złe te domniemania, co Roy Bohannon zrobiłby ze swoimi pieniędzmi, gdyby miał szansę wydać choć część z nich. Pieniądze zmieniają ludzi, zmieniają ich marzenia. Do licha, spójrzcie tylko na ropuchę. Kto by pomyślał, że będzie kiedyś nosił szyte na miarę jedwabne garnitury albo kosztowne sportowe ubrania, za które musiał zapłacić więcej niż przeciętny człowiek jest w stanie zarobić w tydzień. Cholera, jeśli wierzyć Bobbi, to kiedy Roy odkrył na swojej działce naftę, Bert nie posiadał nic poza dwiema parami dżinsów. Ona także powinna to wiedzieć. Czyż nie wychowała się w tych samych bagnach Luizjany, zaledwie o milę w dół drogi od domu Bohannonów? Była dziewczyną Roya niemal od chwili, gdy każde z nich potrafiło odróżnić chłopca od dziewczynki.

Roy obiecał, że wróci po nią, jak tylko nieco się urządzi i dotrzymał słowa. Pobrali się w dwa tygodnie po tym, jak położono dach na nowym domu Roya. Był to najszczęśliwszy dzień w jej życiu, powtarzała Bobbie, a potem dodawała, uśmiechając się lekko uśmiechem, który rozświetlał jej ciemne oczy:

— No, może drugi najszczęśliwszy. Być może najszczęśliwszy był ten, kiedy urodził się nasz syn. Trudno zdecydować. A potem zawsze się śmiała. Roy lubił się z nią przekomarzać... potem, kiedy na działce znaleziono ropę, mawiał że to właśnie był ów najszczęśliwszy dzień.

Tego momentu opowieści Keen nie cierpiał najbardziej, ponieważ oczy matki wypełniały się łzami na wspomnienie momentu, kiedy rzeczywistość walnęła ją niczym obuchem, gdy Roy zginął w sześć miesięcy później.

Został zabity podczas wypadku na polowaniu, kiedy rodzina pojechała do Luizjany z wizytą.

W cztery miesiące później Bobbi poślubiła Berta.

Keen potrząsnął głową, obserwując, jak młodzież zajmuje miejsca, przygotowując się do

rozdania dyplomów.

Nigdy nie udało mu się zrozumieć, dlaczego za niego wyszła. O, znał przyczyny, które mu podała. Bert był dla niej dobry. Zaopiekował się nią, kiedy została sama z dzieckiem i nie wiedziała, co zrobić ze swoim życiem i tymi wszystkimi pieniędzmi. I nie wszystko w tym małżeństwie było złe, mawiała. Popatrz tylko, co zrobił z pieniędzmi z nafty. Roy byłby z niego dumny.

Keen wątpił w to. Nie sądził, żeby jego ojciec mógł być dumny z tego, w jaki sposób Bert traktował kobietę, którą on kochał od dzieciństwa i chłopca, którego mu urodziła. Wątpił nawet, czy byłby dumny z Bar–Ber–Keen. Och, ośrodek był bardzo elegancki, zapewniał bogatym turystom wszelkie wygody, o jakich mogli zamarzyć, lecz Keen nie wątpił, że zbudowano go raczej na krwi jego ojca niż za jego pieniądze.

Nigdy przedtem o tym nie myślał, nigdy nie wątpił w przebieg wypadku, jaki opowiedziała mu matka. Nigdy, do chwili pogrzebu doktora Granta.

Nie wiedział, czy sprawił to widok trumny z ciałem doktora, czy wyraz twarzy matki, kiedy patrzyła na Bertę, a potem jego ciche słowa: — Weź się w garść. Na Boga, zachowujesz się tak, jakby to Roy tam leżał. Chcesz, żeby ludzie pomyśleli, że mnie nie kochasz i że nadal wzdychasz do niego?

— Nadal go kocham — powiedziała Bobbi drżącym głosem, lecz nie na tyle cicho, by Keen nie usłyszał. A potem, z oczami błyszczącymi jasno za zasłoną łez, podniosła głowę w rzadkim akcie buntu i popatrzyła mężowi prosto w oczy. — Ty także powinieneś częściej o nim myśleć. To za jego pieniądze żyłeś przez wszystkie te lata.

Keen oczekiwał reakcji, lecz zupełnie nie takiej, jaka nastąpiła. Bert zwiesił głowę i zachichotał cicho, a potem objął ramiona żony, wyglądając w każdym calu jak bohater filmowy, pocieszający swoją kobietę i powiedział: — Roy nie zbudował Bar–Ber–Keen, Bobbi. Ja to zrobiłem. On tylko miał szczęście.

— Roy ciężko pracował — syknęła Bobbi. — Był ambitny i inteligentny i to zaprocentowało.

— Inteligentny? — zapytał Bert na tyle głośno, że ludzie stojący obok zaczęli się im przyglądać. Zniżył więc nieco głos i wyrzucił z siebie: — Tak, Bobbi, był naprawdę inteligentny.

Tak inteligentny, że nie miał na tyle rozumu, żeby zejść z linii strzału. A potem znowu ten gardłowy, zadowolony z siebie śmieszek. — Sprytny, jak cholera.

Bobbi nie odpowiedziała, siedziała nieruchomo, trzęsąc się i płacząc.

Gdy tylko wrócili do domu, Keen stanął przed matką i zapytał o tę rozmowę. Czy Bert chciał powiedzieć, że postrzelił jego ojca celowo?

Bobbi wydawała się zaszokowana takim przypuszczeniem.

— Oczywiście, że nie, Bo! Na pewno nie to chciał powiedzieć. Dlaczego miałby to robić, on uwielbiał swego brata. Roy był od niego tylko o jedenaście miesięcy starszy, ale dla Bertę był prawdziwym idolem. Ten wypadek zupełnie go załamał.

— Więc dlaczego powiedział dziś to, co powiedział? Zabrzmiało to tak, jakby przechwalał się, że go zabił.

— Nie, kochanie — powiedziała Bobbi z westchnieniem opadając na kanapę. — Na pewno nie miał niczego takiego na myśli.

— A potem spojrzęła na niego, uśmiechając się słabo. — Zaufaj mi, Bo. Bert nie zawsze jest miły, lecz musisz zrozumieć, że jemu także nie było lekko. Wyszłam za niego, kiedy mnie o to poprosił, Jęcz nikt tu nikogo nie oszukiwał. Powiedziałam mu, że jedyny mężczyzna, którego kochałam, leży pogrzebany tam, w bagnach. Takiemu mężczyźnie jak Bert niełatwo pogodzić się z tym, że żona nie kocha go tak, jak tego oczekuje.

A poza tym on wie, że ty też nigdy go nie kochałaś. — Oparła głowę na poduszce, pozwalając

sobie na jeszcze jedno długie, bolesne westchnienie. — Zawsze winiłam za to siebie. Byłeś zbyt mały, by pamiętać ojca. Może powinnam była pozwolić ci dorastać w przekonaniu, że Bert jest twoim prawdziwym ojcem, a nie stryjem i człowiekiem, który cię adoptował.

— I sądzisz, że to mogłoby sprawić, że on pokochałby mnie? — zapytał Keen, wychodząc z sypialni matki. Na schodach natknął się na Bertę.

— Twoja matka dalej oplakuje swoją utraconą miłość? — zapytał ojczym.

Keen popatrzył na niego uważnie. Matka myliła się. Nie miało znaczenia, czy Bert był jego biologicznym ojcem, czy nie. I tak by go znienawidził. Wpatrując się w czarne oczy Bertę, uśmiechnął się leniwie i powiedział powoli, tak by cały sens tego zuchwalstwa w pełni dotarł do ojczyma.

— Nie, sądzę, że oplakuje doktora Granta. Co do mnie, to zastanawiałem się, czy ktoś nie powinien powiedzieć Sooterowi Witcombowi o twojej skłonności do wypadków z bronią. A tak nawiasem mówiąc, byłeś w domu w zeszłą niedzielę rano, kiedy zginął doktor Grant?

Bert uniósł ramię, by uderzyć Keena, jak robił to już niezliczoną ilość razy w przeszłości, lecz tym razem Keen złapał go za nadgarstek.

— Już nigdy więcej, bękarcie. Ostatni raz mnie uderzyłeś. Jesteś tchórzem, który znęca się nad słabszymi, ale znoś to, ponieważ wiedziałem, że zrobiłeś sobie z niej worek treningowy. Ale ostrzegam cię, daj jej spokój, albo pewnego dnia możesz się przekonać, że ja też mam skłonności do wypadków z bronią.

— Nie groź mi, chłopcze — wybełkotał Bert.

Keen puścił jego nadgarstek i poszedł dalej w dół po schodach, nie zaszczycając go już ani jednym spojrzeniem. Czuł się dobrze. Do licha, czuł się wręcz wspaniale, lecz zaraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zaszkodził w ten sposób matce. Przez ostatnie cztery dni wyglądała na taką wyczerpaną i przygnębiającą. Prześladował go wyraz jej ściągniętej twarzy. Był prawie pewny, że Bert nie uderzył jej od tego czasu, lecz znał takich brutalnych tyranów. Nie zawsze posługiwali się pięściami. A co będzie w sierpniu, kiedy on znowu wyjedzie?

Keen popatrzył na Lindę i Lawrence'a Cassidy. Tak bardzo różnili się od jego rodziców. Poprzedniego wieczoru Blue opowiadała mu o nich, nazwała ich swoimi najlepszymi przyjaciółmi, tak że nawet poczuł przyływ zazdrości i jeszcze innego uczucia, daleko gorszego. Czy to w porządku, że próbuje wprowadzić ją do rodziny takiej jak jego? Dysfunkcyjnej. Tak właśnie nazywali to dzisiaj psychologowie. Bardzo stosownie. Być może oddałby Blue prawdziwą przysługę, gdyby usunął się z jej życia.

Kiedy w dwadzieścia minut później wszyscy zebrali się w sali gimnastycznej na poncz i ciasteczka, Ericka zaczęła rozglądać się za Carrie.

— Szukasz Bo? — spytała jej matka.

— Nie, pojechał odwiedzić matkę do domu. Powiedział, że wróci za pół godziny. Szukałam Carrie.

— Chyba wyszła na zewnątrz, żeby zrobić sobie zdjęcie — pospieszył żonie z pomocą Lawrence.

— Och.

Linda roześmiała się.

— No idź, poszukaj jej. Poczekamy tu na ciebie.

— Nie będzie wam przykro?

— Oczywiście, że nie — powiedziała matka, a ojciec poparł ją, mówiąc: — Prawdę mówiąc, przyda nam się trochę czasu dla siebie. Przygotowujemy nową książkę, której akcja rozgrywa się na uniwersytecie. Spróbujemy posłużyć się naszą wybujałą wyobraźnią i potraktować tę szkółkę jak kampus uniwersytecki.

— Mam nadzieję, że nie będzie to kolejny kryminał — powiedziała Ericka, tylko na poły żartując.

— Oboje już tak dawno bawicie się w detektywów, iż niemal zapomniałam, że jesteście pisarzami.

Oboje rodzice zaśmiali się, lecz nie odpowiedzieli.

— Przeczytaj książkę, to się dowiesz — powiedział tylko Lawrence.

Ericka przewróciła oczami, kierując się w stronę wyjścia, lecz kiedy tylko znalazła się na zewnątrz, beztroski wyraz jej twarzy znikł, gdy przypomniała sobie, jak posępny nastrój panował w jej domu przez ostatni tydzień. Rodzice bardzo przeżywali śmierć doktora Granta, ale nie tylko o to chodziło. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, zdawali się mieć przed nią jakieś sekrety i bardzo ją to martwiło. Obiecała sobie, że porozmawia z nimi po południu, zanim Bo po nią przyjedzie. Działo się coś dziwnego. Coś, co przejmowało ją lękiem.

Ktoś poklepał ją lekko palcami po plecach, sprawiając, że podskoczyła.

— Och, to ty, Petite, cześć — powiedziała, przyciskając rękę do piersi.

— Przepraszam, nie miałam zamiaru cię przestraszyć. Po prostu chciałam ci powiedzieć, że bardzo podobała mi się twoja mowa. Zwykle takie kawałki okropnie mnie nudzą i zaraz chce mi się spać, lecz ty naprawdę skłoniłaś mnie do myślenia. To było ekstra. To znaczy, dobre. To o lepieniu swojego jutra jak gliny. Naprawdę uważasz, że to możliwe... To znaczy, nawet jeśli ktoś nie jest taki mądry jak ty? Ericka uśmiechnęła się, a potem zaśmiała cicho pod nosem.

— O to właśnie chodzi, Petite. Każdy jest mądry na swój własny sposób. Wszystko, co musisz zrobić, to mądrze wybrać kierunek.

— Brzmi całkiem prosto — powiedziała Petite, marszcząc nos w akcie niedowierzania. — Chcę zostać fryzjerką. Nie jest to coś niemożliwego, zgoda, i nic szczególnie podniecającego, ale ja to lubię. Zajmowanie się włosami, makijażem i tym wszystkim sprawia mi wielką przyjemność. Jest twórcze, jak sztuka i dlatego tak to uwielbiam.

Wzruszyła ramionami. — Ale to nie jest nic wielkiego, jak budowa raket kosmicznych czy inne takie.

— Nieważne, jaki jest cel, Petite, dopóki pozostaje w proporcji do twoich uzdolnień. Wszyscy widzą, że masz wyczucie stylu. Jedyne, co musisz zrobić, to nie spuszczać oka z celu.

Spojrzała za dziewczynę i zobaczyła chłopaka, który stał, oparty o motocykl. Jego włosy, prawdopodobnie jasne, były tak brudne, że niemal nie dało się odróżnić koloru. Wydawał się być w wieku Bo, może nieco starszy, lecz Ericka była pewna, że to ktoś obcy. Była także pewna, że ani Bo, ani matka Petite nie wiedzą, że dziewczyna zadaje się z kimś takim jak ten facet.

— Nie możesz pozwolić, żeby coś lub ktoś zawrócił cię z drogi — powiedziała na zakończenie.

Petite spojrzała przez ramię i zaśmiała się krótko.

— Przez coś lub ktoś, rozumiesz takich facetów jak Mikę. Daj spokój, on jest w porządku. A poza tym nie pasuje do moich planów na przyszłość. To tylko facet, który przyjechał tu na tydzień z kumplami. Chodzę z nimi na imprezy, posłuchać muzyki, no wiesz.

— Nie wygląda na kogoś w twoim typie — powiedziała Ericka z wahaniem, starając się nie zranić uczuć młodszej dziewczyny.

— Nie, chciałaś powiedzieć, że nie wygląda jak ktoś w twoim typie albo w typie Bo. Ale to dokładnie mój typ.

— Dlaczego? Bo twoi rodzice nie zaakceptowałyby go?

— Właśnie. Jest tak różny od mojego staruszka, że równie dobrze mogliby pochodzić z innej planety. Mikę może nie wygląda jak rycerz na białym koniu lub jak mój brat, lecz nie jest taką kanalią jak mój stary.

Ericka domyśliła się, że jednak zraniła jej uczucia. Sięgnęła po dłoń dziewczyny i próbowała ją uścisnąć, ale Petite odsunęła się.

— Już dobrze, nie musisz mnie przeproszać. Jak już powiedziałam, ja także mam swoje marzenia i mam zamiar zapamiętać sobie, co mi powiedziałaś o skupieniu się na osiągnięciu celu. — A potem uśmiechnęła się, jak gdyby moment napięcia nigdy nie nastąpił. — A tak przy okazji, cieszę się, że jesteście blisko z Bo. On jest tak super, że aż dreszcz mnie przechodzi. Zasluguje na kogoś takiego, jak ty.

— Dzięki — powiedziała Ericka, zdumiona szybką zmianą nastroju dziewczyny. Czy Petite była naprawdę tak miła i nieskomplikowana, jak na to wyglądało, czy też była kameleonem, zmieniającym barwy, by uchronić się przed zranieniem?

Obserwowała, jak dziewczyna odchodzi, a potem wspina się na siodełko harleya, obejmując chłopaka w pasie. Kiedy motocykl z głośnym rykiem ruszył w dół ulicy, Petite uniosła rękę i pomachała Erice na pożegnanie. Ericka odwróciła się, kręcąc głową. Rodzina Bo jest naprawdę skomplikowana, pomyślała. Każde z nich tak bardzo różni się od pozostałych. Ericka nigdy nie знаła ludzi podobnych do nich. Większość znanych jej rodzin miała wspólne dążenia, cele i marzenia, Bohannonowie natomiast przypominali jej różne gatunki zwierząt, które kiedyś widziała w zoo w St. Louis. Byli rodziną tylko dlatego, że okoliczności złączyły ich ze sobą.

Petite Bohannon przypominała jedną z tych małpek szerokonosych. Malutką, lecz bystrą, ruchliwą i hałaśliwą. Bobbi przywodziła na myśl raczej fokę. Połyskliwą i elegancką, lecz usłużną — zawsze chętnie wykonującą sztuczki na komendę właściciela — i przyjacielską. Bert był z pewnością węzem, choć jej kojarzył się raczej z łasicą. A co z Bo? Uśmiechnęła się. To było proste. On był panterą. Ciemną, lśniącą, muskularną, inteligentną i tak bardzo przystojną.

Bohannonowie byli tak różni jak zwierzęta w zoo, łączyło ich tylko jedno — nienawiść do węża.

## ROZDZIAŁ 7

— Wychodzisz dziś wieczorem? — spytała Rhonda Grant. Aaron, który właśnie wciągał przez głowę podkoszulek, odwrócił się na dźwięk jej głosu. Nie wiedział, że tam stała.

— Tak... — powiedział.

— Nie wydaje mi się, żebym była w stanie zostać sama, Aaronie. Masz przecież całe wakacje, żeby spotykać się z przyjaciółmi. Nie mógłbyś umówić się z nimi na kiedy indziej?

Aaron oparł mocno dłonie o blat komody i powoli wciągnął powietrze. — Minał już tydzień, mamó. Nie oddalałem się od ciebie...

— To nieprawda. Poszedłeś na uroczystość wręczenia dyplomów dziś po południu.

— Nie skończyłem — powiedział powoli, starając się zachować cierpliwość. — Chciałem powiedzieć, z wyjątkiem jednej godziny dziś po południu. Potrzebuję trochę swobody, mamó. I ty chyba także.

— Ja miałabym potrzebować swobody? Po roku spędzonym samotnie, kiedy twój ojciec mnie porzucił?

Aaron wyprostował się i spojrzał na matkę, stojącą w drzwiach jego pokoju. W wieku czterdziestu siedmiu lat nadal była piękną kobietą, lub raczej mogłaby nią być, gdyby nie wyraz goryczy, który nieustannie gościł na jej twarzy.

— No właśnie. Ty i tata pozostawaliście w separacji przez prawie rok, a teraz zachowujesz się, jakbyś straciła mężczyznę, bez którego nie możesz żyć. No cóż, wydaje mi się, że dość dobrze obchodziłaś się bez niego, gdy jeszcze żył. Nie sądzę, żeby oczekiwał, że będziesz opłakiwała coś, co umarło na długo przed nim.

— Jak bardzo zaczynasz go przypominać — wycedziła przez zaciśnięte zęby.

— O, Jezu, mamó, daj sobie spokój, dobrze? W jednej chwili wyplakujesz sobie oczy, ponieważ mężczyzna, którego kochałaś, nie żyje, a w następnej już go obrazasz. I co tu jest prawdą?

Objęła ramionami swoją szczupłą, niemal płaską pierś, która zafalowała z oburzenia.

— A ty chcesz mi wmówić, że go kochałeś? O ile pamiętam, kiedy ostatnio przyjechałeś na przerwę semestralną, klóciliście się niemal bez przerwy.

— Ale w końcu się dogadaliśmy — powiedział Aaron spokojnie.

— Doprawdy? A może chciałeś iść z nim na ryby tego ranka, bo była to jeszcze jedna okazja, by go przekonać?

— Daj spokój, mamó. On nie żyje. Pozwól mu spocząć w spokoju. Porwał nylonową kurtkę, która wisiała na oparciu krzesła, minął matkę i wyszedł do holu. — I pozwól mi spokojnie żyć. Proszę.

Lecz Rhonda najwidoczniej nie miała takiego zamiaru. Szła za nim przez cały hol i wreszcie przy drzwiach zapytała:

— A co chciała ta Cassidy, kiedy zatelefonowała?

Aaron przystanął, ale odpowiadając nie odwrócił się do matki twarzą.

— To ja do nich zadzwoniłem. Chciałem podziękować Erice za te miłe słowa, które powiedziała dzisiaj na temat ojca. Pani Cassidy także chciała coś dodać od siebie. To bardzo uważająca kobieta.

— Zwłaszcza gdy chodzi o mojego męża — mruknęła Rhonda.

— Wszyscy o nich plotkowali.

— On jej tylko pomagał, mamó. — Aaron trzymał już rękę na klamce, lecz teraz zdjął ją i

mocno uderzył dłonią w drzwi.

— Na miłość boską, on nie żyje! Zostaw go w spokoju!

Rzucając za siebie te gniewne słowa odwrócił się i wtedy dostrzegł jej oczy, te niewiarygodne, jasnoszare oczy, które teraz znów napępniały się łzami.

— On był taki kochany i pełen współczucia dla wszystkich poza mną, Aaronie, lecz ja i tak go kochałam.

Aaron skapitulował. Wzdychając lekko, objął matkę i oparł brodę na czubku jej głowy.

— Kochał cię, lecz twoja zazdrość doprowadzała go do szalu. A poza tym miał dosyć nieprzejeđnany charakter i nie potrafił zmienić się tak, by zaspokoić twoje potrzeby i rozwiąć te nieustanne podejrzenia.

Łkała teraz, a jej drobna sylwetka drżała w jego ramionach, pogrążona w smutku.

— Nie mogę mu przebaczyć, że mnie porzucił, ale nie chciałam, żeby umierał.

— Wiem, mamó, wiem.

W nagłym ataku gniewu Rhonda zesztyniała w ramionach syna, a potem wyrwała się z jego objęć i powiedziała gwałtownie:

— Skąd mógłbyś wiedzieć? Jesteś taki jak on. Odmówiłeś mu jedynej rzeczy, o którą cię kiedykolwiek poprosił.

— No cóż, on jednak zwyciężył, prawda? Będę praktykował tu, w St. Joan, jak zawsze pragnał.

Rhonda roześmiała się, zaskakując go.

— I pewnie myślisz sobie, że będziesz mógł robić, co zechcesz, teraz, kiedy jego już nie ma?

— I widząc zaszokowany wyraz twarzy syna, dodała: — No, nie patrz na mnie w ten sposób. Jestem twoją matką. Czy naprawdę sądzisz, że nie wiedziałam, co sobie myślisz tego ranka, kiedy przyszedłeś powiedzieć mi, że go znalazłeś?

— Zwariowałam — wykrztusił.

— Naprawdę? A może prawda jest zbyt przykra, by stawić jej czoła? Ja to rozumiem, Aaronie. Sama także myślałam, że teraz wreszcie uwolnię się od niego, ale wygląda na to, że Jason jako duch ma nad nami jeszcze większą władzę, niż miał za życia.

\* \* \*

— Wyglądasz, niczym z obrazka — powiedziała Marylou Roberts, gdy córka weszła do jadalni. — Oczywiście, ty zawsze tak wyglądasz.

— Wystroiła się, żeby Brett chciał ją pocałować — powiedziała przekornie jedenastoletnia siostra Carrie, ściągając wargi w imitacji pocałunku.

— Odpuść sobie, Megan.

— Dokąd dziś wychodzicie? — spytał ojciec.

— Spotykamy się wszyscy w Buns, a potem pójdziemy potańczyć. Chyba nie wrócę do domu przed pierwszą.

— Nie zapomnij powiedzieć Erice, jak dobrze się dzisiaj spisała — powiedziała Marylou, dając po łapie swojej młodszej córce, która właśnie sięgała po herbatnik. — Pamiętaj o dobrym wychowaniu, Megan. Poproś, jeśli masz na coś ochotę.

— Mówiłaś to już Erice trzy razy, mamó — powiedziała Carrie. — Myślę, że do niej dotarło.

— Nigdy nie zaszkodzi powtórzyć komuś po raz kolejny, że dobrze wykonał swoją pracę — powiedziała Marylou lekko urażonym tonem. A potem jej twarz pojaśniała. — Pomyśl, jak często ja mówię ci, że ładnie wyglądasz i jakoś nie wydaje mi się, żebyś miała dosyć.

Carrie roześmiała się.



— To prawda, ale to dlatego, że niewiele mam innych zalet, w przeciwieństwie do Ericki. Nie jestem taka błyskotliwa jak ona.

— Nie musisz być błyskotliwa, Carrie Ann. Jesteś słodką, przyzwoitą dziewczyną, do tego najpiękniejszą w całym Missouri. I chodzisz z najprzystojniejszym chłopakiem.

— Myślę, że Cassidy'owie nie zgodziliby się z tobą. Wydawali się tacy dumni, kiedy Ericka stała dziś obok Keena.

— Uważam, że to był żenujący widok, kiedy tak wisiał na niej. Cieszę się, że Brett to taki dobrze wychowany chłopak. Przynajmniej nie muszę budzić się w nocy, jak ci Cassidy i zastanawiać się, czy nie zajdziesz w ciążę, lub coś takiego.

— Ależ mamo! — zaprotestowała Carrie. Jej dłoń nieświadomie powędrowała ku szyi, gdzie pocałunki Bretta zostawiły czerwony ślad. Całe ostatnie pół godziny spędziła, próbując zatuszować go makijażem. — Ericka nawet nie miała jeszcze stałego chłopaka!

Brian Roberts popatrzył gniewnie na żonę.

— To było nieładne, Marylou. Ericka jest miłą dziewczyną. I chyba oceniasz ją niesprawiedliwie, wyciągając przedwczesne wnioski tylko dlatego, że chłopak Bohannonów ją objął.

Marylou smarowała właśnie masłem herbatnik, po który sięgała jej młodsza córka. Rzuciła go na talerz Megan, po czym zaczęła odpierać zarzuty.

— Przecież nie twierdzę, że Ericka nie jest miłą dziewczyną. Wiecie, że ją podziwiam. Ale od tego się zwykle zaczyna. Pamiętam Cindy Rachwalski, gdy była malutka. Nie było słodsze dziecko. A potem zaczęła zadawać się z niewłaściwymi ludźmi i... — przerwała na dłuższą chwilę, spoglądając na Megan. — No cóż, sami wiecie. I doktor Grant, ten też...

— Doktor Grant? — zapytali chórem Carrie i jej ojciec, zaskoczeni.

— Daj spokój, Marylou — powiedział w końcu Brian. — Jason został zamordowany przez włamywacza., Gadanie, że zginął z powodu swego stylu życia to gruba przesada, nawet jak na ciebie.

— Może tak, a może nie. Gdyby nie wyprowadził się od Rhondy i nie zaczął spotykać się z innymi kobietami, pewnie żyłby do dziś. Nie wiemy na pewno, że został zabity przez kogoś, kto włamał się do niego, żeby go okraść.

Potrząsnęła głową, aż jasne loki zatańczyły wokół jej głowy, a potem dodała z przekonaniem:

— Prawdę mówiąc, im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że Pismo Święte mówi prawdę: „Zbierzesz to, co posiejesz”. Zapytaj tylko swego przyszłego pastora, jeżeli nie zgadzasz się ze mną, Carrie Ann.

Przyszły pastor mył właśnie twarz w łazience na piętrze, kiedy wszedł tam jego ojciec, zatraskując za sobą drzwi.

— I jak się ma mój ulubiony chłopak? — zapytał Jimmy Wayne Pearson.

Brett drgnął na dźwięk jego głosu, a potem jęknął z bólu i podskakując na jednej stopie usiłował jak najszybciej usunąć mydło z oczu.

Głęboki baryton Jimmy'ego Wayne'a rozbrzmiewał rozbawieniem.

— Jak zwykle bojaźliwy, niczym mały kotek.

Brett sięgnął po ręcznik, wytarł twarz, a potem wpatrzył się w ojca jednym okiem, gdyż drugie nadal go piekło.

— Gdzie mama i dzieciaki?

Uśmiech Jimmy'ego Wayne'a stawał się coraz szerszy, coraz bardziej szyderczy. Podrapał się po byczym karku, udając, że usiłuje sobie przypomnieć, gdzie też może być jego żona i młodsze dzieci.

— Nie bardzo pamiętam, gdzie jest mama. Dzieciaki bawią się za domem. Pomyślałem sobie

więc, że skorzystam z rzadkiej okazji i wejść na górę, żeby z tobą pogadać, zanim znowu gdzieś wyjdiesz. — Opuścił pokrywę sedesu i usiadł na niej.

— Masz randkę ze swoją ukochaną, co? Ile to już wieczorów w tym tygodniu? Cztery? Pięć?

Brett odwrócił się od niego, chwycił koszulę i szybko wciągnął ją na siebie. Nie chciał rozmawiać o Carrie z ojcem. W ogóle nie chciał z nim rozmawiać. Ale odmowa tylko odwlekała konfrontację, tak to już było. Zawsze tak było.

Jimmy Wayne Pearson lubił znęcać się nad słabszymi i był tyranem. Urodził się podłym człowiekiem, i umrze jako ktoś jeszcze podlejszy. Prawdę mówiąc, jedyną rzeczą, którą robił lepiej od znęcania się, było gadanie. Dlatego został wybrany burmistrzem. „Jimmy Wayne gadaniem wykreślił się od własnego pogrzebu”, zażartowała kiedyś jego matka. Jako dziecko przerażony Brett często modlił się, by matka nie miała racji. Wszyscy wiedzieli, jak on potrafi gadać, problem polegał na tym, że podły charakter i brutalność burmistrza pozostawały tajemnicą dla wszystkich, poza jego rodziną. Och, ludzie uważali go za sprytnego biznesmena. Mówili, że nie wie, co to litość i nawet nazywali go bandytą, nikt jednak nie podejrzewał, jak bardzo jest zdemoralizowany. Lecz Brett dobrze o tym wiedział. I wiedział jeszcze o Jimmym Wayne Pearsonie coś, co wstrząsnęłoby każdym spośród przyzwoitych obywateli St. Joan do głębi.

Palce trzęsły mu się, kiedy pospiesznie zapinał koszulę i odpowiadał na pytanie ojca.

— Spotkałem się z nią pięć razy, odkąd jestem w domu. — Przelykając szybko odwrócił się do ojca i z trudem przywołał na twarz uśmiech. — Jesteśmy w sobie zakochani, ojczu. Nigdy nie mamy siebie dosyć.

— Czego konkretnie nie macie dosyć? — powiedział tyran, uśmiechając się złośliwie.

Brett poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach.

— Mam zamiar zostać pastorem za rok, tato.

— A to dobre, nie uważasz, mój chłopak jako wielebny Pearson.

Brett właśnie z trudem poszukiwał stosownej odpowiedzi, kiedy dobiegający z dołu głos matki wybawił go z opresji.

— Jimmy Wayne? Brett? Gdzie jesteście? Obiad podany. Słyszycie mnie?

— Już idziemy, mamó! — zawołał Brett z ulgą. A potem dodał, zwracając się do ojca: — Lepiej nie dajmy jej czekać, bo maluchy zaczną walić w stół, żeby dostać swój obiad.

— Tak, przypuszczam, że masz rację — powiedział Jimmy Wayne, unosząc z sedesu swój niemały ciężar.

Brett otworzył szeroko drzwi, z trudem powstrzymując się, by nie uciec pędem, zamiast dotrzymać ojcu kroku.

— Pomyślałem sobie, że może moglibyśmy pojechać jutro na ryby. Wiesz, tylko my dwaj, jak za dawnych czasów.

— Przykro mi, jutro nie mogę. Obiecałem, że pomogę wielebnemu Rosę przygotować kaplicę do niedzielnej mszy. Dałem mu słowo, że przyjdę.

Jimmy Wayne potrząsnął głową.

— Jestem naprawdę rozczarowany, chłopcze. — Wzruszył ramionami: — No cóż, może kiedy indziej. — W połowie schodów zatrzymał się, jakby jakiś pomysł przyszedł mu nagle do głowy. — To może poczekam na ciebie dziś wieczorem. Moglibyśmy urządzić sobie we dwójkę małe męskie spotkanie, tak jak to bywało, zanim wyjechałeś do szkoły. Mężczyzna czuje się samotny bez swego pierworodnego. I co ty na to?

— Pewnie wrócę bardzo późno, tato. Prawdę mówiąc, raczej na pewno, skoro dziś wieczór maturalny Carrie.

— No tak, zapomniałem, że dziś jest ten wielki dzień. — Uśmiechnął się do syna i poklepał go po ramieniu. — No cóż, innym razem. Ale uważajcie na siebie dzieciaki, dobrze? To nie są

bezpieczne czasy. Wiesz, ludzie giną tu ostatnio jak muchy.

Co za szkoda, że nie ma ciebie wśród nich, pomyślał Brett. Jego ręce znowu zaczęły drżeć, tym razem na samą myśl o tej uwadze. Wecisnął je w kieszenie i mocno zacisnął powieki.

— Mydło dalej szczypie cię w oczy, chłopcze?

Brett otworzył oczy, potrząsnął głową i uśmiechnął się.

— Nie, pomyślałem tylko o tych morderstwach, o których wspomniałeś. To straszne. Tak mi ich żal.

Śmiech Jimmy'ego Wayne'a rozbrzmiewał echem wokół nich.

— Jak już powiedziałem, Brett, zawsze byłeś mięczakiem. Czuj ojca swego, napomniał się Brett po cichu. Powtarzał to przykazanie podczas obiadu, a potem przez całą drogę do domu Carrie.

\* \* \*

— Hej, Junior — powiedział Scooter, wychodząc z garażu ze śpiworem na ramieniu. — Możesz wziąć mój samochód, nie będę go potrzebował.

Junior złapał kluczyki, które ojciec do niego rzucił, mruczając pod nosem podziękowanie.

— Wychodzisz dziś z Sally Jane?

— Tak — odparł Junior, wręczając ojcu przybory wędkarskie.

— Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił. To naprawdę ostra dziewczyna, do tego całkiem do rzeczy. Nawet jeżeli nic więcej się nie wydarzy, możesz siedzieć tam i przez cały wieczór gapić się na jej kształty.

— Nie wszyscy myślą tylko o seksie, tato. Sally Jane i ja jesteśmy bardziej kumplami, niż kimkolwiek innym.

Scooter przerwał na chwilę robotę. Słyszał oskarżenie w głosie swego syna, bardziej wyczuwalne nawet w tonie niż w słowach, którymi się posłużył. Postanowił nie zwracać na to uwagi. A zresztą, cóż mógłby powiedzieć?

— Tak czy inaczej, baw się dobrze, tylko nie trzymaj jej zbyt długo wieczorem. Sprawy tak się potoczyły, że ostatnio nikt nie jest bezpieczny nocą. Musisz o tym pamiętać, zwłaszcza teraz, kiedy zostałeś prawdziwym oficerem policji.

— Tak, chyba tak. Chociaż domyślam, się, że trochę to potrwa, zanim pozwolisz mi zająć się czymś poważniejszym niż wlepianie mandatów albo kierowanie ruchem podczas parady.

Scooter zatrzasnął drzwi garażu, a potem obszedł samochód dookoła.

— Musisz się jeszcze wiele nauczyć, a na to potrzeba czasu.

— A potem będę mógł rozwiązywać prawdziwe zagadki kryminalne, co, tato?

Ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

— To nie takie proste, synu — powiedział Scooter, czując, jak z powodu oskarżycielskiego tonu syna ściska mu się żołądek. — Żeby rozwiązać zagadkę morderstwa, trzeba postępować stopniowo. Najpierw zebrać dowody. Jeżeli jest ich mało, zadanie staje się trudniejsze.

— Wygląda na to, że trafił ci się wyjątkowo przebiegły morderca.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Scooter, poddając się. Udawanie, że pomiędzy nim a Juniorem wszystko jest w porządku, nie miało sensu. Bo nie było, od kiedy Junior zobaczył go z Bunny.

— Nic. To, co powiedziałem. Nie rozwiązałeś żadnego z tych morderstw. To musi być naprawdę sprytny gość. Może więcej niż jeden. Boja wiem, jaki ty jesteś sprytny. Wstajesz tak wcześnie rano, żeby szybko mieć wszystko za sobą. Może ten morderca też rozumuje jak policjant?

Scooter rozpoznał wyzwanie, widoczne w tonie chłopca i w jego błyszczących oczach, lecz zlekceważył je.

— Do zobaczenia, chłopcze. Nie jedź zbyt szybko, bo w mieście pełno jest turystów. Jeżeli wpadniesz w kłopoty, dzwoń do Waylina. — Roześmiał się. — Albo wyciągnij własną odznakę. Jesteś teraz jednym z nas.

— No cóż, sprawdźmy, co ten kot znowu przywłókł — powiedziała Sally Jane, otwierając frontowe drzwi. — Myślałam, że to Junior — powiedziała do ojca, który właśnie wrócił do domu po trzydniowej wyprawie do Little Rock.

Clemens Matthers zmarszczył brwi.

— Znów z nim wychodzisz?

— Nie zaczynaj od nowa, tato. Junior to miły chłopak. Dobrze się razem bawimy.

— To kmiotek. Prostack. Dlaczego nie znajdziesz sobie kogoś, kto miałby pod sufitem co najmniej tyle, co ty — powiedział, stukając się w czoło palcem. — Jesteś zbyt bystra dla takich jak Junior Witcomb. Do licha, on jest taki sam jak jego ojciec.

Sally odwróciła się od drzwi z głośnym westchnieniem.

— Mnie także miło cię widzieć, tato. Tak, miałam się dobrze. Interesy idą doskonale. Pogoda? Och, pogoda po prostu wspaniała. Nie, nie miałam żadnego problemu z załatwieniem tego faksu, który mi przysłałeś. Zobaczmy... Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? O, tak, pogrzeb doktora Granta był piękny. Tragiczny, lecz piękny. Przekazałam twoje wyrazy współczucia wdowie i synowi.

— Spryciara — powiedział Clemens, śmiejąc się z uznaniem. — Przepraszam, że już od progu tak na ciebie napadłem. Chyba po prostu martwiłem się o ciebie. Objął ją ramieniem i poprowadził do swego gabinetu. — Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie powinniśmy przenieść naszej kwatery głównej do jakiegoś większego miasta, gdzie mogłabyś poznać właściwych ludzi. Tu i tak przejeżdżaliśmy już wszystkie dobre inwestycje.

— Podoba mi się tutaj. Przecież już o tym rozmawialiśmy. A poza tym nigdy nie uda ci się przechrzyć ludzi z miasta tak, jak zrobiłeś to z tymi wieśniakami. Sally Jane wcale tak nie uważała, powiedziała to, aby zawstydzić ojca. Robiła tak często, ale nigdy nie udawało jej się osiągnąć celu. Westchnęła.

No cóż, z niektórymi ludźmi to nigdy się nie udaje, bez względu na to, jak się człowiek stara, pomyślała, przesuwając dłonią po rękawie jego marynarki od Armaniego.

— Chyba masz rację — powiedział Clemens, odsuwając się, by zapaść w jeden z bliźniaczych foteli, pokrytych skórą w kolorze burgunda. — Jestem wykończony. Czy mogłabyś przygotować mi manhattan, kochanie?

Sally Jane podeszła do barku i zapytała:

— Masz zamiar zostać na dłużej?

— Na kilka tygodni. Potem muszę pojechać do Nashville. Chciałabyś pojechać ze mną?

— Co takiego? I stracić zabawę z przyjaciółmi przez całe lato?

— Przyjaciółmi, ha! Co roku jest to ktoś nowy. Ostatnio były...

— Nawet mi nie wspominaj — powiedziała Sally Jane, czując, jak robi jej się gorąco. Nadal nie mogła utrzymać na wodzy emocji, kiedy ktoś wspominał przy niej Cindy i Bunny, dziewczęta, z którymi zaprzyjaźniła się w zeszłym roku. Nadal za nimi tęskniła, tęskniła za tym, czego ją nauczyły, poza sekretnymi przyjemnościami, które dzięki nim poznała. Ale... wzdygnęła się. Nie, nie będzie już o nich myślała. Zajęła się wszystkim. Usunęła wszystkie dowody ich przyjaźni. Jeżeli będzie miała szczęście, nikt nigdy nie przypomni sobie, że się z nimi w ogóle przyjaźniła. Ojciec przywołał ją z powrotem do rzeczywistości.

— Przepraszam, co mówiłeś?

— Pytałem, kto tam jeszcze będzie.

— Och, Pam i Aaron, Carrie i Brett, Ericka i Bo. Pójdziemy potańczyć.

— No, to już lepiej. Z nimi będziesz bezpieczniejsza. Może tak, a może nie, pomyślała Sally Jane, wrzucając wiśnię do koktajlu ojca. Jedno z nich może okazać się moją zgubą.

— I dokąd to się wybierasz, taki odstawiony? — zawołał Bert do swego syna.

Keen zatrzymał się, sztywniejąc na dźwięk tego nazbyt donośnego głosu. Jego ojciec musiał być pewny, że wszyscy w hotelu słyszą, że mówi do swego syna. Musiał udowodnić swój autorytet, pokazać swoją siłę. Dupek.

— Zadałem ci pytanie, Keen. Dokąd się wybierasz?

— Wychodzę z przyjaciółmi.

Bert wyszedł z obszernego holu i stanął naprzeciw syna, blokując mu przejście. Wbił dłonie w kieszenie swych spodni z zakładkami i kołysał się na obcasach.

Najbardziej wymuskany hotelowy baron na zachód od Missisipi. Dupek.

— Znowu na randkę z tą damulką?

Keen zacisnął szczęki, lecz starał się za wszelką cenę zachować spokój. Ostatnią rzeczą, której dziś potrzebował, była awantura z tym kutasem, którego poślubiła jego matka.

— Jeżeli masz na myśli Ericę, to tak, umówiliśmy się z przyjaciółmi.

Bert wyciągnął rękę, by szarpnąć za jedną z klap sportowej marynarki Keena.

— Więc dokąd idziesz taki wystrojony?

— Do Alley. Ericka nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat. Żadna z dziewcząt nie ma, a to jedyny klub w mieście, do którego wpuszczają nieletnich.

— Och, prawda, panna mówczyni dostała dziś dyplom, czyż nie?

— Tak, wygłosiła wspaniałą mowę. Powinieneś tam być.

— Ha! Nie potrzebuję słuchać gadania jakiejś zarozumiałej Jankeski. — Roześmiał się. — Na pewno nie zajmie jej wiele czasu przekonanie się, że jesteś tylko cajuńskim gnojkiem, który nie jest jej wart. I kiedy puści cię kantem, przyjdź porozmawiać ze swoim staruszkiem. Umówię cię z jakąś odpowiednią kobietą. Taką jak twoja matka.

— Taką, którą będę mógł tłuc, kiedy zechcę? I tyranizować? Nie, dzięki.

— Ty mały śmieciu. Powinienem odebrać ci klucze, żebyś odmroził sobie tyłek na dworze. To, że jesteś dorosły, nie znaczy, że nie mogę powiedzieć ci tego czy owego albo...

— Ooo, ależ właśnie, że znaczy. Nie masz władzy nade mną, ani nad moimi pieniędzmi. Mój tata zostawił mi moje własne pieniądze, których nie możesz tknąć. Mieszkam tu tylko ze względu na mamę i Petite. — Przynął się o krok bliżej, górując nad ojcem i ciesząc się swoją przewagą. — I módl się, żeby nigdy nie znudziło im się to, jak się z nimi obchodzisz, bo wtedy nie będę miał żadnego powodu, by nie rozgłosić wszem i wobec, w jaki sposób zdobyłeś swoje pieniądze.

Bert zachichotał, przeciągając dłonią po swoich tłustych czarnych włosach. Rolex na jego rękę zamigotał złotem, podobnie jak gruby złoty łańcuch, opinający mu szyję.

— No cóż, Keen, mogłoby ci się nie udać, jako że wtedy ja też wystąpiłbym z pewnymi oskarżeniami. — Popukał w pierś młodszego mężczyzny swoim doskonale wymanikiowanym paznokciem. — Scooter Witcomb jeszcze nie zorientował się, że tamte trzy morderstwa wydarzyły się, kiedy wy, dzieciaki, byliście tu podczas ferii wiosennych. On cały czas podejrzewa tylko turystów. Może ma rację, ale Jase znów został zamordowany tego samego wieczoru, kiedy wy wróciliście do domu na wakacje. Nie wiem, gdzie byli twoi kumple, chłopcze, ale wiem, gdzie ciebie nie było. Nie było cię w domu podczas tych nocy.

— Zwariowałeś! Po co miałbym zabijać kogokolwiek z nich? Nawet ich nie znałem, poza doktorem Grantem.

— To ty tak twierdzisz.

— Udowodnij, że jest inaczej.

Bert zachichotał głośniej.

— Masz rację, nie mogę udowodnić niczego, tak jak i ty nie możesz. Lecz mogę zniszczyć ci reputację, jeżeli zacznę rozsiewać plotki. Dla młodego prawnika reputacja to ważna rzecz. — Poklepał syna po ramieniu. — A zatem mamy tu do czynienia z pewnym impasem, jak wy to mawiacie w tym wyszukany prawniczym slangu.

— Dupek — mruknął Keen pod nosem.

Tym razem Bert zaśmiał się na tyle głośno, że głowy gości zaczęły odwracać się w ich stronę.

— Zabawny z siebie chłopak, Keen. I wiesz co, twojego ojca też tak zawsze nazywałem. — A widząc, że Keen zaciska pięści, dodał: — Pilnuj się, chłopcze. Ludzie są dzisiaj cokolwiek przewrażliwieni. Lepiej nie pokazywać im, jak gwałtowny masz charakter, bo mogliby zacząć zastanawiać się nad tym, w jak bardzo brutalny sposób została zamordowana ta trójka, gdy ty akurat byłeś w domu.

Ericka stanęła w drzwiach gabinetu rodziców. Uśmiechnęła się. Uwielbiała obserwować ich, gdy byli razem. Tak dobrze czuli się z sobą. Tak swobodnie i bez skrepowania.

Przysunęli krzesła blisko siebie, a matka wsunęła stopy pod poduszkę na krześle ojca. Miała na sobie tylko długi podkoszulek i kiedy tak siedziała, z ugiętymi i lekko rozsuniętymi kolanami, ojciec musiał mieć całkiem niezły widok.

— Lepiej włoż jakieś majtki, mamó. Bo zaraz tu będzie.

— Podaj mi je, kochanie — powiedziała Linda, wskazując na sofę, gdzie porzuciła je kilka godzin wcześniej.

Ericka rzuciła jej majtki na kolana, a potem oparła się o krzesło matki i zapytała:

— Nad czym pracujecie? Jakaś nowa książka?

— W pewnym sensie — powiedział Lawrence, zerkając sponad swoich podwójnych okularów. — Właśnie skończyliśmy przesłuchiwać taśmy, które twoja mama nagrała z doktorem Grantem, kiedy widziała się z nim po raz ostatni. Zrobiliśmy trochę notatek.

— O, nie, znowu jakiś kryminał. Dlaczego nie pisujecie romansów? Nienawidzę całej tej krwi i innych okropności w waszych książkach.

— Niestety, romanse rzadko pokazują prawdziwe życie, a obawiam się, że my jesteśmy aż nadto zakotwiczeni w rzeczywistości.

— No to napiszcie autobiografię — droczyła się z nimi Ericka. — Mogłaby okazać się bardziej pikantna niż niejeden romans.

Jej rodzice roześmieli się z uznaniem.

— No dobrze, idę na górę wyszczotkować włosy. Uważajcie na dzwonek.

W dziesięć minut później była już z powrotem na dole. Słyszając ożywione głosy rodziców, dobiegające z gabinetu postanowiła, że nie będzie im więcej przeszkadzać, usadowiła się więc w pobliżu holu wejściowego, by czekać na Bo.

— Wiem, że Jason nie był pewien swoich podejrzeń — usłyszała głos matki. — Lecz jeśli był na właściwym tropie? Jeśli powiedział o tym jeszcze komuś i ten ktoś go zabił?

— Jestem pewien, że Scooter go odnajdzie.

— Jak? Wiesz, że Jason powiedział mi, że nie wybierze się do szeryfa, póki nie będzie miał więcej dowodów. Uważam, że jesteśmy mu to winni, żeby przynajmniej zapytać Scootera, czy jeden z jego butów zniknął, tak jak w pozostałych przypadkach. To mogłoby potwierdzić albo obalić moją teorię. Słuchałeś tej taśmy, Lawrence. Jason mógł sobie mówić, że nie jest pewien, lecz moim zdaniem, wydawał się zupełnie przekonany, że się nie myli.

— Miał listę podejrzanych, i moim zdaniem, sporządził ją jedynie na podstawie domysłów, niczego więcej. Nie możemy

tak po prostu wręczyć szeryfowi listy, bo mogłoby to zrujnować życie kilkorgu niewinnym

ludziom. To poważna sprawa, kochanie.

— Wiem, że to poważna sprawa, Lawrence, Ale wiem także, że nasza córka jest gdzieś na zewnątrz...

— Nie słyszeliśmy, jak zesłałaś, Ericko — powiedział nagle Lawrence, przerywając żonie i ucinając skutecznie, cokolwiek miała zamiar powiedzieć.

— Najwidoczniej — powiedziała, obchodząc krzesło matki, by spojrzeć na nich oboje. Oboje mieli wypisane na twarzy takie poczucie winy, że chyba roześmiałyby się, gdyby nie okropność tego, co podsłuchała.

— Sądzicie, że wiecie, kto zabił Cindy i innych, może nawet doktora Granta, i nie powiedzieliście mi?

— Nie! Nie uważamy, że wiemy, kto — powiedział ojciec. — My tylko mamy pewne podejrzenia, i do tego niewystarczające, by pójść z nimi do szeryfa. To ostatnie było skierowane do żony raczej niż do córki. — Ale, Ericka, musisz nam obiecać, że nie będziesz z nikim o tym rozmawiać. To nie jest jedna z naszych ksiązek. To rzeczywistość.

— A co z tymi butami? Nigdy nie słyszałam nic o żadnych butach.

— Nie o butach, kochanie. O bucie. Zabójca za każdym razem zabierał jeden but ofiary. Doktor Grant dowiedział się tego poufnie, od koronera, który przeprowadzał autopsje. Prawdę mówiąc, to właśnie on zauważył, że Bunny Apperson zginął jeden but.

— Lecz doktor Grant prawdopodobnie nie powinien był mówić o tym nawet twojej matce — wtrącił Lawrence.

— Może i nie, lecz skoro już o tym wiemy, możemy przypomnieć o tym Scooterowi i sami przekonać się, czy doktorowi Grantowi także zabrano jeden but. I wtedy wreszcie przekonamy się, czy to ten sam zabójca, czy też włamywacz, jak usiłują nam wmówić.

Ericka opadła na otomanę ojca, przesuniętą na bok, by można było przystawić bliżej krzesło Lindy.

— No cóż, i tak nie będziecie mogli porozmawiać dzisiaj ze Scooterem. Pojechał na ryby i pewnie nie wróci przed niedzielą, o ile nie wydarzy się coś naprawdę strasznego.

— A zatem pytanie: powiedzieć mu czy nie, pozostaje bezprzedmiotowe, przynajmniej na razie — stwierdził Lawrence z zadowoleniem.

Linda pokazała mężowi język, a potem zwróciła się do Ericki:

— Na pewno byśmy ci powiedzieli, kochanie, lecz sami nie jesteśmy niczego pewni. Wszystko, co mamy, to kilka portretów psychologicznych, które sporządziliśmy z Jasonem i ta sprawa z butami.

— Wspomniałaś o nazwiskach.

— Jason wspomniał o dwóch czy trzech osobach, które odpowiadałyby tej charakterystyce, ale ani twój ojciec, ani ja nie mamy zamiaru wskazywać nikogo palcem. Chcemy po prostu podzielić się kilkoma informacjami, które razem przedyskutowaliśmy i przypomnieć Scooterowi o tych brakujących butach.

— Czy na tej liście jest też nazwisko Bo? — spytała Ericka spokojnie.

— Bo? Dobry Boże, oczywiście, że nie! — powiedział Lawrence, spoglądając na żonę pytająco.

Linda zaczerwieniła się lekko.

— To moja wina, Lawrence, opowiedziałam jej o scenie, która miała miejsce między Bo a jego ojcem w klubie. Ale, Ericko, nie uważam Bo nawet za potencjalnie podejrzanego. W porządku?

Ericka odetchnęła z widoczną ulgą.

— W porządku.

Rozległ się dźwięk dzwonka.

— O wilku mowa — powiedział Lawrence, rechocząc cichutko.

— On nie jest wilkiem — powiedziała Ericka, zrywając się na równe nogi.

— No nie wiem, chodzisz ostatnio jak zaczarowana. Zwykłemu chłopakowi nigdy jakoś nie udało się tego dokonać.

— To się nazywa miłość, tato. Mamo, przypomnij mu.

— Z przyjemnością.

Ericka śmiała się jeszcze, otwierając drzwi.

— Co cię tak rozbawiło? — spytał Bo, wchodząc do holu.

— Nic takiego, to tylko moi rodzice znów zachowują się jak dzieci.

— No, to nic dziwnego, że jesteś taka radosna. Masz dobry przykład w domu.

Ericka roześmiała się ponownie, lecz kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła, że dobry nastrój Bo nie znajduje odbicia w jego spojrzeniu.

— Coś nie tak?

— A co mogłoby być nie tak, kiedy mam randkę z najpiękniejszą dziewczyną w St. Joan? Uśmiechnęła się, podeszła o krok bliżej, objęła go ramieniem za szyję i pocałowała.

— Chyba masz rację.

— Gotowa do wyjścia?

— Tylko pożegniam się z tą dwójką małałów w sąsiednim pokoju.

— Może ja powiniennem się z nimi przywitać, co?

Gdy weszli do biura, Linda siedziała na kolanach Lawrence'a.

— A nie mówiłam ci? — spytała Ericka ze śmiechem.

— Aaa, znowu nas obgadywała — powiedział Lawrence.

— Cześć, Bo — powiedziała Linda, próbując ześliznąć się z kolan męża.

— Nie wstawaj, mamo. Już wychodzimy, chciałam ci tylko powiedzieć dobranoc. Chyba nie wrócę zbyt wcześnie.

— No cóż, baw się dobrze — powiedziała jej matka, a potem zwróciła się do Bo: — Tylko nie jedźcie zbyt szybko.

— O rany, czy któremukolwiek dziecku kiedykolwiek udało się uniknąć tej przemowy, odkąd wynaleziono rydwany? — Ericka przewróciła oczami.

— Wiadomo, że rodzice się martwią. To jeden z naszych obowiązków — stwierdziła Linda, udając powagę.

— Ale wy martwicie się bez potrzeby. Gdybyście przestali zajmować się morderstwami i wrócili do romansów, na pewno dobrze by to wam zrobiło.

— Ty zrób to samo. Zapomnij, o czym rozmawialiśmy i myśl tylko o tym przystojnym młodym człowieku — powiedział Lawrence, na pozór żartobliwie, lecz w jego tonie Ericka wyczuła odcień powagi, który nie uszedł jej uwagi.

— Czyżby coś mi umknęło? — zapytał Bo.

— Nic a nic, wierz mi. To tylko takie ponure gadanie ludzi o zbyt wybujałej wyobraźni. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, ile razy po przeczytaniu którejś z ich książek śniły mi się krwawe koszmary.

— To dla mnie zbyt przygnębiające — powiedział Bo, położył dłoń na smukłych plecach Ericki i wymanewrował ją z pokoju, machając na pożegnanie drugą dłonią. — Zamknijcie dobrze drzwi, ludzie, żeby wasze strachy nie wśliznęły się do środka i nie dopadły was.



## ROZDZIAŁ 8

— Cześć, cześć, widzę że reszta bandy przybyła — powiedział Junior, kiedy ostatnia para z ich ósemki wysiadła z corvetty Bo. — Gdzie się, u diabła, podziewaliście? Od dawna czekamy, żeby wyruszyć do klubu. — Zaczął naśladować jeden z modnych tańców, obracając się i wirując po patio barku, gdzie się spotkali. — Do roboty! Nie chcecie spróbować? Bo i Ericka roześmieli się.

— Chcesz hamburgera albo coś innego, zanim pójdziemy? — zapytał Ericę Bo.

— Nie, nie jestem głodna.

— No to do dzieła — powiedziała Pam, zrywając się z betonowej ławy i zatrzymując się tylko na chwilę, by Aaron do niej dołączył.

— Zostawiamy samochody tutaj, czy przejedziemy jeszcze te trzy przecznice? — zapytał młody lekarz.

— Zostawiamy! — krzyknęli unisono Junior i Sally Jane. W dziesięć minut później siedzieli już w Alley, miejscu spotkań wszystkich nastolatków w St. Joan.

— Myślałem, że tu już będzie się coś działo — poskarżył się Junior, wybijając paznokciami na stole rytm piosenki, którą słyszał tylko on.

— Zespół zacznie grać za pół godziny i wtedy zrobi się tłoczno — powiedział Bo. — A tymczasem może byśmy coś zamówili? Piwo dla panów, woda mineralna dla dam?

— Och, nazwał nas damami — powiedziała Pam, przyciskając dłoń do serca, by powstrzymać jego rzekome drżenie. — No cóż, jak to mówią, od czasu do czasu każdy może dać się nabrać, ale byłego małolata można nabrać zawsze.

— Sprytne — powiedział Bo, obejmując Ericę za szyję i przyciągając ją bliżej siebie. — A co z tobą, Blue? Chcesz być moją damą?

— Tak jest, proszę pana! — odparła z entuzjazmem, wynagradzając go szybkim pocałunkiem. Ulżyło jej, że jego nastrój wreszcie zdawał się poprawiać. Kiedy odjechali spod domu jej rodziców, był milczący i niekomunikatywny, a kiedy próbowała dowiedzieć się, co go martwi, powiedział, że nie ma zbyt wielkiej ochoty bawić się dziś z resztą przyjaciół. Wówczas zaproponowała, że mogą zmienić plany, iść do kina lub gdzie indziej, lecz on nalegał, by jednak pojechali do Alley, bo to przecież jej święto. A teraz najwidoczniej znów dobrze się bawił. Naprawdę jej ulżyło.

— A więc, Carrie, powiedz Bo i Ericę, o czym mówiliśmy, zanim przyszli — powiedziała Sally Jane.

— Mój tata zdobył kilka biletów na niedzielny mecz Royals w Kansas City. Pomyślałam, że moglibyśmy pojechać tam razem. Wszyscy już się zgodzili. Chcecie pojechać?

— Brzmi zachęcająco — powiedział Bo. — A ty jak myślisz, Blue?

— Nie wiem, fajnie byłoby pojechać, ale muszę zapytać rodziców.

Carrie przewróciła oczami.

— Tak, jakby twoi rodzice mogli się nie zgodzić, i to nie mrugnawszy nawet okiem. Czy kiedykolwiek czegoś ci zabronili? Daj spokój, Ericka. Jesteś najbardziej rozpieszczoną, zepsutą dziewczyną, jaką znam.

— To prawda — zgodziła się Ericka potulnie. — Ale ostatnio są mocno zaniepokojeni, więc lepiej zapytam ich, zanim do czegoś się zobowiązę.

— Czy coś się stało? — spytał Aaron.

— Nie mów mi! — powiedziała Carrie. — Czyżby wydawca odrzucił tę książkę o St. Joan?

Erica zrobiło się przykro z powodu niezrozumiałego uporu, z jakim przyjaciółka czepiała się ostatniej książki jej rodziców, lecz odsunęła to uczucie od siebie.

— Nie, to nie ma nic wspólnego z książką.

— Więc czym mogliby się tak denerwować? — spytała Pam.

— Są nieprzyzwoicie bogaci i po dwudziestu latach nadal tak zakochani, że aż mnie mdli, a ich córka jest najpiękniejszą absolwentką, jaką kiedykolwiek miała ta szkoła.

Erica roześmiała się, przygryzając dolną wargę. Obiecała im, że niczego nie powie.

— To nic takiego.

— Nic takiego? Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że twoi rodzice denerwują się bez powodu, Ericka — nalegał Brett wcale nie tak znów delikatnie.

Carrie wtrąciła się znowu.

— Zgadzam się. Twoi rodzice są zbyt spokojni. Rzeczy, które moich absolutnie by zaszokowały, ich wcale nie ruszają.

— Masz rację, ale te morderstwa zupełnie wytrąciły ich z równowagi — przyznała, a potem, napotkawszy spojrzenie Aarona, zaczerwieniła się. — Och, przepraszam, cię, Aaron. To było nietaktowne z mojej strony.

— Nie, wszystko w porządku. Mój tata też się nimi przejmował. Na pewno nie spodziewał się, że będzie następny.

— Jezu — powiedziała Carrie. — Mówisz tak, jakby on był jeszcze jedną ofiarą tego tajemniczego łowcy. A nie był, prawda? — zwróciła się do Juniora.

— Nie wiem. Mój tata niczego takiego mi nie powiedział. O ile wiem, uważa, że było tak, jak mówią w radiu i telewizji i że zrobił to włamywacz, który spanikował.

— Jakkolwiek by było, i tak opuszczamy St. Joan — zauważyła Sally Jane, najbardziej praktycznie myśląca osoba spośród nich. — I oddaliśmy się od dużego, złego mordercy.

— Zapytam ich — powiedziała Ericka, odwracając wzrok w nadziei, że jej przyjaciele porzucą wreszcie niewygodny temat.

— Czy twoi rodzice wiedzą coś, czego my nie wiemy? — nalegał Aaron.

— Nie — powiedziała szybko, zbyt szybko. Nikt się nie odezwał. Wszyscy siedzieli w milczeniu, wpatrując się w nią i czekając. Nie uwierzyli jej.

— Naprawdę niczego nie wiedzą. Tak jak wszyscy inni szukają odpowiedzi i wymyślają różne teorie.

— Jakie teorie? — naciskał Aaron, a jego zielone oczy błyszczały z napięcia. — Daj spokój, Ericka, on był moim ojcem. Jeżeli twoi rodzice sądzą, że coś wiedzą, powinni mi o tym powiedzieć.

Ericka poczuła, że zaraz się rozplacze. Dała rodzicom słowo, że nie powie nikomu o tym, co podsłuchała. Ale to byli jej przyjaciele. A co ważniejsze, poza Carrie, to byli jej nowi przyjaciele, którzy zaakceptowali ją ostatnio, ponieważ chodziła z najbardziej popularnym facetem w St. Joan. Lubiła ich. Ufała im. Wzruszyła ramionami w akcie kapitulacji, a potem powiedziała:

— Nie wiedzą niczego na pewno. Tylko tyle, że doktor Grant ustalił pewien portret psychologiczny, który, jak myślał, może być portretem mordercy. Martwią się, że skoro powiedział o tym im, mógł także powiedzieć komu innemu. Komuś niewłaściwemu.

— Na przykład mordercy — stwierdziła Carrie, pochylając się w przód, by lepiej słyszeć.

— Tak, właśnie. Zamartwiają się, że ten, kto zabił Cindy, Bunny i tego faceta, mógł dowiedzieć się, że doktor Grant jest na jego tropie i zabić go.

— Jezu — powiedział Aaron, przesuując dłonią po swoich włosach koloru piasku.

— Ale nie wiedzą, czy doktor Grant podejrzewał kogoś konkretnego? — spytał Junior.

— Mają listę — przyznała Ericka niechętnie. A potem przypomniała sobie tę sprawę z butami.

— Ale mogą też zupełnie się mylić. Mają zamiar powiedzieć o wszystkim Scooterowi, kiedy wróci ze swojej wyprawy i zapytać go, czy twojemu tacie także zabrano jeden but.

— But? — spytał Brett.

— Dlaczego ktoś miałby zabierać mu but? — zawtórowała mu Pam.

— Musicie mi przysiąc, że nie powiecie nikomu — powiedziała Ericka.

— Przysięgam!

— Ja też.

— Słowo harcerza.

— No, dalej, Ericka, wyduś to z siebie, zanim pospadamy z krzesel z ciekawości — powiedziała Sally Jane.

— Powiedz im i może wreszcie będziemy mogli potańczyć — powiedział Bo, potrząsając głową z niesmakiem.

— Mężczyzna, którego media nazywały „Łowcą”, zabrał swoim ofiarom po jednym bucie.

— Wszystkim? — spytała Pam.

— Tak powiedzieli.

— To nienormalne! — powiedziała Carrie.

— On nie jest normalny — sprostowała Sally Jane.

— Do cholery, nie moglibyśmy w końcu porozmawiać o czymś innym? — jęknął Bo. — Myślałem, że przyszliśmy się zabawić...

Erice zdawało się, że wszyscy porzucili temat równie chętnie jak ona. Aaron przywołał kelnera, a Pam i Sally Jane poszły do toalety. Carrie i Brett odwrócili się i zaczęli wpatrywać w siebie „pożądliwie”, jak określił to Junior.

— Chodźmy — powiedział Bo i pociągnął ją za sobą na parkiet, gdy tylko muzyka zaczęła grać.

Zespół zaczął od modnego ostatnio szybkiego kawałka, lecz wkrótce zwolnił tempo i Ericka z przyjemnością wsunęła się w ramiona Bo.

Nie odzywali się do siebie.

Prawie się nie poruszali, kołysząc się lekko w rytm muzyki, a kiedy umilkła, Bo ujął jej twarz w dłonie, zatrzymując ją tam, na środku parkietu.

— Pragnę cię — powiedział. — Nie mogę się powstrzymać, by nie dotykać cię, nie obejmować tak jak teraz. Albo przestaniemy tańczyć wolne kawałki, albo odwiozę cię do domu. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, maleńka.

— Zabierz mnie stąd — powiedziała Ericka niemal bez tchu, porwana spragnionym wyrazem jego czarnych oczu, żałując, że nie może dotykać go tak, jak tego pragnie.

Bo nie potrzebował dalszej zachęty. Ujął ją za rękę i poprowadził do stolika, gdzie ich przyjaciele sączyli drinki i wygłupiali się, rzucając w siebie prażoną kukurydzą.

— Spadamy stąd — powiedział Bo krótko, złapał torebkę Ericki i pomachał reszcie na pożegnanie. — Bawcie się dobrze.

— Ho, ho, sądząc z wyrazu jego oczu, ktoś tu zaraz kogoś położy — powiedziała Pam.

— Tak, pytanie tylko, kto kogo. Ericka wyglądała, jakby miała zamiar zjeść go żywcem.

— Przestańcie! — powiedziała Pam, przyciskając dłonie do policzków. — Bo się napalam.

Aaron ochłodził ją, wyławiając kostkę lodu z coli i wrzucając za jej staniak.

— Ty jesteś aż nazbyt zimny — powiedziała, śmiejąc się i wierząc. — Wybacz, chłopie, ale jestem zbyt gorącą kobietą jak na jedną marną kostkę lodu. Od razu się roztopiła.

Aaron szybko poderwał się na nogi.

— Do zobaczenia, chłopaki.

Pam pisnęła z radości i pobiegła za nim.

— No i po przyjęciu — zanucił Junior fałszywie.  
— Nie, jeśli chodzi o mnie — odparowała Sally Jane. — Chodźcie, zatańczymy.  
— Czy to nie pech? — poskarżył się Junior, wstając. — Bo i Aaron mają dziewczyny, które chcą bawić się w ptaszki i pszczołki, a mnie dostała się taka, którą interesuje tylko podrygiwanie przy muzyce. I gdzie tu sprawiedliwość?  
— A na co ty miałabyś ochotę? — spytał Brett Carrie, gdy tylko zostali sami.  
Carrie odwróciła wzrok, starając się nie patrzeć mu w oczy.  
— Chciałabym trochę potańczyć.  
Szeroki uśmiech rozjaśnił przystojną twarz Bretta.  
— Mówisz zupełnie, jak na przyszlą żonę pastora przystało.  
— Nie o to ci chodzi — powiedziała, spoglądając na niego. — Po prostu wolałbyś być gdzie indziej i robić to co inni.  
— Hej, jestem przede wszystkim mężczyzną, a dopiero potem studentem seminarium. Ale obiecałem ci, że spędzimy ten wieczór tak, jak ty będziesz chciała. Przecież to twoje święto.  
Wsunął palec pod brodę dziewczyny, unosząc jej twarz lekko w górę.  
— Kocham cię, Carrie Ann.  
— Ja także cię kocham — powiedziała. I była to prawda. Był taki przystojny. Jej blond Adonis. Zakochała się w nim już w szóstej klasie, choć on zaczął ją zauważać dopiero w dwa czy trzy lata później. Żałowała tylko, że seks z nim nie sprawia jej większej przyjemności. Kiedy podał jej ramię i poprowadził na parkiet, przypomniała sobie, jak bardzo się zdenerwowała, gdy rozmawiali o tym „Łowcy”. Może to dobra wymówka, by zostać w klubie i ograniczyć się do tańców. Wsuwając się w ramiona Bretta, pomyślała przelotnie o Erice, która jest gdzieś tam, w środku nocy.

\* \* \*

A noc pełna była gwiazd, magiczna. Delikatny wietrzyk poruszał wierzchołki drzew, gdy Bo i Ericka jechali powoli wokół jeziora. Dobiegła ich muzyka, płynąca z jednego z jachtów, zacumowanych w zatoce, na którym najwyraźniej odbywało się jakieś przyjęcie. Ericka westchnęła. Bo spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

— Grosik za twoje myśli — powiedziała. Teraz on się uśmiechnął.

— Są warte więcej niż grosik. Myślałem o tobie, a to oznacza, że są warte fortunę. Mrugnął do niej i dalej jechali w milczeniu, lecz po kilku minutach Bo zjechał na skraj drogi. Odwrócił się do niej i oparł ramię na siedzeniu za głową Ericki. Przez chwilę nic nie mówił, a ona nie poganiała go. Wreszcie powiedział cicho, z wahaniem:

— Pragnę cię, Blue. Pragnę cię tak bardzo, że to aż boli. Lecz musisz być pewna. Nie chodzi tylko o dzisiejszy wieczór. Chodzi o przyszłość, naszą wspólną przyszłość.

— Wiem. Gdyby chodziło tylko o ten wieczór, nie zgodziłabym się.

— Chciałabyś, żebyśmy wzięli gdzieś pokój?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie chcę dzielić tego z nikim. Chcę, żeby to było tylko nasze. Nie chcę, żeby jakiś kierownik motelu sprawił, że to, co zrobimy, stanie się czymś tanim i brzydkim.

Ujął jej twarz w dłonie, a potem pochylił się i pocałował ją.

— Kocham cię, Blue.

— Ja także cię kocham — szepnęła, a on usłyszał w tym szepcie prawdę i głębokie przekonanie.

Nie miałeś racji, bękarcie, pomyślał. Ona mnie kocha i nic, co mógłbyś zrobić, nie jest w

stanie tego zmienić. W chwilę później odsunął się od niej i skierował samochód z powrotem na autostradę.

— Znów jesteś zły — powiedziała.

— Przepraszam, myślałem o moim ojcu.

— Więc przestań o nim myśleć. Nie lubię, gdy jesteś taki wściekły.

Ujął jej dłoń i lekko ją uściśnił.

— Masz rację. To nasza noc. Nie mam zamiaru pozwolić mu jej zepsuć.

W dziesięć minut później zjechał z autostrady raz jeszcze, tym razem kierując się na porośnięty trawą skrawek ziemi, prawie w całości ukryty za drzewami i zaroślami. W chwilę później już pomagał jej wysiąść z samochodu. Poprowadził ją ku małej polance pomiędzy listowiem, niemal na samym skraju wody. Tam objął ją w talii, przyciągnął do siebie i zapytał po raz ostatni:

— Jesteś pewna? Odpowiedziała pocałunkiem.

W pięć minut później, gdy ledwie mógł już oddychać, jedną dłonią odgarnął jej włosy i zaczął całować kark. Kilka zwisających swobodnie pasemek łaskotało go w twarz, a on zatonął w zapachu jej ciała. Opadli na kolana. A potem wolną ręką uniósł jej spódnicę i zaczął ugniatać uda i pośladki.

— Sukienka ci się pogniecie — powiedział zduszonym szeptem.

— Więc ją zdejmijmy — odparła niemal bez tchu. Odsunął suwak na plecach, a potem zsunął jej stanik sukni, lecz tylko do ramion. Tu zatrzymał się i zaczął całować piersi powyżej francuskiego biustonosza. Zataczał językiem małe kółeczka i czuł, jak ciało dziewczyny odpowiada leciutkim drżeniem.

Kiedy już zsunął jej suknię do bioder, przysiadł na piętach, by się jej przyjrzeć. Choć na polance było ciemno, to światło księżyca, odbite od wody, otaczało jej postać delikatnym blaskiem.

— Boże, jaka ty jesteś piękna.

Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko, i na jej policzkach ukazały się głębokie dołeczki, a potem wyciągnęła ręce i, kierowana instynktem, zaczęła rozpinać guziki jego koszuli, powoli, umiejętnie. Teraz była jej kolej, by zsunąć ją z jego ramion, a potem, nieśmiało z początku, lecz z wzrastającą pewnością, pochylić głowę i pocałować jedną z jego sutek. Jej ręce rozpinały w tym czasie jego spodnie, a potem zsuwały je aż do bioder.

— Wstań — powiedział, niemal z jękiem starając się odzyskać nad sobą kontrolę, walcząc z chęcią, by jak najbardziej przyspieszyć najrozkoszniejszy moment jego życia.

Uniosła stopy, pozwalając mu zsunąć do końca sukienkę, która upadła gdzieś na ziemię, a potem zdjęła buty i stała, czekając, aż on rozbierze się do końca.

Była doskonała. Wysoka i smukła, a jej skóra lśniła w świetle księżyca niczym alabaster.

Przesunął dłońmi po biodrach dziewczyny, a potem przeniósł je na plecy i odpiął stanik. Ujął jej piersi w dłonie, przesuwał szybko kciukami po nabrzmiąłych sutkach.

— O, Boże, Blue, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Więc kochaj się ze mną — powiedziała, podchodząc bliżej, tak że jej biodra przylgnęły do wybrzuszenia pomiędzy jego nogami.

Jego członek sterczał dumny i wyprostowany i Ericka poczuła, że po prostu musi wziąć go do ręki. Pulsował pomiędzy jej palcami, pociągnęła go więc w dół, unosząc biodra i przeciągając nim pomiędzy swoimi udami.

— Jeszcze nie — jęknął, unosząc głowę i walcząc z gwałtownym pragnieniem by się poddać, zanurzyć się w niej. Przez chwilę oddychał głęboko, po czym spojrzał jej w oczy. — Chcę, żebyś była dla mnie gotowa, Blue.

— Już jestem gotowa.

— Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Zgiął jej kolana, a potem rozchylił mocniej uda i wsunął między nie głowę.

Kiedy dotknął ją tam czubkiem języka, lekko pocierając wilgotne ciało, wykręciła się pod nim.

— O, Boże, Bo, nie. Nie wiem, co mam robić!

Nie odpowiedział, kontynuując swe wyrafinowane tortury. Gdy poczuł, że jej ciałem wstrząsa orgazm, i kiedy z jej ust wyrwał się mimowolny krzyk, podniósł się i położył na niej, nakrywając jej usta swoimi.

— Teraz — powiedział, unosząc lekko jej biodra dłonią, umieszczoną pod pośladkami.

Nigdy dotąd nie czuł się taki silny, tak opanowany, lecz mimo to sprawy omal nie wymknęły się spod kontroli, gdy poczuł opór jej silnych mięśni, a potem dowód jej dziewictwa.

Powoli uniół biodra, walcząc ze swoim pragnieniem. Nie chciał jej zranić.

Spróbował ponownie, a potem znowu cofnął się, uniół biodra i wszedł w nią tym razem bardziej zdecydowanie, usuwając przeszkodę, która nie pozwalała im się połączyć.

Zesztywniała z rozdzierającego bólu, usiłując się odsunąć, ale nie było dokąd uciekać i zaraz poczuła, jak on pcha znowu, wślizgując się coraz głębiej. Ból odszedł nagle, pozostawiając po sobie tylko uczucie lekkiego pieczenia, a potem spazm tak niewiarygodnej przyjemności, że aż krzyknęła.

— O, Boże, dziecinko, przepraszam — jęknął.

Uśmiechnęła się pod nim i na znak przebaczenia uniosła biodra i objęła go mocno udami.

To była bardzo intensywna jazda, która pozostawiła ich oboje drżącymi i słabymi, przytulonymi do siebie najmocniej, jak się dało.

— Kocham cię, Bo — szepnęła mu do ucha, kiedy padł na nią bez sił.

— Ja także cię kocham — powiedział, a potem: — Jesteś teraz moja, Blue.

— Przedtem też byłam twoja — szepnęła.

— Nie, nie tak jak teraz. Zanurzył twarz w zagłębieniu jej szyi, smakując pomieszane zapachy ich potu. — Nie tak jak teraz. On się mylił.

Ericka zachmurzyła się. Kto się mylił? O czym on mówił? Zapytała go i natychmiast tego pożałowała, kiedy odsunął się od niej i usiadł, przyciskając twarz do ugiętych kolan.

— Zapomnij o tym — mruknął.

Ona także usiadła, położyła ramię na jego plecach i zaczęła całować zagłębienie pomiędzy jego łopatkami.

— Powiedz mi — nalegała.

— Mój ojciec. Bert. Zapomnij o tym.

— Twój ojciec? A co on ma z nami wspólnego? Z tym...?

— Nic!

— Więc o co tu chodzi? — spytała, pozwalając, by jej ramię opadło.

— To naprawdę nic takiego, do diabła. Po prostu coś, co powiedział, kiedy wyjeżdżałem po ciebie dziś wieczorem.

— Co?

Odwrócił się do niej i położył dłoń na jej łydce, pocierając kciukiem goleń.

— Powiedział, że nie jestem dla ciebie dość dobry, że nigdy nie będziesz moja. Ale mylił się. Teraz należysz do mnie. To wszystko.

— To wszystko? — krzyknęła Ericka, zrywając się na równe nogi. — To wszystko? To cholernie dużo, gdyby mnie ktoś pytał. Przywiozłeś mnie tutaj, kochałeś się ze mną, pozwoliłeś, bym uwierzyła, że jest to najbardziej znaczące wydarzenie w moim i twoim życiu i wszystko

dlatego, że twój ojciec rzucił ci coś w rodzaju wyzwania? Sięgnęła po sukienkę i ściskając ją w rękę zaczęła cofać się tyłem w kierunku jeziora. I wtedy zobaczyła krew. Rozplakała się.

— Nie o to mi chodziło, Blue — powiedział Bo, trzymając się blisko niej.

Ale Ericka nie słuchała go. Wpatrywała się w przód swojej sukienki, na krew, która przesiąkła materiał i utworzyła na nim plamę, rozartą jeszcze ruchami ich ciał.

Poczuła na ramionach dłoń Bo, lecz odsunęła się od niego gwałtownie.

— Nie dotykaj mnie.

— Blue, posłuchaj. Wiem, że to zabrzmiało okropnie, ale to nieprawda. Kocham cię i Bert nie ma z tym nic wspólnego.

Odwróciła się gwałtownie, z twarzą wykrzywioną bólem.

— Ufałam ci! — krzyknęła. — Oddałam ci się, ponieważ cię kochałam, a dla ciebie to była tylko jakaś męska rozgrywka, sposób, żeby udowodnić coś ojcu.

— Pieprz to. Nie o tym mówię. To nawet w przybliżeniu nie oddaje rzeczywistości.

— Och, niewątpliwie, masz rację. Rzeczywiście, pieprzyłeś mnie.

Trzymając sukienkę kurczowo przed sobą w próżnej chęci zapobieżenia, by dowiedział się, jak wiele mu oddała, minęła go, pozbierała szybko bieliznę i sandały, wbiegła pomiędzy gęste krzaki, gdzie nie dobiegał nawet promień światła i zaczęła się ubierać.

Słyszała, jak Bo klnie, lecz nie odwracała się, drżącymi rękami starając się włożyć na siebie ubranie. Czula się brudna, wykorzystana i po raz pierwszy w życiu zawstydzona.

Gdy wyszła z krzaków, Bo czekał na nią przy samochodzie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz spostrzegł plamy na jej sukience.

— Och, Blue, przepraszam. Proszę, nie psuj tego, co tak wiele znaczyło dla nas obojga. Kocham cię. Sięgnął po jej dłoń, lecz ona odsunęła się.

— Po prostu zawieź mnie do domu, Bo — powiedziała, odwracając się do niego plecami.

Lecz kiedy otworzył drzwi, odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.

— Jest jeszcze wcześniej i jeśli się pospieszysz, twój ojciec nie będzie jeszcze spał. Będiesz mógł pochwalić się swoim podbojem. Pokazać mu.

— Boże święty! Ty nie rozumiesz. On nie ma z nami nic wspólnego. Z tym, co tu się stało. — Potarł skroń grzbietem dłoni. — To nie miało nic wspólnego z nami, jemu chodziło o mnie.

Wsunęła się do samochodu, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Bo wahał się tylko przez kilka sekund, a potem okrążył samochód i wdrapał się za kierownicę.

— Nigdzie nie pojedziemy, dopóki mnie nie wysłuchasz. Nie powinienem był tego mówić. Nie miałem zamiaru.

— Ale powiedziałeś i jestem dziwnie pewna, że powiedziałeś dokładnie to, co w głębi duszy czułeś. Kochałeś się z Ericką Cassidy, udowodniłeś mu, że się myli. Możesz mieć każdą, której zapragniesz. Taki z ciebie ogier. A teraz odwieź mnie do domu.

— Blue...

— Odwieź mnie do domu!

— Pieprzyć to! — mruknął, czując, jak łyzy kłują go pod powiekami.

— Nie, Bo. Pieprzyć ciebie i twojego tatuśka.

Jechali w ciszy, dopóki w dziesięć minut później nie znaleźli się na podjeździe. Wówczas spróbował raz jeszcze. — Proszę, wysłuchaj mnie, Blue. Pozwól, że opowiem ci o moich stosunkach z Bertem. Są rzeczy, o których nic nie wiesz.

— Wiem, że mnie wykorzystałeś. Postarałeś się, żebym myślała, że mnie kochasz, tylko po to, by udowodnić coś sobie... i swojemu ojcu. No cóż, udało ci się.

Plakała teraz otwarcie, a łyzy, których nie mogła powstrzymać, zwiększały tylko uczucie poniżenia. Położył dłoń na jej ramieniu, próbując przyciągnąć ją do siebie, ale wyrwała się i

otworzyła drzwi. Pobiegła do wejścia i nawet nie zatrzymała się, słysząc, że otwiera drzwi samochodu i woła ją.

Była już niemal w połowie schodów, gdy usłyszała, jak odjeżdża z podjazdu, kierując się w dół ulicy.

— Ericka, kochanie, czy to ty? — dobiegło ją wołanie matki. Zamarła na schodach. O, Boże, pomyślała, nie pozwól, by zobaczyli mnie w takim stanie. Otarła łzy z twarzy, tak jakby to mogło usunąć je także z jej głosu.

— Tak, mamusiu, to ja.

— Wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście. Wpadłam tylko, żeby się przebrać, a potem znów wychodzimy.

— Czy to nie Bo przed chwilą odjechał?

— Tak, pojechał tylko do nocnego sklepu po wodę mineralną i chipsy na imprezę, na którą się wybieramy. Będzie tu z powrotem za dziesięć minut.

— No cóż, uważajcie na siebie.

Ericka usłyszała głos ojca, lecz nie zrozumiała słów, a potem śmiech matki.

— Twój ojciec mówi, żebyś nie robiła niczego, czego on by nie zrobił.

— Co oznacza, że mam carte blanche, tak? — powiedziała Ericka ze śmiechem, mając nadzieję, iż matka nie zauważyła, że przerodził się w szloch.

— Dokładnie — zgodziła się Linda Cassidy. — Dobranoc, kochanie, Kochamy cię.

— Ja... także... was kocham — wykrztusiła Ericka.

Kroki matki, kierującej się już w stronę łóżka, natychmiast zmieniły kierunek. Ericka wcisnęła pięść w usta, za wszelką cenę starając się powstrzymać szloch.

— Czy ty płaczesz, kochanie?

Zacisnęła powieki, przelękając gwałtownie.

— Nie, mamusiu, po prostu śmiałam się z tego, co powiedział tata.

Dźwięczny śmiech matki spłynął do niej po schodach.

— No cóż, może nie opowiadaj Bo o radach tatusia. Nie chcielibyśmy, żeby wiedział, jakiego masz liberalnego ojca.

— Nie powiem — przyrzekła, przemierzając ostatnie trzy stopnie, dzielące ją od podestu i wpadła do swego pokoju.

Rzuciła się na łóżko, zanurzając twarz w poduszce. Prawdopodobnie już nigdy nie będzie miała okazji powiedzieć Bo o czymkolwiek.



## ROZDZIAŁ 9

Ericka oparła się o drzwi, odgradzając się od odgłosu rozmowy, nie mogła jednak odgrodzić się od bólu, jaki sprawiło jej wyznanie Bo. Kochał się z nią, by udowodnić coś swemu ojcu. Nie kochał jej. Była po prostu trofeum, które mógł pokazać Bertowi. Stała tam, mocno zaciskając powieki, a łzy spływały jej po policzkach strumieniem. Płakała cicho, aż wreszcie otworzyła oczy i napotkała swoje odbicie w lustrze. Załkała głośno na widok swojej twarzy. I swojej sukienki.

Mdlący, słodki zapach jej krwi sprawił, że omal nie zwymiotowała, ściągając sukienkę przez głowę. Nie był on jednak ani w połowie tak przykry jak gorzki smak zdrady Bo.

Wcisnęła poplamioną sukienkę tak daleko w głąb szafy, jak tylko mogła, planując, że pozbędzie się jej, gdy tylko nadarzy się okazja. A potem związała włosy na czubku głowy i weszła pod prysznic. Może gorąca woda pozwoli jej pozbyć się tej udreki. Szorowała skórę zawzięcie, wzdrygając się tylko, kiedy jej dłonie dotknęły pocieranych sutków i czulego miejsca między nogami. Gdy w dziesięć minut później wyszła spod prysznica, nadal czuła się brudna, lecz łzy przestały płynąć.

Włożyła szorty i pasującą do nich bluzkę, a potem wsunęła stopy w sandały. Zostawiła włosy tak jak były, odsuwając tylko z twarzy kilka wilgotnych kosmyków. Wzięła z toaletki torebkę i klucze.

— Wychodzę! — krzyknęła do rodziców. — Do zobaczenia jutro!

— Baw się dobrze! — krzyknęli unisono.

Przez następne dwie godziny jeździła bez celu wokół jeziora i wreszcie stopniowo kojąca atmosfera nocy na wsi zaczęła robić swoje. Gdy w parę minut po drugiej wjechała na drogę prowadzącą do domu, czuła się już znacznie lepiej, a nawet, dzięki właściwej młodości skłonności do szybkiej zmiany nastroju, jej gniew na Bo znacznie osłabł. Może nie była wobec niego zupełnie w porządku. Może zareagowała przesadnie.

Kiedy wkładała klucz do zamka drzwi wejściowych, pomyślała, że chyba zadzwoni do niego rano. Może. A teraz niech się trochę pomartwi.

Zdziwiło ją, że światło nadal sączy się z otwartych drzwi sypialni rodziców. Zwykle zamykali je, kładąc się spać. Zatrzymała się na chwilę przy swoich drzwiach, nadsłuchując jakichś odgłosów, świadczących, że jeszcze nie śpią, lecz w domu panowała cisza. A potem poczuła krew. Pomyślała o swojej sukience, ukrytej na dnie szafy. Wbiegła na górę, a potem uklękła, by jej poszukać. Musiała pozbyć się jej z pokoju, a nawet z domu.

Kilka minut później wrzucała ją do pojemnika na odpadki w garażu, przykrywszy uprzednio starannie plastikowymi workami ze śmieciami.

Choć wiedziała, że rodzice z pewnością by zrozumieli, nie była jeszcze gotowa, żeby powiedzieć im, co ona i Bo robili w lesie, przynajmniej dopóki nie uporządkuje swoich uczuć i nie dowie się, co on naprawdę czuje. Uwierzyła natychmiast, że wykorzystał ją, żeby odegrać się na ojcu, ale w ciągu tych dwóch godzin, kiedy jeździła samotnie wokół jeziora, miała dość czasu, by zastanowić się i przypomnieć sobie inne ich spotkania. Dał jej swoją odznakę. Powiedział, że ją kocha. I okazywał jej to na wiele romantycznych sposobów. Takich jak na przykład prezent, który dał jej z okazji matury: zdjęcie ich dwojga, zrobione w poprzednią sobotę przez jego matkę. Zwykła fotka, lecz on kazał ją powiększyć i oprawić. I sposób, w jaki odnosił się do niej, gdy następnego dnia pojechali na piknik do Stone Fall. Był taki troskliwy, zupełnie jakby była czymś kruchym i bardzo delikatnym, z czym należy obchodzić się niezwykle ostrożnie. Nawet rodzice nigdy tak o nią się nie troszczyli.

Pamiętała jego pocałunki — te wesołe, w żartach, a także te słodkie, pełne miłości lub pożądania. Obiecał, że nie będzie się starał nakłonić jej do niczego, na co nie byłaby jeszcze gotowa i choć spędzali ze sobą codziennie kilka godzin, słowa dotrzymał. Dopóki ona nie udzieliła mu przyzwolenia.

To że się kochali, miało dla niego większe znaczenie niż tylko zwycięstwo, odniesione nad ojcem. Musiało mieć.

Gdy w kilka minut potem wchodziła na schody, czuła się już lepiej. Prawie beztrąsko. A nawet nieco winna z powodu zbyt szybkiego osądzenia Bo. Zadzwoi do niego rano.

Przy drzwiach swego pokoju zatrzymała się znowu. On ciągle tam był, ten słodki, metaliczny zapach krwi. Kiedy sięgała do klamki, jej palce drżały lekko i czuła dreszcz strachu, przebiegający po plecach i ściskający jej żołądek. Serce waliło jej w piersi. A wszystko to, zanim mózg zdołał zarejestrować, że się boi.

Jej stopy same skierowały się ku schodom, prowadzącym do pokoju rodziców. Ale to przecież niemądre. To tylko niemiły żart, jaki jej nieczyste sumienie płata umysłowi.

A jednak nie zatrzymała się i kiedy była już niemal na górze, zobaczyła to. Krew rozmazaną na ścianie obok jej głowy. Szloch ścisnął ją za gardło i zawahała się, niemal nie zauważając, że całe jej ciało niepoohamowanie drży.

Zmusiła się, by zrobić następny krok, a potem jeszcze jeden. Jęknęła. Zapach krwi był teraz tak silny, że zgięła się wpół, szarpana nudnościami.

Była wszędzie. Rozmazana, rozsmarowana, rozpryskana i tworząca kałuże.

Jej matka leżała w pobliżu nóg łóżka, a jej krew tworzyła kałużę pod twarzą i piersią. Ojciec leżał zaledwie o kilka stóp dalej z jednym ramieniem wyciągniętym, jakby ostatnim wysiłkiem starał się dosięgnąć żony. A potem Ericka zobaczyła jeszcze jeden dowód na to, że tak było rzeczywiście.

Długa smuga krwi, rozsmarowana na białoróżowym dywanie, świadczyła o tym, że ostatnim wysiłkiem starał się doczołgać do żony, może po to, by ją ochronić.

Ericka nie krzyknęła. Nie mogła. Odkrycie było zbyt szokujące, a ból nie pozwalał płynąć łzom.

Po prostu stała tam, kołysząc się i obejmując ramionami w podświadomym geście samoobrony.

Jej spojrzenie przebiegało od jednego z jej martwych rodziców do drugiego. Ojciec był nagi, lecz krew pokrywała niemal całe jego ciało. Jego niebieskie oczy były otwarte, wpatrzone w nicość, lecz skierowane w stronę żony. Z nosa i ust sączyła się krew.

Matka ubrana była w swoją niebieską satynową koszulkę, która podwinęła się podczas upadku, odsłaniając pośladki i nagle, niespodziewanie dla samej siebie, Ericka pomyślała, jak pięknie wyglądają jej długie, kształtne nogi. Co dziwne, na ciele matki nie widać było zbyt wiele krwi. Cała zebrała się pod nią. Jedna z jej dłoni spoczywała w tej kałuży, a rude włosy rozłożyły się na podłodze, niczym wachlarz, tworzący makabryczną kropkę nad „i” w tej przerażającej scenie. Oczy matki były zamknięte, a usta rozwarte w grymasie agonii. Głowa spoczywała pod dziwnym kątem.

Miała poderżnięte gardło.

Drżenie, które ogarnęło Erickę chwilę wcześniej, ustało. Jej oddech zwolnił rytm. Nawet mdłości już jej nie męczyły. Ale nie mogła się poruszyć, nie mogła myśleć.

A potem to do niej dotarło. Musi komuś powiedzieć. Ale komu? Scootera nie było w mieście. Carrie? Nie, Carrie nie lubiła jej rodziców. Była dla nich niedobra, plotkowała o nich. Bo?

Na wspomnienie jego imienia katatoniczny stan, w jakim się znajdowała, zaczął ustępować.

Zaczęła schodzić po schodach, z początku powoli, wpatrując się w swoje stopy, jakby

niepewna, gdzie się znajdują. Powtarzała wciąż w myśli imię Bo, jakby obawiała się, że jeśli przestanie, zapomni, dokąd idzie.

Gdy wychodziła z domu, zegar dziadka wybijał drugą trzydzieści. Nie zawracała sobie głowy zamykaniem drzwi. Po co miałyby to robić? Jej rodzice nie żyli. Nie muszą już obawiać się nieproszonych gości.

Przeszła przez podjazd, potykając się na korzeniach drzew, lecz nie zatrzymała się ani na chwilę, nawet nie czując bólu w stłuczonym palcu.

Szła powoli w stronę Bar–Ber–Keen. Szła środkiem drogi, lecz nie wiedziała o tym, dopóki jakiś samochód nie zatrąbił na nią.

Odwróciła się w stronę jego oślepiających reflektorów, lecz nie zeszła z drogi. Kierowca musiał ominąć ją i wjechać na pobocze. Krzyknął coś, mijając ją, ale nie zarejestrowała jego słów. Dopiero gdy światła pozycyjne samochodu znikły w oddali, przyszło jej na myśl, że mogłaby poprosić o podwiezienie.

Szła dalej.

\* \* \*

Bo zmierzał w stronę St. Louis. Zegar w jego samochodzie wskazywał drugą czterdzieści pięć. Był zmęczony, lecz zbyt zdenerwowany, by zjechać na pobocze. Gniew wypełniał go i nie pozwalał mu się zatrzymać.

Było mu przykro, gdy Blue odmówiła wysłuchania go, nie pozwoliła mu wyjaśnić. Ale uczucie przykrości minęło. Teraz był już spokojny. Kim u diabła ona wyobraża sobie, że jest? Roześmiał się. O, wiedział doskonale, co sobie wyobraża. Że jest rozpuszczoną córeczką słynnych Cassidych. Choć bardzo nie miał na to ochoty, musiał przyznać, że być może Bert miał jednak rację. Może nie był dla niej dość dobry.

Pieprzyć to. Przypomniał sobie, co napisał w liście do rodziców i roześmiał się, lecz nie był to wesoły śmiech.

Po tym, jak zaczął spotykać się z Blue podczas przerwy wiosennej, zmienił plany na całe lato. Przedtem planował pojechać z kolegami na sześć tygodni na Jamajkę. Lecz po dwóch randkach z Ericką, odwołał wyjazd. Nie chciał stracić ani jednego dnia z nią. No cóż, teraz miał zamiar naprawić ten błąd. Niech się zastanawia, gdzie on się podział.

Tylko, że ona nie będzie się zastanawiała. Do diabła, pewnie wcale nie będzie jej zależało. Powiedziała mu przecież jasno, że nie chce go więcej widzieć.

Potaął oczy wierzchem dłoni, starając się otrząsnąć nieco ze zmęczenia. Może jednak powinien się zatrzymać. Nie, pieprzyć to. Miał jeszcze ponad trzy godziny jazdy. W biurze linii lotniczych, do którego zadzwonił, powiedziano mu, że najwcześniejszy samolot odlatuje dziesięć po siódmej, co oznaczało, że musi być na lotnisku za piętnaście szósta. Będzie jeszcze dość czasu, by zdrzemnąć się, zanim wywołają jego samolot. A potem może przespać się podczas lotu.

Zastanawiał się, czy Blue udało się zasnąć. Pewnie śpi jak dziecko. Do diabła z nią. Rozpuszczona, mała dziewczynka. Taka właśnie była.

Ale, mój Boże, tak słodko było trzymać ją w ramionach i seks z nią był taki wspaniały. Lepszy niż cokolwiek, czego dotąd doświadczył.

Uderzył dłońmi w kierownicę i zaklął znowu.

— Zapomnij o tym, człowieku — powiedział głośno w noc. — Ona cię odrzuciła.

Lecz nie mógł zapomnieć. Kochał ją. Teraz zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż kiedykolwiek. Gdyby jej nie kochał, nie bolałoby aż tak bardzo.

Poczuł jak pierwsze łzy spływają mu po policzkach niemal doskonale zsynchronizowane z

pierwszymi kroplami deszczu, uderzającymi w szybę samochodu. Włączył wycieraczki i otarł łzy z twarzy. Nie będzie płakał z jej powodu! Lecz przecież nie płacze. Jest mężczyzną, a mężczyźni nie płaczą... nie ważne, jak bardzo czują się zranieni. Do licha, nie płakał przecież, odkąd skończył pięć lat. Nie płakał nawet, gdy Bert wypróbował na nim swój pas, ani później, gdy zamiast pasa używał pięści. Nie będzie więc płakał z powodu kobiety... nawet jeżeli ją kochał.

Zmusił się, by przestać o niej myśleć, koncentrując się na deszczu i wszystkich kobietach, które będzie miał, gdy tylko znajdzie się na Karaibach.

\* \* \*

Zanim Ericka dotarła w końcu do drzwi Bar–Ber–Keen, była kompletnie przemoczona. Zaczęło padać pół godziny wcześniej. Ledwie to zauważyła.

Lecz kiedy weszła do holu, jej sandały wydały dziwny, mlaszczący odgłos, a woda spływała z włosów na twarz cienkimi strumykami.

Bandy Marshall, nocna recepcjonistka, a zarazem jedna ze szkolnych koleżanek Ericki przez ostatnie cztery lata, zachichotała.

— No, no, popatrzcie tylko, co kot tu przywłókł. Cześć, Ericka. Złapała cię ulewa?

— Czy mogłabyś zadzwonić do mieszkania i powiedzieć Bo, żeby mnie wpuścił?

— Nie wydaje mi się, żeby on tam był — powiedziała młoda kobieta.

Ericka nie poruszyła się. Po prostu tam stała. Czekając.

— No cóż, zawsze mogę przecież zadzwonić i przekonać się. Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła kilka cyfr, spoglądając na przemoczoną dziewczynę, która stała przed nią, najwidoczniej bardzo zdenerwowana. Zachowywała się dziwnie.

Kiedy na drugim końcu ktoś wreszcie podniósł słuchawkę, odwróciła się do Ericki plecami.

— Przepraszam bardzo, że niepokoję, pani Bohannon. Mówi Bandy z recepcji. Jest tu Ericka Cassidy. Chce zobaczyć się z Keenem.

Spojrzała przez ramię, by posłać Erice uśmiech, a potem zniżyła głos.

— Mówiłam jej, że chyba go nie ma. Widziałam, jak wyjeżdżał mniej więcej godzinę temu. Ale ona tu stoi, jakby mi nie wierzyła. I w ogóle, zachowuje się jakoś dziwnie. Czy mam zawołać ochronę, żeby zaprowadzili ją do samochodu? Albo zadzwonić do jej rodziców?

Przez chwilę słuchała, a potem odwiesiła słuchawkę.

— Usiądź na chwilę, zaraz tu będą.

— Bo?

— Aha, być może — powiedziała nerwowo. — Po prostu usiądź tam i chwilę poczekaj.

Bobbi Bohannon wyłoniła się z windy w pięć minut później. Miała na sobie szlafrok w jaskrawy wzór i puchate pantofelki bez pięt. Mimo że nie była umalowana, a włosy zawinięte miała na wałki, nie zatrzymała się ani na chwilę, lecz pospieszyła w stronę dziewczyny, siedzącej spokojnie w kącie holu.

Bandy Marshall, recepcjonistka, lubiła to u swojej szefowej. Żadnego udawania, żadnej pozy. O, pewnie, być może ubierała się zbyt wyszukanie i przez większą część dnia miała na sobie zbyt dużo makijażu, lecz była szczerą. Nie tak jak ten nudziarz, jej mąż.

— Och, kochanie, co ci się stało? — spytała, ujmując dłonie Ericki w swoje. — Boże, jesteś zimna jak lód. Chodź ze mną na górę. Musimy nieco cię wysuszyć, zanim złapiesz zapalenie płuc.

Ericka wstała posłusznie i poszła za Bobbi w stronę windy.

Bandy potrząsnęła głową. Raany, z Ericką coś było dziś zdecydowanie nie w porządku. Nigdy jej takiej nie widziała. Może to prochy, pomyślała. Lecz nigdy przedtem nawet nie przyszło jej

do głowy, że Ericka może mieć z tym coś wspólnego. No cóż, pani Bohannon zajmie się nią i doprowadzi do normalnego stanu, zanim pozwoli jej wrócić do domu.

Na górze Bobbi zaprowadziła Erickę do swego saloniku.

— Usiądź tu, kochanie. Przyniosę ręcznik. Zaraz wracam.

— Czy Bo tu jest? — spytała Ericka, przysiadając na brzegu sofy.

— Po prostu poczekaj chwilę. Porozmawiamy, jak tylko cię trochę rozgrzeję.

Po niespełna dwóch minutach Bobbi była już z powrotem, z ręcznikiem i grubym szlafrokiem z frotte przewieszonymi przez ramię.

— Wytrzyj się trochę, a potem zdejmij te mokre ciuchy i włóż to. Przygotuję ci coś do picia, coś, co rozgrzeje cię od środka.

Ericka zrobiła, co jej kazano. Zsunęła mokre ubranie, włożyła szlafrok i wytarła włosy ręcznikiem. Szczekała zębami, a jej ciało pokryła gęsia skórka. Tylko umysł pozostał nieczuły. Uczepiła się kurczowo myśli o Bo, choć nie bardzo już pamiętała, dlaczego chciała się z nim zobaczyć. Ale to było coś ważnego. Wiedziała o tym.

Krażyła niespokojnie po pokoju, przesuwając palcami po blacie stołu, a potem po oparciu sofy. Kiedy dotarła do półki nad kominkiem, zatrzymała się. Oparta o kamienną ścianę i zabezpieczona przed upadkiem za pomocą małego szklanego ptaszka, stała tu kartka papieru. Rozpoznała śmiałą bazgraninę Bo. Była to wiadomość, przeznaczona co prawda dla jego matki, lecz Ericka zdjęła ją z półki i przeczytała.

*Mamusiu...*

*Zmiana planów. Lecę na Jamajkę, żeby dołączyć do kolegów. Zadzwoń za kilka dni. Nie martw się o mnie. Po prostu musiałem na jakiś czas wyjechać.*

*Ucałowania, Bo.*

*PS. Powiedz Bertowi, że nie miał racji. Ericka Cassidy nie jest dla mnie dość dobra.*

Ericka nie usłyszała, jak Bobbi weszła do pokoju, lecz teraz spostrzegła ją stojącą obok siebie. Ich oczy spotkały się. Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Oczy Ericki wypełniły się łzami, gdy dostrzegła pełen współczucia wyraz twarzy starszej kobiety.

— On tak naprawdę nie myślał, kochanie — powiedziała w końcu Bobbi.

Ericka nie odpowiedziała. Po prostu nadal wpatrywała się w kartkę, którą trzymała w ręce.

— Chodź tu, napij się trochę gorącej czekolady, a potem zadzwonimy do twojej mamy, żeby po ciebie przyjechała.

Ericka usiadła na kanapie i wzięła kubek z rąk Bobbi, lecz nie zaczęła pić.

— Nie możemy do niej zadzwonić. Ona nie żyje.

Filizanka, którą Bobbi trzymała w ręce, rozbiła się z trzaskiem na podłodze.

— O, mój Boże, coś ty powiedziała?

— Moja... moja mama nie żyje. I tata też. Właśnie sobie przypomniałam. To dlatego chciałam się zobaczyć z Bo.

— Och, kochanie — zaczęła Bobbi, a potem umilkła, okrążyła stolik do kawy, usiadła obok dziewczyny i objęła ją.

— O czym ty mówisz? Co to znaczy: oni nie żyją?

— Wszędzie jest pełno krwi — powiedziała Ericka tonem tak bezbarwnym i wypranym z wszelkiej emocji, że Bobbi zadrżała. Gorące kakao przelewało się przez brzeg kubka, spadając na dłonie Ericki, lecz dziewczyna zdawała się tego nie zauważać. Bobbi wyjęła jej z rąk kubek, odstawiła go z głośnym brzękiem, a potem wzięła serwetkę i zaczęła ścierać czekoladę z rąk dziewczyny.

— Och, kochanie, poparzyłaś sobie ręce. — Bobbi ujęła dłonie dziewczyny w swoje, a potem zerwała się nagle na równe nogi. — Muszę obudzić Bertę. On będzie wiedział, co robić. Przy drzwiach umilkła i spojrzała w tył na piękną młodą kobietę, która siedziała spokojnie, wpatrując się w przestrzeń nie widzącym spojrzeniem. — Och, Boże drogi, kochanie, nie wiem, co się stało, lecz mam nadzieję, że zdrowy rozum to jedyne, co dzisiaj straciłaś.

\* \* \*

— Panie, miej litość — mruknął szeryf Witcomb, ściągając swoją czapkę rybacką i drapiąc się w tył głowy. Jego pager zadzwieczał o piątej rano. Teraz była siódma piętnaście. Przyjechał prosto do domu Cassidych. Waylin i Junior czekali na niego w salonie. — To najbardziej wstrząsająca scena, jaką kiedykolwiek widziałem. Przetarł twarz ramieniem, po czym rozejrzał się wokół, spoglądając na innych, rozlokowanych w różnych miejscach salonu zamordowanej pary. — Gdzie dziewczyna?

— W kuchni. Jest z nią Bobbi — powiedział Bert Bohannon. A potem, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w stronę Waylina, dodał: — Żona chciała ją zabrać prosto do szpitala, ale twój zastępca jej nie pozwolił. Powiedział, że jest podejrzana. Największa bzdura, jaką kiedykolwiek słyszałem. Dziewczyna jest w szoku, Scooter. Nie jest z nią dobrze. Nie płacze. Nie mówi. Przyszła do nas, szukając mojego chłopaka. Przeszła pieszo dwie mile w deszczu.

— To prawda? To znaczy, że dziewczyna jest w szoku? — spytał szeryf swego zastępcę.

Waylinowi nie podobał się sposób, w jaki oczy szeryfa rozjarzyły się przy tym pytaniu. Był jego zastępcą od ponad dziesięciu lat i widział to spojrzenie zaledwie kilka razy, lecz rozpoznawał, co się za nim kryło. Gniew. Czysty i prosty. Uniósł głowę w nikłym geście samoobrony.

— Tak, zachowuje się naprawdę dziwnie...

— Dziwnie? Matko Boska, jej oczy są puste jak tarki do prania, a skóra wilgotna i lepka — wykrzyknął Bert, zrywając się z miejsca.

— Idź, powiedz żonie, żeby zabrała ją do szpitala. Porozmawiam z nią później, kiedy już zajmą się nią lekarze. — I, zwracając się do pozostałych: — Idę teraz do jadalni. Chcę, żebyście przyszli tam po kolei, pojedynczo i zeznali, co widzieliście.

— Ale my niczego nie widzieliśmy, Scooter — powiedział Brian Roberts. — Przyszliśmy tu, gdy usłyszeliśmy syreny karetek, zatrzymujących się w górze ulicy.

— Jesteście ich sąsiadami. Musieliście coś widzieć. Samochody wjeżdżające do tej części dzielnicy, albo wyjeżdżające z niej.

— Niczego nie widzieliśmy — upierał się Brian.

— Morderca mógł przyplnąć łodzią — zauważyła Marylou.

— Tak, też o tym myślałem — powiedział Scooter. A potem, spoglądając ponad ich głowami, dodał: — Lub mógł to być ktoś, kto mieszka w ośrodku Bar-Ber-Keen. Chcę porozmawiać z każdym z was. — A potem — powiedział, kierując spojrzenie na Pearsonów i Robertsów — będę chciał porozmawiać z waszymi dziećmi.

— Po co? — spytał Jimmy Wayne Pearson. — Co oni mogą ci powiedzieć takiego, czego my nie możemy?

— Wydaje mi się, że to był wieczór po rozdaniu dyplomów. Wasze dzieci były poza domem dłużej niż zwykle. Mogły coś zauważyć, jakiś samochód, który nie należał do nikogo ze znajomych, lub kogoś idącego na piechotę. — Spojrzał na Bertę, który właśnie wchodził do pokoju. — Będę chciał porozmawiać także z twoimi dziećmi, Bohannon.

— Keen wyjechał z miasta, ale przyprowadzę do biura Petite, jak tylko będziesz gotowy.

Scooter przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Nigdy dotąd Bert Bohannon nie zachowywał się tak potulnie. Zwykle był z niego prawdziwy wrzód na tyłku, za wszelką cenę usiłujący postawić na swoim i pokazać, kto tu rządzi. Może to makabryczne morderstwo dwojga czołowych obywateli St. Joan tak na niego wpłynęło.

Scooter rozejrzał się za swoim synem i dostrzegł go stojącego w kącie.

— A co z tobą, Junior? Ty też wychodziłeś wieczorem. Nie zauważyłeś niczego, co wydałoby ci się dziwne?

Junior opuścił ramiona.

— Nie. Byłem z Sally Jane mniej więcej do północy. Tańczyliśmy w Alley. Odwiozłem ją, a potem sam także wróciłem do domu.

Scooter już miał powiedzieć coś jeszcze, gdy zauważył, że Ben Ohtau, koroner z Camdenton, właśnie schodzi po schodach.

— Skończyłem, szeryfie. Może pan już powiedzieć chłopcom, żeby zabrali ciała do szpitala. Rano wykonam sekcje.

— Ma pan już coś?

— Niewiele. Wygląda na to, że zabójca zaskoczył kobietę, która najwidoczniej leżała w łóżku. Domyślam się, że wyskoczyła z pościeli, kiedy go zobaczyła. Próbowwała go wyminąć. Poderżnął jej gardło.

— A co z Lawrence'em? — spytał Scooter, czując, jak w gardle rośnie mu znajoma kula. Do cholery, nigdy wcześniej nie widział tyle krwi w jednym pokoju. Wyglądało to jak jakaś cholerna rzeźnia.

— Był w łazience. Musiał usłyszeć krzyk żony, albo coś innego, lecz nie zdążył nawet wyjść, kiedy morderca go dopadł. Na framudze drzwi i na samych drzwiach widać rozmazaną krew. Wygląda na to, że nie obyło się bez walki. Lawrence ma w gardle głęboką ranę, która pozwala domniemywać, że ten, kto ją zadał, starał się poderżnąć mu gardło tak jak jego żonie, lecz ta ofiara była widocznie zbyt wysoka i silna, więc wbijał mu nóż raz za razem, dopóki go nie powalił. Jednak Cassidy nie umarł spokojnie jak jego żona. Zdołał przeczołgać się przez pół pokoju, zanim opuściły go siły. Nie mogę mieć pewności, póki nie zacznę kroić, lecz powiedziałbym, że umarł z upływu krwi.

— Ustalił pan czas zgonu, doktorze?

Ben podrapał się po nie ogolonej szczęce.

— Tak w przybliżeniu?

— Najdokładniej, jak może pan to określić w tej chwili.

— No cóż, sądząc po stopniu stężenia pośmiertnego i temperaturze ciała, powiedziałbym, że nie żyją od czterech czy pięciu godzin.

— To znaczy, że zabójstwo miało miejsce pomiędzy północą a pierwszą nad ranem, tak?

— Moim zdaniem, bliżej pierwszej, będę wiedział coś więcej za parę godzin. Wpadnę do pańskiego biura, gdy skończę.

— W porządku, chłopcy, słyszeliście, co powiedział doktor. Możecie zapakować ciała. Ale kiedy skończycie, chciałbym jeszcze raz spojrzeć na pokój, więc postarajcie się nie zatrzeć wszystkich śladów — powiedział Scooter do Waylina i swego syna i ze współczuciem popatrzył, jak Junior przetyka mocno i niechętnie zaczyna wspinać się po schodach.

— No cóż, możecie wszyscy iść do domu, lecz będę chciał porozmawiać z wami później w moim biurze. I z waszymi dziećmi także.

Kiedy ostatnia osoba opuściła pokój, usiadł na skraju sofy i ukrył głowę w dłoniach. Co, na Boga, stało się z tym miastem?

## ROZDZIAŁ 10

Erickę nafaszerowano lekami uspokajającymi i zatrzymano w szpitalu, lecz kiedy ich działanie zaczęło słabnąć, świadomość tego, co się stało, uderzyła w nią, niczym obuchem.

Układając poduszkę pod głową pomyślała o rodzicach i łzy trysnęły jej z oczu. Nigdy już nie będzie spędzała miło czasu z ojcem, słuchając jego miękkiego, kojącego głosu, jakim objaśnia jej problemy tego świata, rozwiązania, jakie proponują politycy, a także wskazuje drobne przyjemności życia, jakich większość ludzi, nazbyt zajętych codziennymi troskami, w ogóle nie zauważa. Nigdy już nie odczuje siły życiowej matki, nie usłyszy jej wesołego śmiechu, nie zobaczy, jak śmiesznie marszczy swój zadarty nosek, nie poczuje jej rąk na twarzy, ani obejmujących ją ramion.

Ktoś odebrał ich jej w akcie przemocy tak brutalnym, że nadal nie mogła w pełni ogarnąć go rozumem. Nie szukała przyczyn, po prostu stawiała czoło konsekwencjom. Była teraz sama i już brakowało jej ich tak bardzo, że nie była wprost w stanie wyobrazić sobie, co będzie jutro. I pomyśleć, że zaledwie wczoraj stała przed klasą, przemawiając z taką nadzieją na temat tego, co przyniesie im przyszłość.

Bobbi Bohannon z wahaniem wsunęła się do pokoju.

Ericka zapomniała o tej kobiecie, zapomniała, jak bardzo była dla niej dobra dziś rano. Ale wspomnienie tej dobroci wywołało nowy potok łez.

— Och, kochanie — powiedziała Bobbi, siadając na skraju łóżka i przytulając Erickę, — Wiem, jakie to dla ciebie straszne. Dobry Boże, żałuję, że nie mogę uwolnić cię od bólu. Popłacz sobie. Wyrzuć to z siebie.

Po chwili Ericka uniosła zalaną łzami twarz i powiedziała:

— Chcę, żeby oni żyli.

— Wiem, kochanie.

Ericka usiadła na łóżku, przyciągnęła do siebie kolana i objęła je ciasno ramionami.

— Czy rozmawiała pani z Bo? — zapytała spokojnie, odwracając twarz, jakby nie mogła znieść odpowiedzi.

Bobbi pogłaskała ją po głowie.

— Nie, złotko, próbowałam, ale nie zameldował się w żadnym z większych hoteli w Kingston. Ale nie martw się, znajdziemy go, a wtedy natychmiast przyjedzie, możesz na to liczyć.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Ze sztucznym ożywieniem powiedziała:

— Tak sobie pomyślałam, że już czas, żebyś się obudziła. Zrobimy ci tylko trochę badań i lekarz powiedział, że potem będziesz mogła stąd wyjść.

Ericka poczuła, jak zalewa ją fala paniki. Dokąd miałyby pójść? Nie mogła wrócić do domu. Zadrżała.

Bobbi najwidoczniej dostrzegła jej lęk. Poklepała dziewczynę po nodze i powiedziała: — Nie martw się, złotko. Zatrzymasz się u nas, w hotelu, dopóki nie przyjedzie z Bostonu twoja babka.

— Moja babcia przyjeżdża? — spytała Ericka. Nawet o niej nie pomyślała, choć było oczywiste, że przyjedzie. — Kiedy tu będzie?

— Wczorajem. Bert pojechał do St. Louis odebrać ją z lotniska. Upierał się, że zrobi to osobiście. Powinni być w St. Joan mniej więcej za dwie godziny.

— Czy ona wie?

— Tak, kochanie. Scooter rozmawiał z nią wcześniej rano. Ericka zastanawiała się, jak jej babka przyjęła wiadomość o śmierci córki i zięcia.



Prawdopodobnie w ten sam sposób, jak przyjmowała wszystko. Ze stoickim spokojem. W przeciwieństwie do swojej żywiołowej, dynamicznej córki, Julia Hanover rzadko okazywała uczucia. Były od siebie tak różne, jak tylko mogą być różne dwie kobiety i myśl ta nie wiedzieć dlaczego spowodowała nowy przyływ smutku i poczucia osamotnienia. Ericka zanurzyła twarz w obfitej piersi Bobbi Bohannon, podczas gdy pielęgniarka nadal mierzyła jej ciśnienie, cmokając językiem w wyrazie sympatii i współczucia.

\* \* \*

W trzydzieści minut później Ericka wsiadła do samochodu Bobbi.

— Czy pojedziemy teraz do hotelu? — spytała.

— Nie, kochanie, musimy wpaść jeszcze do biura szeryfa. Scooter potrzebuje twoich zeznań.

— Ale ja nic nie wiem — powiedziała Ericka głosem przerażonej dziewczynki.

— Więc to właśnie mu powiesz, dobrze?

Ericka spojrzała na kobietę za kierownicą. Jak zwykle Bobbi nałożyła zbyt ciężki makijaż, a jej sukienka składała się niemal wyłącznie z falbanek i koronek. Ludzie uważali ją za płytką i powierzchowną. Ericka zwykle myślała o niej jako o kobiecie miłej i na swój sposób pełnej wdzięku, lecz to było zanim... teraz była wspaniałą, troskliwą kobietą, która zajęła się nią, kiedy nikt inny tego nie zrobił. Nic dziwnego, że Bo tak bardzo ją kocha.

— Dziękuję pani — powiedziała miękko.

\* \* \*

Scooter Witcomb właśnie skończył przesłuchiwać następną osobę spośród mieszkających w Bar-Ber-Keen. Rezultat za każdym razem był taki sam. Nikt nic nie wiedział. Niczego złego nie widziano, o niczym złym nie słyszano, niczego złego nie powiedziano. Tylko że to ostatnie nie było prawdą. Dwie spośród kobiet, z którymi rozmawiał, były aż nadto szczęśliwe, że mogą mówić o swoich zamordowanych sąsiadach i wyglądało na to, że ostatnia z nich, Marylou Roberts, jeszcze nie skończyła, gdyż zatrzymała się w progu i powiedziała:

— Scooter? Westchnął z rezygnacją.

— Tak?

— Wiesz, kiedy o tym rozmawialiśmy, kilkoro z nas zwróciło uwagę, że wszyscy ci zamordowani byli obcy w naszym mieście. Pomyśl o tym. Nikt z nich nie pochodził stąd. Można by pomyśleć, że te zabójstwa są ze sobą jakoś powiązane.

— Dziękuję, Marylou, wezmę to pod uwagę.

— No cóż, nie staram się pouczać cię, jak masz wykonywać swoją robotę, sam rozumiesz, ale nie zdziwiłabym się, gdyby śmierć Jasona też była z tym związana. I myślę, że to pośród nich powinieneś poszukać mordercy.

— Przez „nich” rozumiesz oczywiście tych, którzy się tu nie urodzili? — powiedział Scooter.

— No cóż, dokładnie tak. Nigdy nie było tu żadnych morderstw, dopóki nie pozwoliliśmy im kupować ziemi i osiedlać się tutaj. To chyba dość oczywiste, że to właśnie oni przywlekli ze sobą tę... tę rzeź.

— Z drugiej strony, to może być któryś z obywateli St. Joan, człowiek o ciasnych poglądach, pełen uprzedzeń w stosunku do obcych. Czy wzięłaś to pod uwagę, Marylou?

Scooter z przyjemnością obserwował, jak twarz kobiety przybiera kolor szkarłatu, lecz jego rozbawienie znikło momentalnie, kiedy zobaczył stojącą w progu Erickę Cassidy. Zastanawiał

się, ile słyszała z tej rozmowy. Lecz sprawa wyjaśniła się bardzo szybko.

— Jest pani podłą, złośliwą kobietą, pani Roberts — powiedziała Ericka. — Moi rodzice nigdy nie zrobili pani nic złego i traktowali panią przyjaźnie, chociaż wiedzieli, że plotkuje pani za ich plecami, gdy tylko nadarzy się okazja. Czy nie uczą pani miłości bliźniego w tym pani kościele?

Marylou zatkało po raz pierwszy, odkąd Scooter ją znał. Z trudem powstrzymał się, by nie przyklasnąć wystąpieniu dziewczyny.

Carrie Roberts wysunęła się do przodu, by bronić matki.

— Nie mów tak do mojej mamy. Przez cały dzień płakała z powodu twoich rodziców. I z twojego także. Chciała nawet zaproponować ci, żebyś u nas zamieszkała. Ona tylko mówi to, co wszyscy myślą, Ericka. Czy to nie dziwne, że ofiarami byli tylko ludzie, którzy przeprowadzili się do St. Joan w ostatnich dziesięciu latach? Nikt z nas nie został zamordowany.

— Ufałam ci, lecz ty nie jesteś moją przyjaciółką — powiedziała Ericka szeptem. — Nigdy nie byłaś. Żadne z was.

— Daj spokój, Carrie Ann — powiedziała Marylou, chwytając córkę za rękę i niemal wybiegając z nią z pokoju. Przy drzwiach zatrzymała się jednak, nie mogąc się powstrzymać, by nie dorzucić: — Byliśmy bardziej niż miłośnikami dla ciebie i ludzi takich jak ty, Ericka. Zapraszaliśmy ich do naszych domów, a oni w zamian wciągnęli nas w to bagno. No cóż, możesz się założyć, że na przyszłość będziemy bardziej ostrożni z przyjmowaniem do naszego grona obcych.

Scooter słyszał już dosyć. Wstał ciężko i zadziwiająco szybko przebył odległość dzielącą go od kobiet.

— Dziękuję wam, że przyszyście, Marylou, Carrie. — Mówiąc to niemal wypchnął je za drzwi. Po czym, zwracając się do Bobbi, zapytał: — Czy zechciałabyś zostać, gdy będę rozmawiał z Ericką?

— Oczywiście.

Zamknął drzwi, ustawił krzesła naprzeciw biurka, a potem wrócił na swoje miejsce. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał niemal delikatnie.

— Czujesz się lepiej, malutka?

Ericka skinęła głową, lecz słysząc ten łagodny ton głosu, łzy, nad którymi nie potrafiła zapanować, znów napłynęły jej do oczu.

— Nie zwracaj uwagi na to, co mówi Marylou. Jest przerażona, a kiedy ludzie bardzo się boją, często mówią coś, czego wcale nie myślą.

Ericka nie odpowiedziała, wzięła tylko chusteczkę z rąk Bobbi i otarła kąciki oczu.

— Chciałbym, żebyś opowiedziała mi o ostatnim wieczorze — powiedział tym samym, łagodnym tonem. Choć jego głos był z natury głęboki i zgrzytliwy, starał się jak mógł, by złagodzić jego brzmienie.

— O tym, jak znalazłam rodziców?

— Zaczniemy może od wcześniejszych wydarzeń. Bert powiedział, że wyszłaś z Keenem Bohannonem. O której podrzucił cię do domu?

Ericka otworzyła usta, by odpowiedzieć na to pytanie, opowiedzieć mu, jak wróciła do domu, a potem wyszła ponownie, kiedy do drzwi zapukał jego zastępca, a potem otworzył je, nie czekając na zezwolenie.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam, szeryfie, ale właśnie skończyliśmy przeszukiwać dom Cassidych i w pojemniku na odpadki znaleźliśmy coś, co z pewnością powinien pan zobaczyć.

— Co to takiego, Waylin? — spytał Scooter, zirytowany nie tyle wtargnięciem swego zastępcy, ile widokiem Marylou i Carrie, wychylających się zza jego pleców.

— Ta sukienka. Pani Roberts twierdzi, że należy do Ericki. Jest z przodu cała zaplamiona krwią, szeryfie.

Scooter spojrział na Ericę, zobaczył, jak jej twarz blednie gwałtownie, jak opadają jej ramiona. Nigdy nie widział niczego, co wyglądałoby bardziej żałośnie. Gdy warknął na Waylina, by przyniósł sukienkę, jego głos brzmiał jeszcze bardziej burkliwie niż zwykle. Wyrwał ją z rąk mężczyzny.

— A teraz proszę oczyścić biuro i powiedzieć Marylou, że jeśli usłyszę choć jedno słowo na ten temat od kogokolwiek, oskarżę ją przed prawem. Lecz nawet pełne oburzenia prychnięcie Marylou nie sprawiło mu satysfakcji, gdy spojrział na zniszczoną sukienkę, którą trzymał w dłoniach.

— Chciałabyś mi o tym opowiedzieć, Ericko?

Dziewczyna trzęsła się niepowstrzymanie. Bobbi sięgnęła po jej dłoń, położyła ją sobie na kolanie i mocno ścisnęła.

— Ja... ja nie zabiłam moich rodziców, szeryfie Witcomb. Musi pan mi uwierzyć. Kochałam ich bardziej niż cokolwiek na świecie.

Uśmiechnął się, starając się dodać jej w ten sposób otuchy.

— Ani przez chwilę tak nie myślałam. Lecz będziesz musiała wyjaśnić, jak krew dostała się na twoją sukienkę i skąd ona się wzięła w tym pojemniku na śmieci.

— To... to była moja sukienka, którą kupiłam z okazji matury — zaczęła Ericka. — Wczoraj wieczorem włożyłam ją, kiedy poszliśmy potańczyć z Bo i resztą znajomych. Bo i ja wyszliśmy wcześniej. — Umilkła. Nie może im powiedzieć, to zbyt osobiste.

— Mów dalej, kochanie — zachęcała ją Bobbi.

— Nie mogę.

— Czy byłoby ci łatwiej, gdybyśmy zostali tylko we dwoje? — zapytał szeryf.

— Nie!

— No dobrze, kochanie, mów dalej. Daję ci słowo, że cokolwiek powiesz, pozostanie w tych czterech ścianach.

Ericka przez dłuższą chwilę milczała, a potem nagle powiedziała:

— Bo i ja kochaliśmy się. To... to był mój pierwszy raz, nigdy przedtem tego nie robiłam... Leżałam na sukience.

Cholera. Nic dziwnego, że ludzie nazywają nas świniami.

— Pokłóciliśmy się potem. Bo odwiózł mnie do domu. Wzięłam prysznic i schowałam sukienkę w szafie. — Choć dotąd wpatrywała się w płamę w podłodze, teraz podniosła oczy i spojrzała Scooterowi w twarz. Najgorsze zostało powiedziane. Teraz mogła stawić mu czoła. — Nie chodziło o to, że rodzice by się na mnie gniewali. Oni by zrozumieli, już tacy byli. Ale było mi bardzo przykro z powodu czegoś, co Bo powiedział i nie chciałam na razie rozmawiać z nimi o tym.

— O której godzinie Bohannon cię odwiózł?

— Nie wiem, to znaczy, nie dokładnie. Chyba było około wpół do dwunastej. Może dwunasta.

— Czy w ogóle rozmawiałaś tego wieczoru z rodzicami?

Łzy popłynęły znowu. Spływały jej po policzkach i dusiły w gardle.

— Tak, skłamałam im. Powiedziałam, że Bo i ja jedziemy jeszcze na imprezę. Po prostu chciałam pobyć trochę sama i pomyśleć o naszej kłótni...

— Czy mogłabyś mi powiedzieć, o co się pokłóciliście?

— Nie wydaje mi się, żeby powinno nas to interesować, szeryfie — wtrąciła Bobbi.

— Może i nie, ale przecież nie wiemy na pewno, prawda? — Popatrzył na Ericę. — Przykro mi, że muszę zadawać ci takie osobiste pytania, kochanie.

Ericka ledwie zwróciła uwagę na przeprosiny.

— On... Bo... powiedział coś o tym, że jego ojciec się mylił. Domyślam się, że pokłócili się, zanim Bo po mnie przyjechał. On mu wtedy powiedział, że nie jest dla mnie dość dobry. I potem Bo powiedział coś, że teraz udowodnił ojcu, że nie ma racji. Było mi przykro. Pomyślałam, że to był jedyny powód... że nakłonił mnie... żebym to zrobiła, żebym się z nim kochała...

— Och, złotko, on tak nie myślał — powiedziała Bobbi, otaczając młodą kobietę ramieniem i ocierając łzy, tym razem swoje.

— Wiem. Wyszłam z domu i przez kilka godzin jeździłam wokół jeziora. Kiedy wróciłam do domu, nie byłam już na niego wściekła. Miałam zamiar zadzwonić do niego rano i powiedzieć mu o tym.

— Która to była godzina? To znaczy, kiedy wróciłaś do domu?

— Tuż po drugiej.

— I wtedy ich znalazłaś?

Ericka potrząsnęła głową.

— Nie znalazłam ich jeszcze przez jakieś dziesięć minut. Zauważyłam, że drzwi ich sypialni są otwarte — światło padało na schody — i pomyślałam, że to dziwne. I wtedy poczułam krew. Tylko, że... pomyślałam, że to z mojej sukienki. Wyjęłam ją z szafy i zaniósłam do garażu. Ukryłam ją pod workami, żeby mama jej nie znalazła. — Przerwała, przetykając kilka razy konwulsyjnie, jakby walczyła z mdłościami, które ogarnęły ją na wspomnienie zapachu całej tej krwi. — Lecz kiedy wróciłam na schody, nadal ją czułam. Nie wiem, dlaczego, ale chyba już wówczas wiedziałam. Weszłam na górę i oni... oni tam byli.

— A potem poszłaś do Bohannonów. Dlaczego? — spytał przymilnie Scooter.

— Wiedziałałam, że jest pan na rybach. Więc pomyślałam, że pójdę i poszukam Bo.

— Ale dlaczego nie wzięłaś samochodu?

— Na miłość Boską, szeryfie! Była w szoku. Nie rozumowała logicznie.

I znowu ktoś zapukał do drzwi. Scooter zaklął cicho pod nosem.

— Wejść! — warknął.

Uchyliwszy drzwi na tyle tylko, by móc wsunąć w nie głowę, Martha oznajmiła, że przyjechała Julia Hanover.

— Prawie już skończyliśmy. Powiedz jej, że zaraz przyjdziemy.

Scooter znów zwrócił się do Ericki.

— I nie widziałaś niczego więcej? Nic nie słyszałaś, kiedy wróciłaś do domu?

— Nie.

— No cóż, myślę, że na razie wystarczy.

Spojrzał na sukienkę, która leżała przed nim na biurku, zwinął ją i rzucił na podłogę pod biurkiem. — Przepraszam, że musiałem pytać cię o rzeczy, które powinny pozostać twoją prywatną sprawą. Mam zamiar zapomnieć, że kiedykolwiek je słyszałem i chciałbym, żebyś ty także zapomniała. Dbaj o siebie. Odpocznij trochę.

— Dziękuję panu — odpowiedziała grzecznie.

— I żebyś mi się nie zamartwiała tym, co powiedziała Marylou Roberts, słyszysz?

— Tak, proszę pana.

— Nie wiem, kto mógłby chcieć skrzywdzić twoich rodziców. To byli dobrzy, przyzwoici ludzie. Bardzo ich lubiłem.

— Dziękuję panu — powtórzyła Ericka oficjalnie. Wstała, ruszyła w stronę drzwi, a potem zatrzymała się i zapytała: — Szeryfie, czy mogę o coś zapytać?

— O wszystko, co chcesz.

— Czy... czy on zabrał im po jednym bucie?

— O czym ty mówisz? — spytał Scooter, lecz Ericka nie dała się zwiść.

— Proszę, szeryfie Witcomb. To dla mnie ważne.

Scooter westchnął ciężko, przesunął dłonią po włosach, a potem podrapał się po karku w próżnej próbie uniknięcia odpowiedzi. W końcu potrząsnął głową.

— Czy mogę cię najpierw o coś zapytać?

— Przypuszczam, że tak.

— Skąd wiesz o brakujących butach?

— Od rodziców. Powiedzieli mi wczoraj, tuż przed tym, jak wyszłam z domu.

— A nie wiesz przypadkiem, skąd oni o tym wiedzieli? Staraliśmy się zachować to w tajemnicy.

— Doktor Grant im powiedział. Mieli zamiar porozmawiać o tym z panem jutro, kiedy wróci pan z wędkowania.

Panie, miej litość.

Ericka odczekała chwilę, a potem powtórzyła pytanie.

— Czy zabójca zabrał moim rodzicom buty, szeryfie?

— Tak, kochanie, zabrał. Lecz nie chcę, żebyś się tym martwiła. Znajdziemy go, możesz być pewna, dziewczyno.

Tym razem Ericka nie odpowiedziała. Nie mogła. Nie wierzyła mu.

\* \* \*

Następnego wieczoru Ericka towarzyszyła babce podczas nieformalnej kolacji, którą Bobbi zorganizowała w mieszkaniu Bohannonów.

Przez kilka pierwszych godzin nie rozmawiała wiele z babcią. Słowa nie były w stanie oddać ogromu straty, jaką poniosły. Ale w niedzielę, gdy jadły razem śniadanie w apartamencie hotelowym, który Bohannonowie tak hojnie oddali im do dyspozycji, babka zadziwiła ją, gdy nagle sięgnęła przez stół i ujęła jej dłoń w swoje ręce.

— Jesteś wszystkim, co mi zostało — powiedziała. — Mam zamiar zrobić, co tylko możliwe, by pomóc ci otrząsnąć się z tej tragedii. Nie zawsze poświęcałam dostatecznie dużo czasu twojej matce, moje dziecko. Pozwoliłam, by na przeszkodzie temu stanęła moja kariera adwokata, a potem sędziny. Zresztą ona i tak wyrosła na wspaniałą kobietę, poślubiła cudownego, błyskotliwego mężczyznę i osiągnęła sukces w tym, co robiła. Żadnej z tych rzeczy nie zawdzięczała mnie. Byłam z niej dumna, lecz chyba nie dość często jej o tym mówiłam. Ale mogę powiedzieć tobie i zrobię to. Niestety, nie mam zbyt wielu wspólnych wspomnień, dotyczących twojej matki od czasu, gdy wyszła za męża. Ale podzielę się z tobą tymi, które mam. I będę zawsze przy tobie, tak jak nie byłam przy mojej Lindzie.

— Ona także była z ciebie dumna, babciu. A już najbardziej w dniu, kiedy zostałaś sędzią.

— Niech Bóg ci błogosławi, moje dziecko.

Potem rozeszły się do swoich sypialni, by trochę odpocząć, a kiedy się przebudziły, u drzwi apartamentu stał młody człowiek z walizkami, pełnymi ubrań i rzeczy osobistych Ericki. — Pani Bohannon prosiła, żeby przekazać, że zabrała z domu, ile tylko się dało — powiedział Erice.

A teraz w jadalni Bohannonów Ericka dziękowała Bobbi: — Nigdy nie będę w stanie odwdziżyć się za pani dobroć. Nie musiała pani chodzić do tego domu. To musiało być dla pani trudne.

— Nonsens. To żaden kłopot. Poszłam tam z Petite.

— Dzięki — powiedziała Ericka do Petite.

— Nie ma za co.

Lecz było za co. Ericka znała Bohannonów od ponad dziesięciu lat, lecz tylko jako właścicieli ośrodka wypoczynkowego. A potem była ta sprawa z Bo, lecz ten ją opuścił. Zniknął, kiedy najbardziej go potrzebowała. Ale nie jego rodzina. Ci zaopiekowali się nią i teraz, nawet w tym strasznym smutku, poczuła, że rośnie w niej jakieś nowe uczucie. Łzy, które nie dawały się odpędzić na dłużej, znowu zakłuły ją pod powiekami. — Kocham was wszystkich — powiedziała.

\* \* \*

Pogrzeb odbył się we wtorek po południu.

Kiedy tak stała przy trumnach obok grobu, pomyślała, że chyba całe St. Joan musiało się tu zjawić. Wszyscy, z wyjątkiem Bo. Nikomu nie udało się go odnaleźć. I bardzo dobrze. Nie był już jej potrzebny. Przeszła najgorsze bez niego.

Wsunęła rękę w dłoń babki. Za dwie godziny miała opuścić St. Joan, wyjeżdżała do Bostonu. I choć spędziła w tym mieście nad jeziorem ponad dziesięć lat życia, tylko myśl o tym, że wkrótce je opuści, podtrzymywała ją na duchu podczas ostatnich trzech dni. Jej rodzice zostali zamordowani, lecz odebrano jej nie tylko ich. Straciła chłopca, którego kochała. Opuścił ją. Straciła najlepszą przyjaciółkę. Carrie nie zadzwoniła ani razu od czasu spotkania w biurze szeryfa. Ale straciła jeszcze coś więcej. Straciła wiarę we wszystko, co dobre i przyzwoite. Podczas tych strasznych dni tylko Bobbi Bohannon i babcia były dla niej oparciem. Zawsze współczujące, kochające i pomocne. Lecz to nie wystarczało.

Spojrzała na tłum, który zgromadził się, by oddać ostatnią posługę jej rodzicom.

Hipokryci.

Jej przyjaciele stali razem, cała szóstka, zbity w ciasną gromadkę. Pam i Sally płakały cicho. Carrie wspierała się na ramieniu Brett. Aaron i Junior stali z ponurymi minami, wyprostowani i sztywni.

Marylou Roberts trzymała dłoń męża, szepcząc cicho z Phoebe Pearson, trzymającą się kurczowo ramienia swego małżonka.

Rhonda Grant stała sama w pobliżu stóp trumny Lawrence'a Cassidy.

Wyglądała na zagubioną i daleką myślami. Co chwila przesuwała palcami po lśniącym mahoniu, jakby zdawało się jej, że stoi przy trumnie swego męża, pochowanego zaledwie osiem dni wcześniej.

Althea i Scooter Witcomb stali obok pastora, szeryf z uniesioną ku niebu twarzą, jakby stamtąd spodziewał się odpowiedzi, jego żona z miną pełną smutku, który jakoś wydawał się przesadny.

Bobbi, Bert i Petite Bohannon stali po lewej stronie Ericki. Jedyńi „obcy” poza nią i jej babką.

Morze innych zgromadziło się za plecami znajomych. Było ich tylu, że Ericka z trudem obejmowała tłum wzrokiem.

Wielebny poprosił, by przyłączono się do niego w modlitwie za zmarłych. Posłusznie wszystkie usta zaczęły szeptać modlitwy. Wszystkie, oprócz Ericki.

Kiedy modlitwa została ukończona, wielebny uśmiechnął się do niej zyczliwie.

— W imieniu córki Lawrence'a i Lindy Cassidych dziękuję wszystkim za ten dowód miłości. Podczas trudnych dni, jakie ją teraz czekają, pomoże jej to uświadomić sobie, jak cenionymi i lubianymi ludźmi byli jej rodzice. Proszę, wracajcie do domów bezpiecznie i w pokoju.

Ericka nie miała zamiaru nic mówić. Słowa zdawały się dobywać z niej same.

— Chciałabym coś powiedzieć!

Wszyscy zatrzymali się, zapatrzyli na nią z oczekiwaniem.

— Moi rodzice kochali to miejsce. Byli tu szczęśliwi. Ufali wam. — Uśmiechnęła się leciutko do Bobbi Bohannon, jakby wyłączając ją z tego, co powie. — Lecz źle ulokowali to zaufanie. Jedno z was ich zabiło. — Usłyszała zbiorowe westchnienie. Sprawilo jej to przyjemność. Byli zaszokowani. To dobrze. — Szeryf Witcomb przyrzekł, że znajdzie tego, kto

to zrobił. Jeśli mu się nie uda, ja tu wrócę. Nie ujdzie wam to na sucho. — Przerwała, by spojrzeć w oczy najbliżej stojącym. Zatrzymała spojrzenie na swoich kolegach.

Cała szóstka patrzyła na nią zaskoczona, a potem zaniepokojona, a nawet przestraszona, choć za wszelką cenę starali się to ukryć.

Ericka odpowiedziała na ich spojrzenia uśmiechem, wyrażającym pewność siebie i głębokie przekonanie.

— Obiecuję.

## KSIĘGA 2

*Nie chcę bawić się na twoim podwórku  
Bo już cię nie lubię.  
Będziesz żałowała, kiedy zobaczysz,  
Jak huśtam się na drzwiach od piwnicy.  
Nie możesz opróżnić mojej beczki na deszczówkę.  
Nie możesz wspinać się na moją jabłonkę.  
Nie chcę bawić się na twoim podwórku  
Jeżeli nie potrafisz być dla mnie miła.*

Autor nieznany



**22 KWIETNIA 1995 — 29 KWIETNIA 1995**

## ROZDZIAŁ 11

A teraz wróciła. Już nie dziewczyna. Nie ofiara. Straciła gdzieś idealizm młodości, zwalczyła demony, które nawiedzały ją w snach od śmierci rodziców, zdusiła żal i ból serca, wywołane zdradą przyjaciół. Lecz to zwycięstwo kosztowało ją wiele. I teraz ktoś miał zapłacić za to rachunek.

\* \* \*

Obserwował, jak przenosi pudła z samochodu do domu, który wynajęła. Nie podglądał jej, po prostu spoglądał w tę stronę. Bo kiedy już ją zobaczył, nie mógł oderwać od niej wzroku. Była piękna. Jeszcze piękniejsza niż dziesięć lat temu. Piękniejsza nawet, niż zapowiadała rozkładówka w *Playmate*.

Prawie się nie malowała. Jej włosy — nadal długie — związane były w zwykły koński ogon. Miała na sobie flanelową koszulę, luźne dzinsy i tenisówki. Strój, jakiego trudno by oczekiwać po takiej znakomitości.

Wsparty o framugę drzwi Keen pociągnął solidny łyk piwa z puszką, którą trzymał w ręce, jakby pragnienie, które go nagle opanowało, dało się ugasić za pomocą tego pianistego napoju. Kochał ją w sposób, o jakim autorzy tekstów piszą w swoich piosenkach, a poeci opiewają w wierszach. Pamięć o ich krótkim związku głęboko zapadła mu w duszę. Równie głęboko jak poczucie winy. I nie potrafił oddzielić jednego od drugiego.

Ericka przystanęła, starając się nie upuścić pudła, które oparła na biodrze i jednocześnie walcząc z drzwiami frontowymi domu, do którego właśnie się wprowadzała. Przytrzymała pudło pomiędzy biodrem a framugą, otarła pot z czoła i otworzyła szeroko drzwi. Ruch ciała spowodował, że pudło przechyliło się i wpadło razem z nią do środka. Słyszac dźwięk tłukącego się szkła, Ericka zaklęła pod nosem:

— Cholera, i jeszcze raz, cholera!

Stanęła szybko na nogi, rozglądając się wokół z zażenowaniem, które wydało jej się niemądre. Była tu przecież sama. To właśnie tak spodobało jej się w tym miejscu. Pragnęła odosobnienia, a „dom na wzgórzu”, jak opisał go agent nieruchomości, w pełni odpowiadał tym potrzebom.

Usytuowany na szczycie porośniętego bujnym lasem pagórka, zapewniał doskonałą kryjówkę. Począwszy od saloniku, aż po sypialnię państwa domu, wszystkie okna wychodziły na jezioro, leżące o kilka stóp poniżej. Jedyna budowla w sąsiedztwie także znajdowała się poniżej. Był to domek rybacki, należący do tych samych właścicieli, lecz wynajmowany osobno. To właśnie w stronę tego domku skierowała rozbawione spojrzenie, kiedy pozbierała się po tym mało dostojnym powitaniu nowego domu. Lecz domek wyglądał tylko trochę lepiej niż wałaca się szopa. Na pewno nikt w nim nie mieszkał.

Zerknęła w stronę jasnego popołudniowego słońca. Dałaby głowę, że ktoś poruszył się za siatkowymi drzwiami. Ale to przecież śmieszne, prawda? Żałowała teraz, że nie spytała agenta, czy ktoś tam właśnie mieszka. Nie tylko z powodu swego ekscentrycznego upodobania do prywatności, ale ze względów bezpieczeństwa. A jeśli ktoś używa domku bez wiedzy właścicieli? Na pewno chcieliby o tym wiedzieć, prawda? Postanowiła zadzwonić do agencji, jak tylko upora się z przeniesieniem pudeł i reszty bagażu.

Gdy jednak w trzy kwadransy później zerknęła na zegarek, spostrzegła, że telefon do agencji będzie musiał poczekać do następnego dnia. Młody człowiek, z którym załatwiła wynajem,

powiedział jej, że w sobotę biuro będzie czynne tylko do drugiej, w związku z dorocznym Świętem Wiosny. Czy o nim słyszała? — zapytał. A potem, nie czekając na jej odpowiedź, rozpoczął długi i szczegółowy opis parady, karnawału i tańców ulicznych. Rikki mogłaby zaoszczędzić mu fatygi. Pamiętała każdy szczegół święta. Jak mogłaby zapomnieć? Uczestniczyła w nim każdego roku, a na pierwszą randkę z Keenem Bohannonem poszła właśnie niemal dokładnie dziesięć lat temu.

Wspomnienie mężczyzny, którego zawsze kochała, wywołało dziwne łaskotanie w żołądku. Rikki uznała, że jest ono zarówno przyjemne, jak niedopuszczalne. I nie chodziło o to, że nadal miała do niego żal. Wręcz przeciwnie, słodycz ich krótkiego związku wywoływała dziś na jej twarzy uśmiech. Nie zawsze jednak tak było. Bardzo długo po przeniesieniu do Bostonu wydawało jej się, że nienawidzi go za to, iż opuścił ją w chwili, kiedy tak bardzo go potrzebowała. Zastanawiała się nawet, czy to nie on był tym potworem, który zarzął jej rodziców. Lecz to ostatnie było absurdem. Nie mogłaby przecież pokochać szaleńca, który był w stanie zrobić coś takiego. A ona go kochała. Lecz teraz to uczucie było już poza nią. Oboje byli wówczas tak młodzi, niecierpliwi, spragnieni miłości i łatwi do zranienia. Dzieciaki. A poza tym, nie była pewna, jak on zareaguje na jej powrót. I to w tak dramatycznych okolicznościach. Zapowiedziała go bowiem w sposób równie zuchwały, co bezczelny. I jej ponowne wcielenie do towarzystwa w St. Joan miało być równie śmiałe. Nie mogła powstrzymać lęku na myśl o pierwszym spotkaniu z nim. Jeżeli choć trochę go znała, nie będzie zachwycony jej powrotem. Nikt z nich nie będzie.

Doktor Aaron Grant zwolnił, gdy jego samochód mijał dom na wzgórzu. Zauważył jakiś ruch powyżej, pomiędzy drzewami, tam gdzie znajdował się podjazd. Mógł to być jelen, choć wyglądał zupełnie jak... Złapał leżącą obok na siedzeniu lornetkę i przyłożył ją do oczu, kierując szkła na miejsce, gdzie przed chwilą mignęło mu coś czerwonego.

— Sukinsyn — mruknął, naciskając na gaz i automatycznie włączając kierunkowskaz. W dwie minuty później wychodził już ze swego dżipa. — Hej, dziewczyno! — zawołał do Rikki.

Rikki odwróciła się na pięcie, a jej twarz przez chwilę wyrażała zaskoczenie. Lecz wspomnienie tego szerokiego uśmiechu, zapamiętane z czasów młodości, szybko pozwoliło jej rozpoznać przybysza.

— Cześć, Aaron. — Wcisnęła dłonie w kieszenie dżinsów i podeszła do niego. — Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

— Nie wiedziałem. A przynajmniej nie wiedziałem jeszcze pięć minut temu, kiedy zobaczyłem, że coś rusza się między drzewami. A ponieważ wiedziałem, że nikt tu nie mieszka, postanowiłem zatrzymać się i sprawdzić, co to takiego. Spojrzałem przez lornetkę i zobaczyłem dziwne rudowłose stworzenie...

Rikki roześmiała się, lecz szybko spoważniała.

— Czy mógłbyś o tym nie rozpowiadać? To znaczy o tym, gdzie mieszkam? Przywykłam do prywatności.

Aaron podrapał się po karku.

— No dobrze, nie powiem nikomu, ale nie wydaje mi się, żeby udało ci się zbyt długo utrzymać to w sekrecie. Już zapomniawszy, jak wścibscy są tutejsi mieszkańcy?

Zaskoczyło go, że jej niebieskie oczy jakby ściemniały. Nie miał zamiaru przywoływać bolesnych wspomnień. Prawdę mówiąc, spodziewał się raczej usłyszeć jej śmiech. A przecież powinien był wiedzieć. Nie przyjechała tu, by pielęgnować szczęśliwe wspomnienia.

— Przepraszam, Ericko, chyba nie zachowałem się zbyt taktownie.

Uśmiechnęła się. — Nie, masz rację. Chyba zapomniałam, jak szybko rozchodzą się tu wiadomości. Lecz jeśli nie masz nic przeciwko temu, pozwólmy, by sami się o tym dowiedzieli.

— Pewnie. Nie wspomnę nawet Pameli Sue.

— A co tam u niej?

— Dobrze. Naprawdę dobrze. Dwa tygodnie temu urodziła kolejne dziecko.

— To znaczy, zaraz, niech pomyślę, teraz macie już czwórkę. Starsze to chłopiec i dwie dziewczynki, prawda? A to najmłodsze?

— Chłopak — powiedział, uśmiechając się i kołysząc na obcasach. — Widzę, że przez cały ten czas miałaś nas na oku, co?

— Czytywałam gazety.

— Czyżby *Sztandar St. Joan* zawędrował aż do Bostonu?

— Nie — roześmiała się, a jej twarz pokrył rumieniec, jakby odkryto jakiś jej wstydlivy sekret. — Zaprenumerowałam go.

— No cóż, jeśli coś ci umknęło, będziesz mogła uzupełnić swoje wiadomości osobiście.

— Dokładnie taki mam zamiar.

Aaron przyglądał się jej, odnotowując, że rysy jej twarzy stężały na moment, zanim odzyskały swój normalny wyraz przyjaznej rezerwy.

— No cóż, chyba już pojedę. Obiecałem Pam, że wykąpię dzieciaki, zanim pójdziemy do miasta. Wiesz, Święto Wiosny...

— Pozdrów ją ode mnie.

— Oczywiście — powiedział, wdrapując się z powrotem za kółko. — Może wpadłabyś do nas któregoś dnia na kolację? — I, widząc jej wahanie, dodał z uśmiechem: — Domyślam się, że nie przyjechałaś tu, by uprawiać życie towarzyskie, co?

— Prawdę mówiąc, mam zamiar sama urządzić przyjęcie. Jeśli już o tym mowa, dzisiaj powinniście otrzymać zaproszenie.

Aaron nie odpowiedział od razu, a kiedy się odezwał, jego głos stracił wiele z poprzedniej przyjacielskości. — Od razu do rzeczy, co?

— Tak, Aaronie, to właśnie mam zamiar zrobić.

— Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałować.

— Czy to groźba? — spytała, mimo woli cofając się o krok czy dwa.

— Z mojej strony? Na Boga, nie, Ericko. Moja robota polega na ratowaniu życia, nie odbieraniu go. Zaczął już zamykać drzwi auta, gdy dała mu znak, by poczekał.

— I jeszcze jedno, Aaronie.

— Strzelaj.

— Nie ma już Ericki. Jest tylko Rikki.

— Ona wróciła! — powiedziała Carrie, gdy tylko Sally Jane podniosła słuchawkę.

— Z pewnością masz na myśli osławioną Rikki Blue — stwierdziła Sally Jane, potrząsając głową na myśl o dramatycznym wstępie do ich rozmowy.

— Dla mnie ona zawsze będzie Ericką, i oczywiście ją mam na myśli. Właśnie otrzymaliśmy zaproszenie na przyjęcie, i dzwonił Aaron. Mówi, że ją widział. Przyjechała czerwonym cherokee, wyładowanym po dach. Nie można powiedzieć, by wślizgiwała się do miasta ukradkiem.

— Och, na miłość boską, Carrie. Kupiła tu rozgłośnię radiową. W poniedziałek rano ma zamiar wystartować z własnym programem. Puszczają te promocyjne kawałki już od miesiąca. Dlaczego miałyby zawracać sobie głowę „wślizgiwaniem się”?

— Nie wiem, to wszystko jest bardzo dziwne. Najpierw ten niegustowny magazyn, pełen jej gołych zdjęć, z okładką włącznie, a teraz ta stacja radiowa. Nigdy bym nie pomyślała, że Ericka może być taka bezczelna.

— Tu właśnie leży klucz do całej sprawy. Ona już nie jest Ericką Cassidy. Jest gwiazdą

radiową, Rikki Blue, która pięć lat temu zdobyła szturmem fale eteru. Nie przypuszczam, żeby przyjazd do małego amerykańskiego miasteczka, by robić to samo, przerastał jej możliwości.

— Nie traktuj tego tak lekko, Sally Jane. To znaczy, jakbyśmy wszyscy nie wiedzieli, po co ona naprawdę tu przyjechała.

— Oczywiście, że wiemy, ale ponieważ nic nie możemy na to poradzić, proponuję, abyśmy rozsiedli się wygodnie i obejrzeliby przedstawienie.

— Ja z pewnością nie będę tego słuchała.

— Bzdura!

Carrie zachichotała.

— A przynajmniej, jeśli Brett będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Już mi zabronił włączać radio. Mówił o tym nawet podczas niedzielnej mszy. Ostrzegał parafian przed dziełem Szatana. A teraz zamknął się na probostwie, żeby napisać jutrzejsze kazanie. Wyobrażam sobie, że zostaniemy uraczeni prawdziwie natchnionym kazaniem, z ogniem piekielnym i siarką.

— Opuść sobie. Nie obraż się, Carrie, ale czasami ten twój mąż przyprawia mnie o prawdziwy ból tyłka.

Tym razem Carrie nie zachichotała w odpowiedzi, lecz tylko dlatego, że jak przypuszczała Sally Jane, za wszelką cenę starała się tego nie robić. Żona wielebnego nigdy nie powiedziała złego słowa na swego męża — a przynajmniej nie do niej — lecz Sally Jane nie była głucha, ślepa ani nieczuła... a już na pewno nie była głupia. A takiej właśnie osoby trzeba by było, żeby nie zauważyć, że pomimo całego tego gadania o raj, ich małżeństwo dalekie było od doskonałości. A poza tym pojawiły się plotki o innym mężczyźnie.

— Hej — powiedziała nagle Carrie — ty także musiałaś ją widzieć. To dlatego nie byłaś zdziwiona, gdy zadzwoniłam.

— Nie widziałam jej. Dopiero co wróciłam z Camdenton. Ale wiedziałam, że przyjeżdża. Bobby Hayden, jeden z moich agentów, wynajmował dla niej dom.

— I nie pisałaś ani słówka — powiedziała Carrie oskarżycielskim tonem.

— Wybacz, skarbie, lecz chodzi o sprawy zawodowe. Niepisane prawo, od którego zależy sukces każdego agenta nieruchomości, zakazuje plotkowania o naszych klientach.

— Ależ właśnie to robisz!

— Masz rację. Za dużo powiedziałam — zgodziła się Sally Jane. — I dlatego lepiej będzie, jeśli się rozłączę, zanim powiem coś jeszcze. Aha, jeżeli potrzebujesz bezpiecznego miejsca, żeby posłuchać radia w poniedziałek, przyjdź do mojego biura. Możesz powiedzieć Brettowi, że idziesz na zakupy.

— Mam skłamać? — spytała Carrie z oburzeniem.

— Dlaczego nie? Nie byłyby to pierwszy raz.

— Czasami jesteś straszną suką, Sally Jane Matthers.

— Nie czasami, na ogół, kochanie. Carrie roześmiała się.

— No dobrze, niech ci będzie, ale powiedz, nie jesteś trochę podekscytowana, że ją zobaczysz?

— Dalej mówimy o Rikki Blue? Oczywiście, dlaczego miałyby być inaczej? Lubiłam ją. Jestem naprawdę ciekawa, jaka jest teraz, po tylu latach.

— Ja także — przyznała Carrie. A potem dodała: — A poza tym tęskniłam za nią. Mam nadzieję, że już mnie nie nienawidzi.

— Skarbie, jest coś, z czego wszyscy musimy zdać sobie sprawę. Ona nienawidzi nas wszystkich, i któż mógłby ją za to winić? Tej nocy, kiedy zginęli jej rodzice, powiedziała nam coś w tajemnicy. Dała jasno do zrozumienia, iż przypuszcza, że to ktoś z nas jest odpowiedzialny za to, co im się przydarzyło. Mam takie uczucie, że w tej sprawie wszyscy zostaliśmy uznani za

winnych, dopóki nie udowodnimy, że jest inaczej.

— A zatem przypuszczasz, że Brett może mieć rację, kiedy mówi, że ona z pewnością wstrząśnie naszym życiem, tak jak Joshua wstrząsnął murami Jerycha?

— Skarbie, twój mąż to dupek pierwszej klasy, lecz w tym przypadku ma rację. I ty o tym wiesz. Każdy z nas, kto był tam tego wieczoru, o tym wie. Przecież obiecała.

\* \* \*

Szeryf A.R. Witcomb stał przy wejściu do więzienia w St. Joan. Wszystkie cztery cele były już pełne. W większości znajdowali się w nich pijacy, których zamknięto tam dla ich własnego dobra. A także kilku młodych ludzi, których przyłapano na obrabowywaniu sklepu wędkarskiego Sama Petersa. I jeden poważny przestępca. Recydywista, który dopiero co odsiedział dwa wyroki w więzieniu Fulton, a ostatniej nocy zastrzelił pracownika stacji benzynowej przy autostradzie. Miejsce to nie leżało co prawda w zasięgu jurysdykcji Scootera, ale za facetem rozesłano listy gończe, a Junior przywazał go jeszcze przed siódmą rano i przywiózł tutaj.

Lecz Scooter nie myślał teraz o żadnym ze swoich „gości”. Myślał o przyjeździe Ericki Cassidy. Och, wiedział, że nie używa już tego nazwiska, i wcale mu się to nie podobało. Dla niego zawsze będzie dziewczyną Cassidych. A myśl o powrocie Ericki Cassidy przypomniła mu o orgii zabójstw, których nie rozwiązał w 85. Były to bardzo bolesne wspomnienia, okres tamtych sześciu tygodni. Nawet teraz bardzo niechętnie wracał do niego myślami. Zawiódł jako szeryf, a teraz ona zamierza dotrzymać swej obietnicy i załatwić to za niego. Nie mógł tego znieść.

Scooter był prostym człowiekiem. Nie głupim, lecz prostym, a to znaczyło, że wiele było na świecie rzeczy, które nawet nie przyszłyby mu do głowy. A jednak wiedział, jak strzec prawa. Wiedział, że czasem przestępcom udaje się ujść cało. I wiedział także, iż to, że uchodzi im to na sucho, nie znaczy jeszcze, że ci przestępcy dokądkolwiek odchodzą. W tym przypadku był raczej pewien, że ten, kto zabił Bunny, Doca Granta, Cassidych i innych, nigdzie stąd nie wyjechał. Czuł, że jest to ktoś ze stałych mieszkańców St. Joan. Nie potrafił tego udowodnić, był jednak przekonany, że ma rację, podobnie jak przekonany był, że morderca nadal mieszka w St. Joan. Nie wiedział tylko, kim on jest.

Te zabójstwa przez ładnych parę lat nawiedzały jego sny. Zawsze czuł się winien, że zawiódł, zawsze brał ciężar winy na swoje barki. Lecz w końcu jakoś uporał się z tym. Jakikolwiek był powód tamtych morderstw, zabójca nie uderzył już nigdy więcej. A Scooter wierzył głęboko, że przyjazd Ericki Cassidy znów zmusi drania, by zaczął zabijać. Scooter bardzo lubił tę dziewczynę. I wiedział, że znów zacznie ją lubić, gdy tylko ją zobaczy. Nie chciał, by stała się siódmą ofiarą. Ona, ani nikt inny. A poza tym bał się. Nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiał, lecz co będzie, jeżeli mordercą okaże się ktoś, kogo kocha? Na przykład własny syn?

\* \* \*

Zastępca szeryfa Allan Witcomb siedział w radiowozie i obserwował swego ojca. Staruszek denerwuje się z powodu Ericki Cassidy, nie ma co do tego wątpliwości. Pewnie obawia się, że Ericka dowie się o jego związek z Bunny. Junior nie winił go za to. On sam nie przejmował się tym specjalnie. Bo nawet, jeżeli się dowie, to co z tego? Czego to dowodzi? Niczego. A mimo to może powinien mieć ją na oku.

Spojrzał w dół ulicy, w stronę parkingu, gdzie dokonywano ostatnich poprawek przy platformach, dźwigających żywe obrazy. Jego zadaniem było utrzymanie drogi wolnej od pojazdów. Lecz, do diabła, tu nic nie zacznie się wcześniej niż za godzinę. Mógłby pojechać do miejsca, które wynajął, rzucić okiem, czy wszystko w porządku i wrócić na czas.

Zdjął swoje okulary słoneczne marki Rayban, splunął na szkła, przetarł je rękawem koszuli, a potem włożył znowu i zjechał z krawężnika. Gdy spojrzał w lusterko, zauważył, że jego staruszek nadal stoi przy tylnym wejściu do więzienia. Uśmiechnął się do siebie. Założyłby się, że nawet Scooter nie wiedział, dokąd się wprowadziła. Do diabła, on, Junior, wiedział to, zanim jeszcze wysechł atrament na umowie o wynajem. Jego ojciec nie bardzo wierzył w uzdolnienia syna, jako swego zastępcy. I bardzo dobrze. Czasem lepiej jest być niedocenianym. Doskonale pasowało to do trybu życia, jaki prowadził.

Brett zdjął okulary w metalowych oprawkach, pochylił ramiona i oparł łokcie na swoim biurku w gabinecie probostwa. Potarł grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Boże, ależ był zmęczony. Przygotowanie jutrzejszego kazania zajęło mu prawie osiem godzin. Ale przesłanie, które chciał w nim zawrzeć, było bardzo ważne i musiało zostać odczytane. Zwłaszcza teraz, kiedy Ericka wracała do miasta. Pewnie już wróciła. Jej program radiowy zapowiadany był na poniedziałek. A we wtorek wieczorem miało odbyć się to przyjęcie.

\* \* \*

Przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć w ten sposób zmęczenie. Ale to zmęczenie, którym emanowała jego twarz, nie pochodziło z ciała, lecz z duszy. Niełatwo było być pasterzem ponad tysiąca owieczek. Miał wiele obowiązków, które mogły dać się we znaki, zwłaszcza jeśli się miało żonę, która poddawała go nieustannym próbom, podważając jego autorytet.

Spojrzał na zegar, wiszący na ścianie pokoju. Już czas spotkać się z Carrie. Obiecał, że skończy kazanie do piątej, tak żeby mogli zdążyć do miasta na barbecue i tańce. Jego parafianie oczekują, że się tam pojawi. Lecz on nie miał dziś najmniejszej ochoty mieszać się z tłumem, udawać, że jest wesoły i dobrze się bawi, gdy jego myśli zaprzętały zupełnie inne sprawy.

Jak na przykład Ericka Cassidy.

Lub zaproszenie, które otrzymał w dzisiejszej poczcie.

Wysunął górną szufladę, wyjął z niej delikatnie prążkowaną kopertę i jeszcze raz przeczytał jasnoblękitną karteczkę:

*Rikki Blue ma zaszczyt zaprosić  
na prywatne przyjęcie we wtorek, 18 kwietnia 1995 o 8 wieczorem.  
Hotel Bar-Ber-Keen — apartament Królowej Anny  
Wymagany strój wieczorowy  
R.S.V.P. 555-9898, pan Hollins Parker, dyrektor hotelu*

Polecił Carrie, by zignorowała powrót tej kobiety do St. Joan. Żeby udawała, że nigdy jej nie znali. Najwidoczniej nie było to możliwe. Wróciła, by zniszczyć im życie. Nie mógł pozwolić, by uszło jej to na sucho.

Podniósł słuchawkę i zatelefonował do żony.

— Zadzwoń do hotelu, Carrie — powiedział bez żadnych wstępów — i powiedz panu Parkerowi, że przyjdziemy na przyjęcie Ericki.

\* \* \*

— Ale myślałam, że chcesz, bym ją zignorowała.

— Zmieniłem zdanie. Jestem pastorem, Carrie Ann. I moim zadaniem jest stawić czoła diabłu. Carrie zachichotała.

— Co cię tak bawi?

— Ty — powiedziała, śmiejąc się już teraz otwarcie. — Jesteś taki... taki melodramatyczny. Ericka nie jest diabłem. Jest tylko kobietą, która stała się kimś na tyle znaczącym, by udawać ważniaka. Dziwię się, że pozwoliłeś, by aż tak wyprowadziła cię z równowagi.

— Ona nie wyprowadziła mnie z równowagi, kochanie. Lecz sądzę, że nie wolno nam jej nie doceniać. Żyliśmy tu sobie spokojnie przez dziesięć lat. A teraz ona chce to wszystko zburzyć. Jako pastor największej kongregacji w St. Joan powinienem chyba być zainteresowany dopilnowaniem, by jej się to nie udało.

— Och, na miłość boską, Brett. Nie jesteś Billym Grahamem. Zaśmiała się znowu, z wyraźną kpina w głosie. — Czy nadal idziemy na ten festiwal?

— A może wolałabyś pójść z kimś innym? — powiedział miękko.

— Oczywiście, że nie. Z kim miałabym pójść, jak nie z własnym mężem? — spytała.

Brett uśmiechnął się, słysząc niepokój w jej głosie.

— Nie musisz dzwonić do Bar-Ber-Keen, sam to zrobię. Będę w domu za pięć minut. Bądź gotowa do wyjścia. Rozłączył się, a potem raz jeszcze przyjrzał się wytłaczanej wizytówce. Podniósł słuchawkę i wybrał numer hotelu.

Potwierdziwszy zaproszenie, uśmiechnął się. Miał zamiar dobrze się bawić. Już i tak prawdziwą przyjemność sprawiało mu obserwowanie Carrie. Rikki Blue, jak teraz kazała się nazywać, powinna stanowić interesujące wyzwanie.

\* \* \*

— Pan Bóg powinien ją pokarać za to, że wróciła i znowu skazała mnie na ten ból — powiedziała Rhonda Grant do synowej, obierając ziemniaki w zlewie.

— Daj spokój, Rhondo, nawet jej jeszcze nie widziałas. I jak jej powrót może przywrócić ból po śmierci doktora Jasona? — spytała Pamela Sue.

— Słyszałaś, co powiedział Aaron. Będzie w radiu w poniedziałek rano. Ona naprawdę ma zamiar to zrobić i wszyscy wiemy, o czym będzie mówiła. O morderstwach. — Wrzuciła nóż do cedzaka, by opłukać rękę. — Nie zniosę tego.

— To nie słuchaj.

— Myślisz, że to takie proste? Że jeśli nie będę słuchała, i tak nie dowiem się, o czym mówiła? Że Marylou i Phoebe i Wanda May w tej swojej bibliotece nie zadzwonią do mnie natychmiast, żeby uraczyć mnie wszystkimi smakowitymi szczegółami?

— Więc zostań tu ze mną i z dziećmi. Pomożesz mi przy maleństwie i unikniesz telefonów.

— To by mi bardzo odpowiadało, ale co z tobą i Aaronem? Pamela Sue westchnęła z rozdrażnieniem.

— Co z nami, Rhondo?

— Czytałaś zaproszenie i słyszałaś, że Aaron ma zamiar pójść. Nie przypuszczasz chyba, że ona chce po prostu porozmawiać o dawnych dobrych czasach, co?

— Nie wiem, czego ona chce.

— Owszem, wiesz. Słyszałam, jak rozmawiasz o tym w sypialni z Aaronem.



Pam już miała naskoczyć na nią za podsłuchiwanie, lecz rozmyśliła się. Co by to dało? Rhonda zawsze wtrącała się do ich życia. Zwłaszcza w ostatnich trzech latach, kiedy to z pewnością spędziła w ich domu więcej nocy niż w swoim własnym, i pewnie nawet wiedziała dokładnie, kiedy została poczęta ich ostatnia dwójka.

\* \* \*

— No dobrze — powiedziała, starając się zachować grzeczność. — Więc nie wierzymy, że przyjechała tu, by odnowić stare przyjaźnie. Wiesz przecież, że ona sądzi, iż jedno z nas, ktoś, kto był wśród nas tamtego wieczoru, zamordował jej rodziców, gdyż jej zdaniem nikt inny nie mógł nawet podejrzewać, że są jakoś zaangażowani w śledztwo. Ale wiesz także, że to po prostu śmieszne.

— Mylisz się, Pamela Sue. Niczego takiego nie wiem.

— Co? Coś ty powiedziała?

— A jeśli ci powiem, że Aaron spotykał się z tą Apperson, i z Cindy Rachwalski także?

— O, mój Boże, zwariowałaś! — krzyknęła Pam, odsuwając się gwałtownie od stołu i wybiegając z pokoju.

— Może i zwariowałam, ale z pewnością nie jestem jedyną osobą, która nienawidziła jego ojca!

\* \* \*

— Cześć, Blue — powiedział Keen.

Rikki odwróciła się gwałtownie. Przyjechała do miasta, by kupić trochę jedzenia. Nie miała zamiaru iść na festiwal, lecz utknęła w tłoku. Musiała zaparkować o dobre pół mili od sklepu i kiedy przedzierała się przez tłum, obserwujący paradę, usłyszała swoje imię. Nieświadomie przesunęła dłonią po włosach, a potem bez przekonania spróbowała wygładzić fałdy na flanelowej koszuli, którą miała na sobie.

— Bo, nie zauważyłam cię.

Ten sam niespieszny uśmiezek, który pamiętała tak dobrze, wypełził z wolna na jego twarz.

— Najwidoczniej, bo gdybyś zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu, mogłabyś mnie powalić i wylądować na moich kolanach.

— Och, bardzo przepraszam — powiedziała, czując, że się rumieni i nienawidząc siebie za to, że pozwala mu wprawić się w zakłopotanie. Przystąpiła z nogi na nogę, żałując, że nie może powiedzieć po prostu „miło było cię widzieć” i pójść swoją drogą, ale nie mogła. Po prostu nie mogła.

— Co... co u ciebie?

\* \* \*

— Nie mogę się skarżyć. A u ciebie?

— U mnie? Wszystko dobrze. Naprawdę dobrze.

I znowu ten powolny uśmiezek.

— Tak, widziałem na rozkładówce w tym magazynie.

— A ja widzę, że przeczyłaś to, co najważniejsze — powiedziała, odwracając się.

— Och, tu się mylisz, maleńka. Ręczę ci, że nie przeczyłem niczego.

Stała, zacisnęła pięści, a potem powoli odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

— A zatem wiesz, że chodzi mi tylko o interes. Mam zamiar dowiedzieć się, kto zabił moich rodziców. — Umilkła na chwilę, a potem dodała znaczącym głosem. — Nie ważne, kto by to był.

Jego zwykła poza znikła, wyprostował się i powiedział:

— Dopraszasz się o kłopoty, Blue. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

— Nie jestem już małą, naiwną dziewczynką, Bo. Nauczyłam się o sobie troszczyć. Przeszłam ciężką szkołę, ale przetrwałam.

Napięcie wypełniło przestrzeń pomiędzy nimi.

— No cóż — powiedział, opierając się o ścianę budynku. — W takim razie nie będę się o ciebie martwił.

— Przecież nigdy się nie martwiłeś.

Przyglądał się, jak odchodzi. Nie miał nic na swoją obronę. Miała rację. Nie było go wówczas przy niej. I nie chciał być przy niej teraz. Poświęcił mnóstwo czasu i energii, żeby nauczyć się o nic nie troszczyć, niczego nie czuć. Zwłaszcza jeśli chodziło o Ericę Cassidy.

## ROZDZIAŁ 12

Następnego ranka Rikki obudziła się zdezorientowana. Przez dziesięć lat przywykła budzić się przy akompaniamencie ulicznej krzątaczki Bostonu. Poranne odgłosy tego spokojnego miejsca były obce i mylące. Odwróciła się na bok i wpatrywała w jezioro za oknem, koncentrując uwagę na głosach, które dobiegały do niej przez wodę, a potem na ptakach, które świergotały, krzyczały i skrzeczały. Niebo było błękitne, jak zwykle w tej okolicy. Zapowiadał się piękny wiosenny dzień. Wczesny poranny wietrzyk poruszał gałęzie drzew, szeleszcząc w koronach dębów, które nie zrzuciły całkiem uschłych liści z zeszłego roku. Wszystko to przywołało wspomnienia z dzieciństwa, kiedy to życie wydawało się tak doskonałe, a ona sama zdawała się być jego częścią — bez skazy i niepokonaną.

Znów ogarnęło ją uczucie osamotnienia. Osamotnienia i smutku, o którym myślała, że pokonała go podczas sesji z terapeutką, odbywanych co tydzień przez ponad pięć lat. Było tak, jakby oba te uczucia czekały tu na jej powrót. Teraz wydawały się wsiąkać w nią wszystkimi porami ciała, otaczać ją, grożąc zaduszeniem.

— Nie — powiedziała stanowczo, odrzucając lekką kołdrę, którą okryła się w nocy.

Pomimo wiosny poranne powietrze niesło ze sobą chłód. Rikki pomyślała, czyby nie zamknąć okna, które zostawiła otwarte na noc, lecz nie zrobiła tego.

Potrzebowała chłodu, by ją ożywił. Przeciągnęła się z uśmiechem, wspominając babkę. Niemal słyszała jej głos, delikatnie modulowany, a zarazem jakby potępiający. „Powinno się natrzeć ci uszu za zostawianie otwartego okna, Ericka. Wystarczy już, że upierasz się przy tym nader ryzykownym śledztwie. Nie musisz zapraszać mordercy do domu, zapewniając mu łatwy dostęp”. Uśmiech, który pojawił się na twarzy Rikki na myśl o Julii, znikł. On teraz nie przyjdzie, pomyślała. Będzie czekał. Obserwował. Starał się odkryć, co ona wie. Dopiero wtedy uderzy.

Usiadła na skraju łóżka, wsunęła dłoń pod poduszkę i wyciągnęła rewolwer. Lecz ona będzie przygotowana.

\* \* \*

Keen także był przygotowany. Tak przygotowany, jak zwykle w niedzielę, kiedy odwiedzał cmentarz. To była jego cotygodniowa pielgrzymka. Jego pokuta.

Otworzył drzwi i już miał wyjść, ale zawahał się, słysząc, że Ericka zapala silnik czerwonego cherokee. Ciekawe, dokąd się wybiera tak wcześnie rano, gdy wszyscy jeszcze leniuchują, pomyślał. Myślał także o wielu innych, związanych z nią rzeczach. Prawdę mówiąc, lista pytań, które chciałby jej zadać, gdyby sprawy miały się inaczej, była nieskończona. Lecz sprawy nie miały się inaczej. I nigdy nie będą. Ustalił ich bieg tej nocy, kiedy wyjechał na Karaiby.

Przesunął dłonią po twarzy. Tak wiele błędów. Jak, u diabła, jedna istota ludzka może tak wszystko spieprzyć?

Ręce Rikki drżały, gdy ustawiała kwiaty w wazonie przed granitową tablicą, a łzy szczypały ją w oczach i w gardle. Ułożyła bukiet jaskrawych kwiatów z równą starannością, jakby układała go na świąteczny stół. Głupia. Oni i tak tego nie zobaczą. Nie ma ich tu, by podziwiać sposób, w jaki ułożyła kwiaty. Na myśl o tym łzy, na które nie pozwalała sobie przez ponad pięć lat, popłynęły strumieniem po jej policzkach.

Usiadła i objęła ramionami kolana. „O, Boże, nadal tak bardzo za wami tęsknię!”

Wtuliła twarz w kolana i pozwoliła, by ból ogarnął ją całą. Słyszała, jak inni podjeżdżają pod

omentarz, słyszała kroki, głosy, lecz nie zwracała na nie uwagi. Nawet nie podniosła głowy, dopóki nie wypląkała wszystkich łez. Potem otarła twarz połą bluzki, śmiejąc się z siebie. „Czy uwierzycie, że nawet nie wzięłam ze sobą chusteczek?” Pytanie zaadresowane było do jej rodziców. Śmieszne, a zarazem pocieszające. Rozmawiała z nimi często podczas tych dziesięciu lat, lecz dopiero dziś czuła się tak, jakby byli przy niej, słuchali jej. To było nie tylko śmieszne, ale wręcz idiotyczne. A jednak czuła się lepiej.

Oparła brodę na kolanach i przemówiła do nich znowu. „Wszyscy myślą, że zwariowałam, wracając tutaj. Naprawdę wszyscy. Powinniście usłyszeć, co powiedział mój szef. Wygłaszał mi przemowy przez dwa tygodnie po tym, jak mu powiedziałam, że wyjeżdżam i odchodzę z programu. W końcu dał spokój, ale naprawdę załamał się dopiero, kiedy usłyszał, że kupiłam stację radiową. Próbowałam mu wyjaśnić, że potrzebuję samodzielności i że posiadanie własnej stacji może mi to zagwarantować, lecz on tylko potrząsał głową i patrzył na mnie, jakbym była którymś z tych dziwadł, pokazywanych w telewizji”.

Zaśmiała się znowu, choć jej śmiech był zaledwie wspomnieniem dawnej wesołości. „Och, ale najgorszy był Kit. Zagroził, że zamknie mnie na klucz, jeżeli nie porzucę tych niedorzecznych planów wykurzenia mordercy... A jednak odwiózł mnie na lotnisko, choć nie uszczęśliwiło go to zbytnio. Pamiętajcie, że wam o nim opowiadałam, prawda? Był pierwszą osobą, z którą zaprzyjaźniłam się w szkole. Straszny z niego sztywniak, jak na faceta poniżej trzydziestki, ale to dobry przyjaciel.

No cóż, mam nadzieję, że przynajmniej wy rozumiecie, dlaczego wróciłam. Po prostu nie mogę tak tego zostawić. Zaslugujecie na coś lepszego. Byliście najlepszymi ludźmi, jakich znałam. I to nie tylko dlatego, że byliście moimi rodzicami, choć ludzie na pewno powiedzieliby, że nie jestem bezstronna.

Lecz wy naprawdę byliście wyjątkowi. Wiedziałam o tym już wówczas, a jeszcze bardziej zdaję sobie z tego sprawę teraz. Ten świat naprawdę zwariował. Nikt już nie siada spokojnie i nie przygląda się jego pięknu, jak robiliście to wy. Nawet ja. Ale to się zmieni... gdy tylko będę miała to wszystko za sobą.

Jeszcze jedna łza spłynęła jej po policzku i upadła na dłoń. Uśmiechnęła się, choć wargi jej drżały. „Nie chcę, żebyście się o mnie martwili. Nie wróciłam tu nie przygotowana. Wiem, że to niebezpieczne i czasami bywam przerażona, ale ja po prostu muszę to zrobić. A poza tym wiem, że będziecie nade mną czuwać”.

Wstała, otrzepała siedzenie z kurzu, a potem powiedziała: „No cóż, chyba lepiej już pójdę. Wrócę za tydzień. Może wtedy będę miała dla was jakieś wieści”. Odwróciła się, a potem zawahała i obejrzała za siebie. „Tak bardzo was kocham... i nadal okropnie za wami tęsknię”.

Wcisnęła dłonie w kieszenie dzinsów, odwróciła się na pięcie i szybko odeszła. Nie uszła nawet dziesięciu stóp, kiedy go zobaczyła. Cholera! Wciągnęła głęboko powietrze do płuc, by się uspokoić, a potem pomaszerowała prosto do niego.

— Czy to zaczęło wchodzić ci w nawyk? — zapytała napastliwie. — To znaczy, wiem, że St. Joan to mała miejscina, ale, do diabła, wołałabym nie natykać się na ciebie za każdym razem, gdy tylko wystawię nos z domu.

Bo, który właśnie przykucnął, podniósł głowę, by na nią popatrzeć. Uśmiechnął się.

— Masz zamiar często tu przychodzić?

— Miałam zamiar — przyznała niepewnie. A co go to obchodzi? — W każdą niedzielę, jak długo tutaj będę.

— W takim razie będziemy widywali się tu co tydzień, chyba że opracujemy jakiś harmonogram. Wiesz, ty przychodzisz o dziewiątej czy dziesiątej, ja czekam do pierwszej czy drugiej.

I wtedy zauważyła płytę.

*Berton A. Bohannon*  
*12 sierpnia 1941 — 1 stycznia 1987*  
*Barbara J. Bohannon*  
*9 marca 1943 — 28 sierpnia 1986*

— Och, Bo, tak mi przykro. Zapomniałam, że twoi rodzice także tu leżą. Tupnęła nogą. — Czuję się jak idiotka.

Bo wstał, by spojrzeć jej w twarz i uśmiechnął się po przyjacielsku.

— W porządku, nic się nie stało.

— Naprawdę przychodzisz tu w każdą niedzielę? — spytała. Roześmiał się, słysząc niedowierzanie w jej głosie.

— Hej, nie byłem co prawda wiele wart, ale nie aż tak mało. Kochałem moją matkę, a Bert... Bert zasłużył na coś więcej, niż ode mnie otrzymał. Po prostu wpadam tu i sprawdzam, czy ich groby wyglądają jak należy. Nic wielkiego. Robię to, bo jest mi to potrzebne.

— Ładne mi nic wielkiego — powiedziała miękko. — To jedna z najmilszych rzeczy, o jakich kiedykolwiek słyszałam.

— Przyszłaś przywitać się z rodzicami, prawda?

Z zakłopotaniem uświadomiła sobie, że znowu oczy ma pełne łez. Odwróciła wzrok.

— Do dziś nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi ich brakuje.

— Oni nie chcieliby, żebyś to robiła, Blue — powiedział tak spokojnie, że niemal nie zrozumiała, o co mu chodzi.

— Żeby ich odwiedzała?

Zmarszczył brwi.

— Wiesz, o czym mówię. Nie chcieliby, żebyś narażała się na ryzyko.

Zjeżyła się. Łatwo było się śmiać z ludzi, którzy odradzali jej przyjazd tutaj, lecz to było co innego. To był Bo. A on miał mniejsze prawo niż ktokolwiek inny, by mówić jej, co ma robić. — Przykro mi z powodu twoich rodziców — powiedziała sztywno. — Byli dla mnie bardzo serdeczni, kiedy... No cóż, nie będę ci dłużej przeszkadzać.

— Już miałem iść — powiedział, wzruszając nonszalancko ramionami. — Wrócę z tobą do samochodów.

Nie odzywali się do siebie, dopóki nie doszli do jej dżipa. Zatrzymali się przy samochodzie, zmieszani, nie wiedząc jak zakończyć tę krępującą sytuację.

— No to do zobaczenia — powiedziała w końcu.

\* \* \*

— Jasne. Jak powiedziałaś, St. Joan to mała miejscina.

Uśmiechnęła się z trudem, bawiąc się kluczykami, które wyluskała z kieszeni spodni.

Bo wykonał coś w rodzaju niedbałego salutu i odwrócił się, by odejść. Zatrzymała go.

— Było mi przykro, kiedy dowiedziałam się, że twoje małżeństwo się rozpadło.

Wrócił.

— Widzę, że przez cały ten czas starałaś się mieć nas na oku?

— Zaprenumerowałam gazetę. Czytałam ogłoszenie o twoim małżeństwie, a potem o rozwodzie. Było mi przykro. Chciałam, żebyś był szczęśliwy.

— Wzruszył ramionami.

— Widocznie nie było nam pisane. Pobraliśmy się z niewłaściwych powodów. Ona nie lubiła tu mieszkać. Chciała, żebym przeniósł się do jakiejś firmy prawniczej w dużym mieście.

Roześmiała się.

— Tak, to mi przypomina, że teraz jesteś tu figurą, co? Prokurator. Chyba muszę zacząć uważać na to, co robię.

— Nie jestem taki groźny.

— To znaczy, że jeśli zostanę aresztowana za nieostrożne przechodzenie przez ulicę, nie oskarżysz mnie przed sądem?

— No, nie wiem. Mogę okazać się prawdziwym służbistą, jeżeli uprzesz się, żeby ryzykować życiem — powiedział niby żartem, lecz Rikki prawidłowo odczytała aluzję.

— Potrafię o siebie zadbać, powiedziałam ci to już wczoraj wieczorem. Jestem naprawdę dobra w wyszukiwaniu właściwych osób.

— Mam nadzieję, Blue, bo dręczy mnie dziwne przeczucie, że wkrótce wsadzisz głowę do prawdziwego gniazda szerszeni, a jedynym sposobem uchronienia się przed wściekłymi szerszeniami, jaki znam, jest ucieczka.

Zamiast się rozgniewać, uśmiechnęła się.

— Jesteś mądrym facetem, Keenie Bohannon. Założę się, że wspomniały z ciebie prokurator.

Odwrócił wzrok. Mógłby nim być. Ale nie był. Odsunął od siebie tę myśl i spojrzał ponownie w jej błyszczące niebieskie oczy. Uśmiechnął się.

— Jestem naprawdę dobry w wielu rzeczach, skarbie. Być może zabawisz tu dostatecznie długo, żebym ci o tym przypomniał. Przyglądał się, jak błękit jej oczu zamienia się w burzową szarość. Roześmiał się.

„Nie starczyłoby na to całego czasu, jaki pozostał na ziemi, Bohannon”.

Nadal się śmiał, gdy odjeżdżała, lecz tylko do chwili, kiedy nie mogła go już zobaczyć.

Wrócił do domu... jeżeli ktokolwiek mógłby określić tak miejsce, w którym mieszkał. Dwupokojowy domek rybacki nie był po prostu mały. Był zrujnowany i wymagał poważnego remontu. Keen nie był majsterkowiczem. A poza tym było mu wszystko jedno, jak wygląda jego siedziba, dopóki dach nie walił mu się na głowę.

Było mu tu sucho.

I ciepło.

Nikt nie zawracał mu głowy.

I mógł mieć Blue na oku.

Nie, żeby to ostatnie było powodem przeprowadzki do domku. Kiedy zakończono formalności, związane ze sprzedażą Bar-Ber-Keen, pragnął po prostu uciec. Potrzebował czasu. I miejsca, by nie niepokojony przez nikogo szydzić ze świata, który przysparzał mu zbyt wiele bólu, by mógł stawić mu czoła. Jego świata.

Lecz zadziwiający zbieg okoliczności, w wyniku którego Blue wynajęła dom na wzgórzu, bardzo mu odpowiada, pomyślał, nalewając sobie whisky i otwierając butelkę piwa. Dodatkowa korzyść z mieszkania w rozwalającym się domu polegała na tym, że mógł pić, ilekroć odczuwał taką potrzebę... to znaczy ostatnio niemal bez przerwy.

Przysunął do okna drewniane krzesło o prostym oparciu. Postawił szklaneczkę z whisky i piwo na parapecie i oparł na nim stopy. Teraz, kiedy tak o tym myślał, dochodził do wniosku, że może wcale nie był to taki przypadek, że Blue wynajęła jego dom. Prawdę mówiąc, pomyślał, uśmiechając się coraz szerzej, założylby się o swoją miesięczną pensję, że Sally Jane skierowała ją tam celowo. W końcu była jedną z niewielu osób w St. Joan, które wiedziały, gdzie ostatnio wieszka swój kapelusz. Zachichotał, sięgając po piwo, a potem uniósł butelkę w parodii salutu.

„Dobra robota, S.J.”

Przesiedział tak niczym na posterunku ponad dwie godziny, dwie dalsze butelki piwa i trzy szklaneczki whisky, lecz zrezygnował, gdy stało się oczywiste, że Blue nie ma na razie zamiaru wracać do domu. Pewnie poszła do rozgłośni, pomyślał. No cóż, da mu to nieco czasu na małą drzemkę. To była jedyna zła strona picia na okrągło. Zagłuszało bolesne wspomnienia — ale sprawiało, że stawał się śpiący.

Wyciągnął się na łóżku w kącie pokoju. Założył ramiona za głowę i zamknął oczy. Sądził, że zaśnie w kilka minut, lecz tym razem minuty mijały, a on nadal czuwał. Jego umysł, wyjątkowo dziś wyczulony, reagował na każdy dźwięk. Buczenie lodówki. Klikanie dużej wskazówki starego zegara. Jednego z niewielu przedmiotów, które zabrał z hotelu. Należał do jego dziadka, którego zresztą nie znał, ale liczyło się pokrewieństwo. Słyszał dzieciaki piszczące i chichoczące nad brzegiem, i psa szczekającego gdzieś dalej. I wreszcie usłyszał chrzęst opon samochodu na drodze prowadzącej do domu na wzgórzu. Nie wstał jednak. Zamiast tego postarał się przywołać obraz Blue. Zobaczył ją taką, jaką widział na cmentarzu. Z twarzą błyszczącą od łez, które nie całkiem jeszcze obeschły. Z nosem z lekka zaczerwienionym i opuchniętym. Jej włosy, ta masa płonących rudych loków, związane były w koński ogon, jak dzień wcześniej i wyglądała tak niewiarygodnie seksownie w znoszonym podkoszulku i obciętych džinsach. Jedna z jej tenisówek miała dziurę na czubku. Ale i tak wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek. Uśmiechnął się, nie otwierając oczu. Pewnie nie potrafiła wyglądać inaczej. Taka już była i nic nie było w stanie tego zmienić.

Nigdy nie oszukiwał się, że udało mu się od niej uwolnić. Był w niej zakochany przez dziesięć lat. Lecz wydawało mu się, że proces zdrowienia posunął się na tyle, że będzie mógł zobaczyć ją znowu i nie doświadczyć tego ściskania w dołku, przyspieszonego bicia serca i seksualnego podniecenia. Mylił się. Pewne rzeczy po prostu nie mijają, ani się nie zmieniają.

Sfrustrowany, burknął coś pod nosem, przewrócił się na bok i zmusił, by o niej nie myśleć. A przynajmniej próbował się zmusić. Problem polegał na tym, że tu, na wsi, dźwięk rozchodził się tak daleko. Mógł słyszeć, jak w domu na wzgórzu zatraskują się drzwi.

A potem usłyszał głośny ryk motocykla. Jasna cholera.

Zwłókł się z łóżka, by wyrzec przez okno. Jasna cholera — powtórzył na głos.

\* \* \*

Rikki poznała ją natychmiast, choć nie było to wcale takie łatwe.

Czarne włosy Petite zostały obcięte w awangardowym stylu, który Rikki widywała co prawda w Bostonie i Nowym Jorku, ale którego nie spodziewała się zobaczyć w środkowych stanach. Oczywiście, nawet w 1985 Petite nie bardzo pasowała do środkowych stanów. Zawsze wyróżniała się spośród innych. Nadal...

— Jak leci? — spytała teraz z szerokim uśmiechem, który wydawał się jeszcze szerszy z powodu jaskrawoczerwonej szminki, którą miała na wargach. Za to jej nienaturalnie wielkie oczy wyglądały na mniejsze, a to dzięki grubej kresce, namalowanej eye linerem. — Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że wpadłam. Przywiozłam kilka dodatkowych kluczy, które mogą ci się przydać.

— Kluczy?

— Do domu.

Rikki patrzyła, nie rozumiejąc.

— Jestem jednym z właścicieli — powiedziała, a jej spojrzenie mówiło: „Widzę, że nie wiedziałas”.

— Och, przepraszam, ale nikt nie powiedział mi, kim są właściciele.

Petite uśmiechnęła się i przesunęła dłonią po nastroszonej fryzurze.

— To co, mogę wejść?

— Och, przepraszam. — Rikki odsunęła się, gestem zapraszając dziewczynę do wejścia. — Na pewno wydałam ci się niegrzeczna. Ale tak mnie zaskoczyłaś. Nie spodziewałam się... — Wyciągnęła ręce i mocno uściśnęła mniejszą kobietę.

— Hej, już wszystko w porządku. Nie wiedziałaś. Ale cieszę się, że tu jesteś.

— Dzięki. Miło cię znowu widzieć. Siadaj, opowiedz mi o sobie — powiedziała Rikki, starając się nie przypatrywać zbyt natarczywie trzycalowej długości tatuażowi, który zaczynał się na ramieniu dziewczyny i biegł niżej wzdłuż ręki.

Petite uchwyciła jej spojrzenie i uśmiechnęła się. I tym razem krzywy uśmieszek przypomniał Rikki innego Bohannona.

— Podoba ci się ten wąż? Zrobił go mój staruszek. Mam jeszcze trzy — to znaczy tatuaże, nie węże. Różę na pupie. I motyla na kostce. — Wyciągnęła przed siebie nogę, by go pokazać. I napis „Mama i Tata” na piersi. Nad sercem, wiesz? To był mój pierwszy. Zrobiony zaraz po tym, jak zmarli.

— Przykro mi było usłyszeć o ich śmierci — powiedziała Ericka, jak kilka godzin wcześniej do Bo.

— Tak, to wydawało się takie nierzeczywiste. To znaczy, wiedzieliśmy, że mama odchodzi. Lekarze nie dawali żadnej nadziei. Gdy tylko odkryli raka, powiedzieli nam, że nie przeżyje. Ale co do taty... to był prawdziwy piorun z jasnego nieba, ponieważ nikt się tego nie spodziewał. — Spojrzała na swoją gospodynię i dodała: — To był bardzo trudny okres dla Bo.

— Bardzo kochał waszą matkę — powiedziała Rikki.

— No właśnie. A tymczasem to śmierć ojca najbardziej nim wstrząsnęła.

Rikki nie odpowiedziała. Obaj mężczyźni nie potrafili żyć w zgodzie. Bobbi pisywała do niej prawie co tydzień aż do ostatniego miesiąca życia, lecz zawsze dawała do zrozumienia, że sprawy pomiędzy jej mężem a synem nadal nie układają się najlepiej.

— Zaskoczona, co? Ja też byłabym zaskoczona, gdyby nie to, że ich stosunki zmieniły się po śmierci mamy.

Podśluchałam, jak rozmawiali w noc po pogrzebie... — Przerwała, patrząc na Rikki szeroko rozwartymi oczami. — Ale ty z pewnością nie chcesz słuchać o moim życiu rodzinnym, co? Masz i tak dość do rozmyślenia o sobie. To znaczy, wróciłaś i...

— Nie, chcę posłuchać. Twój rodzice byli dla mnie dobrzy. Chciałabym usłyszeć, co wydarzyło się pomiędzy Bertem a Bo.

— No, tata naprawdę się załamał po śmierci mamy. Byłam zaskoczona. Co do mnie, to tęskniłam za nią, ale cieszyłam się, że odeszła, bo przez ostatnie dwa miesiące tak strasznie cierpiała. Myślałam, że ojciec odetchnie z ulgą, ale on po prostu nie chciał pogodzić się z tym, że już jej nie ma. Nie mógł nawet wytrzymać pogrzebu. Wyszedł. Bo potem poszedł go szukać. I znalazł go siedzącego w ich sypialni z jej ulubioną sukienką w dłoniach. Zaraz potem ja też się tam zjawiłam. Tata przeklinał i mówił, jak bardzo ją kochał. A potem spojrzał na Bo i powiedział: „Kochałem ją już kiedy byliśmy mali jak kijanki w stawie, lecz ona widziała tylko mojego brata. Gdy zmarł, skłoniłem ją, by mnie poślubiła. Zrobiła to, lecz tylko dlatego, że potrzebowała ojca. Powiedziała mi o tym. Bobbi była najuczciwszą osobą, jaką znałem. Zbudowałem ten cały cholerny ośrodek wyłącznie po to, by mogła być dumna, że jestem jej mężem. Nazwałem go naszymi imionami, jakbyśmy byli prawdziwą rodziną. Ale zawsze wiedziałem, że nie jesteśmy. Byłem po prostu facetem, który nie potrafił zastąpić swego brata. To dlatego tak się na was wściekałem. Dla mnie ty byłeś moim synem, a ona moją kobietą, jakby



nie było nikogo przede mną. Zepsułem to. Dla was obojga”.

Petite wzruszyła ramionami.

— Mniej więcej tak to brzmiało. Pamiętam wszystko doskonale, ponieważ Bo także zaczął płakać i objął tatę, by go pocieszyć. Znowu wzruszyła ramionami.

— Tacie wcale się nie polepszyło. Snuł się po ośrodku, lecz nic go nie interesowało.

Bo nie chciał wracać do szkoły. Chciał zostać i pomagać w hotelu, ale tata się wściekł. Strasznie się obaj awanturowali, zupełnie jak przedtem. Myślałam, że to dobry znak i że tata wraca do formy, lecz kiedy Bo wyjechał, znów mu się pogorszyło. Bo przyjechał do domu na Boże Narodzenie i wziął sprawy w swoje ręce. Poszli razem na zakupy, a potem pili do późna w noc. Zabawiali się, jak tata to nazywał. W Wigilię też wyszli. Wrócili dopiero po czwartej. Wpadali na meble, śmiali się i zbyt głośno mówili. Obudzili mnie. Petite zwiesiła ramiona.

— Jak to się stało, że weszliśmy na ten ponury temat? Rikki zignorowała pytanie.

— I co się wydarzyło? Czytałam o tym w gazecie, lecz oni napisali tylko, że umarł we śnie. Czy to było zatrucie alkoholem?

— Nie, choć tak pewnie byłoby lepiej dla Bo. — Petite przez dłuższą chwilę wpatrywała się w krajobraz za oknem. — Czy już się z nim widziałas?

— Z Bo? Tak, wpadliśmy na siebie raz czy dwa.

— Wygląda tragicznie, prawda? — Uśmiechnęła się. — Nie zrozum mnie źle. Nadal jest najprzystojniejszym facetem na zachód od Missisipi, ale robi, co może, żeby to zmarnować. — Potrząsnęła głową, jakby chciała strząsnąć w ten sposób lęk. — Może teraz, gdy ty tu jesteś, to się zmieni. Dlatego byłam taka zadowolona, gdy Sally Jane zadzwoniła i powiedziała, że wynajęłaś ten dom.

— To znaczy, masz na myśli to, że on jest teraz moim gospodarzem? Myślisz, że zainteresuje się domem, ponieważ ja tu mieszkam?

— Pieprzyć... — oops, przepraszam. To znaczy, do diabła, nie. Nie mrugnąłby nawet okiem, gdybyśmy jutro zrównały go z ziemią. Problem polega na tym, że jemu na niczym już zbytnio nie zależy.

— Ma przecież swoją pracę. To musi dostarczać mu zajęcia.

— Nie sądzę, żeby od miesiący poprowadził choć jedną sprawę. Mary Beth Reynolds, jego asystentka, odwała większą część roboty.

Rikki przez dłuższą chwilę ssała w skupieniu kostki dłoni.

— Jestem naprawdę zakłopotana — przyznała w końcu.

— On obwinia siebie za wszystko, Ericko. Za to, że nie było go wtedy przy tobie, za śmierć taty, nawet za to, że jego małżeństwo się rozpadło. Niektórzy nigdy nie czują się winni. Ale nie mój brat. On czuje się winien i nie potrafi się od tego uwolnić. Ostatnio zrobił się zupełnie brązowy.

— Brązowy? — Ericka potrząsnęła głową. — Przepraszam, chyba znowu nie łapię.

Petite roześmiała się.

— Brązowy to kolor winy. Jest taki przygnębiający. Jestem artystką. Wszystko widzę w kolorach. Mój staruszek wścieka się, kiedy mówię mu, że jest w jakimś kolorze. Ale ja zawsze mam rację.

— To coś nowego. Nigdy nie słyszałam, żeby opisywano kogoś kolorem. A w jakim kolorze ja dzisiaj jestem?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Pewnie. To ciekawe.

Petite przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, a potem oznajmiła:

— Jesteś po większej części fioletowa. Pewna siebie. Zdecydowana. Ufna w swoje siły. Lecz

tu i tam widzę nieco czerwieni i błękitu. Czerwień to kolor gniewu, a błękit oznacza melancholię lub samotność.

Rikki potrząsnęła lekko głową.

— To zadziwiające. Ale dlaczego Bo jest cały brązowy?

— Jak ci już powiedziałam, wini się za wszystkie niedostatki tego świata, a to naprawdę przynębiające. Brązowe.

— Porozmawiam z nim o tym... o tym, co zdarzyło się wtedy pomiędzy nami. Byliśmy dziećmi. Oboje. Nie mógłby zmienić tego, co stało się tej nocy. — Wstała i podeszła do okna, jakby chciała odgrodzić się od wspomnień. — Nie powiedziałaś mi w końcu, co stało się z waszym ojcem.

— Zabił się. Zostawił list, który niemal nie dawał się odczytać. Musiał napisać go zaraz po tym, jak wrócili do domu. Był tak pijany, że nie mam pojęcia, jak zdołał cokolwiek napisać, ale jakoś mu się udało.

— O, mój Boże, nie wiedziałam.

Petite wzruszyła ramionami.

— To już skończone. Nie jestem jak Bo. Nie rozwodzę się nad przeszłością.

— To dobrze, bo takie coś może naprawdę cię zniszczyć. Ich oczy spotkały się. Po chwili Petite powiedziała:

— Tak, ty na pewno coś o tym wiesz. To dlatego wróciłaś, prawda?

Rikki nie odpowiedziała. Patrzyła przez okno, gdyż właśnie zauważyła jakiś ruch w domku rybackim poniżej. Tym razem była tego pewna.

— Petite, właśnie sobie przypomniałam. Miałam zadzwonić jutro do pośrednika. Czy ktoś mieszka w tym domku nad jeziorem? Odwróciła się, by spojrzeć na drobną postać u swego boku. Oczy Petite wydawały się wielkie, niczym spodki.

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — spytała.

— Mówisz poważnie? Nie powiedzieli ci?

— Nie powiedzieli mi o czym?

— O Bo. Bo tam mieszka. To dlatego powiedziałam, że jestem zadowolona, że wynajęłaś dom. Może kiedy zajmie się rozmyślaniami o tobie, przestanie zabijać się za pomocą butelki.

\* \* \*

Nie czekała na zaproszenie, po prostu otworzyła drzwi i wpadła do środka jak bomba... i to bomba obdarzona głosem.

— I kto ci, u diabła... Domek był pusty.

Usłyszała, że ktoś spuszcza wodę w toalecie i zaczerwieniła się. Miała ochotę uciec. I pewnie by tak zrobiła, gdyby drzwi łazienki właśnie się nie otworzyły.

Miał na sobie tylko ręcznik. Na szyi. Poza tym był zupełnie nagi.

— Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś wchodzi — powiedział, zatrzymując się w progu, jakby nigdy nic. Złożył ręce na piersi. — Więc, o co chodzi?

Rikki odwróciła się do niego plecami i powiedziała:

— Ja... Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie powiedziałeś mi, że mieszkasz tu, w tym... — Głos jej się załamał, kiedy uświadomiła sobie nędzny wygląd pokoju. — Na miłość boską, Bo — powiedziała, zapominając o zażenowaniu jego nagością i odwracając się. — Jesteś chyba najbogatszym człowiekiem w St. Joan. Dlaczego tu mieszkasz?

— A dlaczego nie miałbym tu mieszkać? — zauważył, przechodząc przez pokój, by wziąć dzinsy, które zdjął, zanim się położył.

— Mógłbyś mieszkać gdziekolwiek. Na przykład w domu, który wynajęłam. Wszystko byłoby lepsze niż to.

— Lubię mieszkać nad wodą. I lubię prywatność. A to miejsce zapewnia mi jedno i drugie. A poza tym pieniądze nie są dla mnie ważne. Zapewniają chleb i... — Spojrzał na puste szklane butelki i butelki po piwie, pozostawione na oknie. — I wszystko, czego potrzebuję. A ja nie potrzebuję wiele.

Teraz ona założyła dłonie na piersi.

— Och, już rozumiem. Odgrywasz męczennika.

Zachmurzył się. Zapiął dzinsy, nie odrywając od niej wzroku.

— Absolutnie nie. Po prostu nie jest mi potrzebny żaden wymyślny dom.

— To wszystko nie stało się z powodu pieniędzy, Bo — powiedziała łagodnie.

— Pewnie, ale pieniądze także nic nie pomogły.

— A więc po prostu się poddaliśmy.

Uśmiechnął się bezczelnie, powoli, uwodzicielsko przesuwając wzrokiem po jej sylwetce i zatrzymując się znacząco od czasu do czasu.

— Nie, skarbie, w niektórych sprawach z pewnością jeszcze się nie poddałem.

Poczuła, jak rumieniec pali jej policzki. Nadal był najseksowniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała, ale niech ją szlag trafi, jeżeli pozwoli, żeby ta jego zgrabna pupcia i niewiarygodne mięśnie odwróciły jej uwagę.

— Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że nie potrzebuję opiekuna. Nigdy nie wynajęłabym tego domu, gdybym wiedziała, że tu mieszkasz. Ale teraz już za późno, żeby co zmieniać. Szczerze mówiąc, nie mam ani czasu, ani ochoty, żeby rozglądać się za czymś innym. Więc bądź łaskawy trzymać nos z dala od moich spraw.

— To nie mój nos jest zainteresowany, Blue — powiedział miękko, znacząco.

Niemal zakłęta, lecz szybko odgadła, że sprawiłaby mu tym zbyt wielką przyjemność. Dotrzymała więc pola, pozwalając, by teraz jej oczy omiotły go tym powolnym, oceniającym spojrzeniem. A potem zrobiła krok do przodu, wyciągnęła rękę i położyła ją na wypukłości w jego spodniach.

— Uspokój się, chłopcze. Nikt dziś nie zabiera cię na przejażdżkę.

Roześmiał się.

— Zmieniłaś się, Blue.

Nie spodziewała się tego. Uniosła lekko głowę.

— Masz rację. Nie jestem już małą dziewczynką.

— To dobrze dla mnie. Lubiłem cię jako małą dziewczynkę. Lecz coś mi mówi, że jeszcze bardziej polubię cię jako dorosłą.

— Nie byłabym taka pewna — powiedziała, kierując się w stronę wyjścia. — Przyjaciele mówią mi, że potrafię być bardziej wredna niż ktokolwiek, kogo znają.

Uśmiechnął się znowu, spoglądając w dół na swoje krocze.

— Słyszałaś, chłopcze? Ona jest wredna.

— O, Boże, daj spokój. Bo. Nie przyszłam tu, żeby się bawić w jakieś gierki.

To go otrzeźwiło. Dostrzegła zmianę w jego czarnych oczach. Usłyszała ją w jego głosie, gdy się odezwał.

— Ale właśnie to robisz, Blue. Zapomniałaś tylko, że w tej grze przegrywający zawsze kończy martwy.

— Zmieniam reguły.

Nie odpowiedział, ale po kurczowym zaciśnięciu szczęk poznała, że z trudem powstrzymał się, by nie powiedzieć czegoś złośliwego.

Po raz pierwszy pożałowała, że ich stosunki nie ułożyły się lepiej. Co prawda kiedyś tak bardzo ją zawiódł, lecz nadal chciała, by pozostali przyjaciółmi. Pozwoliła, by drzwi zamknęły się z głośnym „bang!”.

— Posłuchaj, Bo, oboje wiemy, po co tu jestem. Zostaję. — Uśmiechnęła się. — A ponieważ jesteśmy sąsiadami, mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Odpowiedział sardonicznym uśmiechem.

— To zabawne, bo zważywszy na to, co słyszałem wokół jeziora, jestem jednym z twoich podejrzanych. Czy to nie dlatego przysłałaś mi zaproszenie na tę wykwintną kolację we wtorek wieczorem?

Westchnęła. Najwidoczniej nie miał zamiaru ułatwiać jej sprawy.

— Nie wiem, kto zabił moich rodziców i pozostałe osoby. Wiem tylko, że musiał to być ktoś, kto był z nami wówczas, w noc po rozdaniu dyplomów. Nie ma innej możliwości. — Odwróciła się, by spojrzeć przez okno i przesunęła po włosach drżącą dłońią. Kiedy znowu na niego spojrzała, dostrzegła, że ją obserwuje, czekając, by skończyła. — Poszłam do magazynu, gdzie przechowywano rzeczy rodziców. Zabrałam stamtąd kilka pudeł. Mam nadzieję, że znajdę w nich taśmy, które mama nagrała z doktorem Grantem. Jeżeli tam są, to może dowiem się czegoś więcej, gdy je przesłucham.

Bo wybuchnął.

— Na miłość boską, Blue! A gdybym to ja był zabójcą? Właśnie dostarczyłaś mi znakomitego powodu, by cię zamordować.

Ich spojrzenia spotkały się, zwały ze sobą.

— Ale nie jesteś — powiedziała cicho.

— Wielkie dzięki — powiedział.

Nagle opuściła ją chęć do walki. Przypomniała sobie Pet i te i myśl ta wywołała lekki uśmiech. Jakim kolorem można by określić pustkę? — pomyślała.

— Nigdy cię nie winiłam, Bo. Nigdy. Kochałam cię.

Zauważył, jakiego czasu użyła, by to powiedzieć. Przeszłego. Poczuł, jak nóż wbija mu się w serce.

— Wracaj do Bostonu, Blue. Daj sobie z tym spokój.

— Nie mogę — powiedziała. Otworzyła drzwi, zawahała się i, nadal odwrócona do niego plecami, powiedziała: Powinieneś rozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny.

I rozumie, pomyślał, obserwując, jak wspina się na wzgórze. Rozumiał, że powinien był zrobić to dla niej. Gdyby to zrobił, ona byłaby teraz bezpieczna... i daleko stąd, zamiast przypominać mu nieustannie o tym, co odrzucił. Teraz było już za późno. Mógł tylko spróbować ochraniać ją z daleka, mając nadzieję, że uda mu się zachować ją przy życiu... mając nadzieję, że sam przeżyje pilnując jej, kochając ją i nie posiadając jej.

## ROZDZIAŁ 13

„Tu Rikki Blue na żywo z rozgłośni KSTJ we wspaniały, wiosenny poranek w St. Joan, Missouri. Niektórzy z was pewnie słuchali już kiedyś mojego programu. Nadawano go z Bostonu przez ostatnie pięć lat. Audycja, którą będę prowadziła dla was codziennie, od poniedziałku do piątku, będzie miała zbliżony charakter. Pozwólcie zatem, że zapoznam was z jej założeniami.

Każdego dnia będę podawała temat audycji. Jeżeli okaże się on dla was ważny, będziemy się nim zajmować nawet cały tydzień. Najpierw przedstawię wam mój punkt widzenia, przedyskutuję poglądy innych na tę sprawę, a potem porozmawiamy sobie na antenie.

Dziś na przykład tematem naszej rozmowy będzie St. Joan. I wydarzenia, które miały tu miejsce dziesięć lat temu. Niektórzy z was pamiętają zapewne, o czym mówię. O serii morderstw z 1985. Sześć osób zostało brutalnie zamordowanych przez kogoś, kto, jestem o tym przekonana, był wówczas mieszkańcem St. Joan.”

Przez następnych piętnaście minut radiowa znakomitość omawiała szczegóły każdej ze zbrodni, cytując ówczesne gazety, wypowiedzi szeryfa A.R. Witcomba i Warrena Hatcha, ówczesnego prokuratora. Gdy wreszcie nastąpiła przerwa na reklamy, Rikki była już mokra jak mysz, a gardło miała zupełnie wysuszone. Opuściła kabinę, by napić się wody i wpadła wprost na szeryfa, który właśnie wychodził zza rogu.

— Popelniasz wielki błąd — powiedział bez wstępów.

— Robię to, co muszę, szeryfie — powiedziała sztywno. A potem uśmiechnęła się. — Proszę posłuchać, był pan dla mnie miły, kiedy zginęli moi rodzice. Nie zapomniałam tego. I, prawdę mówiąc, tylko dlatego zrezygnowałam z przyciśnięcia pana za to, że nie znalazł pan zabójcy. Ale, szeryfie, złożyłam obietnicę. Powiedziałam, że jeśli pan go nie znajdzie, ja to zrobię. Poprzez tę rozgłośnię zyskałam dostęp do mordercy i mam zamiar się nim posłużyć.

— Wszystko, co masz zamiar zrobić, panienko, sprowadza się do wzburzenia nastrojów w hrabstwie i wystawienia się na poważne niebezpieczeństwo. Nie mogę siedzieć beczynnym i pozwalać na to.

Rikki przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu, wreszcie odwróciła się do asystentki, polecając jej, by nadała prognozę pogody, a potem popatrzyła znowu na Scootera.

— Obawiam się, że nic nie może pan na to poradzić. Stacja należy do mnie i tak długo, jak nie robię niczego, co mogłoby spowodować odebranie mi licencji, mogę mówić, o czym mi się podoba. Gwarantuje mi to pierwsza poprawka. Jej głos był równie zimny, jak stalowy błysk w niebieskich oczach, lecz była profesjonalistką, która wiedziała, jak radzić sobie z ludźmi. Wycofała się więc, uśmiechnęła zachęcająco i złagodziła ton.

— Powiem panu coś. Zamiast pracować przeciwko sobie, dlaczego nie moglibyśmy popracować razem?

Szeryf westchnął, zrezygnowany, zsuwając kapelusz i przyglądając dłonią siwe włosy.

— Do diabła, dziewczyno, tu nie ma nad czym pracować. Zrobiłem wszystko, co było możliwe, by zidentyfikować tego drania, który zabił twoich rodziców. I nie wpadłem na żaden trop. A to było dziesięć lat temu.

— Proszę, niech pan wystąpi w moim programie, szeryfie — powiedziała Rikki z determinacją, najbardziej przymilnym tonem, na jaki mogła się zdobyć. — Przeprowadzę z panem wywiad, a potem uruchomimy telefony. Ktoś tam na pewno coś widział. Pomóżmy im sobie przypomnieć. Pan i ja, razem.

— Zobaczysz, doprowadzisz do tego, że ktoś zechce cię dopaść.

— Jeżeli tak się stanie, szeryfie, obiecuję, że będę przygotowana.

— To tylko takie gadanie, a ja cię znam, dziewczyno. Znałem cię, kiedy byłaś...

— Nie jestem już tą samą osobą, szeryfie. Może pan mi wierzyć.

Nie, pomyślał, nie uważam, że jesteś taka sama. Problem w tym, że morderca pozostał w większym lub mniejszym stopniu taki sam. A jednak w pół minuty później siedział już w kabinie u boku najnowszej znakomitości St. Joan.

— Jesteśmy znów z wami, St. Joan, a kiedy mówię „my”, należy traktować to dosłownie. Jest tu ze mną szeryf Witcomb, najwspanialszy szeryf w St. Joan. Zgodził się towarzyszyć mi przez następne mniej więcej czterdzieści pięć minut, by powiedzieć wam, co wie o zbrodniach, popełnionych przeciwko sześciorgu obywatelom St. Joan, a potem pomóc mi odpowiadać na wasze telefony. — Zaśmiała się głębokim śmiechem. — Co prawda mamy już kilka telefonów na linii, ale chciałabym poprosić was, abyście poczekali, aż porozmawiam z szeryfem Witcombem. Potem antena będzie należała do was.

— Szeryfie, czy to prawda, że osoba, która popełniła te brutalne morderstwa wiosną 1985, za każdym razem wzięła sobie na pamiątkę coś, co należało do ofiary?

— Choler...

Znowu śmiech.

— Ostrożnie, szeryfie, jesteśmy na antenie.

Zaczerwienił się.

— Przepraszam. Miałem zamiar powiedzieć, że to była zastrzeżona informacja. Nigdy nie podaliśmy tego do publicznej wiadomości. Nie wiem, po co ujawniać to akurat teraz.

— A co z wami, mieszkańcy St. Joan? Minęło dziesięć lat. Zanim weszliśmy na antenę, szeryf przyznał mi się, że nie ma pojęcia, kim jest morderca. Czy nie uważacie, że powinien podzielić się z wami wszystkim, co wie?

— No dobrze. Tak, proszę pani, ma pani rację. Ale nie wiemy, dlaczego tak postąpił, a ja sam nie bardzo rozumiem, co dobrego może przynieść wywlekanie tego teraz.

— Być może nie przyniesie niczego dobrego, lecz chyba i nie zaszkodzi? Teraz, szeryfie, miałam zamiar opowiedzieć moim słuchaczom o morderstwach. O każdym po kolei. Ale to pan zajmował się każdym z nich. Dlaczego to pan im o tym nie opowie. Zaczynając od Bunny Apperson.

— Co niby miałbym im powiedzieć? — spytał, najwidoczniej czując się bardzo nieswojo.

— Wszystko, co pan pamięta. Zaczynając od daty i nazwiska. Proszę nam powiedzieć, jak zginęła każda z tych osób. Opowiedzieć nam o całej pracy dochodzeniowej, którą wykonał pan i pańscy współpracownicy.

Szeryf przelknął głośno. Dobry Boże, jak on się w to wpackował?

Przez następnych dziesięć minut Rikki notowała pilnie, zachowując spokój, dopóki nie doszedł do zabójstwa Lindy i Lawrence'a Cassidych. Zmusiła się jednak, by pisać dalej. Tylko drżące dłonie zdradzały, jak trudno było jej tego słuchać. Kiedy skończył, przejęła od niego mikrofon.

— Dziękujemy, szeryfie. A teraz chciałabym zadać panu kilka pytań. Na przykład, powiedział pan, że modus operandi różnił się w poszczególnych przypadkach. Czy to nie jest niezwykle?

— No pewnie, że jest! Właśnie dlatego nie byliśmy pewni, czy mamy do czynienia z tą samą osobą.

— Ale fakt, że morderca za każdym razem zabrał ofiarom po jednym bucie, wiąże ze sobą wszystkie te przypadki. Czy dobrze rozumię?

— Tak — przyznał niechętnie.

Uśmiech Rikki miał w sobie pewien odcień satysfakcji z odniesionego zwycięstwa.

— A zatem, teraz widzi pan, jak ważne było, żeby słuchacze dowiedzieli się o tych pamiątkach. Większość z nich pewnie nawet nie wiedziała, że wszystkie zbrodnie popełnił ten sam człowiek. Mam rację?

— Chyba tak — powiedział.

— Teraz przerwa na wiadomości, a potem znów do was wrócimy, mieszkańcy St. Joan. — Wyprostowała się na krześle i zwracając do szeryfa, powiedziała: — Dziękuję panu, szeryfie.

— Nie będziesz mi dziękowała, kiedy ten gad cię dopadnie, panienko.

— Och, widzę, że pan nie rozumie, szeryfie. Właśnie usiłuję go do tego nakłonić, ponieważ to ja staram się go dopaść.

— No cóż, proszę nie spodziewać się zbyt wielkiej pomocy. Ludzie tu lubią, jak wszystko idzie swoim torem. A kiedy narobi panienka zamieszania, wpłynie to na dochody z turystyki, sprawi, że sąsiedzi będą się sobie przyglądać podejrzliwie, a ludzie zaczną się wściekać. I to nie na mnie będą się wściekać, panienko.

— Nie przyjechałam tu, by wygrać konkurs popularności i, prawdę mówiąc, nie żywię zbyt przyjaznych uczuć wobec porządnym obywateli St. Joan.

Szeryf otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz Rikki podniosła palec, uciszając go, a potem wcisnęła kilka przycisków i wróciła na antenę.

— Jesteśmy znów z wami, mieszkańcy St. Joan. Rozmawiam właśnie z szeryfem Witcombem — to dla tych, którzy dopiero teraz włączyli odbiorniki. Rozmawiamy o morderstwach, które miały miejsce w tym mieście dziesięć lat temu. — Przerwała na chwilę. — Może odebralibyśmy kilka telefonów, szeryfie?

— Halo, jest pani na antenie.

— Nazywam się Martha Felder. Pamiętam morderstwa całkiem dobrze. Ale uważam, że szeryf ma rację. Dlaczego znów pani to rozgrzebuje, młoda damo? Chce pani, by więcej dobrych ludzi zostało zamordowanych? Czy nie wystarczy tych sześcioro?

Oskarżenie, że jej działania mogą spowodować kolejną serię morderstw, nie zaskoczyło Rikki. Oczekiwała go.

— Proszę pozwolić, że zadam pani pytanie, Martho. Czy nie przeszkadza pani, że ktoś, kogo pani być może dobrze zna, popełnił te zbrodnie i dalej mieszka w St. Joan? Nie wiem, jak może pani spokojnie spać z tą świadomością.

— Nie wiemy, czy to był ktoś z St. Joan — zauważyła Martha. — Od dziesięciu lat nikogo więcej nie zamordowano... a przynajmniej nie zrobiła tego ta sama osoba. Bardziej wygląda mi to na robotę jakiegoś stukniętego turysty.

Rikki uśmiechnęła się. Dziękuję ci, Martho. Właśnie dałaś mi pretekst, żeby przemycić najbardziej istotną informację.

— Prawdę mówiąc, wiem na pewno, że był to ktoś z St. Joan — powiedziała. — I zaraz powiem wam, dlaczego jestem o tym przekonana. Mieszkałam wówczas w St. Joan. Byłam osobiście zaangażowana w śledztwo. Linda i Lawrence Cassidy byli moimi rodzicami. — Usłyszała, jak Martha gwałtownie wciąga powietrze, a Scooter Witcomb cicho jęczy. Rozłączyła się z rozmówczynią i obrzuciła szeryfa spojrzeniem, które mówiło jasno, że nie da sobie przeszkodzić. — Tak, moi drodzy, to wszystko zdarzyło się na moim podwórku. Miałam wtedy zaledwie osiemnaście lat. Byłam zbyt młoda i zbyt naiwna, by wiedzieć, że nie należy wierzyć ludziom tylko dlatego, że nazywają siebie moimi przyjaciółmi. Miałam wielu tak zwanych przyjaciół tej wiosny. Zaprzyjaźniłam się z grupą kolegów, którym ufałam bardziej, niż powinnam była. Podobnie jak wszyscy inni my także rozmawialiśmy o morderstwach. Niektórzy z was pamiętają zapewne, że moi rodzice byli pisarzami. Moja matka poszukiwała wówczas materiałów do książki, którą pisali. Pomagał jej w tym doktor Jason Grant. Zrobił kilka uwag na

temat tych morderstw, a ja wspomniałam o nich moim drogim przyjaciółom. Tej samej nocy doktor Grant został zamordowany. Zastrzelony we własnej kuchni przez kogoś, kto miał nadzieję, że wina spadnie na włamywaczy, którym sprawy wymknęły się spod kontroli. Ale zabójca popełnił błąd. Wziął sobie coś na pamiątkę. Jeden z butów doktora. Czy mam rację, szeryfie?

— Tak — powiedział spokojnie szeryf, a potem widząc, że patrzy na niego z dezaprobatą, powtórzył głośniejszym głosem: — Tak.

— Nie zastanawiałam się wówczas nad tym, co powiedziałam tej nocy. To przyszło o wiele później. W tydzień po śmierci doktora podслуchałam mimo woli, jak moi rodzice rozmawiali o jego zabójstwie. Wspomnieli, że doktor sporządził portret psychologiczny zabójcy. Rozmawiał o tym z moją matką i posunął się nawet do tego, że sporządził listę potencjalnych podejrzanych. Obiecałam, że nikomu o tym nie powiem, lecz jeszcze tego samego wieczoru wygadałam się przed moimi przyjaciółmi. W cztery godziny później moi rodzice już nie żyli. Przypadek? Nie ma mowy.

Dłonie Rikki trzęsły się tak bardzo, że musiała uchwycić się panelu kontrolnego, by je uspokoić.

— Ja wiem, że jedno z tych siedmiorga ludzi, moich kolegów, moich przyjaciół, zabiło moich rodziców i innych. Nie mieli czasu, by komukolwiek powiedzieć o tym, co usłyszeli. A zresztą, z kim mogliby rozmawiać tego wieczoru pomiędzy dziewiątą a pierwszą nad ranem? Nie jestem tak nieodpowiedzialna, by wymieniać ich nazwiska na antenie. W końcu tylko jedno z nich jest winne. Ale chciałabym poprosić was, moich słuchaczy, żebyście zastanowili się na tych morderstwach, wszystkimi sześcioma. Szeryf Witcomb podał wam daty i prawdopodobne godziny ich popełnienia. Każdy z was mógł zauważyć coś, co wówczas nie wydało mu się istotne. Zadzwońcie do mnie, jeżeli pamiętacie cokolwiek, co mogłoby pomóc.

Telefony po prostu oszalały. Nikt nie dzwonił, by powiedzieć o czymś, co zauważył, lecz wszyscy chcieli wyrazić swoją opinię na temat wyciągania tamtych spraw na forum publiczne po tylu latach. Głosy zdawały się mniej więcej równo podzielone.

W przerwie na wiadomości Scooter opuścił studio, lecz nie bez jeszcze jednego ostrzeżenia.

— Rozpętałaś to wszystko od nowa, panienko. Lepiej pilnuj teraz swojego małego, zgrabnego tyłeczka.

— Proszę się nie martwić, szeryfie, jeśli o to chodzi, z pewnością nie będę polegać na panu.

Zaczerwienił się aż po rondo swojego stetsona. Roześmiała się delikatnie.

— Nie miałam zamiaru pana obrażać. A przynajmniej nie świadomie. Chciałam po prostu powiedzieć, że nauczyłam się polegać wyłącznie na sobie.

— To musisz czuć się okropnie samotna — zauważył łagodnie.

— No cóż, życie z pewnością nie jest doskonałe, ale dobrą stroną porażek jest to, że nie tak łatwo dziś zrobić mi krzywdę.

— Akurat! Wygląda na to, że tego się właśnie dopraszasz. Żeby ktoś zrobił ci krzywdę.

Gdy wyszedł, Ericka wróciła do studia, zamknęła drzwi i nałożyła słuchawki.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona. Konfrontacja, uczyła się tego aż nazbyt szybko, może być diabelnie wyczerpująca. Lecz satysfakcja z oddania mordercy w ręce sprawiedliwości — a nie wątpiła ani przez chwilę, że uda jej się to zrobić — nada wartość jej wysiłkowi. Z silnym postanowieniem doprowadzenia sprawy do końca wcisnęła przycisk i wróciła na antenę. Lecz już pierwszy telefon omal nie wytrącił jej broni z ręki.

— Dlaczego mówi pani o swoich rodzicach i innych, a nikt nie powiedział ani słowa o mojej małej dziewczynce, porwanej trzy lata temu z własnego podwórka? — spytała kobieta.

— Czy ona nie jest dość ważna, szeryfie?



— Och, szeryf niestety już wyszedł, ale ja nadal tu jestem. Proszę mi o tym opowiedzieć.

Rikki wysłuchała żalostnej opowieści rozmówczyni o tym, jak jej ośmioletnia córka została porwana, kiedy bawiła się sama na podwórku za domem. Czuła smutek kobiety, jej rozpacz i gniew i bardzo jej współczuła, lecz nie wiedziała, jak mogłaby pomóc. Nie miało to nic wspólnego z morderstwami, których tajemnicę miała rozwiązać. Westchnęła ciężko, gdy kobieta załamującym się od łez głosem dokończyła swoją relację.

— Robi pani dokładnie to, co należy, pani Murphy. Mówi pani o tym. Proszę nie pozwolić ludziom zapomnieć. Niech o tym myślą. Może ktoś przypomni sobie coś, co wcześniej nawet nie przyszłoby mu do głowy. Rozłączyła się.

Asystentka podała jej karteczkę. Jakiś dziwny głos na czwórce. Szepcze. Rikki nacisnęła guzik.

— Halo, tu Rikki Blue. Jesteś na antenie.

Głos, który usłyszała, był chrapliwy i cichy. Nie głos lecz jak ją ostrzeżono, właściwie szept.

— Nie chcemy cię tutaj, Ericko.

Rikki zadrżała. Najwidoczniej był to ktoś, kto znał ją z przeszłości. Lecz kto?

— Przykro mi z tego powodu — powiedziała.

— Wracaj do Bostonu. Nie chcemy tu obcych.

— Czy ja cię znam? — spytała.

— Ja znam ciebie. I to wystarczy. Ciebie i takich jak ty.

Rikki roześmiała się.

— To znaczy, jakich?

— Bezwstydnym. Plugawym. Wystawiającym się na pokaz w tych magazynach z golasami. Jesteśmy dobrymi, przyzwoitymi ludźmi — kontynuował ochrypły głos.

Rikki poczuła, jak jej ciało pokrywa się gęsią skórą, lecz zmusiła się, by odpowiedzieć spokojnie.

— A zatem moje zdjęcia dotarły, gdzie trzeba. To dobrze. Proszę pozwolić, że wyjaśnię to naszym słuchaczom.

— To, o co nasz rozmówca robi tyle szumu, to seria zdjęć, do których pozowałam dla *Playmate*. Znalazła się w numerze styczniowym, na wypadek, gdyby ktoś ją przegapił. Wysłałam po egzemplarzu moim dawnym kolegom z St. Joan. Uznałam, że to sprytny sposób oznajmienia, że wracam na moje podwórko. Zdjęcia są w dobrym guście, ale rzeczywiście, jestem na nich naga. Taki był powód, że zgodziłam się do nich pozować. Moja nagość miała symbolizować odrzucenie strachu, niemożności stawienia czoła horrorowi mojego ostatniego tygodnia w St. Joan przed dziesięcioma laty. Chciałam oznajmić wszem i wobec o moim wyzwoleniu się od upiórów z przeszłości i zapowiedzieć mój powrót w sposób czysto symboliczny. — Rikki zwróciła się znowu do rozmówcy. — Czy jesteś jednym z moich przyjaciół, do których wysłałam egzemplarz autorski?

Po drugiej stronie ktoś cicho odłożył słuchawkę.

Rikki westchnęła, wycierając w dzinsy spocone dłonie.

— No cóż, to było interesujące. A teraz następny telefon.

Następni rozmówcy byli dość podobni do poprzednich, to znaczy głównie wyrażali opinie. Rikki słuchała, odpowiadała na zarzuty lub dziękowała za wyrazy poparcia. Gdy wreszcie zegar pokazał, że pora kończyć, niemal oklapła z ulgi.

— No cóż, kochani, nadszedł czas, by pożegnać się z wami na dziś i oddać antenę ludziom od muzyki.

Dzisiejsze spotkanie z wami było zabawne, interesujące, a przede wszystkim bardzo inspirujące. To właśnie mam zamiar zapewnić wam codziennie. Pokarm dla myśli. Umysł jest

bowiem najcenniejszym, co posiadamy. Używajmy go. Tu Rikki Blue. Jestem znowu na moim boisku i jestem tu, by grać ostro. Do usłyszenia jutro.

Następne cztery godziny spędziła w swoim biurze w rozgłośni. Płaciła rachunki, wzięła udział w zebraniu, jakie zwołał szef redakcji wiadomości, spotkała się z szefami innych działów, lecz czuła się wyczerpana, choć nie robiła przecież nic innego niż podczas swojej audycji w Bostonie. Lecz tam nie chodziło o sprawy osobiste. A to wystarczyło, by ją wykończyć. Tuż przed piątą złapała wreszcie torebkę i powiedziała do asystentki:

— Spadam stąd.

Lucy Fisher potrząsnęła głową, posykurując z dezaprobatą.

— Wyglądasz na wykończoną. Wstała zza biurka i podeszła do swojej nowej szefowej. — Chciałabym ci jednak powiedzieć, że byłaś wspaniała. Wielu z nas martwiło się, kiedy dowiedzieliśmy się, że kupiłaś rozgłośnię, lecz sądzę, że dziś przekonałaś ich do siebie.

— Dzięki — powiedziała Rikki, zarzucając torebkę na ramię.

— Do zobaczenia jutro.

Zachodzące słońce świeciło dziś jaśniej niż zwykle i Rikki zamrugnęła gwałtownie, gdy wyszła z budynku. Pomimo zmęczenia, z przyjemnością myślała o słowach poparcia, wyrażonych przez Lucy. Nagle poczuła, że ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu. Podskoczyła, niemal krzyknąwszy ze strachu.

— O, Boże, Junior, chyba skróciłeś mi życie o dziesięć lat.

— To znaczy, że nie jesteś taka znów twarda, co? — powiedział, a jego ton wskazywał raczej na chęć podrażnienia się z nią niż rzucenie jej wyzwania.

Rikki roześmiała się.

— O mało nie wypróbowałam na tobie moich umiejętności karate.

— Tak? A jaki masz pas?

— Czarny, lecz cieszę się, że cię rozpoznałam. Jestem wykończona i wołałabym teraz nie demonstrować swoich talentów.

— Uśmiechnęła się do niego. — A ty jak się czujesz?

— W tej chwili nie najlepiej.

— Z mojego powodu? — powiedziała Rikki raczej niż zapytała, idąc dalej w stronę swojego cherokee.

— Oczywiście, do cholery! Należałem przecież do tej grupy, którą nazwałaś swoimi przyjaciółmi. I z pewnością nie podoba mi się, że uważa się mnie za podejrzanego.

Rikki westchnęła zniecierpliwiona.

— Dostałeś moje zaproszenie na jutro wieczór?

— Tak, nawet wypożyczyłem jakiś smoking, ale teraz, kiedy wiem, co o nas naprawdę myślisz, wcale nie jestem pewny, czy mam ochotę przyjść. Wątpię, czy ktokolwiek się pokaże, widząc, że będziesz próbowała zdecydować, kto z nas zabił twoich rodziców.

Doszli już do jej samochodu. Włożyła klucz do zamka, otworzyła drzwi i wrzuciła torebkę na przednie siedzenie, a potem odpowiedziała:

— To ty tak uważasz. Lecz ja sądzę, Junior, że jeśli byłeś moim przyjacielem wtedy, to będziesz chciał świętować ze mną mój powrót. — Wsunęła się za kierownicę, położyła na niej dłoń i spojrzała na niego znowu. — Oczywiście, jeśli masz coś do ukrycia, możesz mieć na to inny pogląd, prawda?

Kiedy wracała do domu, nadal głowę miała zaprzątniętą rozmową z Juniorem. Z całej ich grupki to on był tym, który ich zawsze rozśmieszał. Dyżurnym komikiem. Nie zmienił się zbyt wiele przez te dziesięć lat, choć Rikki podejrzewała, że teraz nie ma już głowy do rozśmieszania innych. Początkowo nie mogła uzmysłwić sobie, co każe jej tak myśleć, a potem

nagle uświadomiła sobie, co to takiego. To było w jego spojrzeniu. Ten wyraz oczu, który mówił o wielu starannie strzeżonych tajemnicach.

To dziwne, tak nagle zdać sobie sprawę, że chłopiec, który zawsze był taki szczery, tak chętny do żartów, także z siebie, zagubił się gdzieś w dorosłym mężczyźnie.

Ucierpiał też jego wygląd. Nie chodzi o to, że kiedykolwiek czymkolwiek się pod tym względem wyróżniał. Był bardzo wysoki. Pięć stóp, osiem cali, może dziewięć. Cera, na której młodzińczy trądzik pozostawił trwale ślady. Jasnobrażowe, przedwcześnie rzedniejące włosy. Lecz to nie fizyczne zmiany najbardziej ją uderzyły. Ponury wyraz ust, opadające ramiona, powłóczenie nogami i ta niemożność spojrzenia jej prosto w twarz. Podejrzewanie go sprawiało jej prawdziwą przykrość. Prawdopodobnie większą niż w przypadku innych... z wyjątkiem Bo i Carrie. Nawet jako dziecku trudno jej było pogodzić się z myślą, że klauni nie zawsze byli tacy, jacy się wydawali. Szczęśliwi, niewinni dostarczyciele radości.

Kiedy dotarła na podjazd, była już prawie szósta. Czas, by przygotować sobie lekki posiłek, a potem przejrzeć notatki, jakie sporządziła dziś z myślą o jutrzejszym programie. Lecz czuła się dziwnie niespokojna.

Rzuciła torebkę i klucze na kuchenny stół i niemal natychmiast znów wyszła z domu. Postanowiła przejść się nieco wzdłuż brzegu. Przystanąła na chwilę, by przyjrzeć się domkowi rybackiemu, lecz wydawało się, że nikogo tam nie ma. Pomimo to zdecydowała, że lepiej będzie pójść w drugą stronę.

Przez pierwsze dwadzieścia minut szła bardzo szybko, lecz zachodzące słońce i towarzyszące schyłkowi dnia odgłosy, takie jak kumkanie żab, śpiew cykad i dalekie pohukiwanie sowy sprawiły, że zwolniła kroku, pozwalając, by krajobraz, który już niemal zapomniała podczas swojej dziesięcioletniej nieobecności, ukoił ją swoim pięknem.

Właśnie miała zawrócić, gdy zobaczyła parę zakochanych, całującą się najwidoczniej na pożegnanie przed domkiem plażowym. Zatrzymała się, nie chcąc przeszkadzać w chwili intymności, lecz zarazem niezdolna odwrócić od nich spojrzenia.

A była to chwila godna uwiecznienia w reklamówce albo na jednej z tych kart pocztowych, które ostatnio stawały się coraz bardziej popularne. Oto on, wysoki, muskularny, bosi, ubrany tylko w dżinsy i podkoszulek. I ona: jasna, w pastelowej, błękitnej sukience z obfitą spódnicą, która powiewała na wietrze. Jej ramiona owinięte wokół szyi mężczyzny, jedna dłoń na jego karku, druga zanurzona w gęstwinę długich do ramion, niemal czarnych włosów. A za nimi domek z cedrowych bali, dereń i polne kwiaty, połyskujące błękitem jezioro, niczym bajkowa dekoracja. Rikki poczuła jak gdzieś w środku niej budzi się zazdrość, jako że ze sposobu, w jaki odnosili się do siebie, widać było, że jest to pożegnanie po wspólnym popołudniu, spędzonym na czulej miłości.

Rikki stała częściowo ukryta za wielkim dębem, bezwiednie poklepując gruby pień. „Założę się, że sporo już takich scenek widziałeś, co?” Westchnęła i zaśmiała się cicho sama z siebie. Rozmawiała z drzewami. To nie to samo, co rozmawiać ze zmarłymi rodzicami lub mówić do siebie, ale prawie. Przypomniała sobie, że obiecała zadzwonić do Kita tak szybko, jak to tylko będzie możliwe i uświadomiła sobie, że jak dotąd nie sprawdziła nawet, czy będzie w stanie uzyskać dziś połączenie. Nad doliną zapadał już zmierzch, zdecydowała zatem, że pora wracać, ale nieznanymi kochankowie przed nią właśnie odsunęli się od siebie i Rikki mogła dokładniej przyjrzeć się kobiecie. Gwałtownie wciągnęła powietrze, zdziwiona. Carrie? To niemożliwe. Carrie była żoną Brett, a ten facet z pewnością nie był jasnowłosym kaznodzieją.

Rikki obserwowała, jak kobieta wsiada do małego czarnego samochodu, zawraca na podjeździe i znika za zakrętem.

Nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Czyżby się rozwiedli? Nie, to nie było możliwe.

Musiałyby o tym przeczytać. I kim był ciemnowłosy mężczyzna, którego całowała tak namiętnie i z taką czułością dotykała?

Co prawda ciekawość to pierwszy stopień do piekła, lecz Rikki zdecydowała, że warto zaryzykować.

Ostrożnie zbliżyła się do domku, nie skradając się co prawda, ale i nie oznajmiając głośno o swojej obecności. I po raz drugi tego dnia omal nie krzyknęła ze strachu i zaskoczenia, kiedy mężczyzna, którego nie widziała, wyłonił się nagle z cienia tuż przed nią.

Jego oczy rozszerzyły się w wyrazie zdumienia, podobnie jak jej.

— Ericka?

— Danny? Danny Lightner?

Roześmiał się.

— Słyszałem gdzieś, że masz przyjechać, ale nigdy bym się nie spodziewał, że cię tu spotkam. Oczywiście, słyszałem, że wróciłaś...

— Ale spotkać mnie na własnym podwórku, to coś zupełnie innego, prawda?

— Tak, coś takiego, tak.

— Przepraszam, nie chciałam cię zaskoczyć.

Właściwie w ogóle nie zamierzała się pokazywać. Poczula, że się rumieni na myśl o tym, co zobaczyła wcześniej i Danny musiał zauważyć jej rumieniec, gdyż spojrział na nią jakoś dziwnie i zapytał:

— Chyba dość późna pora na spacer, prawda? Jak daleko stąd mieszkasz? Odwiozę cię do domu.

— Och, nie, nie ma potrzeby. Mieszkam tylko parę mil stąd, nad jeziorem.

Rikki już się odwracała, by czym prędzej odejść.

— Ericka, poczekaj! Pozwól, że cię odwiozę. Będziemy mogli chwilę pogadać. Ile to już lat? Dziesięć?

— Prawie. — Wzruszyła ramionami. — No dobrze, możesz mnie odwieźć, ale pod warunkiem, że wstąpisz na piwo.

W kabinie jego półciężarówki Rikki nie mogła już dłużej pohamować ciekawości.

— Danny, kiedy stąd wyjeżdżałam, byłeś w seminarium, miałeś zostać księdzem...

Spojrzał na nią, a potem skierował wzrok z powrotem na szosę.

— Widziałaś Carrie, prawda? — zapytał.

— Tak — przyznała.

— No cóż, nie zostałem księdzem, więc jest to tylko w połowie tak złe, jak wygląda.

Rikki czekała.

— Nie przyjąłem ostatnich święceń, Ericko...

— Rikki, Danny, teraz jestem Rikki. — Uśmiechnęła się przeproszająco. — Wybacz, nie chciałam ci przerywać. Mów dalej.

— Sądziłem, że mogę być księdzem, lecz tak naprawdę było to marzenie mojej matki, nie moje. Ja zawsze chciałem pisać. Sądziłem, że zdołam pogodzić jedno z drugim, ale nie mogłbym oddać serca Kościołowi tak, jakby należało. Wróciłem do domu latem po twoim... po twoim wyjeździe. — Przez chwilę znów na nią patrzył. — Było mi bardzo przykro z powodu twoich rodziców, Rikki. — Potrząsnął głową, a jego długie włosy zafalowały. — To nie brzmi dobrze: Rikki. Nigdy tak o tobie nie myślałem. Byłaś taka ładna, taka kobieca.

Roześmiała się, a nawet zaczerwieniła.

— Nigdy bym nie pomyślała, że to zauważyłeś — przygadała mu.

— A kto by nie zauważył? Obserwowałem ciebie i Carrie gdziekolwiek się pojawiłyście.

— Bardzo mi to pochlebia — powiedziała szczerze. A potem przypomniała sobie, co Carrie

zazwyczaj o nim mówiła. „To chyba pedał. Nigdy nawet nie spojrzy na żadną dziewczynę”.

— Mama była naprawdę rozczarowana, kiedy wróciłem do domu. Prawdę mówiąc, zmieniła mi życie w piekło, więc się wyniosłem. Znalazłem sobie pracę na stacji benzynowej w Jeff City i skończyłem szkołę. W tym samym roku sprzedałem pierwszą książkę.

— Ależ to wspaniale — powiedziała, wskazując swój podjazd. — Co piszesz? Używasz jakiegoś pseudonimu? Nigdy nie widziałam żadnej książki, podpisanej Danny Lightner. — A potem przypomniała sobie kilka artykułów prasowych o miejscowym pisarzu. — Zaraz! D.A. Light. Zgadza się?

— Zgadza. Skąd wiedziałaś?

Powiedziała mu o tym, jak pozostawała na bieżąco z lokalnymi wydarzeniami dzięki prenumeracie gazety.

— Ale przedtem nigdy nawet nie pomyślałam, że to mógłbyś być ty. Oczywiście, nie mogłam tak pomyśleć, skoro sądziłam, że od dawna jesteś duchownym.

— Carrie pracuje na pół etatu w *Sztandarze*. Gdy ukazała się moja druga książka, przysłała przeprowadzić ze mną wywiad. A potem zjawiała się znowu, mniej więcej rok temu, gdy świętowałem mój debiut na łamach *New York Timesa*. Zaczęliśmy jako przyjaciele. Uwierz mi, Rikki, żadne z nas nie miało zamiaru posunąć się dalej. Ale pewnego dnia po prostu powiedziałem jej prawdę. Że jestem w niej zakochany. Chyba nie był to najlepszy moment, bo Carrie rozplakała się. Byliśmy w bibliotece, gdzie niby to pracowaliśmy, a tak naprawdę spotykaliśmy się od czasu do czasu, żeby pogadać. Zatrzymał półciężarówkę za jej cherokee i zgasił silnik.

— Zaproszenie nadal aktualne?

— Oczywiście, wejdź, proszę. Ale uważaj — powiedziała, otwierając drzwi od strony pasażera. — Nie miałam jeszcze czasu, by się na dobre rozlokować. Będziesz musiał uprzątnąć sobie jakieś miejsce, by usiąść.

W chwilę później wręczyła mu pienistą puszkę bud lighta, a potem poprosiła, by dołączył do niej w saloniku. Usiadła na sofie, a on na fotelu naprzeciw niej.

— A więc, mów dalej. Powiedziałeś jej, że ją kochasz, a ona się rozplakała. I co zrobiłeś?

— Zabrałem ją stamtąd. Pamiętasz tę Wandę-Lou, która pracuje tam niemal, od kiedy położono pierwszy kamień pod budowę? To największa plotkara w tej części miasta. Uznałem, że jeśli zobaczy Carrie w tym stanie, natychmiast zadzwoni do jej matki.

— Tak czy inaczej, zabrałem ją do siebie. Niczego od niej nie oczekiwałem, przysięgam na Boga. Po prostu chciałem, żeby wiedziała, co czuję. A poza tym, wiedziałem, że jest mężatką i że jest uprzedzona do katolików. Lecz ona powiedziała mi, że także jest we mnie zakochana.

— Więc czemu się nie rozwiodła?

— Daj spokój, Rikki, znasz Carrie. Musisz pamiętać, jak ważne jest dla niej to, co o niej myślą. Wiem, że niekoniecznie jest to zaleta, lecz ona już taka jest, więc pogodziłem się z tym.

— Najwidoczniej nie jest szczęśliwa w małżeństwie z Brettem, gdyż inaczej nie zakochałaby się w tobie.

— Brett nie jest najłatwiejszy we współżyciu. Jest taki sztywny i wymagający. Czasami mi się wydaje, że ona się go boi.

— Więc zadowolasz się wykradzionymi spotkaniami?

— Spokojnie, nikt tu nie mówił, że jestem zadowolony. Czasami sprzeczamy się o to, lecz wtedy ona płacze, a ja nie mogę znieść, kiedy jest nieszczęśliwa.

— Lecz zdajesz sobie chyba sprawę, że Carrie nigdy nie będzie miała odwagi, by go zostawić. Sam to przed chwilą powiedziałeś. Ona zbyt troszczy się to, co powiedzą inni.

— Nie masz chyba o niej zbyt dobrego zdania, prawda? Przykro mi to słyszeć. Pamiętam, jak

bardzo przyjaźniłyście się ze sobą. — Odstawił puszkę na stół, pochylił się i ścisnął dłonie pomiędzy kolanami. — Ona nadal ciebie wspomina, wiesz? Kiedyś powiedziała nawet, że bardzo żałuje, że cię tu nie ma. Że ty wiedziałabyś, co powinna zrobić, żeby uwolnić się od Bretta. Powiedziała, że jesteś odważna.

Rikki zapatrzyła się w ciemność, która nie wiadomo kiedy zapadła za oknem.

— Czy powiedziała ci, dlaczego wróciłam? — spytała, nie patrząc na niego.

— Powiedziała, że przyjechałaś polować na czarownice. Ale nie sędzę, by chciała cię w ten sposób obrazić. Ona jest dosyć strachliwa i chyba boi się tego, co możesz wykryć, choć nigdy mi nic takiego nie powiedziała.

Rikki przez chwilę milczała.

— Czy ona sądzi, że to Brett mógł zamordować moich rodziców? — spytała w końcu.

— Dobry Boże, nie! Ona już go nie kocha, Rikki. I trochę się go obawia, lecz nie w ten sposób, o jakim myślisz. Boi się, że on ściągnie na nas gniew Boży, jeśli się dowie, nie mówiąc już o jej matce. — Roześmiała się, lecz Rikki wiedziała, że mówi poważnie.

— Wygląda to na sytuację bez wyjścia i przykro mi z tego powodu. Naprawdę bardzo ją lubiłam, Danny.

— Czas przeszedł.

Roześmiała się. Szybkie „ha”, pełne żalu.

— Nie ma w moim życiu czasu teraźniejszego, ani przyszłego. I nie będzie, dopóki nie zostawię za sobą przeszłości, to znaczy, dopóki nie dowiem się, kto zabił moich rodziców i pozostałych. — Uśmiechnęła się słabo. — Niezbyt to wesołe, prawda? Dwie dziewczyny, którym pisany był sukces, i obie w takiej sytuacji.

Wstał, przeszedł przez pokój i zmusił, by wstała z sofy. Objął ją i przez chwilę trzymał w uścisku.

— Być może nie jestem księdzem, Ericko Cassidy, lecz jestem dobrym słuchaczem i chyba mogę być też dobrym przyjacielem. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, wpadaj. Zawsze znajdę dla ciebie czas.

Otarła ukradkiem łzę i wyśliznęła się z jego ramion.

— To chyba nie jest zbyt bezpieczne, być dzisiaj moim przyjacielem.

Uśmiechnął się szerokim, ciepłym uśmiechem.

— Być może, ale w tym względzie ja i Carrie bardzo się różnimy, skarbie. Zupełnie nie zależy mi na bezpieczeństwie.

— Myślę, że Carrie jest bardzo szczęśliwą kobietą, skoro ma ciebie, Danny.

— A ja myślę, że byłaby jeszcze bardziej szczęśliwa, gdyby odzyskała dawną przyjaciółkę.

— Może kiedy już będzie po wszystkim.

Objął ją w pasie ramieniem i ruszył do drzwi. Wyszli na ganek, zanim którekolwiek zdążyło się odezwać. Uścisnął ją jeszcze raz i pocałował w czoło. — Mam nadzieję, że to się szybko skończy.

Obserwowała, jak schodzi po schodkach i odjeżdża. Lecz kiedy odwróciła się, by wejść do domu, zobaczyła Bo, stojącego przed swoim domkiem. Po prostu tam stał, opierając się o framugę okna. Uniósł dłoń w paradii salut.

Uniosła lekko głowę i uśmiechnęła się, wchodząc do środka. Zdawała sobie sprawę, jak to musiało dla niego wyglądać. I bardzo dobrze. Prawdę mówiąc, była zadowolona, że odniósł fałszywe wrażenie, widząc ją w uścisku Danny'ego.

Może teraz zostawi ją w spokoju. Nie musi wiedzieć, że Danny należy do Carrie. Że Rikki Blue nie ma nikogo.

## ROZDZIAŁ 14

Audycja we wtorek przebiegła niemal tak samo jak w poniedziałek i kiedy parę minut po szóstej opuszczała budynek rozgłośni, czuła się równie wyczerpana jak poprzedniego dnia. Tylko że dziś nie było czasu na odprężające spaceru. Jej goście mieli zjawić się na kolacji w Bar–Ber–Keen o ósmej. Ledwie miała czas się przygotować.

Przyjechała do ośrodka o wpół do ósmej nieco zdyszana i bardziej zdenerwowana, niż sądziła, że będzie. Widziała się już z Aaronem, Juniorem i Bo. Teraz miała spotkać się z resztą. Po raz pierwszy od pogrzebu rodziców stanie twarzą w twarz z ludźmi, których uważała za przyjaciół, a którzy teraz nie byli nikim więcej, jak tylko obcymi, w dodatku podejrzanymi o morderstwo. Ta myśl otrzeźwiła ją, a jednak drżała lekko, sprawdzając stół przygotowany dla gości.

Wynajęta na ten dzień jadalnia została dobrze wyposażona i elegancko udekorowana w sposób, odpowiadający formalnemu spotkaniu, jakie zamierzała tu przeprowadzić. Nie miało to bowiem być ciepłe spotkanie po latach niegdysiejszych przyjaciół, ponowne połączenie dawno utraconych kumpi, lecz ustawienie marionetek, niczym w sztuce, którą ona będzie reżyserować. W końcu tylko ona zna scenariusz. Ta myśl nieco ją uspokoiła. Nie miała zamiaru stracić nad sobą kontroli. A po przyjęciu...

Podeszła do lustra, które biegło przez całą długość ściany i po raz ostatni skontrolowała swój wygląd.

Jej ciemnokasztanowe włosy zostały zebrane wysoko na czubku głowy i tylko jeden długi lok zwisał wzdłuż policzka, podkreślając wdzięczną linię szyi. Makijaż miała niezbyt ciężki, lecz dość wyrazisty, odpowiedni do pory dnia i okazji. Długa, dopasowana suknia z czarnej krepy była elegancka w swojej prostocie. W uszach i wokół nadgarstka błyszczały diamenty. Wyglądała niczym królowa. Dokładnie tak, jak chciała wyglądać. Nie było już Ericki Cassidy, pięknej, lecz nie do końca jeszcze ukształtowanej dziewczyny. Zamiast niej do St. Joan przyjechała Rikki Blue, kobieta światowa i wyrafinowana.

Do sali wszedł zarządzający.

— Pani goście już zaczynają się schodzić, pani Blue. Czy mamy ich wprowadzić?

— Proszę dać mi pięć minut — powiedziała.

Pomieszczenie nie było zbyt wielkie, lecz doskonale odpowiadało jej potrzebom. Znajdowała się tu też klatka schodowa, prowadząca na podest przed pierwszym piętrem i Rikki skierowała się właśnie tam. Chciała przyjrzeć się im, gdy będą wchodzić. Przystudiować wyraz ich twarzy. Posłuchać, co będą mieli do powiedzenia. I dopiero potem się do nich przyłączyć. Czy wszyscy przyjdą? Nie wiedziała. Co prawda, wszyscy dzwonili, by dać znać o przyjęciu zaproszenia. Wszyscy, poza Bo. Była rozczarowana, że nie potwierdził zaproszenia, lecz może tak było lepiej. Nigdy poważnie go nie podejrzewała. A tak przynajmniej nie będzie jej rozpraszał i będzie mogła skupić całą uwagę na innych.

Pierwsi zjawili się Pamela i Aaron. To zadziwiające, jak inaczej wyglądali w strojach wieczorowych. Zwłaszcza Aaron. Nie był już prostodusznym wiejskim lekarzem. Przemiana jego żony nie powiodła się jednak w tym samym stopniu. Miała na sobie suknię z białej i czerwonej tafty, ukazującą co prawda jej zgrabne nogi, lecz nie maskującą dwudziestu czy trzydziestu funtów nadwagi, które przybyły jej od czasu zamążpójścia. Pomimo danej sobie obietnicy, że nie będzie wyciągać przedczesnych wniosków, Rikki przyłapała się na tym, że właściwie nie bierze jej pod uwagę jako podejrzonej. Lecz prawdopodobnie zawsze tak było. Pam była typem opiekunki. Kimś stworzonym, by dawać.

Uwagę Rikki przyciągnęła następna wchodząca osoba. Był to Junior, który przyszedł sam. Niemal zachichotała widząc jego niepewność i zażenowanie. Niektórzy mężczyźni po prostu nie byli stworzeni, by nosić smoking i on do nich należał.

Podszedł do baru, gdzie stali już Aaron i Pam.

— Czy mamy czekać na wszystkich? — burknął.

— Chyba nie — powiedział Aaron, wręczając żonie cecę. — Ja w każdym razie postanowiłem się częstować. Masz na coś ochotę, Junior? Nauczyłem się niezłe przyrządzać drinki, kiedy dorabiałem sobie w ten sposób w college'u.

— Masz tam jakieś piwo? Aaron poklepał go po ramieniu.

— Bracie, mamy tu wszystko. Nasza gospodyni najwidoczniej postanowiła się postawić.

— Tak, wygląda na to, że próbuje nam zaimponować. Co do mnie, to czuję się jak idiota, ubrany w ten kretyński strój.

— Uważam, że wyglądasz świetnie — powiedziała serdecznie Pam.

Drzwi znów się otworzyły i weszła Sally Jane Matthers. Rikki zaskoczyła zmiana, jaka zaszła w tej kobiecie. Nigdy by jej nie poznała. Podobnie jak ona, Sally Jane ubrana była na czarno. Pozostała szczupła, a kostium ze spodniami doskonale podkreślał chłopięce kształty jej ciała. Było oczywiste, że pomimo prowincjonalnego wychowania doskonale zna się na modzie. Jej marchewkoworude włosy, pomalowane w pasemka, zostały obcięte w bardzo nowoczesnym stylu, który pasował do rysów i sprawiał, że wydawały się bujniejsze. Piegowata cera została umiejętnie przykryta makijażem, a przydługie zęby koronkami. Tak więc brzydkie kaczątko, choć może nie całkiem zmieniło się w łabędzia, stało się teraz niewątpliwie całkiem atrakcyjną osobą.

— Cześć — pozdrowiła bezceremonialnie pozostałych. — Pełnisz honory pana domu, doktorku? — A kiedy skinął głową, dodała: — Dla mnie dżin z tonikiem. Jak twoje ostatnie dziecko, Pam?

— Nie dzisiaj, proszę. Po raz pierwszy od dwóch lat wyrwaliśmy się z domu na dłużej niż tylko szybki wypad do kina. I nie chcę rozmawiać o dzieciach, myśleć o dzieciach, a nawet pamiętać, że mam dzieci.

Sally Jane zaśmiała się pełnym, zmysłowym śmiechem. Rikki zapomniała już, jakim magnetyzmem odznaczała się ta kobieta. A może nigdy tego wcześniej nie zauważyła? Zastanawiała się, czy zmiany, jakie zaszły w Sally Jane, są wyłącznie fizycznej natury.

Bo wszedł do sali jako następny. Rikki ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, jak bardzo cieszy się, że przyszedł. Ciepło, jakie poczuła na widok jego przystojnej sylwetki zdziwiło ją mniej. Zawsze tak na nią działał.

— Hej, Bohannon, dawno się nie widzieliśmy — powiedział Junior. — Chodź do baru. Doktorek pełni honory.

Lecz zanim Bo zdążył zareagować na zaproszenie, do pokoju weszli ostatni z oczekiwanych gości. Rikki przyglądała im się uważnie. Pamiętała, jak bardzo byli w sobie kiedyś zakochani i zastanawiała się, co też zdarzyło się między nimi, co im się przydarzyło, co pchnęło Carrie w ramiona Danny'ego Lightnera. Nie zapomniała aluzji Danny'ego na temat okrucieństwa Brett'a i teraz zdała sobie sprawę, że to oraz jej własny brak entuzjazmu wobec tego człowieka sprawiły, że postawiła go na czele swojej listy podejrzanych. Musi być ostrożna. Nie wolno jej wyciągać przedwczesnych wniosków.

Westchnęła. Już czas.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, gdy wyszła z cienia i skierowała się w dół po schodach. Poczowała się prawie głupio z powodu teatralnego charakteru swego wejścia. Prawie. Lecz nie do końca. To było jej przedstawienie i miała zamiar wyciągnąć z niego, co się da. Dramatyczne



zastąpienie po schodach nadało ich spotkaniu właściwy ton.

Nikt się nie odezwał. Tylko Bo uśmiechał się lekko, niczym wyrozumiały rodzic, z tolerancją godzący się na moment pobłażania sobie swego dziecka. Miała ochotę zetrzeć mu ten uśmiezek z twarzy. Zamiast tego uśmiechnęła się jednak promiennie w odpowiedzi, najpierw do niego, a potem, po kolei, do pozostałych.

— Bardzo się cieszę, że mogliście przyjść. Wszyscy. Minęło już tyle czasu.

Nikt się nie odezwał.

— Macie coś do picia? Jeśli nie, proszę, częstujcie się. Poprosiłam, by nam nie przeszkadzano, dopóki nie przyjdzie pora kolacji. Chciałam, żebyśmy mieli trochę czasu dla siebie.

— Kiedy kolacja? — zapytał Junior. — Umieram z głodu.

— O wpół do dziewiątej, ale tam, na bocznym stoliku są przystawki. Wyglądasz fantastycznie, Sally Jane.

Kobieta roześmiała się.

— Nie jestem pewna, czy podoba mi się ten ton zdziwienia w twoim głosie, ale dzięki.

— A ty jak się masz, Pam?

— Przepracowana i niedoceniana. Macierzyństwo ma swoje dobre chwile, ale przez większą część czasu to istny wrzód na tyłku.

— Uwielbia każdą minutę tego — powiedział Aaron. — Nie daj się nabrać.

— Też tak uważam. To istna matka ziemia — powiedziała Sally Jane.

Lecz Rikki nie była tego taka pewna. Pamela Sue, którą pamiętała, była beztroska i promiennooka. Ta kobieta zaś sprawiała wrażenie zmęczonej i pokonanej. Zwróciła się teraz do Carrie i Bretta.

— A co u wielebnego i pani Pearson?

— Uczciwie? — spytał Brett.

Rikki zobaczyła, że Carrie kładzie ostrzegawczo dłoń na ramieniu męża. Uśmiechnęła się szerzej.

— Oczywiście. Po to się tu spotkaliśmy.

— A zatem — powiedział Brett, a jego przystojna twarz stała się przy tym tak zimna i daleka, że Rikki z trudem stłumiła drżenie — przyszedłem tu, by za wszelką cenę spróbować wyperswadować ci tę absurdalną misję, którą przedsięwzięłaś. Wywołałaś poruszenie pośród dobrych obywateli St. Joan. I co dalej?

— Brett — westchnęła cicho Carrie.

— Nie, Carrie, cieszę się, że Brett mówi, co myśli. Chciałabym, abyśmy dziś wieczór porozmawiali ze sobą szczerze.

Sześcioro spośród siedmiorga gości tworzyło teraz krąg wokół gospodyni. Wszyscy, oprócz Bo, który nadal stał oparty o ścianę, z uniesioną brwią i ironicznym uśmiezkim na ustach. Zignorowała go.

Junior popatrzył na pozostałych i podjął temat tam, gdzie Brett go przerwał.

— Czy ktoś z was słuchał jej audycji wczoraj i dzisiaj? Oznajmiła całemu światu, że jedno z nas jest mordercą. Nie wiem, jak wy, ale ja niemal zmieniłem zdanie co do przyścia tu dzisiaj.

— Więc dlaczego przyszedłeś? — spytała Sally Jane.

— Bo nie chciałem, żeby reszta z was pomyślała sobie, że to ja jestem tym, o którym mówiła. — Zachichotał. — Oczywiście, przypuszczam, że jeśli ona ma rację, to jedno z was wcale by tak nie pomyślało, ponieważ to ta osoba jest mordercą, mam rację?

— Uważam, że cała ta teoria jest śmieszna. Byliśmy wtedy niemal dziećmi — powiedziała Pam. — I nie wychowaliśmy się na ulicy, jak te dzieciaki z gangów dzisiaj. Nie włączyliśmy się

po okolicy, mordując ludzi. Byliśmy zwyczajnymi dzieciakami z małego miasteczka, których największym zmartwieniem było ukończenie szkoły i telefon od chłopaka, na który czekało się przez cały dzień. — Zaśmiała się nerwowo. — I, na miłość boską, chyba nie możesz uważać mnie i Aarona za podejrzanych. Jego ojciec był jedną z ofiar.

— Może byśmy usiedli? — zaproponowała Rikki.

W chwilę później siedzieli już przy starannie zastawionym stole. I nie była to kwestia przypadku, że rozlokowanie gości było dziś takie samo, jak dziesięć lat temu. Pearsonowie obok siebie, następnie Grantowie, ona sama i Bo, a dalej Sally Jane po prawej stronie Juniora.

— Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów — zauważył Aaron, najwidoczniej zdając sobie sprawę z manipulacji Rikki.

— Niezupełnie — przypomniała im Rikki. — Byliśmy wówczas przyjaciółmi.

— Większość z nas nadal jest — zauważył Junior uszczypliwie.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, dopóki Carrie nie podniosła oczu na Rikki.

— Wyglądasz pięknie, Ericko.

— Dzięki, ty także. Lecz jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie nazywaj mnie już Ericką. Ta dziewczyna umarła dawno temu. Została zamordowana tak skutecznie jak jej rodzice.

— Na miłość boską, nie uważasz, że to brzmi nieco melo—dramatycznie? — spytała Sally Jane.

— A jednak tak to właśnie wygląda — powiedziała Rikki po prostu.

Zanim ktokolwiek jeszcze miał szansę coś dodać, podwójne drzwi otworzyły się i do jadalni weszło trzech kelnerów w uniformach, pchając przed sobą wózki, zastawione potrawami, szampanem i winem.

Przez następne dziesięć minut goście ograniczyli się do jedzenia, tylko Aaron wymienił kilka zdań z Pam, a wreszcie podniósł się i przeprosił.

— Poszedł zadzwonić do domu, dowiedzieć się, co z dziećmi — powiedziała Pam. — To dlatego tak rzadko wychodzimy. Albo musimy z daleka nad nimi czuwać, albo odzywa się pager Aarona. Szkoda zachodu.

Gdy jeden z kelnerów zaczął nalewać szampana, Brett zakrył dłonią swój kieliszek. Rikki poprosiła, by podano mu bezalkoholowy, musujący sok winogronowy.

— Dla ciebie, Brett... i dla Carrie, oczywiście.

— Dziękuję — mruknął, zabierając dłoń z kieliszka.

Rikki uniosła brwi, gdy Carrie odmówiła przyjęcia soku i poprosiła o „coś konkretnego”, zauważyła też pełen niezadowolenia grymas, z jakim przyjął jej zachowanie mąż. Nie odezwał się jednak ani słowem. Uniosła kieliszek.

— Chciałabym wnieść toast.

Pozostali wymienili zakłopotane spojrzenia, a potem posłusznie unieśli kieliszki z rżniętego szkła, czekając, co powie.

— Za nas, za nasze wspólne wspomnienia.

W chwilę później Carrie zadziwiła wszystkich, unosząc ponownie swój kieliszek.

— Ja także chciałabym wnieść toast. — Popatrzyła na swoją dawną przyjaciółkę i uśmiechnęła się. — Obyś znalazła spokój, Rikki. Zasłużyłaś na to.

Łzy, których się nie spodziewała, których nie chciała, napłynęły jej do oczu. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo brakowało jej przyjaciółki. Może się myłę, pomyślała. Może szukam nie tam, gdzie trzeba.

— Dziękuję ci — powiedziała spokojnie.

— Ona nie znajdzie spokoju, dopóki nie zaprzestanie tego absurdałnego polowania na czarownice, Carrie Ann — powiedział Brett do swojej żony. A potem, zwracając się do

gospodyni, dodał: — „Do mnie należy pomsta”, rzekł Pan, a ty postępujesz wbrew jego słowu, przypisujesz sobie jego prawa. A bez Jego pomocy nigdy nie znajdziesz szczęścia i zadowolenia.

— Wydaje mi się, że w Biblii jest mowa także o „oku za oko” — odparła Rikki z nutą gniewu w głosie.

— Touche — powiedział Bo i było to pierwsze słowo, jakie padło z jego ust, odkąd usiedli.

Przez następnych kilka minut przy stole panowało milczenie, jako że nikt nie miał za bardzo pojęcia, co należałoby powiedzieć po takiej wymianie zdań. Podano pierwsze danie i Rikki obserwowała gości, jedząc i sącząc wino.

Pam i Aaron byli dziwnie spięci, spoglądając na siebie co chwila przez cały posiłek.

Wojowniczy wyraz twarzy Juniora nie zmienił się ani na jotę.

Sally Jane wydawała się odprężona, choć dziwnie milcząca i daleka.

Bo zdawał się równie czujny jak ona, lecz Rikki sądziła, że po prostu podśmiewa się z nich, a zwłaszcza z niej. Irytowało ją to. Nie tak zamierzała rozegrać tę grę.

Brett był zimny i wrogi. Rikki zauważyła, że jego niegdyś nieskazitelną urodę szpecił teraz fanatyczny blask w oczach i ponure skrzywienie pełnych warg.

Rikki nie uwierzyłaby, że Carrie może stać się jeszcze ładniejsza, a jednak tak właśnie było. Tylko smutek, błyszczący w nakrapiających złotem, brązowych oczach przyćmiewał ten blask. Rikki poczuła nagłą pokusę, by sięgnąć przez stół i ująć jej dłoń w swoje, uścisnąć i dodać jej w ten sposób odwagi, by porzuciła tego przekonanego o swoich racjach hipokrytę, zerwała więzy, którymi połączyła ją z nim młodzieńcza ignorancja i brak doświadczenia. Czowała, że miłość, jaką kiedyś czuła do przyjaciółki, nadal żyje w jej sercu. Lecz dzisiaj nie o to przecież chodziło, prawda?

Zorganizowała to przyjęcie nie po to, by odbudować przyjaźń, lecz by zrobić pierwszy krok w celu wykurzenia mordercy. Być może nie było to możliwe. Mogło przecież być tak, że morderca, któremu przez dziesięć lat udawało się unikać wykrycia, był zbyt mądry, by tańczyć, jak ona mu zagra i tym samym ujawnić się.

Po raz pierwszy od niemal pięciu lat, to znaczy od czasu, gdy zaczęła poważnie myśleć o powrocie do St. Joan, by znaleźć osobę, która zamordowała jej rodziców, Rikki poczuła zwątpienie.

— A jak się ma twoja babcia? — spytała Carrie, odsuwając się od swego wielebnego.

— Nie żyje.

— Och, tak mi przykro.

Lecz Rikki nie miała jej za złe, że przywołała pamięć babki. To przypomniało jej, jak śmierć Julii Hanover różniła się od śmierci jej rodziców. Uśmiechnęła się.

— Wszystko w porządku, Carrie. Umarła we śnie. Była stara, zmęczona i na pewno chciałyby odejść właśnie w ten sposób.

— Ale co ci przyszło do głowy, żeby kupować stację radiową tu, w St. Joan? — zapytał nagle Junior Witcomb. Otarł usta chusteczką, a potem zadał jeszcze jedno pytanie. — To znaczy, wiem, po co tu jesteś. Ale dlaczego po prostu nie przyjechałaś, nie przeprowadziłaś tego swojego śledztwa, a potem nie zwiłaś z powrotem na Wschód?

— Lubię być szefem, a jako właścicielka KSTJ nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

— Więc teraz tarzasz się w luksusach, tak?

— Owszem, nie mogę narzekać — odparła szczerze. — Lecz, oczywiście, wam wszystkim także powodzi się nie najgorzej, prawda? Chyba przede wszystkim dlatego tak się wówczas zaprzyjaźniliśmy...? — Przerwała, by spojrzeć po kolei na każde z nich, omijając wzrokiem Bo. — Wiecie, przez wszystkie te lata, które spędziłam poza St. Joan i podczas żadnej ze swoich podróży nie zauważyłam nigdzie tak sztywnych podziałów jak tutaj.

— Muszę zaprotestować, Rikki. Jestem pasterzem trzódki dobrych, bogobojnych ludzi, którzy pochodzą z różnych warstw społecznych — powiedział Brett.

— Ale, skarbie, nie wszyscy jesteśmy tak cholernie dobrzy i pobożni jak ty — stwierdziła Sally Jane.

Pam zachichotała.

— Nie to chciałem powiedzieć — bronił się Brett, z twarzą poczerwieniałą niczym taftowa suknia Pam. — Próbowałem po prostu odeprzeć zarzut, który wydał mi się niesprawiedliwy.

— Nie — powiedział Junior, odchylając się wraz z krzesłem tak, że stało na dwóch nogach. — Chociaż nie sprawia mi to specjalnej przyjemności, muszę przyznać, że zgadzam się z Rikki. Sam nie posiadam zapewne tyle co wy, lecz z drugiej strony na pewno nie umarłbym z głodu, gdybym jutro odszedł z biura szeryfa. Dziadek ustanowił dla mnie całkiem przyjemny fundusz powierniczy, nie mówiąc już o ziemi, którą mi zostawił. Lecz co dzień w pracy spotykam się z uprzedzeniami. No cóż, nawet ty, Rikki, zostałeś potraktowana lepiej niż ktoś inny, kto byłby na twoim miejscu. Musisz to przyznać. Gdyby Waylin przyniósł czyjaś inną sukienkę całą powalaną krwią, ta osoba z pewnością znalazłaby się na czele listy podejrzanych.

Rikki z trudem stłumiła jęk, gdy przypomniała sobie tamto bolesne i jakże upokarzające przeżycie.

— O czym on mówi? — spytał Brett swoją żonę.

— O niczym — powiedziała miękko Carrie. A potem z gniewem dodała: — O niczym, do jasnej cholery. — Posłała Rikki przepraszające spojrzenie, po czym wbiła wzrok w Juniora.

Nikt inny się nie odezwał, lecz Rikki czuła na sobie spojrzenie Bo i po raz pierwszy żałowała, że w ogóle wróciła do St. Joan.

— Czy mógłbym ci zadać raczej krępujące pytanie, Rikki? — wtrącił Junior.

Rikki uśmiechnęła się do niego, a potem odparła nieco złośliwie:

— A czy w ogóle znasz inne, Junior?

— To twoi rodzice zostawili ci tyle forsy, czy zrobiłaś ją na tym swoim gustownym zajęciu w Bostonie?

— To pytanie nie jest tylko krępujące, Junior — powiedziała Sally Jane. — Jest po prostu grubiańskie.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Rikki. — W końcu, jeśli ja mogę grzebać w waszym życiu, to nie powinnam mieć pretensji, że ktoś z was robi to samo. —I, zwracając się do Juniora: — Moi rodzice dobrze mnie zabezpieczyli, ale też sporo zarobiłam sama. I mądrze zainwestowałam.

— Jak w ogóle trafiłaś do radia? — spytała Carrie.

— Och, to okropnie nudna historia.

— Ale stałaś się taką znakomitością jak Ophra czy Donahue, tyle że w radiu — stwierdziła Sally Jane.

Rikki czuła, że Bo przez cały czas się jej przygląda i bardzo pilnowała się, by na niego nie spojrzeć. Pytanie o jej niespodziewaną karierę w radiu przypomniało Rikki Ripleya Van Weldera, a ten zawsze przywodził jej na myśl Bo. Być może dlatego pozwoliła, by wyperswadował jej dziennikarstwo pisane i nakłonił ją do spróbowania sił w radiu. Podobnie jak Bo Rip był wysoki i ciemny, przystojny i pełen charyzmy. Jako właściciel stacji radiowej WBOS w Bostonie był nie tylko jej pierwszym szefem, ale i pierwszym kochankiem. Lecz choć nie mylił się co do jej radiowych uzdolnień, okazał się zupełną pomyłką jako partner i kochanek.

Podobnie jak Bo Rip urodził się w przysłowiowym czepku. Lecz w przeciwieństwie do Bo rozwinęły się w nim wszystkie negatywne cechy, związane z bogactwem. Był snobem. Arogantem. I prostakiem.

Był załamany, gdy nagle zerwała ich związek. Tak zrozpaczony, że minęło całe trzy miesiące,

zanim ogłosił swe zaręczyny z panną z towarzystwa, niejaką Penelope Princeton. Ananasem.

Rikki uśmiechnęła się na wspomnienie przezwiska, jakie nadała narzeczonej Ripa. Jej złocista, doskonała uroda i złośliwe usposobienie w pełni usprawiedliwiały ten przydomek.

— Dlaczego się uśmiechasz? — spytała Sally Jane. — Czy ta historia jest aż tak śmieszna?

— Nie — powiedziała Rikki, potrząsając lekko głową. — Po prostu przypominałam sobie o czymś, co nie ma nic wspólnego z tym, czego chcesz się dowiedzieć. Ale wracajmy do tematu.

— Zrobiłam dyplom z dziennikarstwa i środków komunikowania, gdyż miałam zamiar pracować w prasie. Pewnego razu brałam udział w dyskusji, której przysłuchiwał się między innymi Rip Van Welder, właściciel WBOS. Po zakończeniu debaty podszedł do mnie i spytał, czy nie byłabym zainteresowana prowadzeniem talk show w radiu. Powiedział, że przyszłość należy do radia. Potrzebował kogoś tego samego formatu, co Rush Limbaugh, lecz o liberalnych poglądach, które stanowiłyby przeciwagę dla jego konserwatyzmu. Odmówiłam mu z tuzin razy, lecz potem, jak to nieraz bywa, wtrącił się los. Gospodarz jednego z jego programów został ranny w wypadku. Rip zadzwonił do mnie błagając, bym zgodziła się go zastąpić. Mówiłam mu, że nigdy dotąd nie byłam w studio, ale powiedział, żebym nie martwiła się o sprawy techniczne. Miałam tylko zasiąść i rozmawiać o wszystkim, co przyjdzie mi do głowy. — Wzruszyła ramionami. — Reszta to już historia. Jak widzicie, nie było w tym nic szczególnie interesującego.

— Szkoda, że nie przeszedłś do telewizji — wtrąciła Carrie. — Jesteś tak piękna, że to czysta strata ukrywać cię w radiu.

Komplement Carrie wzruszył ją.

— Dzięki, ale byłabyś zdziwiona, jak popularne są gwiazdy radiowe. Moja twarz stała się dobrze znana w Bostonie.

— Nie wspominając o twoim ciele — powiedział Junior, obrzucając ją pożądlivym spojrzeniem, które przesunęło się z twarzy na szczelinę między piersiami i pozostało tam. — Domyślam się, że po tej rozkładówce w *Playmate* trudno byłoby znaleźć choćby cal twojego ciała, który nie byłby znany ogółowi.

— Juniorze! — powiedziała Pam tonem, którego używała zwykle, kiedy karciała dzieci.

— Nie szkodzi — powiedziała Rikki wzdychając ciężko. — Najwidoczniej Juniorowi trudno jest zrozumieć, dlaczego to zrobiłam.

— No cóż, nie tylko jemu trudno jest znaleźć powód tego karygodnego ekshibicjonizmu — powiedział Brett. — Może byś nam wytłumaczyła, skoro już podałaś powody, dla których robisz to, co robisz.

— Nie byłam świadoma, że tak do tego podejście. A odpowiedź na twoje pytanie, Brett, jest prosta. Magazyn co miesiąc zamieszcza na rozkładówce zdjęcia różnych znanych osób. Poprosili mnie o pozowanie i odmówiłam. Lecz w dwa dni później zadzwoniłam do nich i zapytałam, czy propozycja jest nadal aktualna.

— Dlaczego? — zapytała Pam, najwidoczniej bardzo zaciekawiona. Rikki spojrzała na nią, a potem skierowała wzrok na pejzaż, wiszący na przeciwległej ścianie.

— Przez pięć lat marzyłam, by wrócić tu i zmusić osobę, która zamordowała moich rodziców, do wyjścia z ukrycia. Z początku było to tylko marzenie. Było we mnie jeszcze zbyt wiele z dziewczyny, wychowanej w małym miasteczku. Ta dziewczyna nie lubiła konfrontacji. Była słaba, przestraszona i głęboko zraniona. Lecz kobieta, która codziennie występuje w radiu, która atakuje ludzi znanych, która nie przejmuje się, że ma do czynienia z głowami państw, sędziami sądów naczelnych, więźniami skazanymi na karę śmierci, z czasem zastąpiła tamtą przestraszoną małą dziewczynkę, która uciekła kiedyś z podkulonym ogonem. Zdałam sobie wówczas sprawę, że nie ma już we mnie ani śladu Ericki Cassidy. Więc jednym symbolicznym gestem pozbyłam się resztek moich zahamowań. Nikt nie odzywał się przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Aaron

zaskoczył ich, stwierdzając, że nie cała Ericka Cassidy została zastąpiona przez nową osobowość.

— Co masz na myśli? — spytała Rikki.

— Przecież to Ericka obiecała, że wróci i znajdzie mordercę swoich rodziców — przypomniał jej.

— Tak, lecz Rikki Blue ma zamiar wyręczyć ją w tym — powiedziała, przesuwając powoli spojrzeniem po każdym w nich, jakby obejmując ich tym samym tą zapowiedzią.

Kiedy ostatnie talerze zostały uprzątnięte i podano kawę i aperitify, Rikki objęła dłońmi kolano, szczęśliwa, że trudny moment przeminął i że znów odzyskała nad sobą panowanie. Dalej nie potrafiła spojrzeć na Bo, lecz tym zajmie się później... albo nie zajmie się w ogóle. Miała nadzieję, że po dzisiejszym wieczorze już nigdy nie będzie musiała go oglądać. Lecz oczywiście była to absurdalna nadzieja.

— Chciałabym podziękować wam, że przyszliście. Nie jestem pewna, czy zrobiłabym to, gdybym była na waszym miejscu. Uśmiechnęła się do każdego z nich. Do wszystkich, z wyjątkiem Bo, który nie odrywał od niej spojrzenia od chwili, gdy Junior powiedział im o sukience. Czują na sobie to spojrzenie, lecz sama nie mogła na niego spojrzeć. Po prostu nie mogła.

— No cóż, jak mawia mój staruszek, nie brakuje ci oleju w głowie — powiedział Junior.

Rikki roześmiała się.

— Podziękuj mu ode mnie.

— Ja też tak sędzę — powiedziała Pam. — Lecz mimo to uważam, że się mylisz. To znaczy, rozumiem, skąd wziął się pomysł, że to musiało być któreś z nas, ale to na pewno przypadek. I mogę powiedzieć ci, Ericko... to znaczy, Rikki, że to nie mogłam być ja, ani Aaron. Byliśmy razem, gdy twoi rodzice zostali zabici.

— Skąd wiesz? Nie sędzę, żeby w gazetach podano godzinę zgonu, a Scooter też raczej o tym nie rozpowiadał, prawda? Moja babcia zadzwoniła do niego w kilka miesięcy po naszym wyjeździe. Nawet o tym nie wspomniał. Powiedział, że niektóre fakty zachowuje wyłącznie dla siebie.

— No, oczywiście, nie wiem, o której godzinie dokładnie zostali zamordowani, lecz Aaron nie odwiózł mnie do domu wcześniej niż o pierwszej. A gdzie słyszałam, że zginęli wcześniej.

Nim Rikki zdążyła się odezwać, Aaron poprawił żonę.

— Nie, kochanie, odwiozłem cię tuż po północy, pamiętasz? Martwiłem się, że mama została samą a jest już tak późno. Po śmierci ojca zrobiła się okropnie nerwowa.

— Och. To znaczy, że nadal jesteśmy podejrzani — powiedziała Pamela słabo.

— Meldowałem się na służbę o północy — powiedział Junior. — I wiem, o której zginęli twoi rodzice. Doktor Ohtau twierdzi, że stało się to około pierwszej — tuż przed albo tuż po.

— Zameldowałeś się na służbę, ale gdzie byłeś o pierwszej nad ranem? — spytała Sally Jane.

— Na patrolu — powiedział, a potem, zdając sobie sprawę, że nie zapewnia mu to alibi, poczerwieniał i uzupełnił nie pytany: — Byłem za deptakiem.

— A ja byłam sama w domu. Junior podrzucił mnie za piętnaście dwunasta. Poczytałam książkę, a potem poszłam spać — wyjaśniła Sally Jane. — Mojego taty nie było wtedy w mieście, więc chyba też jestem podejrzana.

— A co z tobą i Brettem, Carrie? — spytał Junior.

— Ja byłam w domu — odparła Carrie spokojnie. — Ale i tak nie mogłabym zabić twojej mamy i taty. Kochałam ich. Byli dla mnie jak drudzy rodzice.

— Wydaje mi się, że... — zaczął Junior, lecz Rikki uciszyła go. Wiedziała, co chciał powiedzieć, lecz nie chciała, by jej przypomniano, że Carrie nie było przy niej w tych ostatnich dniach przed wyjazdem do Bostonu.

— Czy ty też pojechałeś prosto do domu, Brett? — spytała.

— Nie. Pojeździłem jeszcze przez chwilę. A potem poszedłem do kościoła i posiedziałem tam jeszcze z godzinę. — Jego twarz zaczerwieniła się lekko, gdy dodał: — Marzyłem o tym, jak to będzie, kiedy ukończę seminarium, ożenię się z Carrie Ann i dostanę własną parafię. Wiedziałem, że wielbny Paulson wkrótce wybiera się na emeryturę. Miałem nadzieję, że poleci mnie na swoje miejsce.

Rikki zobaczyła, że Carrie przygląda się mężowi z dziwną miną, lecz zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, usłyszała, jak Aaron pyta Bo o jego alibi. — Domyślam się, że ty i Rikki byliście nadal razem, co?

— Nie — odpowiedział spokojnie, po raz pierwszy nie patrząc na nią, ze wzrokiem utkwionym w dekorację stołu. — Prawdę mówiąc, byłem już w hotelu, pakowałem się. Wyjechałem do St. Louis około pierwszej trzydzieści, by złapać samolot na Jamajkę.

— To znaczy, że nadal jesteśmy na liście podejrzanych — powiedziała Sally Jane i Rikki dostrzegła w oczach kobiety rozbawienie.

— Tak, i co z tego? Jest dokładnie tak, jak powiedział dzisiaj mój tata, gdy byłaś na antenie. To wszystko same bzdury. Nikt z nas nie zamordował twoich rodziców, ani ojca Aarona, ani pozostałych. Gonisz za mrzonkami. Nie masz szansy, żeby dowiedzieć się, kim jest ten facet. Jak mogłabyś, skoro nam się nie udało?

Uśmiechnęła się.

— Mam taśmy, które moja mama nagrała z doktorem Grantem.

— Wymieniła tam któreś z nas? — zapytał Aaron z niedowierzaniem.

— Nie wiem. Jeszcze ich nie słuchałam.

— Dlaczego? — dopytywała się Sally Jane. — Wydaje mi się, że gdyby chodziło o mnie, byłaby to pierwsza rzecz, jaką bym zrobiła.

— Z dwóch powodów — odpowiedziała Rikki spokojnie. — Po pierwsze, nie sądzę, by wymieniono kogoś z nazwiska. Z tego, co pamiętam, rozmawiali raczej o profilach psychologicznych niż konkretnych osobach.

— A drugi powód? — spytała Carrie.

— Nie mogłam się zdobyć, by przejrzeć ich rzeczy. Mam zamiar to zrobić, lecz jak na razie nie zdołałam się zmusić. Gdyby udało mi się dowiedzieć czegoś w inny sposób, wołałabym tego w ogóle nie robić.

Aaron potrząsnął głową.

— Więc po co w ogóle mówisz nam o tych kasetach, skoro przypuszczasz, że jedno z nas jest mordercą? Czy sama nie prosisz się o kłopoty?

— Nie, to nie jest zaproszenie ani zachęta, by morderca przyszedł i zabił mnie. To raczej ostrzeżenie, a także rodzaj zabezpieczenia.

— Nie kapuję — powiedział Junior.

Rikki uśmiechnęła się cierpliwie.

— To proste, naprawdę. Uważam, że jedno z was jest mordercą. Mówiąc wam o kasetach uczulam jednocześnie wszystkich tych, którzy są niewinni i jeśli coś mi się przydarzy, zanim dowiem się, kto jest winowajcą, będziecie mogli pomóc szeryfowi. A gdyby ktoś teraz wybrał się po te kasety, postąpiłby bardzo niemądrze. W końcu wszyscy będziemy pilnować się wzajemnie.

Junior podrapał się po głowie.

— Tak, ale powiedziałaś nam o tych kasetach już wtedy, pamiętasz?

Skinęła głową.

— A więc, jeżeli to był ktoś z nas... to dlaczego nie rozejrzał się za nimi po morderstwie?

— Nie wiem. Nie znam wszystkich odpowiedzi. Właśnie dlatego wróciłam. Aby je poznać.

Zapadła cisza. Wszyscy zastanawiali się nad tym, co przed chwilą usłyszeli.

Ciszę przerwał nieoczekiwanie Brett, który po raz pierwszy odezwał się tego dnia podniesionym głosem, tak pełnym złości, że Carrie i Pam aż podskoczyły.

— Nie masz prawa odprawiać nad nami sądu! Wskazywać palcem!

Krzesło Rikki upadło na podłogę, kiedy zerwała się na równe nogi.

— Mam wszelkie prawo. Jedno z was odebrało mi młodość, Moją przyszłość. Zabrało dwoje najbardziej kochających, najprzystojniejszych ludzi na świecie. I ty masz czelność mówić mi, że nie mam prawa, Brett? Jedno z was... — Spojrzała po swoich gościach, oddychając głęboko, by uspokoić gniew. — Jedno z was zniszczyło moje życie. O, tak, mam wszelkie prawa. Można powiedzieć, że jestem uprawniona — dokończyła spokojniej, odwróciła się i wyszła z pokoju.

— I już po zabawie — stwierdził sardonicznie Junior.

Bo wstał.

— I tu się mylisz, kolego. Uważam, że zabawa dopiero się zaczyna.



## ROZDZIAŁ 15

Kiedy wracali do domu, Brett nie miał ochoty na rozmowę i Carrie była mu za to wdzięczna. Chciała spokojnie pomyśleć, zastanowić się nad zmianami, jakie zaszły w jej przyjaciółce z dzieciństwa. A Ericka zmieniła się... i nie dotyczyło to tylko jej imienia.

Rikki. Jak dziwnie brzmiało to nowe imię. I jakoś do niej pasowało. Miało tak silne brzmienie. Niemal bezczelne. Zdecydowanie zuchwałe. Miało charakter i było nieugięte. Jak kobieta, która je nosiła. Przeciwnieństwo Carrie.

Carrie niemal jęknęła głośno. Lecz była to prawda. Ona była wszystkim tym, czym nie była Rikki Blue. Słaba, miękka i delikatna. Marionetka, kontrolowana przez wszystkich., Ale nie przy Danie. Odsunęła myśl o kochanku. Postanowiła sobie, że nigdy nie będzie myślała o nim w obecności Brett. Nie ufała sobie, bała się, że mimowolnie zdradzi swój sekret. Wracając do Rikki...

Carrie tęskniła za nią. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zobaczyła jej dzisiaj wieczorem. Wierzyła też, że Rikki także za nią tęskniła. Widziała to, widziała odbicie swojej tęsknoty w tych wspaniałych błękitnych oczach. Dostrzegła też inne rzeczy. Rozbawienie i aprobatę, gdy Carrie wybrała szampan zamiast bezalkoholowego soku, a także gniew. I samotność. Zachmurzyła się. Nie lubiła zastanawiać się nad tym, jak trudne musiało być dla Rikki te ostatnie dziesięć lat. Ale wiedziała, że musiało to być istne piekło, gdyż Rikki Blue była kobietą ze stali, zahartowaną przez ogień Hadesu.

Ona zaś przez ten czas wcale nie dorosła, nie dojrzała. Nadal była słabeuszem, jak zawsze. Pozwoliła swemu mężowi, którego nauczyła się nienawidzić, i swojej matce, niewiele lepszej niż Brett, by ją kontrolowali... wykorzystywali. Metody matki były subtelniejsze, polegały bardziej na psychicznej presji, aplikowanej delikatną dłonią damy z Południa. Brett był bardziej bezpośredni, gorszy. Zadrżała na myśl, jak ją poniżał, ranił, wykorzystywał. Gdyby miała odwagę Rikki... ale nie miała. Danny był jedynym przejawem buntu, na jaki mogła się zdobyć, a nawet i tego nie potrafiła załatwić jak trzeba.

Kiedy wjechali na podjazd, oddzielający ich dom od kościoła baptystów, Brett ujął ją za rękę.

— Cieszę się, że tam pojechaliśmy, Carrie Ann. Dobrze było znów uświadomić sobie, jakim jestem szczęśliwym człowiekiem.

— Ponieważ ja nie jestem Rikki Blue — odpowiedziała za niego.

Uśmiechnął się do niej tym łaskawym księżowskim uśmiechem, którym zwykle obdarzał parafian. Nienawidziła go wtedy jeszcze bardziej. Co za hipokryta. Był wstrętny, odrażający. Wilk w owczej skórze.

— Ja także się cieszę — powiedziała, wpatrując się w niego wyzywająco. — Zapomniałam już, jak bardzo ją kochałam. Otworzyła drzwi i już miała wysiąść, kiedy Brett złapał ją za ramię. Mimo to powiedziała: — Chyba zadzwonię do niej i umówię się na lunch w sobotę, kiedy nie nagrywa. Puść, to boli!

— Nie życzę sobie, żebyś miała z nią cokolwiek do czynienia po dzisiejszym wieczorze. Chociaż powiedział to łagodnym tonem, w jego głosie dźwięczała groźba.

Carrie ze wszystkich sił starała się przezwyciężyć ból, jaki sprawiał jej jego uścisk.

— Dlaczego, Brett? Boisz się jej?

Puścił ją, lecz groźba w jego oczach wcale nie zmalęła.

— Dlaczego miałbym się jej bać? Nie bądź śmieszna. Po prostu nie chcę, żeby mieszała ci w głowie tymi swoimi światowymi sztuczkami.

Wyciągnął rękę, aby pogłaskać ją po włosach, lecz uchyliła się przed jego dotykiem.

— Podobasz mi się taka, jak jesteś, Carrie Ann. Nauczyłem cię, jak ważne jest, żebyśmy stanęli przed sądem Bożym jak małe dzieci. Widziałem jej wpływ na ciebie dziś wieczór, kiedy zgodziłaś się pić alkohol.

Carrie nie odpowiedziała. Nie mogła. Wskoczyła z samochodu i pobiegła do domu. Gdyby tylko dopadła łazienki i zamknęła drzwi, zanim ją dogoni...

Brett roześmiał się, wysiadając z samochodu i podążając za nią bez pośpiechu.

To była tylko gra. Wiedziała o tym. Drżącymi rękami otworzyła drzwi wejściowe i niemal wbiegła do łazienki, gdzie zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na zasuwkę. Usiadła na sedesie, ukryła twarz w dłoniach i kołysała się w przód i w tył. Nieważne, jak długo tu zostanie. Doświadczenie nauczyło ją tego. On zaczeka. Och, Danny.

Pójdzie do niego jutro. Przetrzyma poniżające traktowanie Brett'a dziś wieczorem, lecz jutro... i spotka się z Rikki.

Wstała, otarła z twarzy łzy i otworzyła drzwi.

Czekał na nią.

Nie podeszła do niego. Zmusiła go, by to on do niej podszedł. A potem stała tam niczym drewniana kukła, kiedy rozbierał ją, prowadził do łóżka i układał na brzuchu. Niemal zwymiotowała, gdy jego dłonie zaczęły przesuwać się po jej ciele, zatrzymując się, jak zwykle, na pośladkach. Czuli, jak rozsuwa je dłońmi i przygotowała się na ból, który, jak wiedziała, zaraz nastąpi.

Przesunął dłonią pomiędzy jej nogami.

— Nie ogoliłaś się — powiedział płaczącym głosem, który znała aż za dobrze. — Jak możesz być jak dziecko, skoro jesteś owłosiona jak nierządnica?

Carrie coraz mocniej przygryzała dolną wargę. Jesteś chory, krzyczał jej umysł. A potem zaczęła się zastanawiać. Czy ktokolwiek wiedział o jego zboczeniu? O tej nienaturalnej skłonności do niewinności sprzed okresu dojrzewania? Czy zabił tych ludzi, aby utrzymać swój sekret w tajemnicy?

Wszedł gwałtownie w jej odyt, tak jak wolał, wypierając z jej umysłu wszelkie świadome myśli, kiedy leżała spokojnie, walcząc z falami mdłości, które zawsze towarzyszyły aktowi. Zagryzła mocniej usta, a potem wbiła zęby w pościel, by nie krzyczeć.

Kiedy już było po wszystkim, leżała cierpiąc, czując pulsowanie w odbycie i gwałtowne bicie serca. A potem przypomniała sobie to pytanie. Wiedziała, że wyszła za szaleńca. Czy ten szaleniec był także mordercą?

\* \* \*

Sally Jane wsunęła się do łóżka, gdzie już na nią czekano.

— I jak było?

— Zabawnie. Nudno. Tak, jak było do przewidzenia. Wszystko naraz.

— A twoja stara przyjaciółka, Rikki Blue? Jak ona się ma?

Sally Jane wsunęła się w zagłębienie ramienia kochanka.

— Piękna, lecz zawsze taka była.

— Czy nadal to cię tak denerwuje?

— Nie, oczywiście, że nie. Wyrosłam z dziecinnych zazdrości. Prawdę mówiąc, podziwiam ją. Nie pozwoliła się zastraszyć. Niełatwo jest wrócić, by stawić czoła diabłu.

— Wydajesz się pod wrażeniem. Może to nie ty powinnaś być zazdrosna,

Sally Jane roześmiała się.

— To byłoby coś nowego. Ale nie sądzę, żeby było możliwe. Jesteś najbardziej pewną siebie osobą, jaką znam.

— To znaczy, poza tobą?

Sally Jane nie odpowiadała przez dłuższą chwilę, a kiedy się wreszcie odezwała, jej własny głos wydał jej się zmęczony.

— Nie zawsze tak było. Kiedyś byłam przerażona. Sądziłam, że wszyscy się dowiedzą.

— O czym? O twoich skłonnościach czy jego?

— O jednym i drugim, jak przypuszczam.

— Lecz nikt się nie dowiedział. I Rikki Blue także się nie dowie. Obiecuję. Jeżeli okaże się zbyt wścibska, postaram się, żeby nie mogła nawet przejść przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, by nie zostać zwinęta. A teraz chodź tutaj. I nie myśl już o tym. Jesteś ważną osobą w St. Joan. Wszyscy tu spoglądają na ciebie z szacunkiem. Zrealizowałaś marzenie swego ojca i zgromadziłaś fortunę. I, co najważniejsze, twój sekret jest bezpieczny.

— Nie wiem. Nie jestem pewna. Rikki Blue nie jest taka jak inni.

Junior pojechał prosto do domu, lecz kiedy już się tam znalazł, wszedł najpierw do garażu. Otworzył wszystkie zamki. Zapalił światło. Wcisnął kciuki w kieszenie spodni i uważnie rozejrzał się dookoła. Wszystko było tak, jak zostawił. Ale nie oczekiwał niczego innego. Nikt nie odważyłby się weszyc na jego terenie. Był przecież Witcombem. Jego ojciec był szeryfem, a on jego zastępcą. I, co ważniejsze, nazwisko Witcomb wiele znaczyło w historii miasta. Ludzie je szanowali. A także obawiali się go. Wszyscy, z wyjątkiem obcych, którzy nie wiedzieli. Obcych, takich jak Rikki Blue.

Ta kobieta go martwiła. Była zbyt nieustępliwa, by wyszło jej to na dobre. Będzie musiał jej pilnować. Pracował zbyt ciężko, i zrobił zbyt wiele rzeczy, które wcale mu się nie podobały, by teraz pozwolić jej to zniszczyć. Podrapał tył swojej kudłatej głowy. Musi jej to przyznać. Ma charakter. Żeby wrócić do St. Joan po wszystkich tych latach... I jeśli choć trochę znał się na ludziach, nie należała do osób, które łatwo rezygnują. Nie wycofa się, dopóki ktoś dobrze jej nie postraszy.

Pozamykał drzwi, wcisnął dłonie głębiej w kieszenie i zaczął pogwizdywać. Nie gwizdał żadnej określonej melodii. Po prostu refren, który właśnie przyszedł mu na myśl: „Jesteś cholernie wspaniałą kobietą, Rikki Blue. Ale ja sobie z tobą poradzę”.

\* \* \*

— Czy ona śpi? — spytała Pam, kiedy rozbierali się do snu.

— Mama? Śpi jak kłoda.

Usiadła na brzegu łóżka, zapinając stanik flanelowej koszuli nocnej.

— To dobrze, bo chciałam z tobą porozmawiać i wolałabym, żeby tego nie słuchała.

— Dlaczego miałyby słuchać? — spytał Aaron, wyskakując z bokserek i wciągając spodnie od piżamy.

Pam przewróciła oczami.

— Z tego samego powodu, dla którego podsłuchuje wszystko, co robimy. Bo jest wścibska.

Aaron westchnął.

— Nie dziś, skarbie. Jestem zmęczony. Nie chcę się kłócić o matkę, ani o nikogo innego.

— Ja też nie chcę się kłócić — powiedziała Pam, wsuwając się pod kołdrę. — Ale jest coś, o co chciałabym cię zapytać.

Okrążył łóżko i usiadł obok niej.

— Ale najpierw zajmijmy się czymś innym. Wszystkie dzieci śpią i nikt po mnie nie dzwoni.

— Sięgnął po jej dłoń, znalazł ją i położył sobie na brzuchu. — Nie zmarnujmy tego na żadne poważne rozmowy. Spędziliśmy dziś miły wieczór, pierwszy od bardzo dawna. Cieszymy się nim dalej. Pstryknął wyłącznikiem lampki.

— Nie przejmujesz się tym, co robi Rikki?

— Co...? A, masz na myśli to, że stara się znaleźć zabójcę ojca? Chyba tak. To znaczy, martwię się o nią. Mam nadzieję, że nie wpakuje się w kłopoty.

— A nie martwisz się o nas? O siebie? — naciskała Pam, wstrzymując oddech.

Aaron przewrócił się na bok, uniósł na łokciu, by na nią popatrzeć. Zachmurzył się. — O co chcesz mnie zapytać, Parny?

— Twoja matka uważa, że to ty ich zabiłeś. Twojego ojca, rodziców Rikki, ich wszystkich.

Zaśmiał się krótko, a potem opadł znowu na plecy.

— To czysta głupota. Mama wie, że kochałem ojca. Dlaczego miałbym go zabijać, nie mówiąc już o wszystkich innych?

Pam nie odpowiedziała.

Cisza, wypełniająca pokój, zdawała się równie przygniatająca jak ciemność.

Nadmiernie rozwinięta wrażliwość, właściwa jedynie matkom, pozwoliła Pam usłyszeć, jak ich najstarszy, Kevin, przewraca się w swoim łóżeczku, w pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Łzy napłynęły jej do oczu. O, Boże, spraw, by Rhonda nie miała racji. Żebym ją nie miała racji.

— Ona dzwoniła do rozgłośni. — Usłyszała, jak Aaron wzdycha zirytowany, zlekceważyła to i mówiła dalej. — Wchodziłam właśnie na górę, żeby schować pranie. Usłyszałam, jak mówi do Rikki na antenie. Szeptala. Kazała jej się wynosić. Powiedziała, że nikt nie chce tu ani jej, ani jej podobnych.

— Ona jest dziwaczką. Wiesz o tym. Oboje to wiemy. Co wcale nie znaczy, iż sądzi, że to ja zabiłem ojca czy tamtych ludzi.

— Ona jest przerażona, Aaron, i ja także. Możesz sobie wmawiać, ile chcesz, że kochałeś ojca, ale oboje wiemy, że to nieprawda. Nienawidziłeś go za to, że porzucił matkę i że cię tyranizował. — Odetchnęła głęboko, a potem dodała. — I wiem, że spotykałeś się z Cindy.

— I co z tego! Nie znaczy to jeszcze, że zabiłem którekolwiek z nich. Dobry Boże, Pam, jestem lekarzem! Stoję po przeciwnej stronie.

Usłyszała błagalny ton w jego głosie. Czy była w nim także nuta paniki? Nieważne. Przecież jej rolą było opiekowanie się innymi. Odwróciła się na bok i wzięła go w ramiona. Chciała wierzyć, że nie był winien tych brutalnych morderstw, które żyły nadal w jej umyśle, jakby od tamtych wydarzeń nie minęło ponad dziesięć lat. Kochała go.

A więc postara się mu uwierzyć... i będzie go chroniła.

\* \* \*

Bo mrugnął, gdy reflektory dżipa cherokee przesunęły się po ścianach jego sypialni. Martwił się o nią. Wyszła z przyjęcia ponad dwie godziny temu. Gdzie była? A co to ma za znaczenie? Najważniejsze, że teraz jest już bezpieczna.

Podniósł butelkę bourbona, która stała obok niego na podłodze i napełnił szklaneczkę. Pił sam i to nie tylko jednego drinka, chyba że przez jednego rozumie się jedną butelkę. Był pewien, że telewizyjni psychoanalitycy mieliby na ten temat wiele do powiedzenia. Podniósł szklaneczkę w geście pozdrowienia i jednym łykiem wypił niemal połowę jej zawartości. Zobaczył jej sylwetkę na tarasie. Obserwował, jak wchodzi do domu. Pociągnął następny łyk.

To dziwne, lecz dzisiaj alkohol zdawał się działać wyłącznie na jego członki, sprawiając, że

były jak odrętwiałe, natomiast umysł pozostawał trzeźwy. Wolałby, by było odwrotnie.

Nie mógł zapomnieć tego, co usłyszał przy obiedzie, ani stłumić poczucia winy, jakie odczuł w chwili, gdy Junior wspomniał o sukience. Nie wiedział dokładnie, co zaszło w biurze szeryfa, gdy znaleziono sukienkę, lecz łatwo mógł sobie wyobrazić i w ciągu ostatnich kilku godzin poczucie winy dręczyło go do żywego. Próbował z tym walczyć na swój zwykły sposób, lecz dziś okazał się on nieskuteczny.

Postawił szklaneczkę na parapecie i ukrył twarz w dłoniach. Życie było piekłem, a on był bękartem. Nie zasłużyła na to, czemu musiała stawić czoła. Sama. Nie wiedział, że jej rodzice zostaną zamordowani. Że policja znajdzie sukienkę. Że będzie musiała znieść ponizenie w chwili smutku i rozpacz, jakiej nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Choć bardzo bolał nad śmiercią swoich rodziców, nie było to przecież to samo. Nawet w przybliżeniu.

Jęknął, po raz kolejny uświadamiając sobie, jak bardzo ją zawiódł.

„Mój Boże, Rikki, nic dziwnego, że nie odpowiedziałaś na żaden mój list, ani nie podchodziłaś do telefonu.”

Nie płakał od śmierci Berta. Lecz teraz nie mógł się powstrzymać. Przyszło mu na myśl, że dziś płacz mógł zostać wywołany przez alkohol. Miał nadzieję, że tak nie było. Miał nadzieję, że płacze z powodu niej, z powodu siebie, ich obojga i tego, jak mogłoby potoczyć się ich życie. Jak o mało co się nie potoczyło.

\* \* \*

Rikki nie zapaliła światła, gdy weszła do domu. Lubiła ciemność. Jej ciężar był niczym otulająca ją ciepła kołdra. Lecz kiedy telefon zadzwonił głośno tuż za nią, niemal krzyknęła, zaskoczona. Cholera!

Dochodziła północ. Kto mógłby dzwonić do niej o tej godzinie? Potknęła się o pudło, które zostawiła na podłodze obok biblioteczki. Zaklęła znowu, a potem uderzyła się boleśnie w szczękę o kant stołu. Telefon zadzwonił jeszcze trzy razy, zanim udało jej się go osiągnąć.

— Halo?

— Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? I dlaczego nie zadzwoniłaś? — zapytał bez żadnych wstępów głos po drugiej stronie słuchawki.

Rikki roześmiała się i szybko przerwała rozmówcy, by przeprosić.

— Tak mi przykro, Kit. Próbowалам, przysięgam. Byłam bardzo zajęta, ale i tak przepraszam. Zachowałam się okropnie. Powinna była skontaktować się z tobą.

— No cóż, skoro już wiem, że jesteś bezpieczna, może będę mógł wreszcie usnąć dziś w nocy. A jesteś bezpieczna?

— Tak, jestem, jestem, nic mi nie grozi.

— Przynajmniej tak twierdzisz — drażnił się z nią Kit. — Przywitaj się z Sadie. Właśnie dochodzi do siebie w sypialni.

Rikki roześmiała się. Uwielbiała Kita Hollinsa i choć nie знаła jego nowo poślubionej małżonki, Sadie, tak dobrze, jakby sobie życzyła, cieszyła się z tego związku. Kit był dość znanym aktorem, który trzy lata temu stał się sławny, gdy zagrał główną rolę w jednej z mydlanych oper, pokazywanych w dzień. Ten przystojny mężczyzna, którego otaczała aura pewnego wyrafinowania, zaskakująca u kogoś tak młodego, zawsze zarzekał się, że pozostanie kawalerem co najmniej do czterdziestki.

Wiele młodych aktorek robiło wszystko by skłonić go do zrezygnowania z tej obietnicy, ale udało się to dopiero Sadie Martin, jego doradcy podatkowemu. Sadie nie była nawet w konwencjonalny sposób ładna. Prawdę mówiąc, przypominała sobie Rikki, była bardzo

zdziwiona, gdy pierwszy raz zobaczyła ich razem. Podobnie jak wszyscy przypuszczała, że przystojny aktor zakocha się w końcu w jakiejś piękności z showbusinessu, lecz choć wszyscy sądzili, że Sadie udało się złowić największą rybę w stawie, Kit sądził inaczej. Uważał, że to on ma niebywałe szczęście i zdradzał wszelkie oznaki silnego zakochania.

— Teraz wreszcie wierzę, że to prawda. Jesteś starym mężem, który spowiada się ze wszystkiego swojej kobiecie.

— Ostrożnie, Rikki, ostatnia osoba, która potraktowała Sadie jak kobietkę nadal próbuje doczyścić sobie szorty.

— Doczyścić szorty — o czym on mówi, Sadie?

— Przesadza. Wally ze sklepu na rogu — znasz go — pozwolił sobie na jakieś komentarze, więc powiedziałam mu, co może zrobić ze swoją sałatą. Powiedziałam, nie wsadziłam mu jej tam. Ale dość o tym. Jak się masz, dziewczyno? I dlaczego, do cholery, nie odezwałaś się do nas?

— Przykro mi, Sadie, naprawdę. Podłączyli mi telefon dopiero wczoraj wieczorem, a dziś nie miałam ani chwili czasu. Właśnie zamknęłam za sobą drzwi, kiedy zadzwoniliście. Ale miałam zamiar zadzwonić do was rano, przysięgam.

— No to opowiedz nam, co się wydarzyło... ze szczegółami — wtrącił Kit.

Teraz, kiedy jej oczy przywykły już do ciemności, Rikki z łatwością odnalazła drogę do krzesła pod oknem. Usiadła na nim i opowiedziała im o ostatnich czterech dniach w St. Joan. A potem przygotowała się na wykład ze strony Kita. To było nieuniknione. Słuchała jednym uchem, wpatrując się w ciemność za oknem.

Zobaczyła go od razu. Siedział w domku poniżej, choć gdyby nie wiedziała, kim jest, nigdy by go nie rozpoznała. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, z opuszczonymi ramionami i nawet z tej odległości wyglądał, jakby wstrząsał nim szloch. Lecz to było niemożliwe. Keen Bohannon płaczący?

Wstała i przysunęła się bliżej do okna, lecz w tym momencie Bo także wstał i zniknął z widoku. Westchnęła.

— Rikki, jesteś tam? — dopytywał się niespokojnie Kit.

— Przepraszam, Kit, zamyśliłam się. Co mówiłeś?

— Powiedziałem, że ja i Sadie powinniśmy tam do ciebie przyjechać. Będę miał wkrótce kilkutygodniową przerwę, a w podatkach też teraz zastój, więc Sadie mogłaby urwać się na parę tygodni.

— Nie bądź śmieszny, Kit. Na miłość boską, nawet nie pojechaliście nigdzie na miesiąc miodowy. Jeżeli możecie wygospodarować trochę czasu, jeźdźcie w jakieś egzotyczne i romantyczne miejsce, gdzie zwykle jeżdżą nowożeńcy.

— Dla mnie St. Joan brzmi dostatecznie egzotycznie i romantycznie — wtrąciła Sadie. — I na pewno nie brakuje tam atmosfery tajemniczości. A poza tym, kto wie? Ze smykałką Kita do dramatycznych efektów i moim talentem do logicznego myślenia moglibyśmy pomóc ci znaleźć odpowiedzi, których szukasz.

Rikki otworzyła usta, lecz Kit uprzedził ją.

— Nie mówiąc już o tym, że pomogliśmy ci utrzymać się przy życiu.

— Och, daj spokój, Kit, nic mi nie jest. Prawdę mówiąc, jedyne realne zagrożenie, jakiego doświadczyłam, odkąd tu przyjechałam, pochodziło od rogu stołu, o który się uderzyłam, kiedy zadzwoniłeś. Rano będę miała niezłego siniaka.

— Nie traktuj tego tak lekko, skarbie. Jeżeli morderca nadal mieszka w St. Joan, wkrótce znajdziesz się w poważnym niebezpieczeństwie — powiedział Kit. — Zwłaszcza jeżeli masz rację i jest nim ktoś spośród twoich dawnych znajomych. Prowokujesz szaleńca, Rikki.

Rikki westchnęła.

— Wiem, co robię.

— I nie masz nawet dość rozsądku, żeby się bać — stwierdził oskarżycielsko Kit.

— Oczywiście, że się boję. Ale nie mogę zrobić nic innego. Jestem to winna moim rodzicom.

— Spojrzała za okno, lecz Bo nigdzie nie było widać. — Gdyby to mnie ktoś zamordował, nie spoczęliby, dopóki by nie doprowadzili bękarta przed sąd. Nie mogę postąpić inaczej.

— My tylko martwimy się o ciebie, ponieważ cię kochamy — powiedział Kit.

Rikki uśmiechnęła się do słuchawki, skręcając w palcach przewód telefoniczny.

— Ja także was kocham. Ale musicie mi zaufać. To nie potrwa zbyt długo. Rzuciłam rękawicę na sam środek areny. Ten, na którego poluję, na pewno zjawi się, by ją podnieść.

— Bądź ostrożna — upomniała ją Sadie.

— Będę. I postaram się częściej do was dzwonić, obiecuję. Usłyszała jednak charakterystyczne kliknięcie, świadczące, że Sadie już się rozłączyła.

Ale nie Kit.

— Lepiej, żeby tak było, chyba że chciałybyś pewnego dnia zastać nas na swoim progu. Dzwon do nas co wieczór, Rikki, bez względu na porę. Będziemy czekali.

Rikki poczuła, jak łzy zbierają się jej pod powiekami.

— Naprawdę cię kocham, Kit — powiedziała, a potem zakończyła zduszonym „cześć”.

— Jakie to wzruszające — stwierdził jakiś głos za siatkowymi drzwiami.

— Śmiertelnie mnie wystraszyłeś — powiedziała, przechodząc przez pokój, by odłożyć słuchawkę. Serce waliło jej jak szalone, choć rozpoznała głos Bo już w chwili, gdy go usłyszała.

— Co ty tu robisz, skradając się po moim tarasie w środku nocy?

— Może chciałem ci udowodnić, jaka jesteś bezbronna. Może czułem się samotny. A może przysłuchiwałem się twojej rozmowie z ukochanym. Dzwonił z Bostonu?

Rikki podeszła do drzwi, ale nie otworzyła ich, by wyjść na taras. Zamiast tego odwróciła się do niego tyłem, oparła plecami o siatkę i powiedziała:

— To mój przyjaciel, a tobie nic do tego.

— Najwidoczniej — przyznał nieco bełkotliwie.

Rikki zamknęła oczy i roześmiała się, potrząsając głową. Nie śmiała się z niego, lecz z siebie. Martwiła się, sądząc, że płacze. Tymczasem jemu po prostu zakręciło się w głowie, bo za dużo wypił. — Wracaj do domu i połóż się do łóżka, Bo. Odeśpij to.

— Nie mogę spać — wymamrotał.

— Dlaczego?

— Nie mogę przestać o tobie myśleć — odparł z pijacką szczerością.

Rikki westchnęła, a potem zaczęła przekonywać go, by jednak poszedł do domu i wziął prysznic, gdy nagle przerwał jej głośny rumor za drzwiami. Odwróciła się i oparła dłonie na siatce, próbując zlokalizować go w ciemności.

— Bo? Gdzie się podziałeś? Nic ci nie jest?

Odpowiedział jej bolesny jęk.

Niechętnie otworzyła drzwi i wyszła na taras, by zobaczyć, co się stało.

Kołysząca się gwałtownie doniczka, zawieszona pod okapem, wyjaśniła jej, co się tu wydarzyło. Bo siedział na drewnianej podłodze, trzymając się za głowę. Nadal miał na sobie spodnie od smokinga i białą koszulę, która, rozpięta, ukazywała umięśnioną pierś i szczupły brzuch.

— A ja się martwiłem, że nie potrafisz się obronić. Całkiem niezła broń, te doniczki. Śmiertelna. Zupełnie jak chodzenie po polu minowym.

Rikki zachichotała cicho, kucając przed nim.

— Jest tylko jedna.

Bo spojrział na nią, osłaniając oczy dłonią, przywierając wzrokiem do jedwabistego wzniesienia jej piersi, widocznych w głębokim wycięciu sukni.

— Zaraz wypadniesz z tej sukienki — wymamrotał.

— Przeszkadza ci to? — spytała z lekkim tonem rozbawienia w głosie.

Czuł na twarzy jej oddech, niczym szeptem wypowiedziane zaproszenie. Zmusił się, by wstać, a kiedy stał już pewnie na nogach, odwrócił się do niej plecami i zapatrzył w noc.

— Dokąd pojechałaś? — zapytał.

— Kiedy?

— Po przyjęciu. Czekałem, kiedy wrócisz, martwiłem się.

Podeszła i stanęła obok niego, położyła ręce na balustradzie i także zapatrzyła się w noc.

— Nie musisz się o mnie martwić, Bo. Jestem dużą dziewczynką. Od dawna sama troszczę się o siebie.

Jej słowa zabolowały go. Zignorował ból.

— Lecz do tej pory nie zajmowałaś się prowokowaniem morderców.

Rikki spojrzała na niego. Wydawał się teraz o wiele trzeźwiejszy. Czy miało to coś wspólnego z uderzeniem ciężką doniczką, czy też chodziło o coś innego?

— A może byś poszedł do domu i przespał się trochę?

— Nie mogę. Nie pójdę, dopóki mi nie powiesz, co zdarzyło się w biurze szeryfa tej nocy, kiedy zginęli twoi rodzice.

Oczywiście, wiedziała, o co mu chodzi. Sukienka. Choć nie patrzyła wówczas w jego stronę, czuła, jak sztywnieje z napięcia, gdy Junior wspomniał o niej podczas kolacji. Ale nie chciała z nim o tym rozmawiać. Do diabła, nawet nie pozwalała sobie, by o tym myśleć. Nie ze szczegółami. Za bardzo bolało. Nawet teraz.

— Nie winię cię, Bo.

— Dlaczego? Przecież to moja wina, że musiałaś znieść to poniżenie.

— Nie musiałam znosić żadnego poniżenia — powiedziała, wzdychając przeciągle.

— Akurat. Znam cię, Blue. Wiem, że opowiadanie o czymś tak intymnym musiało być dla ciebie okropne. Gdybym nie wyjechał, gdybym był przy tobie, nikt nie ośmieliłby się pytać cię o to.

Gwałtownie uderzył dłońmi w balustradę.

— Do diabła, Blue, przepraszam cię. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Ból w jego głosie ścisnął ją za serce. Lecz nie mogła dopuścić, by się o tym dowiedział. Nigdy nie przyznała przed nikim, nawet przed samą sobą, jak bardzo zabolowała ją jego dezercja. Tym bardziej nie miała zamiaru robić tego teraz. Odwróciła się, oparła plecami o balustradę, założyła dłonie na piersi i spojrzała mu prosto w oczy.

— Daj spokój, Bohannon. Nie sądzisz chyba, że byłam w stanie przejmować się twoją nieobecnością? Moi rodzice nie zostali po prostu zamordowani, zostali zarżnięci. Mojej matce poderżnięto gardło, a ojca pchnięto nożem ponad dwadzieścia razy. Czy myślisz, że w tej sytuacji rozmowa z policją o krwi, o moim pierwszym doświadczeniu seksualnym, miała dla mnie jakiegokolwiek znaczenie? Pragnęłam, by moi rodzice znów byli ze mną, żywi i bezpieczni. O niczym innym nie myślałam. Więc przestań się zadrećcać. Byliśmy po prostu dwojgiem dzieciaków, którzy zbyt dali się ponieść uczuciom. To było miłe, gdy trwało, ale nic więcej.

Opuścił ramiona wzdłuż ciała, prostując się i wpatrując w nią przez dłuższą chwilę, a ona niemal zamknęła oczy, widząc, jak bardzo go zraniła.

— To znaczy, że robię z igły widły, tak?

Rikki odwróciła wzrok, niezdolna skłamać, patrząc mu z bliska w oczy.



— Właśnie.

Nie poruszył się i po chwili musiała znów na niego spojrzeć. Wyraz jego oczu zmienił się, patrzył na nią buntowniczo i z niedowierzaniem. Widziała poruszające się pod skórą mięśnie szczęki. Objął ją, położył dłoń na jej karku. Czowała się zaskoczona, zmieszana. Lecz, zanim zdążyła zareagować, pochylił głowę i pocałował ją. Jego usta gniotły jej wargi, żądając wzajemności, jego język odnajdywał i brał w posiadanie.

Pocałunek nie trwał długo, lecz odebrała przesłanie, wiedziała, co powie, jeszcze zanim się odezwał. Zaśmiał się z głębi serca i wbił dłonie w kieszenie.

— Do diabła, niemal udało ci się mnie oszukać. Nie byłem pewny, czy to alkohol zaciemnia mi umysł, czy pamięć płata figle, przywołując coś, czego nigdy nie było. Mrugnął, mijając ją.

Doszedł aż do pierwszego stopnia, zanim odwrócił się i rzucił przez ramię.

— Możesz zaprzeczać, jeżeli uważasz, że powinnaś, lecz nie oszukuj sama siebie. Nie wymyśliłem sobie tego. To ciągle tam jest i nie ma zamiaru odejść.

## ROZDZIAŁ 16

W środę Rikki obudziła się wcześniej. Choć nie spała zbyt dobrze w nocy, czuła się rześka i wręcz naładowana energią. Wzięła szybki prysznic, wskoczyła w ko—larzówki, kusy podkoszulek i buty do biegania. Ściągnęła włosy i nałożyła czapeczkę. W pół godziny po wstaniu z łóżka była już na drodze. Miała w sobie mnóstwo nagromadzonych i z trudem trzymany na wodzy uczuć do pozbycia się i nie miały one nic wspólnego ze śledztwem. Zaryzykowała szybki rzut oka w stronę domku rybackiego, a potem powróciła spojrzeniem na drogę, z mocnym postanowieniem unikania tego na przyszłość. Bo miał rację. To dalej tam było. Poczwała ten sam dreszcz, to samo pożądanie, którego doznawała dziesięć lat temu. Lecz była pewna różnica. Teraz nie chciała już go pragnąć. Teraz miała na głowie inne sprawy, którymi musiała się zająć.

Później? — dopytywał się zdradziecki umysł, lecz odsunęła tę myśl, zacisnęła pięści i pobiegła przed siebie z jeszcze większym zapamiętaniem.

Zmusiła się, by powrócić myślami do wczorajszego przyjęcia. Poszło dobrze, pomyślała, z wyjątkiem tego momentu, kiedy straciła nad sobą kontrolę. Gniew, podobnie jak miłość, był czymś, na co nie mogła sobie teraz pozwolić. Musiała pozostać opanowana i chłodna... skupiona na celu.

Odsunęła się na pobocze, słysząc klakson.

Samochód nie wyminął jej jednak, lecz zwolnił, i kierowca znów dał jej znak klaksonem. Rikki obejrzała się przez ramię. Poranne słońce odbijało się od szyby Lincolna Towncar, uniemożliwiając rozpoznanie kierowcy. Zwolniła kroku, biegnąc w miejscu, dopóki samochód nie znalazł się obok niej.

— O, cześć — powiedziała, machając lekko dłonią. — Przepraszam, myślałam, że ktoś zwraca mi uwagę, żebym zeszła z drogi.

Sally Jane uśmiechnęła się szeroko.

— To ja powinnam przeprosić. Przestraszyłam cię?

— Ależ nie. Po prostu myślałam, że to jakiś zirytowany kierowca chce mi w ten sposób dać do zrozumienia, żebym zeszła z drogi. Przyjechałaś do mnie?

— Właściwie, nie. Miałam pojechać dalej tą drogą, do jeziora. Jest tam pewna posiadłość do sprzedania. Miałam zamiar ją obejrzeć. A potem zobaczyłam, że biegasz i postanowiłam skorzystać z okazji, żeby zaprosić cię na lunch. Dziś też zaczynasz o pierwszej?

Rikki skinęła głową.

— Lunch brzmi wspaniale. Czy chcesz, żebym po ciebie wpadła, gdy skończę?

— Nie, nie będzie mnie dzisiaj w biurze. Może po prostu umówiłybyśmy się na drugą?

— Dobrze. Gdzie?

— Pamiętasz Nakrapianą Czapkę?

— Oczywiście — powiedziała Rikki z uśmiechem, zastanawiając się, dlaczego Sally Jane wydaje się dzisiaj bardziej spięta niż wczoraj, podczas przyjęcia. Widząc, że odjeżdża, machając jej na pożegnanie, Rikki wzruszyła ramionami. Może ona także nie spała tej nocy zbyt dobrze. A potem pomyślała o informacjach, które zebrała na temat kobiety, która była teraz prawdziwą potentatką w handlu nieruchomościami.

Jej ojciec, Clemens Matthers, zginął w katastrofie samochodowej w kilka miesięcy po śmierci ojca Bo. Sally Jane miała wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata, ale przejęła zarządzanie przedsiębiorstwem, wykazując przy tym kompetencje i zdolność przewidywania osoby o wiele starszej.

Clemens był urodzonym handlowcem, któremu udało się pogodzić ambitne zadanie wychowania córki z prowadzeniem przedsiębiorstwa, na którym zbił miliony. Nikt nigdy nie dowiedział się, dlaczego porzucił matkę Sally Jane, gdy ta była jeszcze niemal niemowlęciem, nikt też nie kwestionował wyroku sądu, który powierzył mu całkowitą opiekę nad dzieckiem. Wszystko, co robił, robił dobrze, włączając w to wychowanie córki. A teraz wydawało się, że Sally Jane jest jeszcze lepsza w prowadzeniu interesów niż on. Pomnożyła odziedziczone miliony kilka razy, wciągając rodzinne przedsiębiorstwo, CMA, na listę najbardziej zyskownych prywatnych towarzystw w Ameryce i nie ulegając przy tym pokusie przeniesienia głównej kwatery do któregoś z wielkich miast, takich jak St. Louis czy Chicago.

Zdawało się też, że jeśli chodzi o sprawy uczuć, młoda kobieta nie miała wiele więcej szczęścia niż jej ojciec. Mówiło się co prawda o jej uczestnictwie w różnych dobroczynnych imprezach, ale mężczyźni, którzy jej wówczas towarzyszyli, zbyt szybko się zmieniali, by można było mówić o stałym związku.

Rikki zachichotała, mijając ten sam zakręt, za którym znikła przed chwilą Sally Jane. Być może to napięcie nie było niczym, czego nie mogłoby uleczyć parę godzin swawoli w łóżku.

Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy przypomniała sobie o Bo.

— Odejdź — powiedziała na głos, lecz on pozostał z nią przez następne trzy mile, dopóki nie wróciła do domu.

\* \* \*

Bo spał jak zabity. Alkohol był najlepszym na świecie lekiem na bezsenność. Lecz kiedy tylko otworzył oczy, pomyślał o Rikki i o tym, jak się całowali. Nie, wróc. Nie całowali się. To on ją pocałował. No cóż, nie żałował tego. Zrobiliby o wiele więcej niż pocałunek, gdyby dała mu chociaż cień szansy.

Usiadł bokiem na łóżku, opierając nogi na podłodze i przesunął dłońmi po włosach.

Przypomniał sobie ostatnich kilka minut rozmowy telefonicznej, którą podsłuchał. Kim, u diabła, był Kit? I czy ona naprawdę była w nim zakochana? Słyszał, jak mówi, że go kocha, ale przecież ostatnich dziesięć lat spędziła w Bostonie, a tam ludzie bez przerwy tak do siebie mówią. I niekoniecznie znaczy to, że są w sobie zakochani.

Nie udało mu się do końca przekonać samego siebie, lecz nie zapomniał też, jak wspaniale było trzymać ją w ramionach. Ani jak jej wargi rozchyliły się pod naciskiem jego warg. Powiedział jej, że między nimi nic się nie zmieniło i wiedział, że się nie myli.

Wstał i podszedł do lustra. Błąd. Twarz, która stamtąd na niego spojrzała, wyglądała przerażająco. Potrzebował fryzjera, miał przekrwione oczy, a jego policzki pokrywała twarda i ciemna szczecina. Skrzywił się na widok swego odbicia. „Solidna porcja whiskey, oto czego ci trzeba” pomyślał. Lecz choć prawdopodobnie był to najszybszy sposób, żeby odzyskać jaką taką formę, nie miał zamiaru z niego skorzystać. Nie dziś.

Gdy wrócił od niej wczoraj wieczorem, zaczął zastanawiać się — zadziwiające, że był do tego zdolny, zważywszy, ile wypił — nad swoimi uczuciami. Pragnął jej bardziej, niż kiedykolwiek. Zakochał się w niej, gdy byli niemal dziećmi, i tak już zostało. Próbował pozbyć się tego uczucia. Do diabła, nawet ożenił się z kimś innym, by uciec myślami od wspomnień o niej. Stracił już nadzieję, że kiedykolwiek zdoła ją odzyskać. Ale to było, zanim wróciła. Teraz była tu, niedaleko, a on miał zamiar udowodnić jej, że są dla siebie stworzeni.

Nalał do szklanki wody z kranu i wzniosł ją do góry. „Wybacz, kolego”, powiedział do faceta, z którym Blue rozmawiała przez telefon wczoraj wieczorem. „Nie powinienem był pozwolić jej wracać, ponieważ ja nigdy nie pozwolę jej wyjechać.”

Pomyślał o postanowieniu, które powziął, zanim wreszcie nad ranem zmorzył go sen.

Miała zamiar odnaleźć mordercę swoich rodziców. To było głupie i niebezpieczne.

Nie był wcale pewny, czy podziela jej przekonanie, że zabójcą jest ktoś spośród nich. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że Rikki się myli. Nie dlatego, że poczuwał się wobec któregoś z nich do jakiejś szczególnej lojalności. Z wyjątkiem Aarona i Pam nawet nie bardzo ich lubił. Lecz jeśli miała rację, znajdowała się w większym niebezpieczeństwie, niż gdyby zrobił to ktoś obcy. Zapraszała jedno z nich, by przyszło i wykończyło ją. Nie mógł tak po prostu siedzieć, pozwalając, by spotkało ją coś złego. Postanowił jej pomóc.

Uśmiechnął się na myśl, jak by się ciskała wiedząc, że ma zamiar wskoczyć w sam środek jej gry, ale na pewno było to lepsze, niż pozwolić, by ktoś ją zabił.

Jego wzrok padł na egzemplarz *Playmate*, który przysyłała mu kilka miesięcy wcześniej. Pochylił się, by podnieść magazyn z podłogi, gdzie rzucił go wczoraj. Napotkał spojrzenie tych chłodnych błękitnych oczu. Dotknął błyszczącego papieru w miejscu, gdzie głębokie dołeczki zamykały w sobie jej uśmiech. „Czy ci się to podoba, czy nie, nie zostawię cię samej, Blue.” Rzucił magazyn na łóżko.

Kiedy w pięć minut później wchodził pod gorący prysznic, zastanawiał się już, od czego powinien zacząć. Zdecydował, że zacznie od Aarona i Pam. Prawdę mówiąc, nie uważał ich za winnych, lecz równie dobrze może raz na zawsze udowodnić ich niewinność i zawęzić tym samym krąg podejrzanych.

Wychodząc z domu przyłapał się na tym, że pogwizduje. Prawdę mówiąc po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuł się naprawdę dobrze. Wsunął się za kierownicę samochodu w tym samym momencie, gdy Rikki wyszła z domu na wzgórze. „Zawsze wiedziałem, że jesteś dla mnie stworzona, Blue” powiedział, obserwując, jak wsiada do dżipa i odjeżdża. „Jeśli naprawdę mnie nie chcesz, nie powinnaś była tu przyjeżdżać, ponieważ mam zamiar przyssać się do ciebie mocniej niż guma do chodnika.”

\* \* \*

Rikki była już spóźniona na lunch z Sally Jane. Lecz kiedy przyjechała, ta ostatnia zbyła jej przeprosiny machnięciem ręki.

— Daj spokój, obie jesteście kobietami pracującymi i mamy mnóstwo zajęć. Rozumiem to.

Gdy Rikki sączyła swoją wodę, Sally Jane powiedziała: — Dziś rano znowu słuchałam twojej audycji. Naprawdę udaje ci się wciągnąć w to ludzi z miasta, co?

— To takie proste. Ludzie stają się apatyczni, przyjmują wszystko, jak leci. A potem ty przypominasz im, że wcale nie muszą być bezmyślnymi ofiarami i oni się budzą. To wszystko, co trzeba zrobić. Obudzić ich. Wstrząsnąć nimi.

— I bardzo dobrze ci to wychodzi. Mam tylko nadzieję, że przy okazji nie obudzisz mordercy.

Rikki zareagowała na naganę w głosie Sally Jane długą chwilą milczenia, która przedłużyła się jeszcze, gdyż właśnie podszedł do nich kelner, by przyjąć zamówienia. Szybko przejrzała menu i zamówiła hamburgera.

— I proszę o wszystkie dodatki. I ozdóbki. A także porcję frytek — powiedziała do kelnera.

Sally Jane zamówiła sałatkę, a potem powiedziała do Rikki:

— Zawsze mogłaś pokonać nas wszystkich przy stole. I choć towarzyszył temu uśmiech, Rikki wyczuła w jej głosie odcień urazy.

— Co przypomniało mi, że miałam powiedzieć ci, jak rewelacyjnie wyglądasz, Sally Jane. Musisz mieć jakiegoś wspaniałego faceta.

— Tak, jestem z kimś. A ty?

— Prawdę mówiąc, nie.

— Zaskakujesz mnie. Myślałam, że taka znakomitość jak ty może przebierać w mężczyznach, którzy pchają się do niej drzwiami i oknami.

— Nie mam na to czasu. Póki co, moim kochankiem jest praca. Rikki uśmiechnęła się, tknięta pewną myślą. — Wiesz, zawsze sądziłam, że ty i Junior w końcu będziecie razem. Lecz teraz zdałam sobie sprawę, że to nie mogło przetrwać.

Sally Jane była dziś nieco drażliwa i w każdej jej wypowiedzi wyczuwało się jakiś podtekst, lecz teraz roześmiała się.

— Masz rację. Junior jest — jakby tu powiedzieć? Nie dość rozwinięty, jak dla mnie.

Rikki także się roześmiała.

— Doskonale to ujęłaś. No to opowiedz mi o swoim chłopaku.

— To nie jest coś, o czym chciałabym opowiadać — powiedziała Sally Jane bez wahania.

— Och — stwierdziła tylko Rikki, i choć jej dziennikarska dusza czuła się rozczarowana, rozumiała to. „Nie mogę o tym rozmawiać” znaczyło zwykle, że facet jest żonaty. Zmieniła więc temat. — No cóż, to wróćmy może do mojego śledztwa. Nie boję się, że zabójca zaatakuje kogoś innego. Dlaczego miałby to zrobić, skoro nie zabił nikogo od dziesięciu lat? Może co prawda dopaść mnie, ale muszę podjąć to ryzyko.

— Dlaczego czekałaś dziesięć lat?

— To proste. Babcia zmusiła mnie, żebym przyrzekła, że nie wrócę, dopóki ona żyje. Zmarła w zeszłym roku, lecz sporo czasu zajęło mi załatwienie moich spraw w Bostonie i negocjacje w sprawie kupna stacji.

— Co prowadzi do następnego pytania. Ludzie zastanawiają się, jak długo masz zamiar tu zostać i czy nie narobisz zamieszania, a potem nie zostawisz ich, żeby sami sobie z tym poradzili.

Rikki nie odpowiedziała na to pytanie. Nie mogła. Nie miała odpowiedzi. Zamiast tego zapytała:

— Sally Jane, czy masz do mnie o coś żal?

Sally Jane zamrużyła, tracąc na moment opanowanie.

— Oczywiście, że nie. Dlaczego tak sądzisz?

Rikki wzruszyła ramionami.

— Może się mylę, ale moja praca nauczyła mnie rozpoznawać ton głosu, a w twoim słyszę gniew.

Sally Jane odzyskała panowanie nad sobą. Roześmiała się, potrząsnęła lekko głową i powiedziała:

— Mój kochanek oskarżył mnie, że jestem o ciebie zazdrosna. Oczywiście, zaprzeczyłam, ale to prawda. Zawsze ci zazdrościłam. To pewnie ta zazdrość przebija w moim głosie.

— Ależ ty wyglądasz wspaniale. Jesteś bogata, odnosisz sukcesy. Dlaczego miałabyś mi zazdrościć?

Lecz zanim jej towarzyszka zdążyła odpowiedzieć, kelner przyniósł zamówione dania i kiedy Rikki w godzinę później opuściła restaurację, uświadomiła sobie, że Sally Jane udało się uniknąć odpowiedzi na to pytanie. W drodze powrotnej do biura przez cały czas myślała o ich rozmowie.

Sally Jane zmieniła się, nie tylko fizycznie, choć inne zmiany nie były tak zupełne. Była teraz zrównoważona, pewna siebie, ale zarazem krucha i nadwrażliwa. Śmiała się w sposób wymuszony i pomimo że zaprzeczyła, Rikki nadal czuła gniew, którego ostrze, czuła to, skierowane było przeciwko niej. Co to mogło oznaczać? Prawdopodobnie nic poza tym, że odnosząca sukcesy businesswoman źle znosi konkurencję na swoim terenie.

Lecz kiedy wjeżdżała na parking przed stacją, uderzyła ją pewna myśl. A jeśli kryło się za tym coś więcej?

Przez kilka minut siedziała w dziupie, roztrzásając tę kwestię. Nigdy tak naprawdę nie podejrzewała, by to kobieta mogła być winna popełnienia tak brutalnych morderstw. Szowinistyczny pogląd, do którego nigdy by się nie przyznała. Ale dlaczego nie kobieta? Dlaczego nie Sally Jane?

Aaron siedział za biurkiem, kiedy recepcjonistka wprowadziła Bo.

— To twoja pierwsza wizyta. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek tu przychodził. Pozwól, że zgadnę. Wyglądasz koszmarnie, ale nie jesteś chory, więc pewnie masz do mnie jakąś sprawę.

Bo usiadł, opierając jedną nogę na kolanie drugiej.

— Nie chciałbym zabierać ci czasu, ale tak, chciałbym z tobą porozmawiać.

— O pewnej bardzo pięknej kobiecie, która sieje zniszczenie w życiu wszystkich, którzy ją niegdyś kochali.

— Tak, coś w tym rodzaju. Czy także w twoim życiu, Aaron?

Aaron podrapał się po łysiejącej głowie i odpowiedział:

— To może zbyt mocno powiedziane, ale na pewno wiele spraw skomplikowało się, odkąd przyjechała.

— Dlaczego?

— No cóż, na początek, niektórzy z moich pacjentów zaczęli się bać. Są przekonani, że facet, który zabił tatę i pozostałych, teraz znów zacznie działać. Pamiętasz starą panią Hawkins, która mieszka w pobliżu Maggie's Crossing? Odwołała dziś rano wizytę. Powiedziała, że nie ma zamiaru ruszać się z domu, dopóki nie złapią tego faceta. Musiałem tam rano pojechać. Dwadzieścia pięć mil w jedną stronę. Ale ona ma słabe serce.

— Powiedziałaś: na początek. Co jeszcze? — naciskał Bo. Aaron potarł szczękę.

— Nie uwierzyłbyś. Wczoraj, kiedy wróciliśmy do domu, Pam powiedziała, że mama dzwoniła do rozgłośni. Pam mówi, że podsłuchiwała, jak szepcze i rzuca groźby. A wiesz, dlaczego? Ponieważ moja własna matka sądzi, że jestem mordercą. Nie spałem zbyt dobrze, gdy o tym usłyszałem, możesz mi wierzyć.

— Dlaczego miałyby tak myśleć?

— Ponieważ nie bardzo zgadzałem się z ojcem. Nie pozwalałem mu kierować moim życiem, a poza tym miałem do niego żal, że odszedł od mamy. Czy kiedykolwiek zetknąłeś się z Bunny Apperson, Bo?

— Z kim?

— Bunny. Jedną z ofiar mordercy. Taką małą ślicznotką. Przyjechała tu z Arkansas, czy z jakiegoś innego miejsca. Była ode mnie starsza o trzy czy cztery lata, ale umówiłem się z nią kilka razy latem osiemdziesiątego czwartego. A potem nagle zdecydowałem, że z nią zerwę. Zgadnij, na kogo się natknąłem, kiedy się z nią prowadziłem?

— Na twojego ojca — powiedział Bo. — Nietrudno było się domyślić.

— Tak, trafiłeś w dziesiątkę. Właściwie nie wiem, dlaczego aż tak mnie to zdenerwowało, ale naprawdę się wściekłem, możesz mi wierzyć. I nie chodziło o to, że zależało mi na tej dziewczynie. To znaczy, była ładna, seksowna i tak dalej, ale wiedziałem, że to mała puszczalska. Więc nie angażowałem się za bardzo. Ale żeby mój własny ojciec... — Potrząsnął głową, jakby nawet teraz, po jedenastu latach, nadal nie mógł w to uwierzyć. — W parę tygodni później wpadł do domu, żeby zobaczyć się z mamą. — Aaron roześmiał się do wspomnień, którymi dzielił się z Bo.

— Nigdy nie była z nim szczęśliwa i stale na niego narzekała, ale nie mogła pogodzić się z tym, że hasa sobie na wolności i widuje się z innymi kobietami. Więc zadzwoniła do niego i powiedziała, że coś jej dolega, a on wpadł, by ją zbadać. Tego dnia rozmawiał ze mną także o tej sprawie z Bunny. Uspokajał mnie, że już z nią zerwał. Nie chciał, żeby ktoś taki jak ona stanął

pomiędzy nami. Mama była na górze, ale musiała widocznie podsłuchiwać, ponieważ wybuchła wielka awantura i ojciec powiedział, że jego noga więcej w tym domu nie postanie. No i już go nie zobaczyłem.

— To musiało być dla ciebie trudne — powiedział Bo, ponieważ cisza, która zapadła po tym stwierdzeniu, domagała się wypełnienia.

— A wiesz, co jest w tym najśmieszniejsze? Że kiedy został zabity, akurat zaczęliśmy znów zbliżać się do siebie. To boli, człowieku. Kochałem staruszkę pomimo jego słabostek. Nie mógłbym go zabić.

— Wierzę ci — powiedział Bo szczerze.

— Tak czy inaczej, choć bardzo lubię Rikki Blue, to jednak przysparza mi problemów i, prawdę mówiąc, martwię się o nią. Nie wydaje mi się, żeby uganianie się za tym facetem w taki sposób, jak ona to robi, było zbyt mądre. Nie potrafię pomóc, ale wolałbym, żeby dała sobie spokój i wróciła bezpiecznie do Bostonu.

— Nie sądzę, żeby tak się stało.

Aaron uśmiechnął się.

— I tak naprawdę, wcale sobie tego nie życzysz, co?

Bo roześmiał się.

— Chcę, żeby była bezpieczna. Lecz nie, chyba rzeczywiście nie chcę, by wyjechała.

— A co sądzisz o tej jej teorii, że zrobiło to jedno z nas? Myślisz, że jest słuszna?

— Nie wiem. To znaczy, rozumiem, skąd jej się wzięło to przekonanie. Zaufała nam, i to nie raz, ale dwa razy. A co śmieszniejsze, mam nadzieję, że ona się nie myli.

— Dobry Boże, człowieku, dlaczego? Jesteśmy przyjaciółmi od tak dawna. Z pewnością nie sprawiłaby mi przyjemności myśl, że aż tak pomyliłem się w ocenie.

— Tak, lecz jeśli ona nie ma racji, to znaczy, że strzela na oślep, a w międzyczasie ktoś, kogo nawet nie podejrzewamy, może dobrać się jej do skóry.

— Rozumiem. No cóż, nie wiem, ile to warte, ale możesz zapewnić ją, że to nie byłem ja. — Roześmiał się znowu, tym razem bez śladu wesołości. — I choć nawet moja matka w to wątpi, nie jestem mordercą, chociaż przyznaję, że czasami z rozkoszą bym ją udusił.

— Jak już powiedziałem, ja ci wierzę. Ale jeżeli nie byłeś to ty, ani ja, to kto? Kto z nas był dość sprytny, by zwodzić nas przez wszystkie te lata?

— Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów.

\* \* \*

Rikki wyjechała z rozgłośni później niż zwykle. Kiedy wjeżdżała na podjazd swojego domu, dochodziła już prawie siódma. Była zmęczona jak pies, ale i dziwnie odprężona. Nie czuła się tak zrelaksowana od bardzo dawna. Może miało to coś wspólnego z wiosennym powietrzem i wszystkimi tymi kwiatami i drzewami, które zakwitły niemal przez jedną noc. Zwolniła, wciągając głęboko do płuc zapach forsycji i derenia. Dzikie stokrotki znaczyły białymi kropkami stok wzgórza po prawej, a w dole, na lewo od niej, tafla jeziora połyskiwała niczym błękitne jedwabne prześcieradło, usłane szczerze szafirami i diamentami. Zapomniała już, jak bardzo kochała ten krajobraz. Podobała jej się jego dzikość. Ludzie podbili go, lecz nigdy nie ujarzmili.

Powróciła myślami do pytania, które zadała jej Sally Jane. Czy miała tu zostać, kiedy jej misja dobiegnie końca? Serce mówiło jej, żeby została, podczas gdy umysł podsuwał wszelkie rozsądne argumenty, by nawet nie rozważała takiej możliwości. Nie, żeby musiała rozstrzygać o tym już dzisiaj. Była tu od pięciu dni i ani na jotę nie zbliżyła się do rozwiązania. Przeciwnie, lunch z Sally Jane nasunął jej nowe pytania, na które należałoby znaleźć odpowiedź.

Zdjęła nogę z hamulca i wciskając pedał gazu westchnęła, prowadząc dzipa powoli w górę zbocza. Miała nadzieję, że zacznie wreszcie skreślać nazwiska z listy, a nie dodawać je.

Wysiadając z samochodu pomyślała o kasetach, które jej matka nagrała z doktorem Grantem. Wzdrygnęła się. Wcale nie miała ochoty iść do składu, gdzie przez wszystkie te lata przechowywana była większość rzeczy jej rodziców. Lecz teraz nie miała wyboru, choć, Boże, wiele by dała, żeby tylko uniknąć tego bolesnego zadania.

Była tak zatopiona w myślach o nieprzyjemnym zadaniu, które ją czekało, iż nie od razu spostrzegła, że ktoś porusza się na tarasie. Zatrzymała się na najniższym stopniu i zawołała:

— Kto tam?

Z cienia wyłoniła się Petite.

— To ja, Rikki. Czekałam na ciebie. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

Dopiero teraz Rikki zauważyła motocykl zaparkowany obok garażu i w duchu zganiła się za nieuwagę. Musi być bardziej czujna, jeżeli chce nadal zajmować się śledztwem.

— Bardzo się cieszę, że przyszedłaś — zwróciła się do Petite. — To tylko zaskoczenie. Przez chwilę myślałam, że to...

— Bo?

Rikki poczuła, jak na policzki wypływa jej zdradziecki rumieniec. Dokładnie tak właśnie myślała, ale nie miała zamiaru przyznawać się do tego.

— Nie, prawdę mówiąc, bałam się, że to morderca może tu na mnie czekać.

— W biały dzień? Nie sądzę — powiedziała Petite.

Rikki wyjęła klucze i otworzyła drzwi.

— Więc co cię sprowadza? Wiem, że jeszcze nie pora płacić czynsz.

Petite zachichotała, a potem potrząsnęła głową.

— Słuchałam twojej audycji. Jest naprawdę super, wiesz? Myślałam sobie: to Ericka, była dziewczyna mojego brata. A teraz wielka sława.

Rikki przytrzymała otwarte drzwi i wpuściła gościa przed sobą.

— To zabawne, nigdy bym nie przypuszczała że czyjaś sława może zrobić na tobie wrażenie.

— Z powodu mojego zamiłowania do awangardy? No cóż, masz rację, ale z tobą to inna sprawa. Przecież pamiętam cię jako dzieciaka.

— To nic wielkiego. Po prostu w ten sposób zarabiam na życie.

— Zarabiałaś na życie. Teraz posługujesz się anteną, by dotrzeć do mordercy. Właśnie dlatego przyszedłaś. Słuchałam dzisiaj, jak przypominałaś nam, że każdy może coś wiedzieć, coś, o czym, zdawałoby się, zapomniał. A potem uderzyło mnie, że ja przecież coś wiem. Być może to, co wiem, nie ma żadnego znaczenia, lecz może też okazać się ważne.

— Usiądź, proszę — powiedziała Rikki, rzucając na stół torebkę i klucze. Była podekscytowana, ale starała się nie pokazywać tego po sobie. Jak powiedziała Petite, to mogło nie być nic ważnego. Musiała wiedzieć więcej, by robić sobie jakieś nadzieje. Jej praca dziennikarki nauczyła ją tego. Tylko że teraz nie chodziło o pracę. To było coś osobistego. Tym bardziej nie wolno jej było poddawać się emocjom. Musiała zachować obiektywizm.

— Napijesz się wody mineralnej?

— Nie, mój staruszek siedzi teraz z dziećmi. Mogę zostać tylko kilka minut.

Pomimo przemożnego pragnienia, by dowiedzieć się, co Petite ma do powiedzenia, Rikki nie mogła ukryć zaskoczenia.

— Masz dzieci? Nie mogę w to uwierzyć, Petite. Nawet nie wiedziałam, że wyszłaś za męża.

— Tak i nie. Mam dwójkę dzieci. Dwóch chłopców. Jesse ma dwa lata. Rozkoszny łobuziak. Niemowlę — Luke — dopiero pięć miesięcy. Ale nie jestem mężatką. Billy, mój staruszek, nie chce zalegalizować naszego związku. Mówi, że jeśli to zrobimy, zawsze będę się zastanawiać,



czy nie poleciał na moją forszę. A tak nie ma żadnych praw, więc mogę być pewna, że jest ze mną, ponieważ mnie kocha.

— To musi być fajny facet — powiedziała Rikki szczerze.

— Billy? To próżniak. Nie robi nic innego, tylko majstruje przy samochodach, swojej największej miłości, ale to właściwy facet dla mnie, wiesz?

— Tak, wiem — powiedziała Rikki, która mimo woli natychmiast pomyślała o Bo.

Zmieniła temat.

— Miałaś opowiedzieć mi o czymś, co ci się przypomniało.

— To dotyczy Juniora Witcomba.

Rikki czekała.

— Jak już mówiłam, to może nie być nic ważnego.

Rikki straciła cierpliwość.

— Po prostu mi powiedz.

— No więc, kilka lat temu umówiliśmy się parę razy. Nie było to nic poważnego. Boże, znasz Juniora. Prędzej czy później umówi się z każdą kobietą, która znajdzie się w zasięgu. Tak czy inaczej, pewnego razu poszliśmy do niego. Siedzieliśmy tam i popijaliśmy z paroma innymi osobami. Przyjaciółmi Juniora. Trochę już miałam w czubie, ale nie byłam zawiana. W przeciwieństwie do gospodarza. Jeden z jego kumpli usiadł obok mnie na podłodze i objął mnie ramieniem. Nic wielkiego. A przynajmniej tak mi się wydawało. Lecz Juniorowi kompletnie odbiło. Wyciągnął nóż na chłopaka. Wywijał nim przed jego twarzą i wrzeszczał. Wyglądał, jak wariat. Nie zwracałam zbytnio uwagi na to, co mówi. Pewnie fruwałam zbyt wysoko z powodu alkoholu i trawki. Ale pamiętam jedno. Powiedział Donny’emu — chyba tak miał na imię chłopak — że zachowuje się jak ta dziwka, Bunny Apperson. Że ona też nie potrafiła utrzymać rąk z dala od tego, co nie należało do niej. Donny bał się jak cholera, ale w końcu on też się wściekł. Powiedział, że nie wie, o czym Junior mówi.

— Czy Junior wyjaśnił...? — spytała Rikki, mając nadzieję, że jej głos nie zdradza podniecenia jakie odczuwała.

— Wykrzyczał coś jeszcze. Nie pamiętam dokładnie, co to było, ale przypominam sobie, że gdzieś w środku tego powiedział, że jego staruszek zadawał się z Bunny Apperson na krótko przed tym, jak ktoś ją zamordował. A potem powiedział, chyba dosłownie tak: „Chcesz skończyć jak ona?”

— Och, Petite, może właśnie dałaś mi odpowiedź, której szukałam.

— Ja też tak myślę, ale chcę, żebyś była ostrożna, Rikki. Junior ma trochę nierówno pod sufitem, wiesz? Jest walnięty i może stać się bardzo nieprzyjemny.

— Będę, obiecuję.

Rikki nie mogła już dłużej powstrzymać się, by nie okazać radości. Podeszła i objęła dziewczynę.

— Dziękuję ci, Petite.

— No, tak, wszystko fajnie, tylko że nigdy sobie nie przebaczę, jeżeli okaże się, że wpakowałam cię w kłopoty. — Wysunęła się z objęć Rikki i powiedziała z uśmiechem. — A poza tym, Junior nie jest jedynym facetem z temperamentem. Nie chciałabym wpaść w ręce mojego brata, jeżeli stanie ci się coś złego.

Rikki zignorowała to. Była podekscytowana. To mógł być przełom, na który miała nadzieję, a ostatnią rzeczą, której teraz pragnęła, było rozpraszanie się na rozmyślenia o przystojnym prokuratorze. Podziękowała Petite raz jeszcze i odprowadziła ją do drzwi, obiecując, że wpadnie i obejrzy jej prace, gdy tylko upora się ze śledztwem.

Petite dotknęła jej ramienia.

— Uważaj na siebie — powiedziała. — Czułabym się okropnie winna, gdyby coś ci się przytrafiło.

— Nie martw się o mnie. Nie wiemy, czy to Junior jest tym mordercą. Być może tylko tak gada. Mam wrażenie, że dobry jest głównie w zastraszaniu i być może tylko chciał chłopaka postraszyć.

— Po prostu uważaj na siebie.

Rikki uśmiechnęła się szeroko. Miała nadzieję, że jej uśmiech uspokoi Petite.

— Posłuchaj, życie rzadko bywa tak proste i pewnie okaże się, że Junior ma żelazne alibi na czas tych wszystkich morderstw.

— Jakaś część mnie chciałaby, żebyś miała rację. Jakkolwiek będzie, odezwij się. — Kiwnęła dłonią w geście pożegnania, a potem zatrzymała się, by dodać: — A co do Bo? Mogłabyś mu zaufać. Jest inteligentny i pewnie mógłby ci pomóc.

Rikki stała w progu jeszcze długo po tym, jak Petite znikła jej z widoku. Myślała o tym, co dziewczyna powiedziała o swoim bracie.

Podjęrzywała, że Petite może mieć rację. On z pewnością mógłby jej pomóc. Problem polegał na tym, że Rikki nie była pewna, czy zdoła skupić się na śledztwie, kiedy Bo będzie w pobliżu. Choć nauczyła się nie myśleć o nim przez wszystkie te lata, teraz, kiedy znów go ujrziała, nie było to już możliwe. A kiedy była blisko niego, to nie chwytanie mordercy miała w głowie.

## ROZDZIAŁ 17

Bo czuł się zawiedziony. Spędził większą część wieczoru wpatrując się w listę, na której znajdowało się sześć nazwisk. Junior Witcomb. Carrie Pearson. Brett Pearson. Sally Jane Matthers. Aaron Grant. Pam Grant. Poniżej każdego z nich miał zamiar wpisać ewentualne motywy. W przypadku Aarona okazało się to łatwe. Do diabła, facet sam mu je podsunął, dziś w biurze. Pod innymi nazwiskami widniały tylko puste miejsca.

Nie prowadziło to do niczego. Rzucił pióro na stół i przeciągnął się na krześle, zakładając ręce za głowę. Potrzebował więcej informacji. Jako prawnik zdawał sobie sprawę, że nie osiągnie niczego, nie znając wszystkich faktów. Te kilka, które miał, były tylko wspomnieniami, i to pochodzącymi sprzed ponad dziesięciu lat. Był jednak sposób, by skorygować to, co pamiętał. Słusznie postąpił, odwiedzając Aarona dziś rano, ale rozmowy z pozostałymi mogą potrwać wieczność. A poza tym wątpił, czy okażą się równie wyrozumiali jak lekarz. Wstał, złapał lekką kurtkę i skierował się do wyjścia. Miał zamiar udać się wprost do źródła. Scooterowi może nie spodobać się jego ingerencja— podobno był już wystarczająco zirytowany tym, co robiła Blue — lecz, do diabła, jeżeli prokurator nie ma prawa przyjrzeć się materiałom sprawy o morderstwo, to kto ma?

Rikki jechała przed nim. Po wyjściu Petite zorientowała się, że choć przedtem była bardzo głodna, teraz apetyt opuścił ją. Niecierpliwie przemierzała pokoje, rozmyślając nad tym, czego dowiedziała się od Petite, aż wreszcie poczuła, że nagromadzona w ten sposób energia domaga się natychmiastowego ujścia. Postanowiła stawić czoła starszemu szeryfowi. Spróbuje wyciągnąć z niego, czy wie, gdzie włóczył się jego syn tamtej nocy, gdy Bunny Apperson spotkał tak straszny koniec. I nie było to jedyne pytanie, jakie miała zamiar zadać szeryfowi Witcombowi.

Przed wyjściem zadzwoniła do jego biura, ale dyspozytorka powiedziała jej, że skończył już służbę. Rikki skierowała się w stronę jego domu. Ulżyło jej, gdy zobaczyła radiowóz zaparkowany w poprzek podjazdu.

Kiedy Althea Witcomb otworzyła drzwi, jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Ericka Cassidy! Mój Boże, przez chwilę czułam się, jakbym zobaczyła ducha. Wejdz, wejdz. Jak ci się wiedzie, dziewczyno?

Rikki uśmiechnęła się lekko, choć czuła się zakłopotana wylewnym przyjęciem.

— Miło panią znów widzieć, pani Witcomb — powiedziała, nie reagując na zaproszenie. — Z przyjemnością bym z panią porozmawiała, ale, niestety, przyjechałam tu w interesach. Czy szeryf jest w domu?

— Scooter? Tak, oczywiście. Ale wejdz, proszę. Porozmawiasz z nim w gabinecie. A potem, jeżeli zostanie ci jeszcze trochę czasu, zrobię świeżej lemoniady i opowiesz mi o wszystkim, co przytrafiło ci się, od kiedy stąd wyjechałaś.

Rikki ruszyła posłusznie za nią, przysłuchując się paplaninie kobiety jednym uchem, dopóki ta wreszcie nie oddaliła się, by poszukać męża.

Zatonęła w głębokim fotelu. Jej gwałtowna potrzeba konfrontacji z szeryfem rozwiązała się podczas tych kilku minut, gdy przebywała pod jego dachem i teraz niemal miała nadzieję, że Junior okaże się stuprocentowo niewinny.

Nie sprawiała jej przyjemności myśl, że jeśli udowodni winę Juniora, zniszczy tym samym całe życie tych ludzi. Ona przecież także znalazła się kiedyś w takiej sytuacji i dobrze wiedziała, ile szkód mogą wyrządzić plotki.

Lecz kiedy Scooter wszedł do pokoju, poczuła, jak gniew wraca z niemal taką samą siłą.

— Rikki, co za niespodzianka. Czyżby oznaczało to, że odkryłaś jakieś szczegóły, które przeoczyłem w swoim śledztwie? — zapytał, zamiast się z nią przywitać.

— Dokładnie tak, szeryfie.

Usiadł obok niej, wyciągając nogi i zakładając je w kostkach. Odwrócił lekko fotel, by móc patrzeć jej w twarz.

— No cóż, wyrzuć to z siebie, panienko. Co takiego odkryłaś?

— Może na początek to, że miał pan romans z jedną z ofiar.

Wyraz grzecznego, choć pełnego rozbawienia zaciekawienia nie znikł całkiem z jego twarzy, lecz Rikki zauważyła, że zbladł gwałtownie.

— Mów dalej — powiedział spokojnie.

— Poinformowano mnie także o incydencie, podczas którego Junior groził, że zabije kogoś w ten sam sposób, w jaki zginęła Bunny Apperson.

Odczekała chwilę, dając stróżowi prawa szansę na skomentowanie tego, co powiedziała. Widząc, że nie ma zamiaru się odezwać, nacisnęła mocniej.

— Mam do pana dwa pytania, szeryfie i oczekuję na nie odpowiedzi.

— Słucham.

— Po pierwsze, czy te morderstwa pozostały nie rozwiązane, ponieważ chronił pan swój tyłek? Czy tak bardzo bał się pan, że wyborcy wykopią pana ze stołka, kiedy się dowiedzą, że miał pan romans z taką rozrywkową panienką, że pozwolił, by morderca moich rodziców uszedł sprawiedliwości? A może kryje pan swego syna? Czy to on zamordował Bunny i pozostałych? Tak brzmi drugie pytanie.

Drżała teraz niepomaganie. Złożyła ręce na kolanach, wciskając paznokcie w dłonie w daremnej próbie uspokojenia się.

— Rany boskie — mruknął Scooter, przesuując dłonią po twarzy. Zacisnął wargi, przyglądając się przez chwilę młodej kobiecie, siedzącej obok niego. — Mam zamiar odpowiedzieć na twoje pytania, panienko. I to nie dlatego, że prowadzisz tę audycję i wyobrażasz sobie, że jesteś Bóg wie kim. Mam zamiar odpowiedzieć na nie tak uczciwie, jak tylko potrafię, ponieważ, jak to codziennie przypominasz dobrym obywatelom St. Joan, twoi rodzice byli porządnyimi ludźmi, którzy zasłużyli na więcej, niż otrzymali.

Poznałem Bunny, gdy tylko przyjechała do St. Joan. Mogła sobie być rozrywkową panienką, jak to określiłaś, lecz dla mnie była ciepłą dziewczyną o dobrym sercu, która sprawiła, że taki stary pierdoła jak ja poczuł się jak ktoś zupełnie wyjątkowy. Nie byłem dumny z tego, co zdarzyło się między nami, ale gdyby wszystko wyszło na jaw, nie zaprzeczyłbym. Była przy mnie wówczas, gdy kogoś potrzebowałem. I tak to właśnie wyglądało. Jej śmierć bardzo mną wstrząsnęła i możesz mi wierzyć, że zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, by znaleźć tego, kto jej to zrobił. Nie była świętą, lecz słodką małą dziewczuszką, lubianą przez wszystkich, którzy się z nią zetknęli.

— Najwidoczniej Junior dowiedział się o pańskim romansie...

Scooter podniósł palec, uciszając ją w ten sposób.

— Właśnie dochodzę do mojego chłopaka.

Rikki skinęła głową, zgadzając się, by opowiedział o tym po swojemu.

— Tak, Junior dowiedział się o tym i był na mnie naprawdę wściekły. Próbowałem z nim o tym rozmawiać, ale nie chciał słuchać. Mnóstwo razy się o to kłóciliśmy, lecz kiedy Bunny została zamordowana, najgorsze mieliśmy już za sobą, a Junior właśnie zaczął przygotowywać się do objęcia stanowiska mojego zastępcy.

— Ale czy wie pan, gdzie był, kiedy zamordowano Bunny? Lub Cindy? Czy kogokolwiek z nich?

— Nie, nie mogę powiedzieć, że wiem to z całkowitą pewnością, ale znam swego chłopaka i wiem, że nie jest mordercą. Nie jest bardziej święty niż jego ojciec, ale nie ma na tyle zimnej krwi, by zamordować ofiary, napawając się ich bólem i strachem. Nie znaczy to, że nie jest zapalczywy. Jest.

Widziałem, jak traci nad sobą panowanie więcej razy, niż mógłbym policzyć, ale nie jest skłonny do przemocy.

Rikki usłyszała w jego głosie odcień błagania, spojrzała przez moment na swoje dłonie, a potem popatrzyła w zmęczoną twarz mężczyzny.

— Kocha pan swojego syna, szeryfie. Rozumiem to. Żaden rodzic nie chciałby przyznać, że jego dziecko zdolne jest do takiej brutalności, ale fakty wyglądają tak, że mam świadka, który twierdzi, że Junior groził komuś śmiercią i to w taki sam sposób, jak zginęła Bunny. Dla mnie brzmi to dosyć brutalnie.

— On dużo gada, zawsze taki był. To jeszcze nie świadczy o niczym.

— Nie, nie świadczy, ale nie potrafi pan dowieść, że to nie on popełnił te zbrodnie — powiedziała Rikki, uświadamiając sobie, że mówi podniesionym głosem. Zniżyła go. — Przykro mi, szeryfie, ale mam zamiar iść tym śladem, dopóki nie upewnimy się, że jest niewinny.

— Tak czy inaczej, on na tym ucierpi.

— Nie, jeśli nie jest winny — zauważyła Rikki.

— Co masz zamiar zrobić?

— Najpierw porozmawiam z Juniorem. Zadam mu kilka pytań. Zobaczę, co mi to da. Jeżeli w ten sposób nie dowiem się niczego, zacznę sprawdzać jego alibi na każdą noc morderstwa. Spojrzała na zegarek. Było nieco po ósmej. Wystarczająco wcześnie, by złożyć Juniorowi wizytę, jeśli zaraz wyjdzie. — Czy może mi pan powiedzieć, gdzie on teraz mieszka? Jeżeli akurat ma służbę, pójdę na posterunek i zaczekam na niego.

— Nie jest na służbie — powiedział Scooter. — Mieszka w starym domu dziadka. Ale dlaczego nie zaczekasz? Przysięgam, że nie staram się go ochronić. Po prostu może najpierw porozmawiałybyś z innymi. W ten sposób, gdybyś dowiedziała się, że obszczekujesz nie to drzewo, nie ośmieszylałybyś się i moglibyście dalej się przyjaźnić.

— Nie mogę, szeryfie. Żałuję, że nie mogę poczekać, zastanowić się, ale, prawdę mówiąc, czekałam już ponad dziesięć lat. — Dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się. — Lecz mam nadzieję, że to pan ma rację, a ja się mylę.

— Mam rację — powiedział szeryf burkliwie, unosząc z pewnym trudem swą ciężką postać. — Jak już powiedziałem, mój chłopak nie jest niewiniątkiem i bywa gwałtowny, jak wszystkie te młode byczki, lecz nie jest mordercą. Daję ci na to moje słowo.

— Jeżeli tak jest, udowodnię to i tym samym wyeliminuję jedną osobę, co zmniejszy krąg podejrzanych, prawda?

— Pozwól mi pójść z tobą, gdy będziesz z nim rozmawiała — zaproponował.

— Dzięki, szeryfie, lecz sądzę, że Junior będzie ze mną bardziej szczery, kiedy będziemy tylko we dwojkę.

— Wrócisz tu potem? — spytał i Rikki poczuła, jak serce jej się ściska na tę nieśmiałą prośbę.

— Oczywiście.

— No cóż, chyba teraz nie mamy już o czym rozmawiać. Odprowadzę cię do drzwi.

Althea dołączyła do nich w holu.

— Chyba jeszcze nie wychodzisz, moja droga? Właśnie wycisnęłam parę świeżych cytryn.

Scooter odpowiedział za swego gościa.

— Rikki jedzie do domu ojca zobaczyć się z Juniorem. Domyślam się, że chciałyby tam dotrzeć, zanim zrobi się zbyt późno na wizyty.

— Och, to miłe. Widziałaś się już z Juniorem?

— Tak, proszę pani. Jedliśmy wczoraj wszyscy razem kolację.

Odjeżdżając poczuła wyrzuty sumienia, że oszukała Altheę Witcomb. Pozwoliła jej sądzić, iż jedli razem kolację w przyjacielskiej atmosferze, podczas gdy ona przez cały czas starała się znaleźć mordercę. Nie sądziła jednak wówczas, że mógłby nim być Junior.

\* \* \*

Scooter Witcomb otworzył drzwi, by wyjść, dokładnie w chwili, gdy Bo unosił rękę, by do nich zadzwonić. Obaj mężczyźni cofnęli się, zaskoczeni.

— Do licha, chłopcze, nieźle mnie przestraszyłeś!

Bo uśmiechnął się.

— Przepraszam, szeryfie. Mógłby pan poświęcić mi kilka minut?

— Chce pan porozmawiać o sprawach służbowych, panie prokuratorze?

— Prawdę mówiąc, tak. Nie musi pan patrzeć na mnie z takim niedowierzaniem. Ciągle jeszcze jestem prokuratorem.

— Tak, no cóż, tak dawno nie widziałem cię w sądzie, że prawie o tym zapomniałem. — Wcisnął na głowę kapelusz, poprawił rondo i kiwnął na Bo, by poszedł za nim. — Masz dwie minuty, potem muszę jechać. O co chodzi?

— Prawdę mówiąc, nie jest to sprawa służbowa... jeszcze. Chciałbym porozmawiać z panem o liście podejrzanych Rikki Blue. Na pewno nie spodobałoby jej się, że się wtrącam, ale tak czy inaczej postanowiłem ją wyręczyć. Nie chcę, żeby jej się coś stało i prześladowe mnie myśl, że pakuje się w kłopoty.

— Właśnie o tym rozmawialiśmy — mruknął szeryf. — A co do jej listy podejrzanych, to zawęziła ją do jednej osoby.

Bo zatrzymał się w pół kroku.

— O czym pan mówi, szeryfie?

— Mówię o twojej dziewczynie i moim chłopaku. Ubzdurała sobie, że to on zamordował jej rodziców i pozostałych. Wpadła tu jakieś dwadzieścia minut temu, a teraz, o ile wiem, pojechała do Juniora. Powiedziałem jej, że dałbym głowę, że Junior nikogo nie zabił, lecz prawdę mówiąc, nie wiem, jak on się zachowa, gdy zacznie rzucać mu w twarz oskarżenia. Na pewno nie będzie zachwycony. Więc pomyślałem sobie, że lepiej tam pojadę i upewnię się, że wszystko przebiega spokojnie i w miłej atmosferze. — Podszedł do samochodu od strony kierowcy i machnął dłonią w stronę miejsca dla pasażera. — Wskakuj. Możemy porozmawiać w drodze.

Bo nie wahał się. Nie myślał w tej chwili o tym, czy Junior Witcomb jest winien morderstw, które zdarzyły się w osiemdziesiątym piątym, wystarczyło mu, że wiedział, jaki jest zapalczywy. Kilku „gości”, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat spędzili jakiś czas w więzieniu w St. Joan, złożyło skargi na brutalne traktowanie ze strony nadgorliwego zastępcy. Żadna z nich nie doprowadziła do niczego, a Junior oświadczył, że działał w obronie własnej. Być może. W ciągu ostatnich trzech lat, od czasu pobicia Rodneya Kinga i zamieszek w Los Angeles, które nastąpiły potem, w całym kraju nasiliły się skargi na brutalizację działań sił porządkowych. Bo nie był wcale przekonany, że Junior jest taki święty, za jakiego starał się uchodzić, a już na pewno nie wtedy, kiedy w grę wchodziło bezpieczeństwo Rikki. Spojrzał więc tylko na zegarek i powiedział:

— Mam nadzieję, że zna pan jakiś skrót, którego nie zna Blue.

— Dowiozę nas tam, nie martw się na zapas. Mojego chłopaka może w ogóle nie być w domu.

— Niepokoję się, ponieważ pan także wydaje się zaniepokojony — zauważył Bo.

Szeryf nie odpowiedział. Wycofał samochód z podjazdu i skierował się na północ. Odezwwał się dopiero, kiedy radiowóz osiągnął sześćdziesiąt mil na godzinę.

— Mamy tu stanowczą kobietę, z głową nabitą brzydkimi przypuszczeniami i faceta, który nie najlepiej znosi krytykę, a do tego łatwo wpada w gniew. Jednym słowem — wybuchową mieszanke, która w najlepszym razie może stać się przyczyną niezłej awantury.

— A w najgorszym?

— Mój chłopak nie jest mordercą — powiedział szeryf z uporem, naciskając jednocześnie pedał gazu. Jechali już prawie osiemdziesiątką.

\* \* \*

Rikki pomyliła się tylko raz, skręcając w lewo zamiast w prawo na rozjeździe w Hawknest Road. Zorientowała się po pół mili i zawróciła dzipa. Do granicy ziemi Witcombów dojechała w trzydzieści minut po opuszczeniu domu szeryfa.

Do samego domu było stąd jeszcze dobre dwie mile, lecz nawet z tej odległości widać było, że nigdzie nie pali się światło. Poczula, jak opuszcza ją nadzieja. Zwolniła jednak i podjechała bliżej. Światła mogły się przecież palić w oknach od podwórka. Gdy była już około stu stóp od domu, wyłączyła reflektory w samochodzie i niemal przeoczyła podjazd. Zdecydowała się pozostawić samochód na drodze i podejść do domu na piechotę. Pomyślała, że prawdopodobnie przesadza z ostrożnością, choć z drugiej strony odrobina dyskrecji na pewno nie zaszkodzi. Zobaczyła, że w domu nie palą się żadne światła. Dostrzegła też radiowóz Juniora, zaparkowany z tyłu, choć jego półciężarówki nigdzie nie było widać. A potem zobaczyła ją zaparkowaną przed dużą metalową szopą, położoną o sto stóp niżej niż dom. Wydawało jej się, że dobiega z niej jakiś syczący dźwięk. Przyspieszyła lekko. Była ciemna, bezksiężycowa i bezgwiazdna noc, której czerń wydawała się wręcz przerażająca.

Kiedy zbliżyła się do szopy, dźwięk nasilił się, choć nadal nie potrafiła go zidentyfikować. Zawahała się stojąc przy drzwiach. Czy powinna tam wejść i rzucić mu w twarz oskarżenie? Drzwi były lekko uchylone, postanowiła więc, że zanim się tam wpakuje, zajrzy najpierw i zobaczy, w czym mu przeszkodzi.

Gdy zobaczyła wnętrze szopy, wciągnęła głęboko powietrze, zaskoczona. Znajdowało się tam co najmniej tuzin samochodów, same najnowsze modele, a wszystkie w różnym stopniu rozmontowane. Było też kilka zagranicznych wozów drogich marek. Wszystkie tablice rejestracyjne zostały zdjęte. Mężczyzna o twarzy ukrytej za maską spawacza, w którym domyślała się Juniora Witcomba, z pasją atakował jeden z nich za pomocą lampy lutowniczej. Nigdy dotąd nie widziała podobnego miejsca, ale od razu zorientowała się, co to takiego. Była w warsztacie, gdzie rozmontowywano kradzione auta, żeby następnie sprzedać je na części.

Choć serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, przeszła przez próg i zawołała go po imieniu. Nie podniósł głowy, dopóki nie znalazła się o dwadzieścia stóp od niego.

Zdjął maskę z twarzy i wyłączył lutownicę.

— Patrzcie, patrzcie, czyżby to nasza miejscowa znakomitość przyszła złożyć mi kurtuazyjną wizytę? — powiedział. — A może raczej powinienem to nazwać węszeniem?

— Ani jedno, ani drugie — powiedziała spokojnie Rikki, choć zauważyła, jak jego oczy błysnęły gniewem, gdy zdjął maskę. Poprawiła pasek torebki, kładąc dłoń na małym skórzanym woreczku, by dodać sobie pewności siebie. Poza tym w ten sposób łatwiej jej byłoby wyciągnąć broń, gdyby musiała to zrobić. — Przyszłam, bo chciałam zadać ci kilka pytań.

— O mój mały interes na boku?

— Nie obchodzi mnie, co tu robisz. Chciałam zapytać cię o tych sześcioro ludzi, którzy zostali

zamordowani dziesięć lat temu.

— Nie wiem nic o tamtych morderstwach.

— Nie to powiedział mi dziś pewien mały ptaszek.

— Tak, no cóż, nigdy specjalnie nie lubiłem ptaszków. Zwykle zestrzeliwałem je z drzew dla czystej zabawy.

Jego arogancja zirytowała Rikki.

— Do licha, Junior, to nie jest zabawa. Ktoś mi powiedział, iż odgrażałeś się, że zabijesz pewnego faceta w ten sam sposób jak Bunny.

— Tak? I co z tego? Tak sobie tylko gadałem. Nie oznacza to jeszcze, że poderznięłem komuś gardło albo rozwaliłem głowę kijem baseballowym.

— Ty tylko kradniesz samochody, tak?

Odłożył lutownicę na stół za sobą i zdjął z szyi maskę. Zauważyła jednak, że nie oddalił się ani na krok od warsztatu, zarzuconego narzędziami, które z powodzeniem mogłyby zostać użyte jako broń. Położyła palce na zamku torby.

— Mówiłaś, że nie interesuje cię, co tu robię. W jego tonie brzmiała teraz nieukrywana wrogość.

— Bo nie interesuje, ale nie mogę się powstrzymać, żeby nie myśleć o tym, co kiedyś powiedział mój ojciec: „Człowiekowi pozbawionemu zasad moralnych jest wszystko jedno, jakie przestępstwo popełnia”. A ja powiedziałabym, że szeryf, który ciągnie zyski ze sprzedaży kradzionych samochodów, nie zawaha się, by zamordować kogoś, kto się o tym dowiedział. Czy tak się właśnie stało? Czy już wtedy zajmowałaś się tym „interese na boku”? Czy Bunny i Cindy, i ten właściciel lombardu dowiedzieli się i powiedzieli innym? Czy dlatego ich zabiłeś? A co z doktorem Grantem i moimi rodzicami? Czy oni także cię przyłapali?

Uśmiechnął się, lecz nie był to miły uśmiech rozbawionego człowieka.

— Bardzo sprytnie. To z pewnością mógłby być motyw zabójstwa, co? Och, ale ty nawet nie wiesz, jak dochodowy jest ten interes. A może wiesz?

— Nie obchodzi mnie, jaką forsę zbijasz. Chcę, żebyś odpowiedział na moje pytanie. Czy zabiłeś tych sześcioro ludzi? Możesz odpowiedzieć mnie, albo swojemu ojcu, gdy przyślę go tu, żeby cię aresztował. Mimo woli podeszła kilka kroków bliżej, lecz zatrzymała się, kiedy uświadomiła sobie, że teraz dzieli ich już zaledwie dziesięć stóp.

— Nikogo nie zabiłem, przynajmniej jeszcze nie. Nie musiałem. Nikt tu nigdy nie węszył przed tobą. Złapał lutownicę i skierował jej wylot w jej stronę.

Rikki z zaskoczeniem zdała sobie sprawę z cichego krzyku, który wydobył z jej gardła strach. Walczyła z zapięciem torebki, co dało mu czas, by się do niej zbliżyć. Złapał za pasek, lecz jakoś zdołała mu ją wyrwać. Zrezygnowała na razie z użycia rewolweru, pragnąc oddalić się jak najbardziej. Udało się. Nadal mogła dobiec do drzwi.

Lecz Junior śledził każdy jej ruch, zagradzając jej drogę za każdym razem, kiedy się odwracała. Udało jej się schować za samochód, lecz z tego miejsca nie było już ucieczki. Nie mogła pobiec na lewo. Wszędzie leżały porzucane części samochodowe, opony i narzędzia. Z pewnością potknęłaby się i upadła. A gdyby pobiegła na prawo, wpadłaby prosto na niego. Za nią była tylko ściana... i stół z narzędziami. Złapała długi, ciężki łom i zaczęła wymachiwać nim przed sobą, niczym mieczem.

Gdyby udało jej się wytrącić mu lutownicę, mogłaby powalić go serią celnych cięć i kopnięć. Lecz póki co najlepszym wyjściem wydawało się wyperswadowanie mu próby ataku.

— Posłuchaj, Junior, nie chcę, żebyś zrobił mi krzywdę i sama też nie chcę cię skrzywdzić. To właśnie miałam na myśli, kiedy mówiłam, że nie obchodzi mnie, co tu robisz. Nie powinnam była ci grozić, że powiem szeryfowi. Nie obchodzi mnie nic poza znalezieniem mordercy, który



zabił moich rodziców i pozostałych. Jeżeli udowodnisz mi, że tego nie zrobiłeś, pójdę sobie i nikt się nigdy nie dowie, co tu się dzieje.

— Tak, pewnie. Masz mnie za kmiotka, który da się nabrać na twoje gładkie słówka? Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. — Roześmiał się. — I nie boję się twojej sztuki samoobrony. — Włączył lutownicę. — Ta zabaweczka da sobie z tym radę. Mówiąc to cały czas zbliżał się do niej, spychając ją pod samą ścianę, skąd nie mogła już nigdzie uciec.

— Proszę, Junior...

— Rzuć to, chłopcze! — zawołał Scooter od drzwi.

Rikki usłyszała go, spojrzała w stronę wejścia. Dojrzała też Bo, lecz Junior był już tylko o sześć stóp od niej. Skupiła na nim uwagę, trzymając kurczowo żelazny pręt.

— Słyszałeś, Junior? Twój tata jest tutaj.

Nie zareagował.

Dźgnęła go prętem, lecz żar, buchający z lutownicy, zmusił ją do wycofania się.

— Rzuć to, Junior, natychmiast!

Junior roześmiał się, lecz Rikki była pewna, że to znęcanie się nad nią tak go bawi. Wiedziała, że nawet nie słyszał głosu ojca. Choć ręce trzęsły się jej ze strachu, znów spróbowała go ugodzić.

Uchylił się zręcznie przed ciosem, a potem podniósł lutownicę, kierując ją w stronę jej twarzy. Gorący płomień liznął jej policzki. Krzyknęła, przykucając w panice.

Usłyszała dźwięk strzału, lecz nie podniosła się, tylko zwinęła w kłębek, zakrywając głowę rękami. Nie widziała, jak Junior obrócił się w miejscu, gdy kula uderzyła go w ramię. Usłyszała tylko, jak krzyknął, zaskoczony. Nie spojrzała na niego. Nie podniosła wzroku, dopóki nie znalazła się w ramionach Bo.

\* \* \*

— Czujesz się choć trochę lepiej? — spytał Bo w dwie godziny później.

Rikki oparła się poręcz frontowej werandy farmy Witcombów i objęła dłońmi ramiona.

— Nie, Bo, i nie wiem, kiedy poczuję się lepiej. Widziałeś twarz szeryfa, gdy trzymał swego syna? Postrzelił go, Bo, i to z mojego powodu. Bo wydawało mi się, że jestem taka wspaniała. Że potrafię sama o siebie zadbać. Miałam broń, Bo. Mam czarny pas w sztukach walki, a mimo to szeryf musiał postrzelić własnego syna, ponieważ nie potrafiłam stawić czoła sytuacji.

— To nieprawda, Blue. — Postrzelił swego syna, ponieważ usiłował cię zabić. Do diabła, wątpię, czy nawet Chuck Norris dałby radę obronić się przed kimś, kto zaatakowałby go lutownicą. — Położył dłonie na jej ramionach, przyglądając się oparzeniu na policzku. — A skoro już mowa o lutownicy, co z twoją twarzą?

Rikki wzruszyła ramionami.

— Słyszałeś, co powiedzieli ci z pogotowia. To nic poważnego.

— Co nie znaczy, że nie boli.

Rikki odwróciła się do niego plecami. Nie chciała rozmawiać o oparzeniu. Pulsowało boleśnie, i co z tego. Nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu Scootera, pochylającego się nad Juniorem. Wydawał się taki zdziwiony, gdy ojciec podszedł do niego, podniósł i objął ramionami.

— Strzeliłeś do mnie, tato — szepnął.

— Nie zatrzymałeś się, kiedy krzyknąłem, chłopcze. Nie miałem wyboru.

— Nie zabiłem tych ludzi. Musisz mi uwierzyć — powiedział Junior. — Wiem, że jesteś rozczarowany co do mnie, teraz, kiedy już wiesz o samochodach, ale ja nigdy nikogo nie zabiłem.

— Wierzę ci — powiedział szeryf głosem tak pełnym bólu, że Rikki nie była w stanie słuchać dalej.

Kiedy sanitariusze załadowali nosze z pacjentem do ambulansu, Scooter podążył za nimi, ale zatrzymał się, żeby powiedzieć do Bo: — Zadzwoń do Waylina i Toma, Bo. Powiedz im, żeby przyjechali tu i przeszukali dom i szopę. Nie wolno im niczego pominąć. Jeśli znajdą te buty, które morderca zabierał swoim ofiarom, niech zaraz do mnie zadzwonią.

— Tak, proszę pana.

Scooter popatrzył na Bo, a potem na Rikki.

— Jak, u diabła, mam powiedzieć jego matce, że postrzeliłem jej syna? — zapytał.

Teraz Rikki wpatrywała się w niebo, równie czarne jak jej nastrój.

— Nie znaleźli absolutnie nic, co wiązałyby go z tymi morderstwami. On ich nie zabił. Bo. Zniszczyłam ich życie zupełnie bez powodu.

— Nie bez powodu, Blue. Nie zapominaj o handlu kradzionymi samochodami. Słyszałaś, co powiedział Waylin o tych papierach, ukrytych za szafką na narzędzia. Przez ostatnie dziesięć lat Junior przerobił tu tysiące samochodów. Niektóre z nich zostały skradzione aż w Kalifornii. To nie był groszowy interes.

— Jeśli o mnie chodzi, mógłby przywozić je nawet z Europy. Junior jest w stanie krytycznym, ponieważ wyciągnęłam przedwczesne wnioski i poczyniłam założenia, oparte na pogłoskach. Cholera!

— Daj spokój, Blue. Jedźmy do domu.

Pozwoliła, by zaprowadził ją do samochodu, lecz zawahała się zanim wsiadła. Rozejrzała się wokół i powiedziała:

— Wiesz, co powiedziała mi babcia na łożu śmierci? Że muszę nauczyć się przebaczać i zapominać. Powiedziała, że jeśli tego nie zrobię, zniszczę sama siebie. Nie słuchałam jej wtedy, ponieważ sądziłam, że ona nie rozumie, iż zabójca już zrobił to za mnie. Nie myślałam o tym, co sama mogę zrobić innym.

— Wsiadaj — powiedział Bo, otwierając drzwi samochodu. Nie mógł znieść rozpacz, którą widział w jej oczach, lecz wiedział, że nic, co powie, nie rozjaśni jej spojrzenia, przymglonego w tej chwili przez cierpienie.

Jechali w milczeniu, z jej strony tak głębokim, iż przez chwilę sądził, że się zdrzemnęła. Jednak kiedy dojechali do rozjazdu, z którego droga prowadziła w lewo do domu na wzgórzu, a w prawo do domku rybackiego poniżej, a on zaczął skręcać w lewo, zatrzymała go. — Nie chcę być dzisiaj sama.

Wstrzymał oddech i sięgnął po jej dłoń.

— Nie zostawię cię samą, kochanie. Ale na pewno nie chciałabyś pojechać do domku. To nie miejsce dla ciebie.

Odchyliła głowę do tyłu, westchnęła. Chciała powiedzieć mu, że to z nim chce być i nie jest ważne, gdzie, ale nie miała siły na sprzeczki. Zbyt była zmęczona.

— Więc zostań ze mną na wzgórzu.

W domu Bo zapalił światło, a potem oparł się o ścianę, czekając, aż powie mu, czego od niego oczekuje. Jego serce podpowiadało mu, czego on chce, lecz dziś wieczór zbyt łatwo byłoby ją zranić, wysuwając żądania, na które nie była gotowa przystać.

Nie zatrzymując się upuściła torebkę na podłogę i weszła do sypialni.

Bo nie poruszył się.

Kiedy w pięć minut później wróciła, miała na sobie krótki jedwabny szlafroczek. Rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona. Ale to wyraz jej oczu i ust powiedział mu, czego po nim oczekuje. Odepchnął się od ściany i podszedł do niej bez chwili wahania.

Położył dłonie na biodrach Rikki, badając spojrzeniem jej twarz.

— Jesteś pewna?

Nie odpowiedziała, lecz jednym ruchem rozwiązała ozdobny sznur, podtrzymujący szlafroczek, który rozchylił się, ukazując jej doskonale nagie ciało.

— Och, skarbie — jęknął, biorąc ją na ręce, by zanieść do sypialni. Ułożył ją na łóżku, a potem niecierpliwie zerwał z siebie ubranie. Po chwili leżał już obok niej.

— Jesteś pewna, że to nie tylko dlatego, że jesteś przerażona i zrozpaczona? — spytał, przeklinając się w myślach za to, że daje jej szansę, by zmieniła zdanie i odesłała go.

— A czy to ma znaczenie? — spytała, zamykając oczy.

— Żadnego — skłamał, nakrywając jej usta swoimi.

Ssała zachłannie jego dolną wargę, przesuując palcami po klatce piersiowej mężczyzny.

Podniósł głowę, by na nią popatrzeć, nie tylko na jej twarz, ale na nią całą, na każdy doskonały cal jej ciała.

— Dziesięć lat temu sądziłem, że jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie, Blue. Myliłem się. To była tylko zapowiedź tego, jaka jesteś dzisiaj.

Przycisnęła dwa palce do jego warg.

— Nic nie mów. Po prostu kochaj się ze mną. Wejdz we mnie i spraw, by cały świat przestał istnieć.

Zabolało go to, gdyż to nie jego pragnęła, lecz zapomnienia. Pomimo całej miłości, jaką do niej odczuwał, poczuł gniew, że tak go wykorzystuje, posługuje się nim, nie kochając go.

— Potrzeba ci rżnięcia, skarbie, więc zabiorę cię w podróż, którą nieprędko zapomnisz.

Jej uśmiech spotęgował tylko jego frustrację. Uniósł się, rozsunał jej nogi kolanami i ukląkł pomiędzy nimi. Kiedy uniosła ręce, by objąć go za szyję, przytrzymał je w swoich, a potem ułożył po obu stronach jej głowy. Widząc niewypowiedziane pytanie w jej oczach, rozkazał ochryplym szeptem.

— Nie ruszaj się. Zostaw to mnie. Po prostu leż i ciesz się chwilą.

Nakrył dłońmi jej piersi i zaczął masować sutki kciukami. Nie spieszył się, i nawet kiedy wziął jeden z nich w usta, jego ruchy były powolne, drażniące.

Gdy jego dłonie zsunęły się wreszcie z jej brzucha, gdzie ugniatały i pieściły, skóra na nim była zaczerwieniona i śliska od potu. Rozdzielił wargi jej płci, rozkoszując się kontrastem pomiędzy gorącym jej ciałem, a powiewem wieczornej bryzy, która wpadała przez otwarte okno, poruszając firanki i chłodząc przyjemnie jego plecy. Zadrżał, gdy wsunął w nią głębiej palce i poczuł pierwszy dreszcz jej orgazmu. Pochylił się, całując jej brzuch, a potem położył tam głowę, i spytał, szukając spojrzeniem jej twarzy.

— I co, świat przestał już istnieć, Blue?

Nie odpowiedziała, lecz zacisnęła dłonie na jego ramionach, jakby chciała skłonić go, by wsunął się pomiędzy jej uda, wszedł w nią.

Usłyszała jego gardłowy śmiech.

— Jeszcze nie, skarbie. Jeszcze nie.

— Pragnę cię, Bo... teraz.

— O nie, Blue, jeszcze mnie nie pragniesz. A przynajmniej nie tak, jak będziesz mnie pragnęła za parę minut.

— Proszę, Bo...

Nie miał zamiaru sprzeczać się z nią. Ani jej ulegać. Zsunął się niżej, tak że jego twarz znalazła się pomiędzy jej nogami. Rozsunął je bardziej.

Wstrząsnęła się, kiedy poczuła, jak dotyka ją tam językiem, lecz Bo trzymał mocno jej pośladki, nie zwracając uwagi na protesty i walcząc ze swoim pożądaniem, które było już tak

przemężne, że niemal się poddał... Niemal. Jeszcze nie. Nie, dopóki nie zrobi tego, o co prosiła. Dopóki nie sprawi, że ona zapomni o całym świecie.

Oparła stopy na jego barkach, odpychając go, wymykając się z jego uścisku.

Uniósł się, by popatrzeć na nią raz jeszcze, spojrzeć na jej twarz, błyszczącą teraz od potu. Pozwolił, by jego spojrzenie przesunęło się na szyję Blue, zatrzymując się na miejscu, gdzie widać było uderzający puls, a potem na piersiach, unoszonych gwałtownym oddechem. Dopiero wtedy, odsłaniając zęby w grymasie, który miał być uśmiechem, zanurzył się w nią.

I właśnie w tej chwili omal nie zawiodła go samokontrola. Zastygł w bezruchu, starając się uspokoić i czując, jak mięśnie jej pochwy zaciskają się wokół niego. Zwalczył narastający w piersi szloch i uniósł nieco biodra, wysuwając się z niej na parę cali i zmuszając ją, by podążyła za nim, spotkała go i wciągnęła z powrotem w siebie.

To była dzika jazda i kiedy w dziesięć minut potem zsunął się z niej i przewrócił na plecy, był kompletnie wyczerpany. Lecz teraz, gdy jego pożądanie zostało zaspokojone, a namiętność osłabła, to, co powiedziała wcześniej, znowu do niego wróciło. Skrzyżował ramiona za głową, zważając, by jej nie dotknąć, teraz, kiedy uwolnił ją już od bólu. Nie prosiła przecież o nic więcej.

Rikki wyczuła zmianę w jego zachowaniu niemal natychmiast i choć była zdziwiona, przysunęła się do niego, położyła mu głowę na piersi i nakryła jego udo swoją długą nogą. — Nie odsuwaj się, Bo. Porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, o czym myślisz.

Myślał o tym, jak bardzo nadal ją kocha, jak bardzo zabolęło go, że chciała od niego tylko seksu, że tylko tego potrzebowała... Lecz niech go diabli wezmą, jeśli jej o tym powie. Poklepał ją po pośladku, a potem wymknął się jej i usiadł na skraju łóżka.

— Myślałem o tym, że bardzo chciałbym się napić. Masz tu coś?

— Trochę piwa, i chyba jest też gdzieś butelka wódki — powiedziała głosem, w którym dźwięczał ból. — Poczęstuj się.

— Dzięki — mruknął, wychodząc z pokoju. Czuł się okropnie. Nie zasłużyła na to. Do diabła, przecież to nie jej wina, że zapomniała o nim, zakochała się w tym bubku, Kicie. I czy nie postąpiła dokładnie tak, jak on sam postępował wiele razy, posługując się kimś, aby zapomnieć o jedynej kobiecie, z którą chciał być? Różnica polegała na tym, że on używał innych, aby zapomnieć o niej.

W kuchni, pod zlewem, znalazł nie otwartą butelkę wódki. Nie zawracał sobie głowy szukaniem kieliszka, lecz zabrał butelkę na taras, gdzie zaczął pracować nad swoim własnym bólem.

Kiedy po kilku godzinach wrócił do sypialni, leżała rozciągnięta na brzuchu, śpiąca i nieobecna dla świata. Trunek mógł zmaćić mu umysł, lecz nie znieczulił serca. Ból, który przeszył go, gdy na nią spojrział, nie był ani odrobinę lżejszy niż zwykle.

## ROZDZIAŁ 18

Gdy Rikki obudziła się, Bo przy niej nie było. Spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem spostrzegła, że jest prawie dziewiąta. Rzadko sypiała dłużej niż do siódmej i choć wczoraj nie usnęła przed trzecią, i tak czuła się winna. I czuła coś jeszcze. Tęsknotę za Bo.

Nagle zdała sobie sprawę, że ktoś puka do tylnych drzwi. Serce podskoczyło jej w piersi na myśl, że wrócił i znalazł drzwi zamknięte.

Owinęła się szlafrokiem i pobiegła boso do wejścia.

Jej twarz musiała wyrażać zdziwienie, gdy przekonała się, kto stoi za drzwiami, gdyż Carrie natychmiast zaczęła się usprawiedliwiać.

— Wiem, że jest wcześnie, i że się nie umawialiśmy, lecz miałam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać chociaż przez chwilę.

Rikki uśmiechnęła się, otwierając siatkowe drzwi.

— Wejdz, proszę. Przepraszam, że jestem nie ubrana, ale zasnęłam.

— Nic dziwnego, po takiej nocy.

Rikki nie chciała myśleć teraz o tym, jak tragiczny obrót przybrały wydarzenia ostatniego wieczoru, o tym, że sama omal nie zginęła, a szeryf musiał postrzelić swego syna, by ją obronić.

— Czy to już jest w wiadomościach?

Lecz zanim Carrie zdążyła odpowiedzieć, Rikki dostrzegła bukiet świeżo zerwanych stokrotek i małą karteczkę, przyciśniętą szklanką, której użył zamiast wazonu.

„Pamiętałem, że lubisz polne kwiaty. Być może te przywrócą blask twemu spojrzeniu.”

— Bo? — spytała Carrie, która najwidoczniej przeczytała liścik razem z nią.

Rikki nie odpowiedziała. Nie dlatego, by czuła się zażenowana, że spędzili razem noc, ale dlatego, że było to jeszcze zbyt nowe, zbyt cudowne, zbyt osobiste, by dzielić się tym z kimś innym.

— Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? — spytała zamiast tego. Carrie odwróciła wzrok.

— Danny mi powiedział. I to, że o nas wiesz. Chciałabym ci wyjaśnić.

— Nie ma potrzeby — powiedziała Rikki, oddalając się od liściku i wspomnień o nocy z Bo, by usiąść na sofie. Owinęła się ciałniej szlafrokiem i podsunęła pod siebie stopy. — Usiądź, proszę.

Carrie usłuchała i przysiadła na sofie obok swojej dawnej przyjaciółki.

— Posłuchaj, Rikki, nie mam ci za złe, że gniewasz się na mnie. Wiem, że zawiodłam cię, kiedy zginęli twoi rodzice. Wiem, że powinnam była być wtedy przy tobie. Lecz proszę, czy nie mogłabyś dać mi jeszcze jednej szansy? Byłaś moją najlepszą przyjaciółką i bardzo za tobą tęskniłam.

— Nie gniewam się na ciebie, Carrie. Owszem, gniewałam się i było mi bardzo przykro, lecz to już przeszłość. Dziś rano jestem zła wyłącznie na siebie.

— Dlaczego? Z powodu tego, co zdarzyło się na farmie Witcombów?

Gdy Rikki skinęła głową, ujęła jej dłonie w swoje ręce.

— Ale to, co zrobiłaś, było wspaniałe. Junior był szefem dużej szajki złodziei samochodów. Do południa wszyscy uznają cię za bohaterkę.

— Nie pojechałam tam, żeby oskarżyć go o kradzież samochodów. Nie obchodzi mnie, że zarabiał na boku. Pojechałam tam z powodu plotki, która omal nie kosztowała mnie życie i przez którą zniszczyłam życie tej rodziny, a Junior omal nie zginął. To było nierozważne i głupie.

— Uważam, że jesteś dla siebie zbyt surowa.

Rikki zmieniła temat,

— A co do ciebie i Danny'ego, Carrie. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. To twoja sprawa.

— Nie byłaś zaszokowana? — naciskała Carrie.

— Oczywiście, że byłam. Mój Boże, kiedy wyjeżdżałam stąd dziesięć lat temu, byliście tacy zakochani, tacy pobożni, nie wspominając już o nieugiętym przekonaniu, że wszyscy katolicy to uczniowie diabła.

— Innymi słowy, był z nas prawdziwy wrzód na tyłku — powiedziała Carrie z uśmiechem, który jednak szybko znikł, kiedy mówiła dalej. — Pozwoliłam, by inni myśleli za mnie, Rikki. Czy zdziwiłoby cię, gdybym ci powiedziała, że już w dniu ślubu zdawałam sobie sprawę, że popełniam błąd? Wiedziałam o tym, ale nie miałam dosyć oleju w głowie, by się wycofać.

— Dlaczego się nie rozwiedziesz?

Carrie przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie.

— Ponieważ boję się Bretta.

— Czy on cię źle traktuje?

Gdy Carrie podniosła wzrok, w jej ciemnych oczach błyszczały łzy.

— Nie w sposób, o jakim myślisz. Nigdy mnie nie uderzył, ani nie odepchnął.

— Więc?

— On nie jest normalny, Rikki. Jest... jest zboczony. I myślę, że nie tylko to. Uważam, że to on mógł zamordować twoich rodziców i doktora Granta. Wszystkich.

Rikki wyprostowała nogi i pochyliła się w przód.

— Masz dowód? Widziałaś buty?

— Nie, nie. Nic w tym rodzaju. Lecz kiedy powiedział ci, że tamtej nocy zaparkował przed kościołem, skłamał. Wiem o tym, bo sama wówczas tam byłam. Myślałam o nim, o ślubie. Już wtedy zdawałam sobie sprawę, że robię błąd.

— Więc może po prostu pomylił noc. Morderca uderzył pięć razy... i upłynęło już tyle czasu.

Carrie potrząsnęła głową.

— Nie chodzi tylko o to, Rikki. Widzisz, on... on nie jest normalny. Pamiętasz, jak kiedyś wypytywałam mnie o seks. Powtarzałam ci, że jeszcze tego nie robiliśmy. Kłamałam. Owszem, robiliśmy, ale nie w taki sposób, jak robi to większość ludzi. Brett nie lubi kochać się w zwykły sposób. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jest nienormalny, dopóki... dopóki Danny i ja...

— Nie musisz mi tego mówić, Carrie — powiedziała Rikki delikatnie.

— Owszem, muszę. Chciałabym, żebyś zrozumiała. Kiedy powiedziałam, że nie wiedziałam, to nie była do końca prawda. Wiedziałam, że seks analny nie jest normalnym sposobem uprawiania miłości, ale nie miałam pojęcia, że kochanie się może być takim podniecającym, cudownym, najśłodszym w świecie doświadczeniem.

Myśli Rikki pomknęły do Bo i spędzonej z nim nocy, ale zmusiła się, by je odepchnąć i skupić się na tym, czego właśnie dowiedziała się od Carrie.

— Brett woli seks analny od normalnego stosunku?

— Nie tylko to. Zmusza mnie, bym się goliła. — Przerwała, by otrzeć z twarzy łzy i zmierzyć się ze swoim wstydem, a potem zaczęła mówić dalej gwałtownie, jak gdyby bała się, że jeśli nie zrobi tego natychmiast, zabraknie jej odwagi. — Czy wiesz, co usiłuję ci powiedzieć, Rikki? On chce, żebym była jak mała dziewczynka. Czasami muszę wkładać dzieciinne majtki i koszulkę zamiast stanika i wiązać włosy w kucyki. Zmusza mnie, żebym mówiła do niego „tatusiu” i kiedy mnie dotyka, wkłada mi go, no, w odbyt, wygłasza cytaty z Pisma Świętego o tym, że powinniśmy być jak dzieci. Zbliżyć się do Boga poprzez potulność i niewinność. Zeszłej nocy powiedział, że żałuje, iż nie pozostawił mnie dziewicą, tak abym nadal mogła być czysta w

oczach Boga.

Rikki nie odzywała się przez dłuższą chwilę, przetrawiając okropną opowieść przyjaciółki.

— Masz rację, Carrie, on nie jest normalny, lecz nie wyjaśnia to jeszcze, dlaczego się go boisz i dlaczego sądzisz, że mógłby być tym człowiekiem, którego media nazwały cichym łowcą znad jeziora.

— Po pierwsze, on mi groził. Nie powiedział wprost, że mnie zabije, lecz ciągle powtarza różne cytaty z Biblii, żeby uświadomić mi, jak Bóg ukarze grzeszników. I w kółko mówił o twojej mamie i doktorze Grancie — no, nie jednym tchem. To znaczy, chyba nie sądził, że coś pomiędzy nimi jest, lecz stale pomstował na rozwiązłość doktora.

— A co mówił o mojej mamie? — spytała Rikki, czując, jak ogarnia ją fala mdłości.

— Że jest kusicielką, że Bóg wymierzy jej sprawiedliwość za to, że kusi mężczyzn. Chodziło mu o jej strój do joggingu.

Rikki przesunęła dłońmi po włosach. Przez dłuższą chwilę nie odzywała się rozmyślając o tym, co powiedziała Carrie. Wreszcie potrząsnęła głową.

— Nie. To nie wystarczy, Carrie. Nie mogę ryzykować, że znów się pomyłę, tak jak w przypadku Juniora. Muszę mieć dowód. Ucisnęła dłoń przyjaciółki. — Mogłabym wyrządzić ci krzywdę, a tego nie zaryzykuję.

— A co, jeśli znajdę dowód? Jeśli jest winien, musi istnieć jakiś dowód, prawda?

— Szeryf powiedział, że jest prawie pewien, iż ten, kto zabił, zatrzymał buty, które zabrał ofiarom, gdyż przywiązuje do nich szczególną wagę. To fetysz, którego niechętnie się pozbędzie.

— A gdybym coś znalazła? Co mam zrobić?

— Nie pozwól, by się o tym dowiedział, cokolwiek byś znalazła! — powiedziała Rikki, ściskając mocniej jej dłoń. — Zadzwoń do mnie lub do Scootera, lecz nie zdradź się przed Brettem. Nie zniósłabym, gdyby ci się coś stało.

— Poszukam. Jeszcze dzisiaj. — Carrie wstała. W jej brązowych oczach błyszczała determinacja. — Pojechał do Springfield na konferencję. Nie wróci przed wieczorem.

— Lecz gdzie on mógłby trzymać coś takiego? Jesteś jego żoną. Nie wydaje mi się, żeby potrafił ukryć to przed tobą.

— Owszem, mógłby. W swoim biurze w kościele. Ma tam szafkę, która przez cały czas jest zamknięta. Nikt poza nim nie ma do niej klucza.

— Lecz jeśli nie masz klucza, jak zamierzasz ją otworzyć?

— Wezwę ślusarza. Powiem mu — i Amandzie Rhodes, która tam pracuje — że Brett zgubił klucz i prosił mnie o dorobienie nowego. A potem poślę po coś Amandę i przeszukam szafkę. — Oczy błyszczały jej oczekiwaniem. Nagle objęła Rikki i mocno ją ucisnęła. — Och, Rikki, tak się cieszę, że wróciłaś. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zdobyła się na to, co zamierzam zrobić, gdybyś nie natchnęła mnie do tego swoją determinacją. Kocham Danny'ego. — Zachichotała, odsuwając się od przyjaciółki. — To chyba największe niedomówienie mego życia, a ja byłam zbyt przerażona, żeby się ruszyć i cokolwiek zrobić.

— A skoro już mówimy o Danny'm, Carrie, czy wspominałaś mu o swoich podejrzeniach? Czy on wie, jak wygląda twoje życie seksualne z Brettem?

— Nie! Nie mogę mu powiedzieć. Nigdy. Jest taki łagodny, Rikki, ale nie jestem pewna, czy zdobyłby się na to, by siedzieć i nic nie robić, podczas gdy Brett... no cóż, obawiam się, że gdyby Danny się dowiedział, ktoś mógłby na tym ucierpieć.

Rikki nie odpowiedziała, lecz najwidoczniej nie wypowiedziane pytanie uwidoczniło się na jej twarzy, gdyż Carrie zaczerwieniła się i wyjaśniła to, nad czym najwidoczniej zastanawiała się jej przyjaciółka.

— On myśli, że gołę się dla niego. Powiedziałam mu kiedyś, że nigdy nie przypuszczałam, iż

seks może być taki, jaki jest pomiędzy nami i teraz on myśli, że robię to, bo jestem trochę pokręcona.

— Przykro mi, że ty i Danny odnaleźliście się zbyt późno — powiedziała miękko Rikki.

— Och, nie, wcale nie było zbyt późno, Rikki. Dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Gdybym nie spotkała Danny'ego, chyba bym się zabiła. On mnie ocalił. — Odwróciła się i pospieszyła do drzwi. Stała i popatrzyła na bukiet dzikich kwiatów na stole. — Dla ciebie i Bo też nie jest za późno, Rikki. Ten facet kocha cię już od tak dawna.

— Dzięki.

— Zadzwoń przed wieczorem.

— Uważaj na siebie. Nie zniosłabym, gdyby i tobie coś się stało.

— Nie martw się o mnie — powiedziała Carrie z przekonaniem.

— Mam zamiar poszukać odpowiedzi, które wyzwolą nas obie.

Rikki miała nadzieję, że Carrie się nie myli. Chciała w to wierzyć, ale nie bardzo mogła, nie po ostatniej nocy.

\* \* \*

Przyjechała do stacji na kilka minut przed rozpoczęciem programu. Wszyscy poza Mike'em Petersem, discjockeyem, który był właśnie na antenie, powitali ją jak bohaterkę, skupiając się wokół niej, żeby pogratulować jej wykrycia szajki złodziei samochodów.

Rikki próbowała okazać wdzięczność, lecz ich aprobatą nie była tym, czego potrzebowała. Nie chciała nawet o tym myśleć, gdyż pamięć natychmiast podsuwała jej obraz zastygłej w bólu twarzy Scootera Witcomba. Z wymuszonym uśmiechem podziękowała im i odesłała wszystkich z powrotem do pracy.

— Doceniam wasze poparcie, ale przypisujecie mi zbyt wielką zasługę. To było przypadkowe odkrycie, które zakończyło się tragiczną w skutkach strzelaniną.

Jeden z mężczyzn, zajmujących się reklamą, krzyknął, że szkoda, iż ten skurczybyk nie zginął, lecz Rikki zignorowała go.

— No dobrze, wracamy do pracy. To tylko jeszcze jeden dzień ciężkich robót.

Zniknęła w toalecie dla pań i nie wysunęła stamtąd nosa dopóki nie trzeba było wejść na antenę.

Telefony rozdzwoniły się niemal natychmiast po rozpoczęciu programu. Rikki jęknęła mimo woli, wciskając pierwszy przycisk.

— Halo, tu KSTJ, jest pan na antenie, proszę mówić.

— Nazywam się Fred Stockingbird, panno Blue, i chciałem po prostu powiedzieć, że jestem cholernie z ciebie dumny, dziewczyno. Był już najwyższy czas, żeby ktoś tu przyjechał i zrobił porządek. Prawo nie działało u nas jak należy. Mówiłem o tym od lat, ale czy pani myśli, że ktoś mnie słuchał? Nie, moja pani. Jestem tylko starym pierdołą z prowincji — o, o, chyba nie powinienem mówić tak na antenie?

Pomimo konsternacji, spowodowanej wymową tego pierwszego telefonu, Riki zachichotała.

— No cóż, wydaje mi się, że jednak pan to powiedział, Fred. Dziękuję za telefon. Ja...

— Poczekaj jeszcze chwilę, dziewczyno, nie śpiesz się tak, by mnie rozłączyć. Chciałbym zaapelować do wszystkich, którzy nas teraz słuchają, by wreszcie obudzili się i wybrali na szeryfa jakiegoś uczciwego człowieka.

— Jestem ci wdzięczna, że zadzwoniłeś, Fred, ale nie mogę zgodzić się z tobą w tym punkcie. Znam szeryfa Scootera od bardzo dawna. Jest jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znam. Nie chciałabym, aby oskarżał go pan o przestępstwa, które popełnił jego syn.



— Ale nie rozwiązał zagadki śmierci pani rodziców, prawda? Może wiedział, kto jest mordercą i tylko udawał, że patrzy w inną stronę, tak jak ze swoim synem.

Rikki nie zamierzała sprzeczać się z nim dłużej. Podziękowała mu szybko jeszcze raz, a potem zwróciła się do słuchaczy.

— Mam nadzieję, że mój rozmówca nie mówił w imieniu was wszystkich. Szeryf Witcomb nie miał nic wspólnego z przestępczą działalnością swego syna. A poza tym nie możemy zapominać, że Allan Witcomb jest niewinny, dopóki sąd nie orzeknie inaczej. Ale bez względu na to, jakie będzie orzeczenie sądu i jeśli zastępca przeżyje — o co przez cały czas się modłę — szeryf Witcomb nie zrobił nic złego. A teraz oddajmy głos następnemu słuchaczowi.

— Halo, jest pani na antenie, w programie Rikki Blue.

— Tak, pani Blue, mówi Feona Franklin. Obawiam się, że podzielał zdanie tego człowieka, który przed chwilą dzwonił. Nie chodzi tylko o tę szajkę złodziei samochodów. Jest więcej przestępstw w St. Joan. Dłaczego, na przykład, w ciągu ostatnich dziesięciu lat ponad dwunastu moich przyjaciół zostało pozbawionych domów przez United St. Joan Bank? I nie oni jedni. Wystarczy poczytać gazetę, żeby poznać nazwiska nowych ofiar.

Rikki niemal westchnęła z ulgą. Przynajmniej ta kobieta nie ma zamiaru rozprawiać o postrzeleniu Juniora zeszłej nocy. Rikki natychmiast uczepiła się nowego tematu.

— Gdy mówi pani, że zostali wyrzuceni ze swych domów, co dokładnie ma pani na myśli? Czy chce pani powiedzieć, że bank bezprawnie pozbawił tych ludzi ich własności?

— To właśnie chciałam powiedzieć. Mnie i mojemu mężowi też by się to przytrafiło, gdyby syn nie pospieszył nam z pomocą i nie zapłacił raty.

— Może powiedziałyby nam pani, co dokładnie się wydarzyło, Fiono?

— Z przyjemnością, Rikki, z przyjemnością. Nie wiem, na ile orientuje się pani w tym, jak kształtują się na przestrzeni roku dochody ludzi, mieszkających nad jeziorami.

— Nie bardzo, proszę mi wyjaśnić.

— No cóż, większość z nas posiada jakiś drobny interes, a ten interes jest z reguły sezonowy. Zawsze tak było i zawsze będzie. Zimą i na jesieni praktycznie nie osiągamy żadnych dochodów. Nie ma turystów, nie ma pieniędzy. Proste. Za to wiosną i latem wiedzie nam się całkiem nieźle.

— W porządku, rozumiem.

— Proszę pozwolić mi wyjaśnić — kontynuowała Fiona, zachęcona zainteresowaniem sławnej prezenterki kłopotami jej przyjaciół. — Faktem jest, że większość z nas zawiesza płacenie rat w okresie, gdy interesy idą słabo. A potem wiosną, kiedy znów zaczynamy zarabiać, spłacamy zaległości. Bank zawsze z nami współdziałał, ufał nam i musi pani wiedzieć, iż rzadko źle na tym wychodził. A potem nagle zaczęli wzywać do natychmiastowego spłacenia zaległości za ostatnie pięć czy sześć miesięcy i wcale nie chcieli słuchać, gdy ludzie tłumaczyli im, że przecież zawsze spłacali i nadal będą.

Domy zostały zajęte pod zastaw, a sędzia Lilah Montana za każdym razem brała stronę banku. Parę razy ludziom, którzy stracili domy, udało się jakoś pożyczyć pieniądze, lecz kiedy stawili się w sądzie, by je wykupić, za każdym razem podczas aukcji ktoś kupował je za sumę nieco większą, niż posiadali.

— Czy pani znajomi rozmawiali z urzędnikami bankowymi i sędzią Montana o tym, jak można wybrnąć z sytuacji bez zajmowania domu? — spytała Rikki.

— Nie z urzędnikami w banku. Nigdy jakoś nie udawało im się dotrzeć wyżej niż do Jimmy'ego Burnsa, który jest ich rzecznikiem. A kiedy próbowali, odsyłano ich tam i z powrotem. Co do sędzi Montana, to ona twierdzi, że kiedy sprawa trafia do sądu, jest już za późno, że trzeba zrobić coś wcześniej. I że choć może to się wydawać nie bardzo w porządku, to bank ma prawo po swojej stronie. Skoro ktoś podpisuje zobowiązanie, że będzie płacił co

miesiąc, musi płacić, nawet jeśli bank nie zechce pójść mu na rękę. Ale mnie wydaje się, że coś tu śmierdzi. Do tej pory bank zawsze szedł nam na rękę.

— Obawiam się, że muszę zgodzić się z sędzią, lecz z drugiej strony nie mogę nie zgodzić się także z panią. Może zadzwoniłaby pani do biura prokuratora? O ile nie pamiętacie nazwiska człowieka, któremu powierzyliście to stanowisko sześć lat temu, to prokurator nazywa się Keen Bohannon. Jestem pewna, że zainteresuje się tą sprawą, porozmawia z urzędnikami bankowymi i sprawdzi, czy wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

— Na pewno tak zrobię. To nie jest w porządku.

— Proszę, niech pani do mnie zadzwoni, Feono, i poinformuje mnie, jaki obrót przybrały sprawy. Jestem pewna, że naszych słuchaczy także to zainteresuje. Rozłączyła się i zapowiedziała, że teraz nastąpi przerwa na reklamy, a po niej znów antena zostanie udostępniona słuchaczom.

Ześliznęła się ze stołka i poszła do sąsiedniego pokoju, by napić się wody sodowej. Z uśmiechem pomyślała o tym, jak zareaguje Bo, gdy dowie się, że właśnie zapewniła mu zajęcie.

Nie musiała czekać długo. W chwilę po tym, jak znów usiadła w kabinie, asystentka podała jej karteczkę z wiadomością, że dzwonił i zostawił numer telefonu, pod którym może go zastać. Pomimo niezbyt przyjemnego początku dnia, związanego ze wspomnieniami strzelaniny i rewelacjami Carrie na temat wielbnego Brettta Pearsona, następne półtorej godziny na antenie okazało się przyjemniejsze, niż mogła przypuszczać.

\* \* \*

Carrie nie udało się umówić ślusarza wcześniej niż o pierwszej. Ponad dwie godziny czekania. Aby wypełnić czas i uspokoić się trochę, włączyła radio i słuchała audycji Rikki, sprzątajac już i tak nieskazitelnie czysty dom.

Tak bardzo zamyśliła się nad tym, jak bez wysiłku i serdecznie odnosi się Rikki do swych słuchaczy, że kiedy dzwonek w końcu zadzwonił, niemal podskoczyła. Spojrzała na zegar i z niedowierzaniem przekonała się, że jest za dziesięć pierwsza.

Pospieszyła do zlewu, umyła ręce, szybko osuszyła je ręcznikiem i otworzyła drzwi ślusarzowi, o którym niemal zupełnie zapomniała.

— Chodzi o drzwiczki w kościele, panie Loomis. Jeśli pójdzie pan ze mną, poinformuję sekretarkę męża, co będzie pan tam robił. Przechodząc przez podwórko przeklinała się w myślach za to, że straciła rachubę czasu. Miała zamiar przyjść do kościoła na pół godziny przed ślusarzem, wysłać Amandę do miasta, by skopiowała jakieś dokumenty i w ten sposób pozbyć się jej. Teraz musiała mieć tylko nadzieję, że kobieta nie okaże się na tyle podejrzliwa, by zadzwonić do Brettta do Springfield i zaalarmować go.

Dłonie jej drżały, gdy otwierała tylne drzwi zakrystii. Wcisnęła je głęboko w kieszenie, wchodząc do biura męża, a potem niemal zemdliała z ulgi, gdy zobaczyła, że kącik zajmowany zazwyczaj przez wierną sekretarkę jest pusty, a telefon nastawiony na rejestrowanie rozmów.

Spojrzała przez ramię na pana Loomisa.

— Widocznie sekretarka wielbnego wyszła na lunch — powiedziała i zaraz zganiała się w myślach. „Po co w ogóle to mówię?” Musi się uspokoić, bo inaczej nie wiadomo, co jeszcze może powiedzieć. Pomyślała o Rikki, żałując, że nie ma choć odrobiny jej rezerwy. — Chodzi o tę szafkę. Mąż trzyma w niej rzeczy, których potrzebuje na miejscu.

— Migiem ją otworzę — powiedział ślusarz, klękając przed szafką i przyglądając się zamkowi. — To standardowy zamek. Dziwię się, że mąż nie próbował otworzyć go spinaczem albo małym śrubokrętem.

Czyżby było to aż tak proste?

Przez następne pięć minut Carrie nerwowo przemierzała pokój, aż wreszcie kudłaty niczym niedźwiedź mężczyzna podniósł się i oznajmił:

— Zrobione! Proszę powiedzieć wielebnemu, że naprawdę powinien postarać się o zapasowe kluczyki. To grzech płacić sześćdziesiąt dolarów, gdy kluczyk za pięćdziesiąt centów załatwiłby sprawę.

— Powiem mężowi. Dziękuję bardzo. Przyślemy panu czek, dobrze? — spytała, zmierzając w stronę drzwi, by jak najszybciej pozbyć się ślusarza, nie sprawiając przy tym wrażenia, że zbyt jej się z tym śpieszy.

— Doskonale — powiedział mężczyzna, zbierając bez pośpiechu narzędzia. — Zawsze mówię, że jeśli człowiek nie może zaufać kościołowi, to komu może?

— Prawda? — zgodziła się Carrie, chichocząc nerwowo. Nawet dla niej ten śmiech brzmiał sztucznie i nieprzekonująco. — Znajdzie pan drogę, czy mam pana odprowadzić?

— Myślę, że dam sobie radę, pani Pearson — powiedział Jake Loomis, wręczając jej rachunek. — Życzę miłego dnia i proszę przekazać wyrazy uszanowania wielebnemu.

Gdy tylko mężczyzna zniknął w dole korytarza, Carrie natychmiast zamknęła za sobą drzwi biura.

Jeżeli Amanda wróci, zanim skończy przeszukiwać szafkę, wspomni coś o tym, że musiała przekręcić klucz mimo woli, zamykając za sobą drzwi.

Zawartość szafki okazała się zgodna z przewidywaniami i Carrie zaczęła już się obawiać, że niepotrzebnie wzywała ślusarza, gdy nagle jej ręka natrafiła na luźną deseczkę, która ustąpiła pod naciskiem dłoni. Drżała na całym ciele, kiedy klękała, starając się zajrzeć w ciemny otwór. Skrytka była mała, nie mogła mierzyć więcej niż cztery na osiem cali. Nie było mowy, żeby zmieściło się w niej sześć butów, chyba że była głębsza, niż się wydawało. Kiedy wsunęła rękę w ciemny otwór, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Wyciągnęła kopertę z szarego papieru, grubą na prawie cal i ciasno wypchaną papierami.

Usiadła na podłodze przed szafką, zsunęła gumkę z koperty i zajrzała do środka. Zdjęcia.

Zmarszczyła brwi i wyjęła jedno. Gdy zobaczyła, co przedstawia, wzdrygnęła się i mocno zacisnęła powieki.

— O, mój Boże! — jęknęła cicho, przyciskając grzbiet dłoni do ust.

Zdjęcie przedstawiało małą dziewczynkę. Carrie rozpoznała jej twarz. W zeszłym roku widywała ją przez kilka tygodni w wiadomościach. Dziewczynka zaginęła na ponad trzy miesiące, aż w końcu znaleziono jej ciało, zakopane w płytkim grobie. Jedyna różnica pomiędzy tymi zdjęciami polegała na tym, że o ile na pierwszej, szkolnej fotografii dziewczynka uśmiechała się, na drugiej, tej, którą trzymała w dłoni, była martwa.

Przełykając spazmatycznie, by pozbyć się kuli, która rosła jej w gardle, otworzyła oczy i wyjęła następną fotografię. Przedstawiała to samo dziecko, tylko że tym razem dziewczynka — Sarah Morton — żyła. Siedziała naga na kolanach mężczyzny i najwyraźniej płakała. I były to kolana wielebnego Brett Pearsona.

Łzy same płynęły po jej policzkach, kiedy zmuszała się, by przejrzeć pozostałe fotografie. Było tam jeszcze kilka zdjęć Sary, a także sześciorga innych dzieci. Dwójki nie potrafiła rozpoznać. Lecz pozostałe...

Trzęsącymi się palcami wepchnęła zdjęcia z powrotem do koperty i z trudem podniosła się z podłogi. Nie zawracała sobie głowy zamykaniem szafki. Nie zatrzymała się, choć omal nie wpadła na zaskoczoną sekretarkę Brett Pearsona. Przebiegła obok niej pędem i nie zareagowała nawet, gdy usłyszała, że Amanda ją woła.

W domu pozamykała wszystkie drzwi, zaciągnęła zasłony, a potem usiadła na skraju łóżka i

zadzwoiła do rozgłośni.

Dziewczyna, która odebrała telefon, powiedziała jej, że rozminęła się z Rikki dosłownie o dwie minuty.

— Ona niedługo wróci. Czy mam jej coś przekazać?

— Nie. A właściwie, tak. Proszę powiedzieć jej, że dzwoniła Carrie. I że bardzo pilnie chciałabym z nią porozmawiać. Nacisnęła widełki i wykrciła numer posterunku. Jęknęła głośno, gdy dyspozytorka powiedziała jej, że szeryf właśnie wyjechał do szpitala, żeby odwiedzić syna. Rozłączyła się, nie słuchając dalszych wyjaśnień.

— O, Boże, co ja mam zrobić? — spytała, czując, jak łzy kłują ją pod powiekami.

Lecz nie zrobiła nic. Nie było nic więcej do zrobienia. Nie mogła wplątywać w to Danny'ego. Nie w coś takiego. Kiedyś, przed laty, zadzwoniłaby do matki. Lecz dziś na pewno tego nie zrobi. Dobrze wiedziała, co powiedziałyby jej matka. „To twoja wina, Carrie Ann. Brett nie popadłby w to zбочenie, gdybyś była dla niego taką żoną, na jaką cię wychowaliśmy”.

Więc Carrie siedziała, ściskając w dłoniach obciążającą kopertę, kiwając się w przód i w tył, nienawidząc Bretta, nienawidząc matki i nienawidząc siebie, tak jak nauczyła ją tego matka.

\* \* \*

— Ericka!

Rikki odwróciła się, słysząc to imię z przeszłości. Wymknęła się z rozgłośni, gdy tylko zeszła z anteny. Potrzebowała chwili samotności, przestrzeni, zdecydowała się więc na spacer. Zwykle bardzo cieszyły ją chwile spędzane ze słuchaczami, lubiła wymianę poglądów, wspólne wyszukiwanie tematów, przeciwstawianie się ustalonym zasadom. Ale nie dzisiaj. Dziś czuła się niemal przygnębiona. Prawdopodobnie był to wpływ traumatycznych wydarzeń poprzedniego wieczoru w połączeniu z poranną wizytą Carrie. Obiecała sobie, że do niej zadzwoni, gdy tylko odzyska nieco równowagę. Lecz teraz, gdy stała przed wystawą oryginalnego sklepu z antykami, podziwiając stare koronki, żałowała, że nie zrobiła tego przed wyjściem, gdyż osobą, która zmierzała prosto w jej stronę, był nikt inny jak matka Carrie, Marylou Roberts.

Rikki uśmiechnęła się niepewnie, lecz szybko zapanowała nad sobą i głos jej brzmiał już spokojnie, gdy zapytała:

— O, pani Roberts, co słycać?

— U mnie wszystko w porządku, Ericko, ale obawiam się, że sędzia, która jest tu ze mną, jest trochę na ciebie zła.

Rikki przyjrzała się kobiecie, która podeszła wraz z Marylou i stała teraz obok niej. Była obca w mieście, a przynajmniej Rikki nie pamiętała jej ze swego poprzedniego życia.

— Przykro mi — powiedziała, wyciągając dłoń. — Chyba się nie znamy. Jestem Rikki Blue.

— To jej pseudonim, Lilah. Naprawdę nazywa się Ericka Cassidy. A to sędzia Lilah Montana. Na pewno wiesz, o kogo chodzi, Ericko. Czy to nie o niej mówiłaś dziś rano, namawiając pewną słuchaczkę, żeby zadzwoniła w jej sprawie do prokuratora?

— Pani sędzio, miło mi panią poznać. Obawiam się, że pani Roberts została źle poinformowana. Ja...

— Nie zostałam źle poinformowana, Ericko. Sama słyzałam.

— Widocznie nie słycała pani dosyć dokładnie, pani Roberts. Powiedziałam mojej rozmówczyni, żeby porozmawiała z panem Bohannonem, jeżeli ma jakieś wątpliwości, dotyczące działalności banku. Nie mówiłam nic na temat rozmawiania z nim o sędzi. Zwróciła się do ładnej kobiety, która mogłaby uchodzić za osobę w jej wieku, gdyby nie siwe pasemka w krótkich bujnych włosach i ostre spojrzenie, które z pewnością onieśmieliło już niejednego

podśadnego. W kilku słowach zreferowała rozmowę, podając sędzinie nazwisko rozmówczyni.

— Z pewnością nie powiedziałabym niczego, co mogłoby zaszkodzić pani imieniu albo bankowi, gdybym nie była pewna, że jest po temu niezbity powód.

Sędzina uśmiechnęła się i Rikki pomyślała, że teraz wygląda jeszcze młodziej.

— Jestem pewna, że Marylou zdenerwowała się trochę na zapas — powiedziała uprzejmie.

— Zgadzam się. Znałam panią Roberts przed laty. Zawsze lubiła sensacje i zawsze przesadzała, plotkując o nich.

Marylou Roberts głośno wciągnęła powietrze, najwidoczniej oburzona takim potraktowaniem.

— A ty zawsze byłaś nieuprzejmą młodą kobietą. To pewnie z powodu wychowania.

Rikki miała ochotę ją uderzyć, lecz jej wychowanie przeważyło, więc uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Miło było panią poznać, pani sędzio. A teraz, jeżeli mi panie wybaczą, chciałabym zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. To tutaj wydaje się trochę stęchłe, więc lepiej się oddalę.

Nie czekała, aż któraś z kobiet odpowie, lecz wyminęła je i pospieszyła w stronę, z której właśnie przyszła. Jednak gdy doszła do parkingu rozgłośni, rozmyśliła się i postanowiła nie wchodzić do środka. Była teraz jeszcze bardziej spięta i potrzebowała przestrzeni bardziej niż kiedykolwiek. Wsunęła się za kierownicę dżipa. Prowadząc, przynajmniej nie będzie narażona na słowne obelgi, a jeśli ktoś spróbuje zagrozić jej drogę, może go po prostu przejechać. Uśmiechnęła się na tę myśl, lecz uśmiech szybko znikł, gdy przypomniała sobie, że Carrie miała do niej zadzwonić, jeżeli uda jej się coś znaleźć.

Jednak równie szybko, jak o tym pomyślała, odsunęła od siebie tę myśl. Carrie poślubiła zbrojnicę, bez wątplenia. Lecz to, że ktoś nie zachowuje się normalnie w łóżku, nie oznacza jeszcze, że jest mordercą. Szanse na to, że Carrie znajdzie dowody, pozwalające oskarżyć męża o popełnienie sześciu morderstw, wahały się od wysoce nieprawdopodobnych do wręcz niemożliwych. Prawdę mówiąc, Carrie, rozczarowana bezowocnością swych poszukiwań, spędzi zapewne resztę popołudnia w ramionach kochanka. Westchnęła. Szkoda, że nie wie, gdzie teraz jest Bo. Myśl o spędzeniu reszty dnia w ramionach kochanka zamiast rozmyślania o morderstwach wydała jej się niezwykle pociągająca.

## ROZDZIAŁ 19

Carrie nie mogła przestać myśleć o dzieciach, którym jej mąż odebrał życie... po tym jak je sterroryzował i wykorzystał w najbardziej brutalny sposób. Poczowała falę mdłości, sięgającą jej ust.

Straciła poczucie czasu. Słyszała odległe bicie zegara. Jedno uderzenie. Wpół do trzeciej, a może wpół do czwartej? Zadzwoił telefon. Błyskawicznie sięgnęła po słuchawkę. Gryzący odór spalonego jedzenia uświadomił jej, że zupełnie zapomniała o rondlu z fasolą, który wstawiła do piekarnika wcześniej rano.

— Halo? — spytała, odsuwając absurdalną myśl, że Brett będzie na nią zły z powodu tej straty.

— Carrie, tu Rikki. Przepraszam, że tak długo to trwało. Recepcjonistka powiedziała, że dzwoniłaś tuż po moim wyjściu na lunch. Mówiła, że to pilne. Czy to znaczy, że znalazłaś to, o co nam chodziło?

— Nie — powiedziała Carrie, zamierzając wyjaśnić, co właściwie znalazła, opowiedzieć o straszliwych dowodach zdeprawowania męża, lecz dźwięk zamykanych drzwi frontowych sprawił, że słowa zamarły jej na ustach.

— Z pewnością sprawiło ci to ulgę — powiedziała Rikki. — Lecz, Carrie, tylko dlatego, że on nie jest tym, który...

— Nie mogę dłużej rozmawiać — przerwała jej Carrie. — Czy mogłabyś tu przyjechać?

Obniżyła głos do szeptu. — Jesteś mi potrzebna, Rikki.

I, nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę. Odwróciła się do drzwi i zobaczyła, że Brett już tam stoi. Gdy jego oczy napotkały jej spojrzenie, domyśliła się, że musiał już być w kościele, że odkrył otwartą szafkę i przekonał się, że koperta zniknęła. Zdziwiona swoją reakcją, poczuła coś na kształt współczucia, gdy chwiejnym krokiem zbliżył się do łóżka, na którym siedziała i opadł na nie obok niej.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało, a kiedy wreszcie Brett przerwał milczenie, Carrie zaskoczyło, jak mocny był jego głos, choć brzmiał bardziej łagodnie, niż kiedykolwiek dotąd słyszała.

— Kochałem je wszystkie, Carrie Ann. Nie chciałem ich skrzywdzić. Ja tylko chciałem je kochać, pieścić je. Mój ojciec kochał mnie w ten sposób. Ja nigdy nie płakałem. Ale one płakały. Wszystkie. Nie chciałem ich skrzywdzić. Po prostu musiałem je uciszyć. Musiały mnie posłuchać, zrozumieć, że nie jestem dla nich niedobry. Że je kocham.

Carrie próbowała mu odpowiedzieć, lecz kula w gardle, którą szczęśliwie udało jej się wcześniej zepchnąć w dół do żołądka, znowu sięgnęła jej ust. Mogła tylko rzucić kopertę na podłogę i pognać do łazienki.

Kiedy wróciła do sypialni, gdzie tyle razy cierpiała ból i poniżenie, gdzie bała się tak, jak musiały bać się te dzieci, Brett wstał i odwrócił się w jej stronę.

— Wiem, że musisz zawiadomić władze, ale czy nie mogłabyś dać mi godziny? Chciałbym pójść do kościoła, spędzić trochę czasu z moim Niebieskim Ojcem, a potem napisać kilka wskazówek dla wielebnego Parkera. Przypuszczam, że przyślą tu jego, by przejął parafię. Chciałbym mu to ułatwić.

Gdy zbliżył się do niej, Carrie cofnęła się odruchowo, przyciskając plecy do ściany.

Jego spojrzenie powiedziało jej, że zranił go ten strach.

— Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy, Carrie Ann. Jesteś żoną, którą Bóg dał mi, bym ją

miłował i szanował. Wyciągnął rękę i otarł łzę, która spłynęła z kącika jej oka. — Tylko godzinę, proszę.

Nie odpowiedziała. Odwróciła wzrok, walcząc o oddech. Ostry ból w piersi uniemożliwiał jej zaczerpnięcie powietrza.

Lecz gdy tylko usłyszała, że drzwi frontowe zatrzasnęły się za nim, rzuciła się przez pokój, żeby zadzwonić do Rikki.

— Bardzo mi przykro, pani Pearson, lecz Rikki nie wróciła do stacji po przerwie na lunch. Zadzwoniła tylko, żeby odebrać wiadomości. Powiedziałam jej, że pani dzwoniła.

Carrie nie odpowiedziała, po prostu odłożyła słuchawkę. Co miała teraz zrobić? Czy Rikki przyjedzie, tak, jak ją o to prosiła?

Tymczasem Rikki traciła czas, dzwoniąc do biura prokuratora. Na szczęście Bo podszedł do telefonu od razu.

— Hej, Blue, piękne dzięki za nasłanie na mnie tej Feony Franklin. Zagadała mnie niemal na śmierć. Mimo to myślę, że coś w tym może być. Właśnie wybierałem się do sądu. Pomyślałem, że sprawdzę prawa własności działek i w ten sposób dowiem się, kto skupuje domy, zajęte za długi. Być może mamy tu do czynienia ze znową. Uważam...

— Bo, właśnie rozmawiałam z Carrie. Nie mam czasu ci wyjaśniać, lecz myślę, że ona ma kłopoty.

— Jakiego rodzaju kłopoty, Blue? — spytał. Jego głos brzmiał teraz niezwykle poważnie.

— Nie wiem dokładnie. Posłuchaj, dziś rano przyszła, żeby się ze mną zobaczyć. Ona sądzi, że to Brett jest mordercą. Tym „łowcą”. Przed chwilą powiedziała, że nie o to chodzi, lecz wydawała się naprawdę przerażona. Szeptala, a potem odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam się czegokolwiek dowiedzieć. Czy mógłbyś ściągnąć Scootera? A potem spotkać się ze mną u Pearsonów?

— Jasne, lecz nie śpiesz się tak. Poczekaaj na mnie. Podjadę po ciebie. Jeżeli rzeczywiście coś niedobrego się tam dzieje, nie chciałbym, żebyś wpadła w to zupełnie sama.

— Dzwoniłam do szpitala pół godziny temu, żeby dowiedzieć się o Juniora, powiedzieli mi, że Scooter właśnie wyszedł. Nie wiem, czy wybierał się do domu, czy do komisariatu. Nie mam czasu, żeby go szukać.

— Rikki...

— Muszę jechać, Bo. Ona mnie potrzebuje.

Bo zaklął, słysząc, że odłożyła słuchawkę. Zerwał się z krzesła i pognał do drzwi, zatrzymując się tylko na moment, by zabrać z biurka kluczyki i polecieć swojej sekretarce, aby odszukała szeryfa Witcomba.

— Powiedz mu, żeby przyjechał do domu Pearsonów. Natychmiast!

\* \* \*

Gdy Carrie wyszła z domu i skierowała się na dziedziniec, oddzielający dom od kościoła, zaczęło już mocno padać. Tulipany zdają się wręcz wibrować kolorem, pomyślała, zastanawiając się jednocześnie, jak to możliwe, żeby zauważyła coś takiego. A potem uderzyło ją, iż najwyraźniej kontrast pomiędzy ich pięknem, a brzydotą tego, co właśnie odkryła, przyciągnął jej uwagę. Szloch wyrwał się jej z gardła. Zgięła się w pół, obejmując się ramionami, podczas gdy deszcz nadal bębnił o ziemię, zalewając ją strugami zimnej wody. Przykucnęła w trawie, niezdolna iść dalej.

Po telefonie do Rikki ból nieco zelżał, zastąpiony przez gniew. Jak on śmiał prosić ją o czas, jak śmiał próbować wyjaśnić jej ohydę swoich postępów? Zamordował te dzieci, te niewiniątka,

które poświęcił w ofierze swemu Bogu.

Wyszła z domu, aby pójść do kościoła i powiedzieć mu, jaki jest nikczemny i odrażający. Splunąć mu w twarz. Lecz nie zdawała sobie sprawy, że gniew może być tak niszczący. Niemal pozbawił ją sił. Nie mogła się ruszać. Z trudem oddychała.

Rikki z głośnym zgrzytem zahamowała na podjeździe. Deszcz przeszedł w gwałtowną ulewę i z trudem rozróżniała zarysy obu budynków. Złapała żakiet z siedzenia kierowcy, rozłożyła go nad głową i wyskoczyła z dżipa.

Usłyszała, że jakiś inny samochód parkuje za nią. Biegła w tę stronę, aż rozpoznała wóz Bo.

— Co tu się dzieje? — zapytał gwałtownie, gdy tylko wydostał się z samochodu.

Rikki potrząsnęła głową, przekrzykując burzę.

— Nie wiem. Wiem tylko, że Carrie ma kłopoty.

Chwyił ją za rękę i pociągnął za sobą.

— Chodź, sprawdzimy najpierw dom.

Niemal potknęli się o Carrie, która nadal leżała na trawniku, zgięta wpół i kompletnie przemoczona.

— Carrie! — krzyknęła Rikki. — Co ty tu robisz? Czy Brett tu jest? Czy on cię zranił’?

W dali słychać było dźwięk syren, lecz Bo i Rikki skupili całą uwagę na kobiecie, która zdawała się być w stanie głębokiego szoku.

— Czy coś ci jest, Carrie? — krzyczał Bo. — Czy Brett ci coś zrobił?

Carrie wymamrotała odpowiedź, kompletnie niesłyszalną z powodu deszczu i silnego wiatru, które w ciągu ostatnich kilku minut jeszcze się nasiliły. Ponad głową przyjaciółki Rikki dała Bo znak, by spróbowali postawić Carrie na nogi.

— Musimy zabrać ją do domu.

Podciągnęli ją nieco do góry, lecz kiedy próbowali skierować się w stronę domu, oparła się im, a potem odwróciła w stronę kościoła.

— On tam jest — powiedziała na tyle głośno, że usłyszeli.

Syreny, które przed chwilą słyszeli w oddali, przybliżyły się znacznie i po chwili na podjeździe ukazał się radiowóz szeryfa Witcomba. Scooter wyłączył syrenę i pośpiesznie wysiadł. Bo gestem wskazał mu, by poszedł za nimi do kościoła, i wraz z Rikki także ruszyli w tę stronę, prowadząc między sobą Carrie.

Gdy doszli do drzwi świątyni, mury budynku rozbrzmiały odgłosem wystrzału.

— Zaczekajcie tutaj — krzyknął Bo do Rikki, wpadając wraz z szeryfem przez drzwi.

— Zabił się — stwierdziła Carrie ze spokojną pewnością.

— Brett? — spytała Rikki, choć dobrze wiedziała, że Carrie nie może mówić o nikim innym.

— Ale dlaczego, Carrie? Co się stało?

Nie odpowiedziała, wpatrując się nieobecny spojrzeniem w pusty korytarz, prowadzący do biura męża. Po chwili powiedziała jednak:

— Ponieważ był tchórzem.

Rikki nic z tego nie zrozumiała, lecz nie zadawała więcej pytań. Nie było sensu tego robić. Carrie drżała teraz niepohamowanie, a zęby szczękały jej tak, że słychać je było pomimo głośnego bębnienia ulewy o ściany wokół nich.

— Chodźmy do domu — powiedziała Rikki, obejmując drobniejszą kobietę. — Bo przyjdzie nam powiedzieć, co się stało, gdy tylko będzie mógł.

Bo i Scooter pojawili się w kuchni po niecałych piętnastu minutach. Obaj byli bladzi i wyglądali na wstrząśniętych.

— Brett? — spytała Rikki nad głową Carrie, która siedziała przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach.



— Zastrzelił się — odparł Bo.

Scooter przyciągnął sobie krzesło, ustawił je przed Carrie i usiadł.

— Czy chciałabyś mi opowiedzieć, co tu się wydarzyło, kochanie? — spytał tonem, który Rikki słyszała już kiedyś, dawno temu. Wzdrygnęła się, tak silne było uczucie *déjà vu*, którego doznała.

— Wszystkie te dzieci... te małe dzieci. On je zabił. — Carrie mówiła głosem tak słabym, że Rikki i Bo musieli pochylić się, by lepiej ją słyszeć. — Znalazłam zdjęcia, a on nie zaprzeczył. Zaśmiała się krótkim, gorzkim śmiechem. — Jak mógłby, skoro trzymałam w ręce dowody?

— Gdzie są te zdjęcia, kochanie? — spytał szeryf.

— W sypialni. Rzuciłam je na podłogę przy łóżku. Powinny dalej tam leżeć.

Szeryf poklepał ją po ręce.

— Moi ludzie będą tu lada chwila, Carrie Ann. Jeden z nich, Waylin lub Tom, poprosi cię, żebyś złożyła zeznania. Jak sądzisz, będziesz w stanie odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań?

Carrie spojrzała na Rikki, a w jej oczach malował się taki ból, że Rikki poczuła, jak łzy kłują ją pod powiekami.

— Zostaniesz ze mną? — spytała Carrie.

— Oboje zostaniemy — powiedział Bo.

— Czy chciałabyś, żebym zadzwonił do Danny'ego, kochanie? — spytał szeryf, ku zaskoczeniu Rikki.

— Nie! Proszę do niego nie dzwonić! Za bardzo się wstydzę.

Szeryf, który już podnosił się z krzesła, opadł na nie z powrotem, ujął obie dłonie Carrie w swoje ręce i powiedział:

— A teraz posłuchaj mnie, panienko. Nie masz najmniejszego powodu, żeby się wstydzić. Grzechy Bretta nie są twoimi grzechami. To on je popełnił. Byłaś jego żoną, co nie znaczy, że jesteś odpowiedzialna za te straszne rzeczy, których się dopuścił. Rozumiesz to?

— Tak, ale ja czuję się odpowiedzialna. Powinnam była wiedzieć.

— Czasami, panienko, zdajemy sobie sprawę, że coś jest nie w porządku, choć nie wiemy, co to takiego. Nie chcemy tego wiedzieć, ponieważ gdybyśmy się dowiedzieli, ta wiedza mogłaby przynieść nam cierpienie. To ludzka rzecz bronić się przed tym.

Carrie uśmiechnęła się słabo z wdzięcznością i Rikki zorientowała się, że pomiędzy nią a szeryfem nawiązała się nić szczególnego porozumienia. Scooter mówił nie tylko o Carrie i Breecie, lecz także o sobie i Juniorze.

Odwróciła twarz. Wiedziała o czymś, z czego żadne z nich jak dotąd nie zdawało sobie sprawy. To ona była tą osobą, która zapoczątkowała lawinę, jaka niszczyła teraz życie tak wielu ludzi.

\* \* \*

Wiele godzin później jechała za Bo swoim dżipem. Nie zdziwiło jej, że na skrzyżowaniu skręcił w lewo, w stronę jej domu.

Kiedy wchodzili po schodach na werandę, ujął jej dłoń. Burza, która szalała nad jeziorami przez kilka godzin, wreszcie ustała i teraz zachodzące słońce zalewało krajobraz łagodnym blaskiem.

— Może posiedzielibyśmy trochę na zewnątrz? — zaproponował Bo.

— Krzesła zamokły — zauważyła Rikki, zdziwiona tym, jaka cudowna może wydawać się taka zwykła, przyziemna rozmowa.

— Więc wytrzymaj je, a ja przyniosę piwo.

Gdy wreszcie usadowili się wygodnie, z Bo opierającym stopy na krześle Rikki, przyjrzał jej się uważnie i zachichotał:

— Fryzura ci się przekrzywiła.

Rikki pokazała mu język, lecz przyglądała dłonią fryzurę, zrujnowaną przez wiatr i deszcz.

— Masz talent do sprawiania, że kobieta czuje się piękna, Keenie Bohannon — stwierdziła uszczypliwie.

— To cecha wrodzona. Co mogę powiedzieć?

— No cóż, ty także nie prezentujesz się nazbyt wspaniale. Prawdę mówiąc, koszula i spodnie wyglądają tak, jakbyś w nich spał.

— Może i tak było. Nie pamiętam. Dziś po raz pierwszy od kilku tygodni włożyłem garnitur. Chociaż wydaje mi się, że kiedy szedłem rano do biura, wyglądał nieco lepiej.

Rikki roześmiała się, lecz szybko spoważniała.

— Nic jej nie będzie, prawda?

— Carrie? Na pewno nie. Pochodzi z solidnego, południowego plemienia. A poza tym, ma Danny'ego. Widziałaś, jak się koło niej krzątał, gdy wreszcie tam dotarł. Przez kilka tygodni nie będzie jej łatwo — już Marylou się o to postara — lecz Danny nigdzie nie wyjeżdża i nie trzeba będzie długo czekać, żeby pokazał Marylou, gdzie jest jej miejsce.

Rikki uśmiechnęła się.

— Ona jest niezrównana, prawda? Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczyłam, że zaczyna przygotowywać kanapki. Zupełnie, jakby nic się nie stało.

— Prawdopodobnie usiłowała nie dopuścić tego do świadomości.

— Najwidoczniej. Była serdeczna nawet wobec mnie.

— Dlaczego nie miałyby być? Nie miałaś nic wspólnego z tym, co zrobił jej zięć.

— Możesz mi wierzyć, że w końcu i tak ja będę wszystkiemu winna. Marylou zatrzymała mnie dzisiaj w mieście. Była z nią sędzia Montana. Najwidoczniej usiłowała napakować jej do głowy jakichś bzdur o tym, że nastawiam przeciwko niej ludzi z miasta.

— Z powodu tej historii z domami?

Skinęła głową, a potem powoli, jakby z namysłem, przełknęła łyk piwa.

— Czy myślisz, że Feona może mieć rację i coś tu naprawdę śmierdzi?

— Kto wie? To możliwe. Z drugiej strony niewykluczone, że bank po prostu nie chce już dłużej ryzykować utraty swoich pieniędzy. W gospodarce panuje zastój. Wiele banków upada. Jutro spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej.

— Zaczynam sądzić, że przez swój przyjazd tutaj otworzyłam istną puszkę Pandory. Najpierw Junior, teraz Brett, i ta sprawa z bankiem. I nie zbliżyłam się wcale do rozwiązania tajemnicy tamtych morderstw. Może powinnam zrezygnować, zanim ucierpi ktoś jeszcze.

— Tydzień temu zgodziłbym się z tobą, bo nie chciałem, żebyś to ty była tą osobą, która ucierpi. Lecz spójrz na to z innej strony. Zlikwidowałaś duży gang złodziei samochodów i znalazłaś mordercę dzieci. Potrzęsnała głową, jakby nadal nie potrafił pogodzić się z tym, że ktoś, kogo znał, może być odpowiedzialny za coś tak okropnego.

— A poza tym, Rikki, skróciłaś swoją listę podejrzanych. Wiemy już, że nie był to Brett ani Junior. A przynajmniej można tak przypuszczać. Rozmawiałem z Aaronem i założyłbym się o wszystko, co mam, że on i Pam są niewinni. Nie wierzę też, że Carrie mogłaby skrzywdzić choćby muchę. Pozostają więc ja i Sally Jane.

— Straszny z ciebie spryciarz, wiesz o tym?

— *Moi?* Dlaczego tak sądzisz?

— Ponieważ doskonale zdajesz sobie sprawę, że właśnie udowodniłeś, iż nie miałam racji, rozpoczynając to prywatne śledztwo. Wiem, że ty ich nie zabiłeś i jestem raczej pewna, że nie

zrobiła tego Sally Jane. Jestem teraz w gorszym położeniu, niż kiedy zaczynałam. Wtedy miałam przynajmniej jakichś podejrzanych.

— Na to wygląda, lecz nie podoba mi się wyraz niezadowolenia w tych niewiarygodnie błękitnych oczach. Powinnaś się cieszyć, że nie był to ktoś z twoich przyjaciół. Co do mnie, to muszę przyznać, że mi ulżyło.

— Mnie także, Bo, lecz naturalnie jestem też rozczarowana. Bez choćby śladu jakiegokolwiek punktu zaczepienia nie mam praktycznie szans, żeby dowiedzieć się, kto to zrobił.

— Hej, zawsze przecież możesz wejść na antenę i poprosić swoich słuchaczy, by przeszukali szafy i sprawdzili, czy nie wala się tam gdzieś sześć butów nie od pary.

— Och! Ty...

Natarczywy dźwięk telefonu uniemożliwił jej dokończenie tego, co miała zamiar powiedzieć.

— Ocalona przez dzwonek — mruknęła, wchodząc do domu. Słyszał jak podnosi słuchawkę i słyszał radość w jej głosie, gdy przekonała się, kto jest po drugiej stronie.

— Kit! Cześć! Nie, wcale cię nie zaniedbywałam. Po prostu tyle się tu działo...

Bo przysłuchiwał się, jak opowiada o ostatnich wydarzeniach. Łapczywie pił swoje piwo, czując, jak płyn podchodzi mu do gardła. Przez ostatnich kilka minut nie pamiętał zupełnie, że Rikki kocha kogoś innego. Niemal uwierzył, że jest z jedynym mężczyzną na świecie, z którym chce być. Rzeczywistość okazała się gorzka. Podobnie jak zazdrość. Przystawił butelkę do ust i wychylił duszkiem jej zawartość. Postawił puste naczynie na poręczy i wstał. Prawie już zszedł po stopniach, kiedy usłyszał, że kończy rozmowę.

— Zadzwoń jutro wieczorem, obiecuję. — Przerwa, a potem coś, czego wcale nie chciał usłyszeć. — Ja także cię kocham, Kit i tęsknię za tobą jak szalona.

Bo niemal zbiegł ze schodków. Być może jest głupcem, lecz nawet głupota ma swoje granice.

\* \* \*

Rikki usłyszała ryk silnika samochodu Bo, zjeżdżającego ze wzgórza i raczej nie miała wątpliwości, dlaczego odjechał. Najwidoczniej nie został dość długo, żeby usłyszeć tę część rozmowy, w której brała udział Sadie.

Wyszła na taras, wracając do swego piwa i krzesła. Zmazując palcem krople rosy z butelki, uśmiechnęła się. Wmówiła sobie, że przewyciężyła to młodzieńcze zadurzenie w Keenie Bohannonie, lecz, prawdę mówiąc, zadurzenie przekształciło się w dojrzałe uczucie. Poczekaj, aż Bo wróci do domku, a potem uświadomi mu to raz na zawsze.

Usłyszała zgrzyt opon na podjeździe i szybko wstała, przechylając się przez barierę tarasu. Lecz nie był to Bo.

Pomimo rozczarowania jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, gdy rozpoznała radiowóz szeryfa. Serce ścisnęło się jej boleśnie. Czyżby przyjechał zawiadomić ją, że Junior nie żyje? Obiecał, że da jej znać, gdyby w jego stanie zaszła jakakolwiek zmiana. O, Boże, nie pozwól, żeby tak się stało!

Scooter zatrzymał samochód, wysiadł, powoli naciągnął swego stetsona, demonstracyjnie nie spiesząc się i stosując wymijającą taktykę. Serce Rikki ścisnęło się jeszcze mocniej.

— Prosiła mnie pani, żebym zawiadomił, gdyby — zaczął oficjalnie, zbliżając się do schodków.

— Co się stało? — przerwała mu Rikki, zbyt niespokojna, by czekać.

— Najgorsze ma już za sobą, skarbie. Dzwoniłem do Althei tuż przed wyjściem od Pearsonów. Powiedziała, że lekarzom udało się poprawić jego stan. Przenoszą go do prywatnego pokoju i powiedzieli, że prognozy co do całkowitego wyzdrowienia są dobre.

Rikki pisnęła z radości, błyskawicznie zbiegła po schodkach i mocno objęła szeryfa.

— Och, szeryfie, tak bardzo się cieszę!

Zmieszany tą demonstracją uczuć, Scooter poklepał ją delikatnie po plecach, po czym odsunął się i zapytał, czy może usiąść.

— Oczywiście — powiedziała, marszcząc brwi. — Czy stało się coś jeszcze?

Zamiast odpowiedzi skinął brodą w stronę butelki piwa.

— Znajdzie się jeszcze jedna, panienko?

Rikki uśmiechnęła się z ulgą.

— Pewnie. Proszę usiąść, szeryfie. Zaraz przyniosę. — Przy drzwiach zawahała się. — A może wolałby pan porozmawiać w środku?

— Nie, podoba mi się tu, na zewnątrz. Zwłaszcza dziś wieczorem. Ziemia zawsze wydaje się taka czysta po burzy.

Po chwili Rikki wróciła, wręczyła mu butelkę lodowato zimnego piwa i usadowiła się naprzeciw niego.

— Jak czuła się Carrie, gdy pan wychodził?

— Dobrze. Nieco przygnębiona, lecz na to nic nie można poradzić. Ta jej mamusia... — Pokiwał głową, aby podkreślić swoje zdumienie, a potem zmienił temat. — Wiesz, panienko, zawsze byłaś najgrzeczniejsza z całej młodzieży. Nigdy nie słyszałem, żebyś nazwała kogoś dorosłego jego przezwiskiem. Rodzice dobrze cię wychowali, lecz teraz jesteś już dorosła. Czy sądzisz, że mogłabyś mówić do mnie Scooter?

— Przypuszczam, że tak — powiedziała wolno, zastanawiając się, dlaczego ją o to poprosił.

Scooter wyjaśnił jej to w sobie właściwy, nieco okrężny sposób.

— Nie pamiętasz mojego ojca, prawda?

— Nie, chyba nie — powiedziała, zdziwiona niespodziewanym zwrotem, jaki przybrała rozmowa.

— Był dobrym człowiekiem, choć trochę nadętym. Dumnym ze swego bogactwa, rozumiesz? Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. To jego ojciec zrobił pieniądze, lecz Jared Witcomb zachowywał się tak, jakby cała zasługa przypadała jemu.

Był bardzo rozczarowany, kiedy nie poszedłem do college'u. Nie rozumiał, jak można chcieć być strażnikiem prawa. Powiedział, że skoro mam takiego bzika, by pracować po stronie prawa, to powinienem zostać prawnikiem. Nigdy nie wybaczył mi, że zatrudniłem się w biurze szeryfa. Powiedział, że to poniżej godności Witcombów, zakładać zwykły mundur jak jakiś zwykły nikt. Zupełnie się wówczas ode mnie odwrócił... a może to ja odwróciłem się od niego. Widzisz, ja równie wstydziłem się jego arogancji, jak on mojego braku ambicji.

— Przykro mi — powiedziała Rikki, nie domyślając się nawet, czego od niej oczekiwał.

— Nie musi ci być przykro — powiedział Scooter. — Byłem szczęśliwy na swój sposób, a on na swój.

— Ale to musiało być dość trudne, nie móc zwrócić się do ojca, porozmawiać z nim. — Spojrzała w dół na swoje dłonie. — Dla mnie to było bardzo trudne.

— To zupełnie nie to samo, panienko. Miałem wrażenie, że twoi rodzice zaakceptowałyby wszystko, cokolwiek byś zrobiła.

— Chyba ma pan rację. Byli jedyni w swoim rodzaju.

Skinął głową, pociągnął długi łyk piwa i kontynuował swoją opowieść.

— Tak czy inaczej, tata był bardzo podniecony, kiedy pojawił się Junior. Pewnie dostrzegł w nim następną szansę na wychowanie dziedzica, z którego mógłby być dumny. Junior spędzał u niego większą część każdych wakacji. Kiedy miał dziesięć lat, mówił już zupełnie jak on. Śmialiśmy się wtedy z tego z Altheą, dopóki sprawy nie wymknęły się spod kontroli. — Przerwał

na chwilę, najwidoczniej zakłopotany. — Ależ się zagadałem! Opowiadam tu i opowiadam o sprawach, które na pewno cię nie interesują. Przepraszam, panienko, nie miałem takiego zamiaru.

— Och, nie, słuchałam z przyjemnością. Proszę, niech pan mówi dalej.

— Jesteś pewna?

— Absolutnie.

— No cóż, gdy Junior miał około czternastu lat, zorientowaliśmy się, że ojciec wyhodował potwora. Zachowywał się ordynarnie wobec matki, pogardliwie wobec mnie, mojej pracy, naszego domu. Powiedział, że nie rozumie ludzi, którzy żyją jak chłopci, skoro mają pieniądze. — Potrząsnął głową. — To był pierwszy i jedyny raz, kiedy go uderzyłem. I nie żałuję tego. Zasłużył sobie.

Pojechałem zobaczyć się z ojcem i powiedziałem mu, że odtąd Junior nie będzie spędzał z nim tyle czasu, że źle go wychowuje.

— I co on na to?

— Och, powiedział dokładnie to, czego można się było spodziewać. Że to ja wpajam chłopcu fałszywe wartości. I że nie ma nic złego w dumie i ambicji. Nie przedłużając sprawy, powiem tylko, że wywołało to prawdziwą wojnę pomiędzy moim ojcem a mną.

— Ale pan wygrał. Junior poszedł pracować do biura szeryfa, tak jak pan.

— Końcówkę zdania Rikki wypowiedziała niemal szeptem, ponieważ zdała sobie sprawę, że choć Junior poszedł w ślady ojca, uczynił to jednak z zupełnie innych powodów.

Szeryf, który najwidoczniej domyślił się, jakim tokiem biega jej myśli, skinął potakująco głową.

— Rozumiesz teraz, do czego zmierzam? Junior uznał, że może spacerować po linii pomiędzy światem dziadka a moim. Zatrudnił się w departamencie, ponieważ wiedział, że sprawi mi tym przyjemność, lecz wiedział także, iż zyska w ten sposób dostęp do samochodów. Już wtedy zaczął je kraść, a mundur zastępcy szeryfa był tylko przykrywką dla jego prawdziwej profesji — złodzieja.

— Ale dlaczego? Pamiętam, jak raz przechwalał się, że dziadek ustanowił dla niego fundusz powierniczy i że wejdzie w jego posiadanie, gdy skończy dwadzieścia jeden lat. To miało być mnóstwo pieniędzy, prawdziwa fortuna!

— Ponieważ dziadek nauczył go chciwości, a Junior był zbyt leniwy, żeby pracować tak, jak pracują inni chciwi ludzie. Więc znalazł sobie dochodową ścieżkę na skróty.

— Przykro mi, szeryf., Scooter. Wiem, że bardzo to pana zraniło. I co z nim teraz będzie?

— Pójdzie do więzienia. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale nie dlatego ci o tym mówię.

Rikki czekała.

— Zanim wyszedłem dziś od Pearsonów, Carrie Ann powiedziała coś, o czym powinnaś wiedzieć. Wiem, że obwiniasz się o to, co stało się z Juniorem, że go postrzeliłem, i tak dalej. Prawdę mówiąc, ja także chętnie bym cię obwiniał. Lecz Carrie Ann odprowadziła mnie do drzwi dziś wieczorem i powiedziała: „Wie pan, szeryfie, wiedziałam, że z Brettem jest coś nie tak, jeszcze zanim wyszłam za niego za mąż. Ale przymknęłam na to oczy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek odważyłabym się je otworzyć, gdyby Rikki nie wróciła i nie zmusiła mnie do tego”.

No cóż, panienko, prawda wygląda tak, iż ja także wiedziałem, że Junior jest w coś zamieszany. Nie podejrzewałem, że łamie prawo, ale wiedziałem, że dzieje się coś złego. Znikał, kiedy miał być na służbie. Karałem go, oczywiście, lecz nigdy nie przyjrzałem się temu bliżej. To moja wina, że tak długo uchodziło mu to na sucho. I chciałbym ci podziękować za to, że dzięki tobie dowiedziałem się o wszystkim.

— To bardzo szlachetnie z pańskiej strony, Scooter. Dziękuję, że mi pan o tym powiedział.

— Do diabła, dziewczyno, wcale nie usiłuję być szlachetny. Mówię to, co czuję. Wstrząsnęłaś ludźmi. Nie mówiąc już o tym, czego dowiedzieliśmy się o nas samych, kiedy już przyjrzeliliśmy się sobie bliżej. Wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami.

Łzy zakłuły ją pod powiekami, ale strzepnęła je.

— Przykro mi, że nie znalazłem tego, kto zabił twoich rodziców, skarbie. Lecz jeśli powiesz mi, jak mógłbym ci pomóc, zrobię, co w mojej mocy.

— Dziękuję panu, szeryfie, lecz nie wiem, co jeszcze można by zrobić. Wydawało mi się, że wszystko wiem. Teraz zdałam sobie sprawę, że chyba obszcze kiwałam niewłaściwe drzewo. No cóż, są jeszcze te taśmy, które mama nagrała z doktorem Grantem. — Wzruszyła ramionami. — Nie zwracałam sobie nimi głowy, ponieważ jestem raczej pewna, że wnioski, do jakich doszli, okażą się zbyt ogólne... a poza tym, szczerze mówiąc, bardzo trudno byłoby mi słuchać głosu mamy... chyba bym tego nie zniosła. Jestem pewna, że doktor Grant nie wiedział, kim jest morderca, a nawet jeżeli sporządził listę nazwisk, odpowiadającą profilowi mordercy, to wyobrażam sobie, że tylko strzelał na ślepo. Same przypuszczenia. — Teraz ona potrząsnęła głową. — Prawdę mówiąc, wątpię, żebyśmy kiedykolwiek dowiedzieli się, kto ich zabił.

— I co w związku z tym czujesz? Będziesz mogła się z tym pogodzić?

Uśmiechnęła się.

— Prawdopodobnie nie. Nie mogę obiecać, że się poddam, lecz może nie będę już tak wpychała tego ludziom do gardeł jak do tej pory. — Popatrzyła ponad głowę szeryfa na mały domek rybacki poniżej. — Postanowiłam zostać w St. Joan, Scooter. Na dobre.

Szeryf uśmiechnął się domyślnie.

— To bardzo mądra decyzja, panienko. Wielu ludzi bardzo się ucieszy, kiedy się dowiedzą. Zwłaszcza pewien miody człowiek, który ugania się za tobą już od bardzo dawna.

Rikki zachichotała.

— Wydaje mi się, że czytałam, iż ożenił się w międzyczasie.

— Och, daj spokój, to nie było nic poważnego. Błąd, który nie trwał długo. Dobrze pamiętam dzień, gdy przywiózł pannę młodą do domu. Znałem was oboje i od razu zorientowałem się, że wyjechał i przywiózł sobie dziewczynę, wyglądającą jak ty. Lecz podobieństwo kończyło się na wyglądzie. Była wysoka, ładna, rudowłosa, ale w środku nie było w niej nic, co przypominałoby kobietę, którą kochał naprawdę. Nikt nie był zdziwiony, kiedy rozwiedli się po kilku miesiącach.

Szeryf spojrział przez ramię w kierunku domu, na który ona spoglądała chwilę wcześniej.

— A skoro już mowa o szanownym prokuratorze, to gdzie on jest? Sądziłem, że zastanę go tutaj.

— Był tu, ale fałszywie zrozumiał coś, co powiedziałam przez telefon. Poczekam, aż wróci do domu i wytłumaczę mu to. Kocham go, szeryfie. Nie chciałam tego. Obiecałam sobie, że nie zakocham się w nim znowu, ale... — Wzruszyła ramionami.

Grzmiący śmiech szeryfa sprawił, że się uśmiechnęła.

— O co chodzi? — spytała.

— Przyszło mi na myśl, że nie będzie to takie proste. Straszny z niego uparciuch.

— Co ma pan na myśli?

— No cóż, to takie do niego podobne, żeby ożenić się z dziewczyną, ponieważ przypominała ciebie. Wszyscy próbowali go ostrzec, ale nie zwracał na to uwagi. Musiał na własnej skórze przekonać się, że robi błąd. Po rozwodzie powiedziałem mu, że powinien pojechać do Bostonu, zobaczyć się z tobą. Myślisz, że mnie posłuchał? Skąd! Uparty jak muł. Tak, niełatwe zadanie przed tobą. — Wręczył jej pustą butelkę i wstał. — Oczywiście, poradzisz sobie z tym. Do diabła, nikt nie widział go w biurze ani w sądzie, zanim wróciłaś. Niemal padłem z wrażenia dziś

rano, gdy jadąc do szpitala zobaczyłem, jak wysiada z tego wymyślnego samochodu, i to w garniturze. I nie myśl sobie, że nie wiem, czyja to sprawka.

Rikki ustawiła obie butelki na balustradzie obok tej, którą zostawił tam Bo.

— Dziękuję, że pan wpadł, szeryfie. Czuję się teraz o wiele lepiej.

— Nie, panienko, to ja ci dziękuję. Junior ma przed sobą trudną drogę, ale Althea i ja pomożemy mu ją przejść, teraz, kiedy zmusiłaś nas, byśmy zdjęli klapki z oczu. — Podszedł do schodów, zatrzymał się i obejrzał. — Nie czekaj na niego całą noc. Musisz być na antenie jutro rano. Ludzie czekają na twój program.

— Pewnie niedługo wróci.

Szeryf zatrzymał się ponownie.

— Nie liczyłbym na to zbyt, gdybym był tobą. Jeżeli zdenerwował się czymś, co jak sądzi, usłyszał, nie wróci do domu, dopóki nie zapomni, co to takiego. Nietrudno byłoby mi go znaleźć. Znam dobrze wodopoje, w których bywa. Chciałabyś, żebym go stamtąd wykurzył? Dał mu rozkaz wymarszu?

— Nie, dzięki, Scooter. Niech to z siebie wyrzuci. Ja zrobię resztę, gdy wróci.

\* \* \*

Po wyjściu szeryfa Rikki czuła się bardziej odprężona niż w ciągu wielu ostatnich lat, choć dobrą chwilę zabrało jej uświadomienie sobie, dlaczego tak się stało.

Nie chodziło o to, że ją pochwalili. Ludzie chwalili ją przez całe życie. A potem nagle zrozumiała. Chodziło o akceptację. Jego, ludzi w miasteczku, lecz także własną. O zaakceptowanie faktu, że są rzeczy, których być może nie zdoła rozwiązać, zakończyć. Pomyślała o rodzicach i przez chwilę znów wydawało jej się, że są tu z nią. Uśmiechnęła się, zadowolona z ich szczęścia i aprobaty.

Wydawało się niemożliwe, by czuła się tak zadowolona, tak odprężona pomimo wydarzeń dwóch ostatnich dni. Boże, niecałe dwadzieścia cztery godziny temu walczyła o życie, a przed siedmioma była niemal świadkiem samobójstwa kogoś, kogo znała. Czy naprawdę była osobą, która tak szybko dochodzi do siebie po podobnych przejściach? Nie, to nie to. Chodziło raczej o umiejętność pogodzenia się z tragediami życia i jednoczesnego cieszenia się nielicznymi dobrymi chwilami. Takimi jak ponowne zakochanie się w Bo. Jak odnowienie więzi z Carrie. Jak uświadomienie sobie, że powrót do St. Joan był raczej powrotem do domu niż tylko bolesnym zadaniem, którego nie mogła dłużej odkładać.

Pomimo iż obiecała sobie poczekać na Bo, około północy zasnęła, a kiedy po dwóch godzinach obudziła się, zobaczyła światła jego samochodu, omiatające dom i zalewające ją na moment jaskrawym blaskiem.

Wyprostowała się, zamrugała kilka razy i pomasaowała kark, by rozetrzeć zdrętwiałe mięśnie. Uświadomienie sobie, że Bo wrócił, zajęło jej dobrych kilka sekund. Pochyliła się w przód na krzesło, lecz on już wyłączył światła, pogrążając w ciemnościach ją i stok wzgórze. Nie widziała nawet, jak wysiada z samochodu, choć usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek, a potem głośne „bang!”, kiedy zatrzasnął za sobą siatkowe drzwi.

Przeciągnęła się, aby rozruszać zdrętwiałe mięśnie nóg i karku, po czym weszła do domu po latarkę. Zastanowiła się, czy rozsądnie będzie pójść ścieżką na piechotę, gdyż przypomniawszy sobie, jak ktoś mówił, iż można było spotkać tam węże, które lubiły wylegiwać się na drodze w ciemności. Odłożyła latarkę i wzięła kluczyki od samochodu.

W trzy minuty później weszła za Bo do jego domku.

Światła paliły się we wszystkich trzech pomieszczeniach. Bo leżał na łóżku, z szeroko

rozrzuconymi nogami i ramionami wyciągniętymi nad głową.

Zawołała go i nie otrzymawszy odpowiedzi oparła się o framugę drzwi, uśmiechnęła i potrząsnęła głową.

— Nieźle się dzisiaj zaprawiliśmy, co? — spytała, na tyle jednak cicho, by go nie zbudzić.

Padł na nie rozebrane łóżko kompletnie ubrany. Wzdychając, przeszła przez pokój, pochyliła się nad nim, ściągnęła mu buty i rozpięła pasek od spodni. Nie poruszył się, cofnął tylko stopę, kiedy niechcący połaskotała go, zdejmując but. Rikki przeszukała szafy w poszukiwaniu jakiegoś przykrycia. Wreszcie w cedrowej skrzyni znalazła pled. Gdy go podniosła, zobaczyła ukryte pod nim własne zdjęcie, które Bo zrobił jej wiele lat temu, kiedy wybrali się na piknik do Stone Fall. Splótł dla niej wówczas wianek ze stokrotek i na zdjęciu miała go na głowie. Wzruszyło ją, że zatrzymał fotografię. Kiedy wrzucała ją do skrzyni, zobaczyła, że jest ich tam więcej. Przedstawiały głównie ją, choć były też dwa wspólne z Bo. A także zdjęcia jego rodziców. I Petite. Uśmiechnęła się. Pomimo całej tej pozy twardego faceta, Pana Chłodnego, Bo okazał się wzruszająco sentymentalny.

Przykryła go pledem, a potem odsunęła mu z czoła pasmo czarnych włosów. Odsunęła się, aby na niego popatrzeć. Uspiona, jego twarz wyglądała niemal tak jak wtedy, gdy zobaczyła ją po raz pierwszy prawie dwadzieścia lat temu. Znikły bruzdy, wyłobione przez czas, cierpienie i rozczarowania i Bo wyglądał teraz niczym spokojny mały chłopiec. Pochyliła się i czule ucałowała jego wargi.

— Kocham cię, Bo. Zawsze cię kochałam.

Zamknęła za sobą drzwi wejściowe, czym Bo nie zawracał sobie głowy, kiedy przyjechał. Teraz, kiedy go znów odnalazła, pragnęła, by był bezpieczny... pomimo jego determinacji, by maksymalnie jej to utrudnić. Na przykład poprzez jazdę po pijanemu.

Trzeba będzie wprowadzić sporo zmian, teraz, kiedy już odkryła, gdzie zostawiła serce tak wiele lat temu. Uśmiechnęła się, wracając myślami do domu i przenikając oczami wyobraźni jego mury, by jeszcze raz na niego spojrzeć. Poprawka. Zmiany już zachodziły, i były to bardzo przyjemne zmiany.



## ROZDZIAŁ 20

Po trzech minutach obecności Rikki na antenie Lucy wsunęła głowę do kabiny.

— Ooo, przepraszam bardzo, lecz mamy tu mały problem.

— Podoba mi się to słowo „mały”. No dobrze, strzelaj. O co chodzi?

— Co piątek od ostatnich pięciu lat — a może nawet dłużej — pani Hurskies przedstawia listę zwierzaków do wzięcia. Ona nie pracuje w schronisku. A przynajmniej nie oficjalnie. Lecz kocha zwierzęta i dlatego stawia się tu co piątek rano, zwarta i gotowa. Najpierw obchodzi domy i sprawdza, gdzie jest jakiś zwierzak do oddania, a potem robi listę i przedstawia ją na antenie. Te listy są bardzo szczegółowe. Opowiada dokładnie o każdym psie czy kocie, o tym, jak wygląda i jaki ma charakter, wszystko. Niestety, zapomnieliśmy zadzwonić do niej i zawiadomić o zmianie programu. Mogłabym powiedzieć jej, żeby wróciła na pierwszą, mogłaby wejść podczas audycji Daryl. Co pani o tym sądzi?

— Nie, zatrzymaj ją. Powiedz, że wpuścimy ją na antenę za jakieś pół godziny. Zdecydowałam, że dzisiaj mój program będzie miał nieco lżejszy charakter. Że porozmawiamy o czymś innym niż morderstwa.

Lucy potrząsnęła zaondulowaną blond głową.

— Nie wiem czy to nam się uda, szefowo. Myślę, że telefony będą się urywać po tym, jak rozeszła się wiadomość, że przy ciele wielbego Pearsona znaleziono wyznaczenie, że to on zamordował te dzieci. Obawiam się, że dziś nikt nie będzie chciał mówić o niczym innym.

— Pewnie masz rację, lecz zrobię, co się da, żeby ich z tego wymanewrować. — Spojrzała na zegar. — No dobrze, już czas. Poczęstujcie panią Hurskies filiżanką kawy, a ja zajmę się nią tak szybko, jak tylko zdołam.

Rikki założyła słuchawki, przez chwilę przysłuchiwała się końcówce lokalnych wiadomości, a potem pochyliła się nad mikrofonem.

— Dzień dobry, St. Joan. Tu Rikki Blue z rajskiej stolicy świata! Mówię do was, jak co dzień, od poniedziałku do piątku.

Większość z was słyszała już prawdopodobnie o tragicznych wydarzeniach, które miały miejsce wczoraj po południu w kościele baptystów. Wiem, że niektórzy chcieliby o tym porozmawiać, lecz przemyślałam to i doszłam do wniosku, że skoro przez cały poprzedni tydzień rozmawialiśmy o morderstwach, może odłożylibyśmy rozmowę na ten temat do poniedziałku, dając tym samym rodzinom ofiar możliwość przyjścia do siebie po szoku, związanym z tym, czego się dowiedzieli. Dziś moglibyśmy porozmawiać dla odmiany o życiu, nie o śmierci. Co o tym sądzicie?

Jadąc rano do studia zobaczyłam rodzinę jeleni. Stała przy drodze, jakby przypatrując się ruchowi. Potem moją uwagę przyciągnęła rodzina wiewiórek, które skakały wśród drzew, szwargocząc coś i rozrabiając. Pomyślałam więc, że moglibyśmy porozmawiać o życiu rodzinnym tu, w St. Joan. Co St. Joan może mieć do zaoferowania rodzinie? Jakie są ujemne strony mieszkania tutaj? Czy jest to dobre miejsce do wychowywania dzieci?

Gdy byłam dzieckiem, rodzice zwracali mi uwagę, jaką ciągłość zachowuje tu życie. Twierdzili, że nie widzieli tego nigdzie na świecie. Pomyślcie o tym. Każdej wiosny i lata, kiedy na drzewach pojawiają się pąki, ludzie z całego kraju przyjeżdżają do nas, by cieszyć się pięknem okolicy, odprężyć się w naturalnym otoczeniu, danym nam przez Boga ku naszej radości i zabawie, by po prostu odpocząć i zregenerować siły. A potem, z nadejściem jesieni i zimy, wracają do swoich domów i nasze małe miasteczko oddycha z ulgą, że oto nadszedł czas

odpoczynku i odmłodzenia. Myślę, że to wspaniałe!

Przekonajmy się teraz, co o tym myślicie.

Nacisnęła guzik.

— Halo, tu Rikki Blue. Kto mówi i co myśli o życiu w St. Joan?

— Mówi Jackie Waters. Myślę, że życie tu może być wspaniałe, jeżeli należy się do tych szczęśliwców, którzy mają pieniądze. Mojemu mężowi i mnie ledwie wystarcza na życie. Zarabiamy bardzo mało, a koszty utrzymania domu są wysokie.

— Dlaczego więc nadal tu mieszkacie? Dlaczego nie przeniesiecie się gdzieś, gdzie koszty utrzymania są bardziej zharmonizowane z płacami? — spytała Rikki z odcieniem sympatii. — I jeszcze jedno, Jackie. Powiedz mi, proszę, czy w St. Joan istnieje silna bariera, oddzielająca tych, co mają, od tych, co nie mają i jeśli tak jest, to co można by z tym zrobić?

Jackie Waters była tym rodzajem rozmówcy, który prowadzący talk shows po prostu uwielbiają. Wyrażała się jasno, w sposób zrozumiały dla innych słuchaczy. Przedstawiała konkretne i rozsądne propozycje zmian. Rikki zachęcała ją, wtrącając sympatyczne komentarze i zadając pytania, lecz po pięciu minutach uznała, że pora kończyć. Lampki, sygnalizujące kolejne telefony, błyskały niecierpliwie.

Przyjęła następnego telefon.

— Jest pan na linii. Proszę nam powiedzieć, co sądzi pan o życiu w naszym miasteczku bez skazy?

— Wiem, kto zabił doktora Granta — powiedział jej rozmówca cicho.

— Przepraszam bardzo? Czy powiedział pan, że wie, kto zabił doktora Granta i innych?

— Wiem, kto zabił doktora. To pani powiedziała, że ta sama osoba zamordowała także innych. Ja nic o tym nie wiem.

Rikki kurczowo ścisnęła słuchawkę, drugą ręką przytrzymując się z całej siły konsoli. Czowała, jak krople potu zbierają się jej na czole i nad górną wargą.

— Skąd pan to wie? Czy był pan świadkiem morderstwa?

— Tak, byłem tam — powiedział mężczyzna. — I wszystko widziałem.

— Ale to było dziesięć lat temu i do tej pory nikomu pan o tym nie powiedział. Dlaczego teraz...?

— Doktor kazał mnie aresztować za przebywanie na jego terenie. Nikomu nic nie robiłem, po prostu mieszkałem sobie w środku jego terenu w namiocie. Nie kłusowałem, nie wziąłem niczego, co nie byłoby moje. Ale on i tak kazał mnie aresztować. Dlaczego miałbym komukolwiek mówić, co widziałem? Nie chciałem, żeby szeryf mnie oskarżył.

Rikki zauważyła, że za drzwiami kabiny zebrała się już mała grupka współpracowników, zaniepokojonych, podekscytowanych, zmartwionych. Uniosła kciuk w geście zwycięstwa, a potem skrzyżowała palce w milczącej modlitwie, by tym razem okazało się, że mają do czynienia z prawdziwym świadkiem, nie z jakimś oszustem, który postanowił zrobić im kawał. Ponowiła pytanie.

— Dlaczego teraz?

— To znaczy, dlaczego postanowiłem teraz o tym powiedzieć, po wszystkich tych latach? — spytał mężczyzna, lecz nie zaczął na odpowiedź. — Nie miałem zamiaru w ogóle o tym wspominać. Dlaczego miałbym ryzykować życie dla ludzi, którzy nigdy nie zrobili nic dla mnie ani dla takich jak ja. Słyszała pani, co powiedziała ta kobieta. Albo masz forszę, albo nie, a jeśli jej nie masz, nie znacysz nic, przynajmniej dla większości ludzi w tym mieście. No cóż, ja nie mam nawet nocnika, żeby się do niego wysikać. Ale potem usłyszałem, co pani robi, jak co dzień na antenie prosi pani ludzi, żeby pomogli znaleźć jej tego, co zabił jej tatę i mamę. Powiedziała pani, że zrobiła to ta sama osoba, która zabiła doktora. Myślę, że pani wie, co mówi, więc

zgadzam się z tym. A potem słyszę, że przyskrzynyła pani tego zastępcę, który okradał ludzi, choć jest bogaty jak cholera, no i była pani tam, kiedy ten klecha się przyznał. Dlatego zdecydowałem się zadzwonić i powiedzieć, co wiem. Wiedziałem, że klecha to nic dobrego. Raz zwróciłem się do niego o pomoc — w końcu sam twierdził, że jest sługą Bożym, no nie? Ale wtedy powiedział, że nic nie może dla mnie zrobić. Na oko, pani jest jedną z nich. To znaczy, ma pani forszę i tak dalej, ale pomaga pani nam wszystkim, pokazując, jacy są zepsuci i nic nie warci. Dlatego postanowiłem pani pomóc.

Rikki przełknęła z trudem. To było to. Wreszcie miała dowiedzieć się tego, o co modliła się przez dziesięć długich lat.

Ten człowiek nie powiedział jej, kim jest, lecz ona wiedziała. Pamiętała, że rodzice rozmawiali o mężczyźnie, którego kazał aresztować doktor, Rubinie Cruthersie. I pamiętała jeszcze coś więcej. Na przykład to, że nie był on tylko biednym łazęgą, któremu nie dopisało szczęście. Rubin Cruthers powiedział doktorowi, że bardzo podoba mu się na jego ziemi i że zamierza tam mieszkać, czy się to doktorowi podoba, czy nie. Gdy doktor zagroził mu aresztowaniem, on też zaczął grozić, ostrzegając, że doktor pożałuje, jeśli narobi mu kłopotów. Rikki przełknęła jeszcze raz.

— Czy mogę zapytać, jak to się stało, że był pan świadkiem morderstwa? — spytała.

Rubin roześmiał się.

— Jest pani sprytną dziewczynką, prawda? Taa, powiem pani. Nie mam nic do ukrycia. Poszedłem zobaczyć się z doktorkiem późnym wieczorem, w piątek. Nie było go w domu. Pomyślałem, że pewnie ktoś go wezwał i postanowiłem przyjść później. Poszedłem w to miejsce, w którym obozowałem, zanim mnie wykopał. Co prawda nie widać stamtąd domu, ale słyszałbym jego samochód, gdyby wrócił. Widocznie jednak zdrzemnąłem się kapkę, bo nie słyszałem, jak wraca. A może przyplłynął łodzią. Tak czy inaczej, około trzeciej usłyszałem jakiś samochód. Poszedłem do domu, bo myślałem, że to doktorek. Ale to nie był on.

— To był morderca? — spytała Rikki, mając nadzieję, że w jej głosie nie brzmi zdenerwowanie, jakie w rzeczywistości odczuwała.

— Tak, ale teraz nic już więcej nie powiem. Nie przez radio. Wiem, kim jest morderca, lecz nie chcę, żeby i mnie zabił, gdy podam jego nazwisko. Może byśmy się gdzieś spotkali? Może pani przyprowadzić ze sobą szeryfa, jeśli pani chce. Nie boję się go. A poza tym, mogę udowodnić to, co widziałem. Wiem o czymś, o czym nie wie nikt, kogo tam nie było.

Rikki trzęsła się teraz niepowstrzymanie. Otarła czoło grzbietem dłoni i pochyliła się bardziej nad mikrofonem.

— Pozwólcie, że teraz zrobimy sobie przerwę, a ja porozmawiam z moim rozmówcą poza anteną.

Postąpił bardzo odważnie, decydując się wyjść z ukrycia. Nie chciałabym zrobić niczego, co mogłoby narazić jego życie na niebezpieczeństwo. Przesunęła kilka suwaków i teraz mogła już rozmawiać wyłącznie ze swoim rozmówcą.

— Już jestem. Proszę podać mi adres. Spotkam się z panem, gdy tylko zejść z anteny. Może o pierwszej trzydzieści?

— Lepiej byłoby o trzeciej, proszę pani. Mam robotę i nie będę wolny przed drugą. Ustawiłem sobie przerwę tak, żeby móc do pani zadzwonić, lecz teraz muszę już wracać do pracy.

— No dobrze, o trzeciej. Gdzie?

— Przywiezie pani ze sobą szeryfa?

— Mogę przyjechać z szeryfem, albo sama. Jak pan woli.

— Dla mnie to bez różnicy. Chodzi o to, że gdyby miała pani przyjechać sama, spotkałbym się z panią tam, gdzie pracuję. Lecz gdyby szeryf miał brać w tym udział, wolałbym umówić się

gdzie indziej, nie chciałbym, żeby mój szef pomyślał, że mam jakieś kłopoty z prawem.

— Przyjadę sama — powiedziała szybko.

— Dobra. Będę na panią czekał na tyłach garażu Hanka Pala. To jest...

— Wiem, gdzie to jest. Do zobaczenia, o trzeciej.

— Nazywam się Rubin Cruthers, panno Blue. Nie ma sensu opowiadać pani, jak wyglądam. Znam panią. Widziałem pani zdjęcie w gazecie, kiedy wróciła pani do miasta. Będę na panią czekał.

Rikki usłyszała długi sygnał, świadczący, że się rozłączył, nie poruszyła się jednak jeszcze przez dłuższą chwilę. Jej oczy wypełniły się łzami. Czy to możliwe, że za niecałe cztery godziny będzie znała nazwisko osoby, która zamordowała jej rodziców? Po wszystkich tych latach te kilka godzin czekania nie powinno wydawać się jej zbyt długie.

Zesłiznęła się ze stołka, otworzyła drzwi i podniosła dłoń w geście zwycięstwa.

— Spotykam się z nim o trzeciej — powiedziała do zgromadzonych na korytarzu współpracowników. — Kiedy już będzie po wszystkim, czyli wieczorem, zważywszy że morderca nadal tu mieszka, wrócę i nagram krótki komentarz do wieczornych wiadomości. Lucy, powiedz Scottowi, żeby był gdzieś w zasięgu i czekał na wieści ode mnie.

Otarła dłonią łzy.

— I, Lucy, może przeprowadziłabyś wywiad z naszą miłośniczką zwierząt, żebyśmy miała czas trochę ochłonać.

— Oczywiście, Rikki, ale czy nic ci nie jest?

Rikki uśmiechnęła się tak szeroko, że zaboląły ją mięśnie twarzy, lecz był to bardzo przyjemny ból. Najprzyjemniejszy cholerny ból na świecie.

\* \* \*

Głowa bolała Bo jak diabli. Wszystko go bolało. Nawet serce.

Zwłaszcza serce. Lecz ból w jego klatce piersiowej nie miał nic wspólnego z fizycznym złym samopoczuciem reszty ciała. To ostatnie wywołane zostało zbyt dużym uszczupleniem zawartości butelki Remy Martina. Ostry, ciągły ból w piersi był czymś zupełnie innym.

W nocy śnił o Blue. Była z nim w domku. Czuł jej usta na swoich, słyszał jej szept, słyszał, jak mówi mu, że go kocha. Dlatego teraz tak bardzo bolało go serce.

Zmusił się, żeby ponownie otworzyć oczy i utrzymać je otwarte, bez względu na ostry ból, który przewiercał mu na wskroś czaszkę, spowodowany jaskrawym słonecznym światłem. Udało mu się jakoś skupić wzrok na fluorescencyjnych wskazówkach zegara. Zaklął i usiadł... zbyt gwałtownie.

Jęknął. Dwunasta. A niech to szlag. Miał zamiar być w sądzie już o dziewiątej, by sprawdzić działki, a potem pójść do biura sędzi Montana, by złapać ją, zanim oddali się do codziennych zajęć. No cóż, zawalił to. Pracował z sędzią Montana już prawie pięć lat i był obeznany z jej rozkładem zajęć niemal tak jak ze swoim własnym. Oba nie były zbyt skomplikowane. Sędzina pracowała przez całe dni od poniedziałku do czwartku, od dziewiątej do piątej, nieodwołalnie. W piątki zjawiała się dopiero około południa. Od tego schematu nie było wyjątków. Jego rozkład zajęć był kiedyś nieco bardziej elastyczny. Od kilku tygodni jednak nikt nigdy nie wiedział, kiedy pojawi się w pracy. Dopóki nie wróciła Blue i nie kopnęła go mocno w tyłek.

\* \* \*

Sięgnął po słuchawkę. Może uda mu się złapać asystentkę i poprosić ją, aby zabrała z jego biurka listę nieruchomości, którą otrzymał od Feony Franklin i sprawdziła tytuły własności. Obiecał pani Franklin, że wieczorem postara się mieć dla niej jakieś wieści.

Lecz sekretarka powiedziała mu, że Mary Beth Reynolds wyszła na lunch. Podziękował jej i rozłączył się. To by było na tyle, jeśli idzie o oszczędzanie czasu. Będzie musiał się pospieszyć, a to znaczyło, że nie ma już czasu na łagodzenie dolegliwości, które sygnalizowało mu jego ciało.

Gdy zwiesił nogi z łóżka, zauważył pled, którym był przykryty. Jego brwi uniosły się w wyrazie zdziwienia, lecz nie na długo i zwolna uśmiech wypłynął na twarz Bo. Do licha, może Blue wcale mu się nie śniła...

\* \* \*

Rikki z trudem powstrzymywała podniecenie przez resztę czasu, który musiała spędzić na antenie. Udało jej się co prawda utrzymać uwagę na tym, co mówili rozmówcy, lecz z wielkim trudem.

Podczas jednej z przerw zadzwoniła do Bo, ale sekretarka powiedziała jej, iż dzwonił z domu, by zawiadomić, że będzie w sądzie. Prawdopodobnie wróci do biura dopiero późnym popołudniem. Potem próbowała złapać Scootera Witcomba, lecz także bez powodzenia. Był gdzieś na autostradzie, pomagając policji stanowej rozładować karambol sześciu samochodów. Musiała się z tym pogodzić. Nie chciała co prawda, by któryś z nich z nią pojechał, chciała ich tylko poinformować. Lub może podzielić się z nimi swym podnieceniem.

Głos wewnętrzny ostrzegał ją co prawda, aby nie spodziewała się zbyt wiele. To mógł być po prostu okrutny żart Rubina Cruthersa. Podczas rozmowy wydawał się dosyć zgorzkniały. Nie, powiedziała do siebie, wiem lepiej. To jednak jest to. Przełom, na który miała nadzieję, na który czekała i o który od dawna się modliła.

\* \* \*

Rikki przyjechała do garażu na pięć minut przed umówionym terminem. Postanowiła zostawić samochód na ulicy i podejść do miejsca spotkania piechotą. Uznała, że tak będzie bardziej uprzejmie. Przejrzała się w lusterku, roześmiała, rozbawiona własną próżnością i wysiadła z dżipa. Co za różnica, jak wygląda? Rubin Cruthers z pewnością nie spotyka się z nią, aby oceniać jej fizyczne powaby.

Gdy weszła na chodnik, ze sklepu wybiegł jakiś mężczyzna, gwałtownie wymachując ramionami.

— Nie może tu pani wejść, proszę pani.

— Nie mam zamiaru — powiedziała. — Umówiłam się z... ze znajomym, z tyłu, za garażem.

— Nie może tam pani teraz pójść. Proszę mi wierzyć, droga pani, to nie miejsce dla pani.

Dopiero wówczas Rikki dostrzegła, jak blady był ten mężczyzna, jego twarz miała kolor popiołu. Instynktowne podejrzenie sprawiło, że adrenalina napłynęła jej do żył.

— Co się stało? — spytała zduszonym szeptem.

— Zamordowano człowieka, panienko. Mówiłem pani, że nie może pani tam iść. Policja zaraz tu będzie.

Rikki pomknęła jak strzała w stronę parkingu na tyłach garażu. Musiała utorować sobie drogę przez tłumek gapiów, lecz wreszcie go zobaczyła. Nigdy przedtem nie spotkała tego człowieka. Nie widziała nawet jego zdjęcia, lecz mimo to wiedziała, że to Rubin Cruthers leżał tam na stosie

kartonowych pudeł, za śmietnikiem.

— O, mój Boże, czy ktoś widział, kto to zrobił? — spytała, spoglądając po otaczających ją twarzach.

— Tak — odparł jakiś mężczyzna za nią.

— Kim pan jest? — spytała, odwracając się, by spojrzeć na nieznajomego. — Widział pan to? Potrząsnął głową.

— Nie, nie ja, ale jedna z moich klientek widziała. Jest teraz w środku.

— Gdzie? — zapytała Rikki, i nie czekając na odpowiedź ruszyła w stronę tylnych drzwi kwadratowego budynku z szarych betonowych płyt.

Mężczyzna pospieszył za nią, złapał ją za ramię i zatrzymał.

— Nie może pani teraz z nią mówić. Nikt nie może. Nie jest z nią dobrze. Jakiś atak paniki. Wezwaliśmy doktora Granta. Zaraz tu będzie. Ona nie może złapać powietrza. Jej mąż mówi, że kiedy się czegoś mocno przestraszy, albo przejmie się czymś, gardło się jej zaciska i nie może oddychać. — Obejrzał się na miejsce, gdzie nadal leżał Rubin, martwy, z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. — Boże, ten widok mógłby...

— A co z jej mężem? Czy on też widział mordercę? — spytała Rikki, chwytając ramię mężczyzny i zmuszając go, by na nią spojrział.

— Nie, był ze mną w środku, regulował rachunek. Ona wyszła, żeby poczekać na niego w samochodzie. A potem usłyszałem, jak wrzeszczy, że jakiś facet został zamordowany na moim parkingu. Wyszedłem, żeby to sprawdzić. I kilku moich chłopców też. Od razu wróciliśmy, żeby zadzwonić do szeryfa, a wtedy zobaczyłem, że ona już leży na podłodze, trzymając się za gardło. Boże, to było straszne. Jej mąż powiedział, że potrzeba jej powietrza. Zadzwoiłem po doktora, potem po szeryfa, a potem wyrzuciłem stamtąd resztę moich klientów i pracowników.

Rikki nie czekała, aby usłyszeć coś więcej. Podbiegła do tylnego wejścia i wśliznęła się do środka, zanim mężczyzna, którym musiał być właściciel, Hank Pal, zdołał ją zatrzymać.

— Powiedziałem pani, że musi pani poczekać...

— Wszystko w porządku, Hank — powiedział jakiś głos za nimi. — Niech zostanie.

Rikki westchnęła z ulgą.

— Aaron, dzięki Bogu, że jesteś.

Uniósł brodę w geście przywitania, lecz nie zatrzymał się ani na moment. Podeszedł do miejsca, gdzie leżąca na podłodze kobieta w średnim wieku, z głową opartą na kolanach męża, rozpaczliwie starała się złapać oddech.

— Szok anafilaktyczny — powiedział tytułem wyjaśnienia, klękając obok kobiety.

— Czy możesz jej coś dać? — spytała Rikki.

Aaron nie odpowiedział, ale otworzył swoją walizeczkę, wyjął strzykawkę i małą fiolkę, opatrzoną nalepką. Odpakował strzykawkę zębami, po czym wbił igłę w fiolkę.

— Dam pani zastrzyk z epinefryny, pani Pack. Za kilka sekund będzie pani mogła oddychać. Naciągnął skórę na jej ramieniu, a potem wbił igłę. Kiedy strzykawka była już pusta, odłożył ją na bok i poklepał kobietę po ręce. Spojrział w zmartwione oczy jej męża. — Z tobą wszystko w porządku, Barney?

— Ten był naprawdę ciężki, doktorze. Najgorszy ze wszystkich. Nie sądziłem, że uda się panu zdążyć na czas.

Rikki stała z boku, czując się niepotrzebna i bezużyteczna, lecz wdzięczna losowi, że Aaron przyjechał tak szybko. Już otwierała usta, żeby mu o tym powiedzieć, gdy nagle przyłożył głowę do piersi pacjentki.

— Odsuń się, Barney! — krzyknął stanowczo, a niezwykle poważny ton jego głosu zaskoczył wszystkich. — Połóż jej głowę na podłodze. Ona w ogóle przestała oddychać!

Przez następne pięć minut Rikki z przerażeniem i grozą obserwowała wysiłki Aarona, usiłującego przywrócić kobiecie życie. Na próżno. Ani tracheotomia, ani masaż klatki piersiowej, ani sztuczne oddychanie — nic nie dało rezultatu. Kobieta umarła wprost na podłodze. Rikki wydała z siebie jęk prawdziwego bólu i wtedy poczuła, że czyjeś ramiona obejmują ją od tyłu.

— Trzymaj się, panienko — powiedział Scooter miękko. — Doktor i tak będzie miał pełne ręce roboty, uspokajając Barneya.

Rikki odwróciła się i wsunęła w mocne ramiona szeryfa.

— Dlaczego, szeryfie, dlaczego? Czemu ona umarła? Dał jej zastrzyk, powiedział, że za chwilę wszystko będzie dobrze, a potem ona umarła. Co mogło się stać?

— Nie wiem, skarbie. Doktor powie nam, jak tylko będzie mógł.

Rikki odsunęła się, ocierając łzy, które strumieniem płynęły jej z oczu.

— Jak... jak długo już pan tu jest? — spytała.

— Niedługo. Moi ludzie organizują blokadę ulic. Przyszedłem tu, bo miałem nadzieję, że zdołam porozmawiać ze świadkiem. Zobaczyłem, co się dzieje i że ty nie wyglądasz najlepiej.

— Nic mi nie będzie — zapewniła.

— Powiesz mi, jak to się stało, że się tu znalazłaś? — zapytał uprzejmie.

W paru słowach opowiedziała mu o telefonie i umówionym spotkaniu z Rubinem Crutherssem. Łzy znowu popłynęły strumieniem i nie mogąc ich powstrzymać, zaczęła gorączkowo przetrzącać zawartość torebki w poszukiwaniu chusteczki. Po chwili, przelękając z trudem, wyprostowała ramiona i popatrzyła szeryfowi w oczy.

— Nietrudno się domyślić, skąd zabójca wiedział, gdzie szukać Cruthersa. Najwidoczniej słuchał audycji i zorientował się, kim jest mój rozmówca i gdzie go można znaleźć. Czego nie rozumiem, to jak udało mu się dopaść ofiary. Przecież Rubin rozpoznałby go od razu.

— Ja także się nad tym zastanawiałem. Wydaje mi się, że musiał go jakoś zwabić za ten śmietnik.

— Ale jak? Rubin na pewno miał się na baczności.

— Pieniędźmi, to bardziej niż prawdopodobne. Pewnie obiecał mu, że bardzo dobrze zapłaci, jeżeli Rubin nagle straci pamięć i będzie trzymał głowę na kłódkę.

Rikki przez chwilę rozważała to, a potem powoli pokiwała głową na znak zgody.

— Tak, myślę, że ma pan rację. Cruthers wydawał się zgorzkniały. Pieniądze z pewnością potrafiłyby sprawić, żeby zapomniał o strachu.

Szeryf otoczył ją ramieniem i poprowadził do frontowych drzwi. — Może pojechałabyś teraz do domu? Napiała się czegoś? Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiemy.

Zatrzymała się, kiedy przytrzymał otwarte drzwi i odwróciła, by spojrzeć mu w oczy.

— Wie pan, co jest w tym najzabawniejsze, Scooter? Wczoraj wieczorem byłam niemal pogodzona z tym, że nie zdołam odnaleźć mordercy moich rodziców. Dzisiaj wydaje mi się to nie do pomyślenia.

— Tak, dziś byłaś już, o, tak blisko — powiedział, pokazując palec wskazujący i kciuk, odległe od siebie o pół cala. — Masz prawo być rozzarowana, lecz nie poddawaj się. Tak jak ja to widzę, Cruthers był rzeczywiście zgorzkniałym facetem, a tacy ludzie często gadają bez opamiętania. Może powiedział komuś o tym, co widział. Mam zamiar wznowić śledztwo. Porozmawiać z każdym, którego Cruthers choćby wyminął na ulicy.

— Och, Scooter, na pewno pan się nie myli. Jestem tego pewna! Spontanicznie objęła szeryfa i uściskała go, lecz kiedy to robiła, jej wzrok padł na Aarona, nadal kuczającego obok męża zmarłej kobiety, którego najwidoczniej pocieszał, choć sam wyglądał, jak gdyby trzeba mu było solidnej dawki własnego lekarstwa.

— Proszę powiedzieć Aaronowi, że bardzo mu współczuję — powiedziała, odsuwając się od

szeryfa.

— Oczywiście. Na pewno będzie mu ciężko. Jest cholernie dobrym lekarzem, panienko. Jego pacjenci nieczęsto umierają.

Ramiona Rikki opadły.

— Życie jest czasami trudne do zniesienia, Scooter.

— To prawda, i dlatego proszę jechać ostrożnie, nie chciałbym, aby dziś stało się jeszcze trudniejsze.

\* \* \*

Zjechała z krawężnika. Przed oczami nadal miała martwe ciało Rubina Cruthersa. Nie mogła też pozbyć się myśli, że gdyby nie zaczęła swojej prywatnej kampanii schwytania mordercy, ten człowiek nadal by żył. Nie mówiąc już o tej biednej kobiecie, świadku morderstwa.

Łzy znowu zaczęły płynąć.

Była tylko o dziesięć mil od domu na wzgórzu, ale ponieważ nie mogła przestać płakać, droga zapewne potrwa wieki. Wróciła myślami do Bo i spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Czwarta. Może będzie już w domu. Miała taką nadzieję. Potrzebowała go, potrzebowała jego silnych ramion wokół siebie.

Otarła jeszcze jedną łzę i wjechała w jeden z tych ostrych górskich zakrętów.

Nie zauważyła wcześniej, że jest śledzona, więc kiedy tamten samochód uderzył w jej tylny zderzak, aż podskoczyła, zaskoczona. Jej głowa poleciała w przód, a potem w tył, tak silne było uderzenie. Nacisnęła mocno na hamulce, starając się zapobiec, by dżip nie zjechał na drugą stronę drogi, za którą rozciągało się strome zbocze.

— Przeklęty idioto! — krzyknęła w gniewie na kierowcę za sobą, którego zresztą nie mogła zobaczyć z powodu promieni słonecznych, które odbijały się od szyby tamtego samochodu.

Minęło zaledwie kilka sekund, lecz walka o odzyskanie panowania nad kierownicą wyczerpała ją. Rozglądała się właśnie za miejscem, gdzie mogłaby zjechać na pobocze, kiedy poczuła następne uderzenie.

— Cholera! — zakląła, czując słony smak krwi, cieknącej zdolnej wargi, przygryzionej najwidoczniej w chwili zderzenia. A potem zdała sobie sprawę, że ten samochód dalej tam jest, nadal popycha ją w kierunku niskiej barierki po przeciwnej stronie drogi, tuż przed następnym ostrym zakrętem.

Instynktownie nacisnęła na gaz i oderwała się od tamtego samochodu. Dżip skoczył ostro do przodu, a Rikki kurczowo trzymała kierownicę. Udało jej się nie wypaść z zakrętu, ale tym razem, doprawdy, niewiele brakowało.

Zadrzała, widząc, że samochód znowu zbliża się do niej, najwidoczniej z zamiarem powtórzenia całej operacji. Wstrzymała oddech i jeszcze mocniej wcisnęła pedał gazu.

Droga skręcała w lewo. Złapała się za prawe ramię, widząc, że wskazówka szybkościomierza zbliża się do osiemdziesięciu pięciu. Za szybko, za szybko. Przy tej szybkości nigdy nie zdoła wziąć następnego zakrętu. Odważyła się zerknąć w lusterko i jęknęła, widząc, że samochód znowu się do niej zbliża.

— Zostaw mnie w spokoju! — krzyknęła niepotrzebnie. Kiedy mijali następny zakręt, z lewej wyminął ich mały samochód. Rikki nacisnęła na klakson, łudząc się, że tamten kierowca da jej spokój, gdy zorientuje się, że mają świadka. Nic takiego się jednak nie stało. Gdy obcy samochód zniknął w oddali, jej prześladowca znów zaczął się przybliżać. Rikki jęknęła z frustracji i gniewu. Lecz kiedy minęli znak ostrzegający przed następnym niebezpiecznym zakrętem, znów nacisnęła pedał gazu. Szybkościomierz wskazywał teraz dziewięćdziesiąt mil na godzinę.



— O, Boże — szepnęła.

A potem zobaczyła go, wąski pas płaskiej ziemi po prawej. Nie była pewna, czy uda jej się zatrzymać dżipa dostatecznie szybko. Bardzo prawdopodobne, że rozbije się o skalną ścianę na końcu małego występu skalnego — alternatywą był jednak upadek ze zbocza po lewej. Nacisnęła mocno na hamulce, skręcając jednocześnie ostro w prawo. Samochód prześladowcy niemal przefrunął obok niej.

Kątem oka dostrzegła, jak stacza się ze zbocza, lecz była zbyt zajęta usiłowaniem zatrzymania własnego pojazdu, by dłużej się temu przyglądać. Niemal jej się udało. Ale niezupełnie. Cherokee zatrzymał się gwałtownie tuż przy skalnej ścianie.

Rikki poleciała w przód i uderzyła mocno głową o przednią szybę, lecz nie zemdlała. Słyszała kiedyś, że ofiary wypadków nie czują uderzenia, nigdy go nie pamiętają, lecz ona czuła wszystko. Usłyszała, jak szyba zabrzęczała w zetknięciu z jej czołem, poczuła uderzenie klatką piersiową o kierownicę, a także ból, kiedy zapięcie pasa bezpieczeństwa wpiło się jej w szyję.

Kilka minut zajęło jej uświadomienie sobie, iż poza niewielkimi obrażeniami, kilkoma siniakami i drobnymi rankami oraz wstrząsem nic się jej nie stało.

A potem przypomniała sobie tamten samochód... samochód, który usiłował zepchnąć ją z drogi.

Rozpięła pas, otworzyła drzwi i wydostała się z dżipa. Przez chwilę nie była pewna, czy zdoła utrzymać się na nogach. Przez jakiś czas zwisała oparta bezwładnie na drzwiach i próbowała się uspokoić, wdychając powoli wielkie hausty powietrza.

Była już niemal w połowie drogi, gdy usłyszała, że z tyłu zbliża się jakiś samochód. Odwróciła się i zaczęła wymachiwać ramionami, cofając się jednocześnie na wąskie pobocze, na wypadek, gdyby kierowcy nie udało się zahamować.

Mężczyzna siedzący za kierownicą półciężarówki zatrzymał wóz za jej zniszczonym samochodem i szybko wyskoczył ze swego wozu.

— Nic pani nie jest? — zawołał.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz była zbyt słaba, by krzyknąć. Potrząsnęła więc tylko głową i pokazała w dół, gdzie pośród zarośli, o sto stóp niżej, widać było dach samochodu.

— O, kurczę! — mruknął mężczyzna, gdy podszedł do niej i spojrzał na szczątki samochodu poniżej. — Proszę tu zostać. Niech pani zatrzyma kogokolwiek, kto będzie przejeżdżał i powie mu, żeby wezwał karetkę. Zejdę na dół i sprawdzę, czy ktoś tam jeszcze żyje. Choć nie wydaje mi się... — potrząsnął głową, ześlizgując się ze zbocza.

Rikki obserwowała, jak bardzo powoli opuszcza się w dół, gdy nagle jej uwagę zwrócił odgłos następnego nadjeżdżającego samochodu.

W ciągu kilku minut zatrzymały się jeszcze trzy pojazdy. Kierowca jednego pojechał zawiadomić o wypadku. Rikki wiedziała, że nie był to wypadek, ale nie sprostowała nieporozumienia.

Jedna z kobiet, która zatrzymała się, by sprawdzić, czy będzie mogła w czymś pomóc, zaprowadziła Rikki do swego samochodu, gdzie miała apteczkę.

— Postaram się zatrzymać to krwawienie na czole, skarbie. To nic poważnego. — Poklepała dłoń Rikki, którą trzymała w swoich dłoniach. — Wszystko będzie dobrze.

W pięć minut później Rikki nadal siedziała w jej samochodzie. Ze wschodu i zachodu słychać było zbliżający się dźwięk syren. Uświadomiła sobie, że karetka zapewne nadjedzie z zachodu, gdyż tam znajdował się szpital, a Scooter lub jego zastępcy ze wschodu, gdyż prowadzili tam śledztwo związane ze śmiercią Rubina Cruthersa. Zaśmiała się głucho. Dlaczego w ogóle zabawiała się w ten sposób, zgadując, z której strony nadjedzie jaki samochód? Co za różnica? Ktoś próbował ją zabić.

Mężczyzna, który zszedł, po zboczu do wraka znowu pojawił się na drodze. Rikki usłyszała, jak mówi do małej grupki, zebranej na poboczu:

— Nie żyje.

— Turysta? — zapytał inny mężczyzna.

— Nie wiem — odpowiedział pierwszy. — To kobieta, lecz jest tak poturbowana, że nie przyglądałem się zbyt. Sprawdziłem tylko puls. — Spojrzał na cherokee. — A co z tą drugą?

Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę.

— Ma szczęście, że żyje — odpowiedział jeden z mężczyzn. — Człowieku, widziałeś te ślady hamowania. Dla mnie wygląda to tak, jakby ten, który spadł, próbował zepchnąć dzipa z drogi.

Rikki wzdrygnęła się.

## ROZDZIAŁ 21

— Proszę posłuchać, nic mi nie jest — przekonywała Rikki lekarza, który nanosił jakieś notatki na jej kartę zdrowia. — Chcę wrócić do domu. Proszę.

Doktor opuścił kartę i uśmiechnął się.

— Uważam, że właśnie to powinna pani teraz zrobić, skoro już panią przebadaliśmy. Ale mam zamiar dać pani coś na nerwy, jakiś środek uspokajający.

— Wiem, co to jest środek uspokajający, doktorze, i nie chcę go — powiedziała, zsuwając się ze szpitalnego łóżka.

— Chcę tylko wrócić do domu. I do Bo.

Lekarz złapał ją jednak, gdy usiłowała prześliznąć się obok niego. Jego chwyt był zdecydowany, choć delikatny.

— Ohooo! Proszę tu wrócić i usiąść na chwilę. Chcę z panią porozmawiać.

Rikki; przewróciła oczami, lecz skapitulowała. Gdy już siedziała z powrotem na łóżku, w szpitalnej koszuli, obciążonej skromnie na biodrach i udach, westchnęła.

— No dobrze, doktorze. Proszę zaczynać wykład.

— Nie będzie żadnych wykładów, ani nic w tym rodzaju. Uderzyła się pani paskudnie w głowę. Lecz nie to mnie najbardziej martwi. Zastępca szeryfa, który panią tu przywiózł, powiedział, że ma pani za sobą bardzo frustrujące przeżycia, że przeżyła pani szok. Więc albo dam pani ten środek uspokajający — bardzo łagodny, tak że niemal nie zorientuje się pani, że w ogóle go wzięła — albo będę zmuszony nalegać, żeby została tu pani na noc.

Zanim Rikki zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i Aaron wsunął głowę do środka. Uśmiechnął się, kiedy go zobaczyła.

— Jak ona się czuje, doktorze Pond?

— Dałem jej ultimatum. Zastrzyk uspokajający albo noc w naszych apartamentach.

— Weź lekarstwo, Rikki. Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym spędzenia nocy w tym przytułku.

Rikki zmarszczyła nos.

— Sam powinienesz je wziąć. Wyglądasz na bardziej wykończonego niż ja.

Aaron wszedł do pokoju.

— Tak, chyba mogłabyś powiedzieć, że obojgu zdarzało nam się lepiej wyglądać. — Usiadł obok niej na łóżku i ujął jej dłoń w swoje ręce. — Pozwól, żeby doktor Pond dał ci ten zastrzyk, Rikki. Odprężysz się. — Sięgnął po kartę, przejrzał ją i zwrócił koledze. — To dawka dla dzieci, nawet nie poczujesz, że coś wzięłaś, a trochę cię uspokoi, — Mrugnął do niej i zapytał doktora Ponda: — Czy ja także mógłbym taki dostać?

— No dobrze! Wezmę zastrzyk. A potem pozwolicie mi się ubrać i pojechać do domu?

— Tak, ale będzie pani musiała się zgodzić, że zastępca Parker odwiezie panią — powiedział doktor Pond. — A w domu dwadzieścia cztery godziny odpoczynku i relaksu. Żadnego siadania za kierownicą, alkoholu, ćwiczeń fizycznych.

— Myślę, że mam lepszego kandydata na kierowcę, niż zastępca Parker.

— Ależ nie, Aaronie, powinienesz pojechać do domu, do dzieci i Pam. Wyglądasz tak, że bez wątplenia tobie samemu przydałoby się trochę relaksu.

— Byłoby mi bardzo miło dostarczyć cię do domu, lecz nie mówiłem o sobie. Ktoś tu się zjawił, gdy tylko w radiu podano wiadomość o twoim wypadku.

— Bo?

Drzwi otworzyły się i Sally Jane wsunęła głowę do środka.

— Czy mogę już wejść, Aaronie?

Rikki opanowała uczucie rozczerowania i z trudem uśmiechnęła się do przyjaciółki.

— Uciekaj, póki masz szansę — powiedziała. — Gdyż w przeciwnym przypadku zmuszą cię, żebyś odwiozła mnie do domu.

— Hej, nie ma problemu — odparła Sally Jane, wchodząc do pokoju. Podeszła do łóżka i przesunęła dłonią po włosach Rikki.

— Przykro mi z powodu tego, co się stało. To było okropne, prawda?

— Masz na myśli obrażenia? Jeśli tak, to muszę powiedzieć ci, że ty i Aaron wyglądacie gorzej ode mnie.

Twarz Sally Jane była zaczerwieniona i opuchnięta od płaczu. Wargi miała blade, a ręka, której pozwoliła pozostać na ramieniu Rikki, trzęsła się.

— Słyszałaś, kto był w tym drugim samochodzie? — spytała miękko.

— Tak. Waylin powiedział, że to była Lilah Montana, sędzina. Przyjaźniłaś się z nią?

Sally Jane skinęła głową.

— Nie masz pojęcia, jak się zdenerwowałam, gdy usłyszałam, że zostałam ranna, a ona zginęła w wypadku. Właśnie wychodziłam z biura, kiedy podali to przez radio. Powiedzieli, gdzie cię zawieźli, lecz musiałam odczekać chwilę, zanim mogłam usiąść za kierownicą. Inaczej dawno już bym tu była.

Rikki uściśnięła dłoń przyjaciółki.

— Nadal wyglądasz na wstrząśniętą, Sally Jane — zauważył Aaron. — Może powinienem odwieźć was obie.

— Bzdurą, nic mi nie jest. Znasz mnie, Aaron. Jestem silna jak skała. — Zachichotała cicho, a potem spojrzała na drugiego lekarza. — Czy możemy już się stąd zabrać?

— Mam zamiar zrobić pani Blue zastrzyk. Potem jedna z pielęgniarek pomoże jej się ubrać i będzie ją pani mogła zawieźć do domu. Lecz proszę się upewnić, że się położy. Wyjaśniłem już, co mam zamiar jej zaaplikować.

To łagodny środek, lecz może spowodować lekkie zawroty głowy. Nie chciałbym, żeby od razu tu wróciła, tym razem z powodu upadku.

Po dwudziestu minutach Sally Jane podjechała pod główne wejście szpitala. Pielęgniarka podwiozła Rikki na wózku.

— A teraz ostrożnie — powiedziała, pomagając Rikki przemieścić się z wózka na przednie siedzenie przestronnego lincolna towncar.

Rikki podziękowała jej, a potem z ulgą oparła głowę o podpórkę fotela.

— Zamknij oczy i odpręż się — powiedziała Sally Jane.

— Nie mogłabym utrzymać ich otwartych nawet, gdybym chciała — powiedziała Rikki niewyraźnie. — Jeżeli ten lek był łagodny, wolałabym nie przekonywać się, jak skutkują silne.

Wydawało jej się, że samochód zatrzymał się niemal natychmiast i Sally Jane powiedziała, że już są w domu.

Rikki udało się lekko uchylić powieki, lecz nawet to spowodowało, że zakreśliło jej się w głowie.

— Ale to nie jest... Nie, jesteśmy u mnie.

— Byłaś w takim stanie, że bałam się jechać z tobą dalej. Możesz u mnie odpocząć, Rikki, a potem, kiedy poczujesz się lepiej, odwiozę cię do domu.

Rikki była zbyt oszołomiona, by protestować. Pragnęła tylko się położyć. A potem pomyślała o Bo. Chciała, żeby był z nią. Nawet w stanie zamroczenia, w jakim się znajdowała, zdawała sobie sprawę, jak bardzo go potrzebuje.

— Zadzwoń do Bo — poprosiła.  
— Jak tylko cię ulokujemy — powiedziała Sally Jane, wysiadając z samochodu i okrążając go. — Oprzyj się na mnie.  
— Zadzwoń do Bo — powtórzyła Rikki.

\* \* \*

— Jakieś telefony? — zapytał Bo sekretarkę, wbiegając do swego biura i przytrzymując ramieniem teczkę.

— Nie, lecz Mary Beth jest w pańskim biurze.

— Wspaniale — powiedział, uśmiechając się szeroko.

Sekretarka odprowadziła go spojrzeniem, zaciekawiona nagłą zmianą, jaka zaszła w jej szefie.

— I co znalazłeś? — spytał bez żadnych wstępów, rzucając teczkę na mały okrągły stół, używany zwykle przy pomniejszych, nieoficjalnych konferencjach.

Mary Beth wyjęła spomiędzy zębów pióro, którym się bawiła.

— Domyślam się, że już wiesz. Ale skąd?

— Skąd wiem, co znalazłeś? Nie wiem, nie na pewno. Miałem po prostu nadzieję, że będzie to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy dwa i dwa dają po prostu cztery. No, dalej, mów.

— No cóż, tak, jak podejrzewałeś, sędzia Montana i Sally Jane należą do zarządu banku. A na dodatek są też partnerkami w spółce, zwanej M&M Investments. A teraz ja cię zapytam: i co z tego wynika?

Bo zdążył już wyciągnąć z teczki plik dokumentów. Rozłożył teraz przed swoją zastępczynią kopie aktów własności i plany działek, które uzyskał w biurze naczelnika urzędu podatkowego.

— Te działki zajmują pięćdziesiąt mil kwadratowych terenu w samym St. Joan i w okolicy. Zauważyłaś coś dziwnego?

Mary Beth przyglądała im się przez chwilę, a potem gwizdnęła cicho, przeciągle.

— O rany, chcesz powiedzieć, że M&M Investments posiada dwie trzecie gruntów na obszarze tych pięćdziesięciu mil?

— Tak... Wykupowali je powoli na aukcjach przez ostatnie dziesięć lat. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, sprzedali dwadzieścia procent swoich nabytków dużym spółkom, które wykupują ziemię pod parki krajobrazowe i inne atrakcje turystyczne.

— A M&M osiąga przy tym niezły zysk. Ale jak oni to zrobili?

— Pomyśl, Reynolds. M&M to sędzia Lilah Montana i Sally Jane Matthers.

— Tak, kapuje, i obie są w zarządzie banku. I co z tego wynika?

— Choćby to, że wiedzą od razu, gdy ktoś zalega ze spłatą. Zajmują wtedy dom na poczet długu, a potem zjawiają się w sądzie, żeby wykupić go za ułamek jego wartości.

— Czy to nie pogwałcenie ustawy o oszustwach i oszukańczych praktykach handlowych?

Bo potarł brodę, szorstką od jednodniowego zarostu.

— Ja też tak myślałem, lecz okazuje się, że nie. Oczywiście, nie ma wątpliwości, że mamy tu do czynienia ze złą wolą pożyczkodawcy, lecz wątpię, czy znajdzie się na to jakiś paragraf. Być może łatwiej byłoby to ścigać z powództwa cywilnego. Masz coś przeciwko paru nadgodzinom?

— Nadgodzinom? A co to takiego? — spytała Mary Beth zgryźliwie. Ponieważ prokurator zaniebował swoje obowiązki od tyłu tygodni, że trudno byłoby policzyć, jej tydzień pracy rzadko liczył mniej niż sześćdziesiąt godzin.

Bo roześmiał się i połaskotał ją pod brodą.

— Jesteś o wiele za ładna, żeby być taką spryciarą.

— Podczas gdy ja będę się zastanawiała, czy uznać to za komplement, może powiedziałbyś

mi, jak wpadłeś na trop tego łotrostwa.

— Słyszałaś o Rikki Blue, dziewczynie, która właśnie kupiła stację radiową? — Było to retoryczne pytanie. Wszyscy w promieniu dwustu mil od St. Joan słyszeli o tej znakomitości. Nie czekał więc na odpowiedź. — Jedna z jej słuchaczek zadzwoniła, skarżąc się na bank, który nagle odmówił pójścia na rękę swoim kredytobiorcom. Kiedy mówię nagle, mam na myśli ostatnie dziesięć czy jedenaście lat. W każdym razie Rikki poradziła jej, żeby skontaktowała się ze mną. A tak przy okazji, ta kobieta nazywa się Feona Franklin. Być może miałaś okazję z nią rozmawiać, choć ona akurat należy do tych, którym udało się uniknąć utraty własności.

— Być może wyjaśnia to, dlaczego sędzina próbowała zepchnąć Rikki Blue z drogi...

— Co takiego?

— Dziś po południu. Chyba jakieś dwie godziny temu. Mówili o tym w wiadomościach. Nie słuchałeś radia?

— Mary Beth, gdybym słuchał, to przecież bym nie pytał, prawda? Po prostu powiedz mi, co się stało. Czy Rikki jest ranna?

— Sędzina zginęła, Tę drugą kobietę chyba zabrali do szpitala.

— Kiedy? — zapytał ze ściśniętym gardłem, głosem zduszonym ze strachu.

— Jak już powiedziałam, parę godzin temu. Dlaczego pytasz? Czy ona jest twoją przyjaciółką?

Bo nie odpowiedział, lecz trzema wielkimi susami przebiegł pokój, złapał za słuchawkę i wybrał numer szpitala.

— Z pogotowiem — warknął, kiedy odezwała się operatorka centrali.

Po kilku nieskończonej długości sekundach na linii odezwał się męski głos:

— Pogotowie, tu doktor Pond.

— Doktorze, dzwonię, żeby dowiedzieć się o stan zdrowia Rikki Blue.

— A kto mówi? — zapytał doktor.

— Jezu! — mruknął Bo, potrząsając gniewnie głową. — Posłuchaj, chłopie, jestem jej, hmm, mężem. A teraz, u diabła, jak ona się czuje?

— Proszę chwileczkę poczekać — powiedział doktor. — Przełączam pana. Po chwili usłyszał głos innego mężczyzny.

— Bo?

— Aaron?

— Tak, kiedy doktor Pond powiedział mi, że dzwoni ktoś, kto podaje się za męża Rikki, od razu domyśliłem się, że to ty.

— Więc powiedz mi, co z nią.

— Parę siniaków i skaleczeń. Doktor Pond dał jej środek uspokajający i odesłał ją do domu jakąś godzinę temu.

— I tak po prostu pozwoliliście jej stamtąd wyjść? — krzyknął Bo.

— Hej, uspokój się, kolego. Oczywiście, nie pozwoliliśmy jej tak po prostu wyjść. Była dosyć wstrząśnięta. Słyszałaś, że sędzia Montana usiłowała zepchnąć ją z drogi?

— Tak, słyszałem, lecz gdzie teraz jest Rikki?

— Miałem zamiar odwiedzić ją do domu, lecz Sally Jane usłyszała o wszystkim przez radio i przyjechała. Zaoferowała się, że ją odwiedzie.

Bo zmarszczył brwi, wpatrując się w swoją asystentkę, choć tak naprawdę wcale jej nie widział. Widział lincolna towncar Sally Jane, wjeżdżającego do garażu, gdy prawie godzinę temu opuszczał gmach sądu.

Nie zastanawiał się nad tym wtedy. Imponujący dom Sally Jane znajdował się naprzeciw budynku sądu i Bo tak wiele razy widział jego właścicielkę wyjeżdżającą z garażu czy

wjeżdżającą, że niemal już tego nie zauważał.

— Hej, Bo, jesteś tam jeszcze? — dopytywał się Aaron.

— Tak, Aaron. Posłuchaj, powiedziałaś, że zwolniłaś ją jakąś godzinę temu?

— Tak, mniej więcej. Chcesz, żebym wziął jej kartę i powiedział ci, o której dokładnie?

— Nie, lecz chciałbym, abyś wsiadł w samochód, włączył sygnał i znalazł szeryfa Witcomba. Poślij go do Sally Jane. Jeśli zastaniesz go w biurze, dotrze tam w ciągu pięciu minut. Lecz jeśli go nie zastaniesz, znajdź go i przyślij.

— O co tu chodzi?

— Nie wiem na pewno, lecz wiem, że Sally Jane nie zawiozła Rikki do domu. Widziałem, jak wjeżdża do garażu jakieś pół godziny temu.

— I co z tego, pomyślała pewnie, że jazda do domu na wzgórzu będzie zbyt męcząca dla Rikki. Gdy wychodziła ze szpitala, była dość zamoczona.

— Po prostu poszukaj szeryfa, Aaron, natychmiast!

— Myślisz, że — zaczął Aaron, lecz Bo odłożył słuchawkę.

— Nie teraz. Mary Beth — powiedział, przesuwał dłońmi po włosach. Otworzył dolną szufladę biurka.

Oczy Mary Beth rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy spostrzegła rewolwer.

— Bo, ona tylko oszukała parę osób, a i to nie na pewno. Nie sądzę, żeby...

— Sama powiedziałaś, Reynolds, że sędzina próbowała dziś zepchnąć Blue z drogi, a ja mam takie dziwne przeczucie, że moja przyjaciółka Sally Jane dopuściła się czegoś o wiele gorszego.

— Zaraz mi powiesz, że to ona poderżnęła gardło temu biednemu facetowi dziś po południu.

Bo był już niemal przy drzwiach. Zatrzymał się.

— Jakiemu facetowi?

— Rubinowi Jakiemuśtam. Zadzwoił do rozgłośni podczas audycji twojej przyjaciółki. Czy ty nigdy nie słuchasz radia. Bo?

Przebiegł przez pokój i złapał ją za ramiona.

— Zadzwoił do rozgłośni, i co?

— Powiedział, że wie, kto zamordował doktora Granta. Twoja przyjaciółka miała spotkać się z nim po południu, lecz zgodnie z tym, co mówili w radiu, komuś udało się dopaść go wcześniej.

— O, Boże — jęknął Bo, wybiegając z biura. — Nie pozwól, żebym się spóźnił!

\* \* \*

— No co, wreszcie się obudziliśmy? — spytała Sally Jane. — Najwyższy czas. Leżałaś jak nieprzytomna prawie godzinę. Robi się późno.

Rikki zamrugnęła w świetle jaskrawej lampki, którą Sally Jane zapaliła obok łóżka.

— Przepraszam, nie sądziłam, że zasnę. Przetarła oczy, a potem przesunęła językiem po wargach. — Masz może coś do picia, Sally Jane? Czuję się, jakby ktoś wypchał mi usta watą.

— Przyniosłam ci szklankę wody. Pomyślałam, że możesz być spragniona.

Rikki uśmiechnęła się z wdzięcznością i łapczywie wypila wodę.

Sally Jane przyciągnęła sobie krzesło i ustawiła je u wezłowania łóżka.

— Obudziłaś się już na tyle, żeby rozmawiać?

— Jasne — odparła Rikki niepewnie. O czym Sally Jane mogłaby chcieć z nią rozmawiać?

— To dobrze. Miałam ciężki dzień.

Rikki przypomniała sobie mężczyznę, leżącego za śmietnikiem, z szeroko poderżniętym gardłem, a potem samochód, który chciał ją zepchnąć z szosy. Jęknęła. Wiedziała wszystko o złych dniach.

— Byłyśmy kochankami, ja i Lilah — stwierdziła Sally Jane bez ogródek. — Lilah Montana, ta sędzina. Kobieta, która dzisiaj zginęła, pamiętasz? To dobrze. — Roześmiała się. — Nie, nie winię cię za to. Nie powinna była próbować zepchnąć cię z drogi. To było niemądre. Przecież zajęłabym się wszystkim. Jak zawsze... z wyjątkiem tatusia.

Rikki nadal nie rozumiała. Z zakłopotaniem potrząsnęła lekko głową.

— Miałam siedemnaście lat, gdy zdałam sobie sprawę, że chłopcy nie podobają mi się tak jak innym dziewczętom. Stało się tak w dużej mierze za sprawą tatusia, lecz czy wiesz, kto pomógł mi uświadomić to sobie? Twoja matka. — Uśmiechnęła się. — Zdziwiona? Ja też byłam zdziwiona, możesz mi wierzyć. Pewnie nie pamiętasz tego okresu, gdy często wpadałam do was po szkole. Miałas wtedy tylko trzynaście czy czternaście lat i z pewnością nie interesowała cię jakaś niezbyt atrakcyjna dziewczyna, którą twoja matka wzięła pod swoje skrzydła. — Sally Jane uśmiechała się, lecz jej oczy skierowane były na sufit, gdy tak wspominała ten dawno miniony, szczęśliwy okres. — Z początku byłam bardzo onieśmielona. Ona była tak niesamowicie piękna. I nie chodziło tu tylko o urodę. Nawet kiedy zdałam sobie sprawę, że jestem w niej zakochana i powiedziałam jej o tym, nadal była dla mnie miła. Powiedziała mi, że rozumie, lecz kocha swego męża. — Sally Jane zmarszczyła z niesmakiem nos. — Jak mogła być zakochana w kimś tak starym? Nie mogłam wtedy tego zrozumieć. I nadal nie potrafię.

Dreszcz strachu przebiegł Rikki po grzbiecie, gdy w końcu zaczęła rozumieć. Zadrżała.

— Zimno ci? — spytała Sally Jane troskliwie, sięgając po szydełkową narzutę, która leżała w nogach łóżka. Okryła nią Rikki, wyjęła jej z rąk pustą szklanekę i postawiła na nocnym stoliku. — Lepiej? To dobrze. Nie chcę, żebyś coś cię rozpraszało. Chcę, żebyś wysłuchała mojej historii. Teraz, kiedy Lilah odeszła, nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

— Sally Jane, poczekaj. Nie musisz mi tego mówić. To zbyt osobiste. To znaczy, cieszę się, że moja mama nie poczuła się obrażona, lecz...

— Zamknij się! — krzyknęła Sally Jane, uderzając dłońmi o krawędź blatu stolika. Przez kilka sekund zdawała się walczyć, aby odzyskać panowanie nad sobą, lecz kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był spokojny, a spojrzenie dziwnie puste.

— Pamiętasz pewnie Bunny Apperson i Cindy Rachwalski. To były rozrywkowe dziewczyny. Lubiły się bawić i nie sprawiało im specjalnej różnicy, czy zabawiały się z chłopcami, czy z dziewczętami. Przez jakiś czas naprawdę dobrze się bawiłyśmy. Stałyśmy się sobie bardzo bliskie. A potem poznałam Lilah. Ona od dawna wiedziała, że jest lesbijką. Nie wiem, jak odgadła prawdę o mnie — zawsze mówiła, że po prostu to dostrzegła. Od razu zostałyśmy kochankami. A potem, oczywiście, zaczęłyśmy robić razem interesy.

Sally Jane wstała i zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

— Byłyśmy takie sprytne. Nikt się niczego nie domyślał. — Zatrzymała się, odwróciła do Rikki, uśmiechnęła i znowu zajęła swoje miejsce u wezgłowia łóżka. — Oczywiście, popełniłam błąd, mówiąc o wszystkim Bunny i Cindy. Cindy powiedziała swemu przyjacielowi, Lonny'emu Roperowi, i razem próbowali mnie szantażować. Głupcy, głupcy, głupcy!

Fale strachu wręcz zalewały Rikki. Działanie leku, który zaaplikował jej lekarz, zaczęło już słabnąć i choć nadal nie była w stanie myśleć zbyt jasno, zdawała sobie sprawę, że musi wydostać się z tego pokoju. Z tego domu. Pytanie tylko, czy nawet gdyby udało jej się jakoś opóźnić Sally Jane, zdobyć nad nią przewagę, zdołałaby zejść sama po schodach? Czy nie upadłaby, raniąc się poważnie i pozbawiając tym samym wszelkich szans na ucieczkę? Chyba nie.

Zdecydowanie nie, pomyślała, czując jak zalewa ją kolejna fala mdłości.

— I na tym by się skończyło, gdyby doktor Grant nie zaczął się bawić w psychologa, próbując zgadnąć, kto i dlaczego i sporządzając jakieś listy.



— I dlatego zabiłaś moich rodziców? — spytała Rikki. — Przed chwilą powiedziałaś, że kochałaś moją matkę. To bez sensu.

— Och, nie myśl, że chciałam ją zabić. Nienawidziłam tego. — Sally Jane objęła się ramionami, jakby na samo wspomnienie tego morderstwa zrobiło jej się zimno. — Zabiłam ją szybko, Rikki, więc nie cierpiała. — Zaczęła się śmiać. — Ale twój ojciec dostarczył mi więcej rozrywki.

— Jesteś chora — szepnęła Rikki. Zaczęła się cofać na łóżku, aż wreszcie przywarła plecami do kąta pomiędzy ścianą a wezłowiem.

— Dlaczego ludzie zawsze od razu to zakładają? To, że nie boimy się zrobić tego, co musimy, nie znaczy jeszcze, że jesteśmy chorzy. Och, Rikki, co za rozczarowanie. I to właśnie ty! Taka inteligentna, tak przewyższająca innych pod wieloma względami. Myślałam, że okażesz się inna. — Uderzyła dłońmi w kolana i wstała. — No trudno. Lilah miała rację. — Roześmiała się. — Jak zwykle zresztą.

Podeszła do francuskiego okna, które wychodziło na taras z tyłu domu. Zaczęła znowu mówić, nie odwracając się.

— To ona upierała się, że tatuś musi odejść, wiesz?

Rikki nie odpowiedziała. Strach odebrał jej mowę.

— Nie potrafił zaakceptować mojej zażyłości z Lilah. Ilekolwiek bym mu wyjaśniała, i tak nie potrafił zrozumieć. Więc Lilah zepchnęła go z szosy. W wiadomościach powiedzieli, że samochód wyleciał w powietrze. Oczywiście, już o tym wiedziałam. Lilah upewniła się, że nie żyje. Spojrzała przez ramię. Nienawidziłam tego, że musimy go zabić. Byłam taka rozczarowana, że nie potrafi nas zaakceptować. Dlaczego, przecież ja rozumiałam wszystko, nawet, kiedy zabił mamę. Była niedobra. Chciała zabrać mnie od niego i nie dopuścić, żeby jeszcze kiedykolwiek mnie zobaczył. Mówiłam ci o tym? Nie? — Wskazała na łóżko. — Leżałam właśnie tu, gdzie ty teraz, kiedy to zrobił. A ona stała przy oknie, wyglądała na ogród, tak jak teraz ja. Miałam wtedy tylko pięć lat, gdy on wszedł i pchnął ją nożem, ale pamiętam to. Byłam przerażona, dopóki nie wytłumaczył mi wszystkiego. A potem już wiedziałam, że miał rację. — Otworzyła drzwi na taras. — Czy ty także tak bardzo lubisz wiosnę? Wszystko wydaje się takie nowe i czyste.

Rikki pomyślała, że teraz nadarza się szansa ucieczki, lecz kiedy tylko się poruszyła, Sally Jane odwróciła się i szybko podeszła do łóżka.

— To dlatego byłam tak cholernie wściekła, kiedy odwrócił się ode mnie. Ja rozumiałam to, co on robił. Nienawidziłam tego, lecz rozumiałam.

— A co on takiego robił, czego tak bardzo nienawidziłaś? — spytała Rikki, mając nadzieję, że jej głos nie odzwierciedla przerażenia, jakie odczuwała.

— Och, wiesz — zachichotała Sally Jane. — To, co wszyscy mężczyźni uważają za najważniejsze na świecie.

— Twój ojciec miał z tobą stosunek? — spytała Rikki głosem, którego nie była już w stanie kontrolować.

Sally Jane oparła głowę o framugę.

— Wiesz, myślę, że to dlatego mama tak się na niego wściekła.

Nagle odeszła od okna, przeszła przez pokój i wyciągnęła rękę po swego jeńca. Gdy Rikki cofnęła się gwałtownie, wyciągnęła nóż, ukryty dotąd pomiędzy fałdami spódnicy. — Chodź, kochanie, spójrz tylko na mój ogród — powiedziała miękko, ściągając Rikki z łóżka i obejmując ją ramieniem za gardło.

Pomimo zalewającej ją fali paniki, Rikki starała się za wszelką cenę odzyskać nieco zimnej krwi. Pozwoliła powlec się przez pokój, a nawet udało jej się wymyślić pytanie, które mogło zapewnić jej nieco czasu.

— Chcesz, żebym popatrzyła na twój ogród, zanim mnie zabijesz? — spytała głosem, zduszonym nieco z powodu ściśniętego gardła, lecz mimo to zadziwiająco spokojnym.

— No cóż, tak — powiedziała Sally Jane radośnie, chwytając ją mocno za włosy.

— I nie przejmujesz się, że mogłabym krzyknąć? — spytała Rikki, pozwalając wywlec się na taras.

— Oczywiście, że nie. Jesteś dostatecznie inteligentna, by wiedzieć, że będzie to niemożliwe, kiedy poderżnę ci gardło. — Nadal trzymając jej głowę w silnym uścisku, zmusiła Rikki, żeby oparła się o niski murek. — Widzisz te bzy? To ulubione bzy mamy. Posadziłam je na jej grobie, tak żeby mogła cieszyć się ich zapachem każdej wiosny. Nie sądzisz, że to by się jej spodobało?

— Sally Jane! — krzyknął ktoś od drzewi.

Obie kobiety podskoczyły, zaskoczone i Rikki poczuła, jak ostrze noża przecina jej skórę. Krew trysnęła jej na łopatkę. Chciała wykrzyknąć imię Bo, lecz głos, który wydobył się z jej gardła, był tylko szeptem.

Stał tam w gęstym półcieniu holu, widoczny tylko jako ciemna sylwetka.

Sally Jane pochyliła lekko głowę na bok, przez chwilę zdawała się zmieszana, aż wreszcie uśmiechnęła się.

— Tatuś? — Przywarła policzkiem do barków swego jeńca i Rikki poczuła, jak jej usta rozciągają się w szerokim uśmiechu. — Pokazywałam mojej przyjaciółce kwiaty mamy. Nie złość się, ona nikomu nie powie.

— Nie jestem zły, Sally Jane — powiedział Bo spokojnym, równym głosem. — Jakim cudem potrafi być tak opanowany, pomyślała Rikki. — Może byś tak puściła przyjaciółkę, żebyśmy mogli porozmawiać?

— Nie! Wiem, co chcesz zrobić. Chcesz dać mi klapsa.

— Dlaczego miałbym to zrobić, Sally Jane? — spytał Bo, walcząc z ogarniającym go uczuciem paniki i z całej siły powstrzymując się, by nie zacisnąć dłoni w pięści.

— Nie wiem — odparła Sally Jane piskliwym głosem małej dziewczynki. — Zawsze to robisz. To dlatego tak starannie układam buty obok łóżka, żebyś mógł wybrać sobie ten, którego będziesz chciał użyć. — Umilkła, a potem odwróciła się nagle i ruszyła w stronę łóżka, wlokąc za sobą Rikki, a kiedy znowu się odezwała, jej głos rozbrzmiewał gniewnym protestem. — Ale nie możesz tego zrobić! Ty nie żyjesz! Lilah mi powiedziała! Nie żyjesz!

Rikki dosłyszała panikę i niepewność w głosie Sally Jane, ale w tej samej chwili dostrzegła także buty. Sześć. Wszystkie nie do pary. Rozpoznała dwa z nich. Mały satynowy kłapek, który należał kiedyś do jej matki i podniszczony mokasyn, którego jej ojciec nie chciał się pozbyć, nawet gdy Linda kupiła mu nową parę.

Rikki krzyknęła, dziki gniew, jaki ją ogarnął, przewyciężył wreszcie działanie leku i strach. Użyła całej swej siły, żeby spróbować wyrwać się z uścisku wariatki.

Nóż zagłębił się mocniej w jej ciało, lecz nie zwracała na to uwagi. Nie miała zamiaru umierać w ten sposób. Nie teraz, kiedy znalazła wreszcie szaleńca, który zaszlachtował jej rodziców.

Walka sprawiła, że przesunęły się znowu bliżej tarasu, zmagając się z sobą, przepychając się wzajemnie... żadna z nich nie pamiętała teraz o Bo.

Rikki była o kilka centymetrów wyższa, bardziej umięśniona i wygimnastykowana, lecz siła Sally Jane była siłą szaleńca.

Bo podbiegł do balkonu, krzycząc na Sally Jane, lecz narastający w oddali dźwięk syren zagłuszył jego głos. Zatrzymał się więc i uniósł rewolwer, modląc się o czysty strzał, który mógłby dosięgnąć Sally Jane, nie raniąc przy tym Rikki.

Rikki tymczasem udało się chwycić dłoń Sally Jane i odsunąć nóż nieco od swojej szyi. Gdy groźba poderżnięcia gardła została czasowo zażegnana, uderzyła Sally mocno w żebra, a potem z

całej siły stanęła jej na nodze. Sally Jane rozluźniła uścisk i Rikki wyswobodziła się.

Dźwięk, który wydobył się z gardła Sally Jane, w niczym nie przypominał ludzkiego głosu, brzmiał raczej jak ryk rozwścieczonego zwierzęcia. Bo nacisnął spust, gdy tylko Rikki odsunęła się z linii strzału, a Sally Jane uniosła nóż, celując w plecy swej niedoszłej ofiary.

Nie rozległ się żaden krzyk, gdy siła uderzenia przerzuciła Sally Jane przez balustradę. Usłyszeli tylko głuchy łoskot, kiedy jej ciało uderzyło o brukowaną podłogę patio poniżej.

— Już po wszystkim, Blue — powiedział Bo, biorąc ją w ramiona. Nie spojrzała na niego. Przycisnęła tylko twarz do jego koszuli, pozwalając mu tulić się, kiedy płakała.

W tej chwili do pokoju wpadł Scooter Witcomb, a tuż za nim dwaj jego zastępcy.

— Bo? Rikki? Z wami wszystko w porządku?

— Może niezupełnie w porządku, szeryfie, lecz w każdym razie żyjemy. Rikki została ugodzona nożem, ale to chyba nic poważnego.

— Dobrze się czujesz, panienko?

Rikki uśmiechnęła się z trudem.

— Chyba tak, Scooter.

— To wspaniale, panienko. To naprawdę wspaniale. — Poklepał ją po ramieniu, a potem zwrócił się do Bo. — Co tu się, u diabła, wydarzyło?

— Sally Jane próbowała zabić Rikki. Zastrzeliłem ją. Jest tam, na dole — wyjaśnił Bo, wskazując głową taras.

— Do diaska, chłopcze, tyle to i ja wiem. Ale dlaczego?

— Myślę, że jak na razie taka odpowiedź wystarczy — powiedział Bo, wskazując równy rząd butów nie od pary, ustawiony starannie na podłodze obok łóżka. — Jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś pytania, odpowiemy na nie jutro.

Szeryf zdjął stetsona i przesunął dłonią po swojej kudłatej głowie.

— Tak, no cóż, to chyba wszystko wyjaśnia, nie?

## ROZDZIAŁ 22

Rikki nie chciała wracać do szpitala. Lecz Bo nalegał, a szeryf także go poparł. Kiedy doktor Pond odmówił wypuszczenia Rikki po zbadaniu jej, nalegając, żeby została na noc w szpitalu, popatrzyła na Bo, który tylko wzruszył ramionami. Zwróciła się więc znów do doktora:

— Ale przecież powiedział pan, że obrażenia są powierzchowne.

— Bo są — odparł doktor Pond, ściskając ją pocieszająco za ramię. — Ale przeżyła pani dwa okropne ataki w ciągu niespełna sześciu godzin, z których każdy mógł spowodować szok. To zbyt wiele jak dla jednej osoby. Nie sądzę co prawda, żeby skończyło się to jakimiś poważniejszymi konsekwencjami, lecz lepiej mieć na panią oko dziś w nocy.

Rikki poddała się bez dalszych kłótni. Była zbyt zmęczona, żeby się sprzeczać. Uśmiechnęła się słabo do Bo.

— No cóż, skoro tak, równie dobrze możesz już iść do domu.

— Nie ma mowy. Zostaję z tobą.

Doktor Pond podniósł się ze stolka, na którym siedział.

— W porządku, zatem proszę się położyć i odpoczywać. Zaraz zjawi się tu asystentka i zabierze panią do jej pokoju. Przy drzwiach zatrzymał się. — A tak, przy okazji, panno Blue, bardzo się cieszę, że zamieszkała pani w naszym pięknym miasteczku. Pani sama dostarcza mi więcej pracy, niż miałem przez całe trzy lata, odkąd tu przyjechałem.

— Ha, ha, ha — wynagrodziła go Rikki.

Bo nie słuchał już dalszej wymiany zdań. Myślał o tym, co powiedział lekarz, o tym, że Rikki zamieszkała w St. Joan. Czy naprawdę? A może teraz, gdy osiągnęła to, po co przyjechała, po prostu zamknie sklepik i wróci z powrotem do Bostonu?

Zadawał sobie to pytanie przez całą noc, którą spędził przy jej łóżku, a także rano, kiedy odwoził ją do domu. Postanowił, że porozmawia z nią, gdy tylko zostaną sami.

\* \* \*

— Jesteś jakiś milczący — stwierdziła Rikki, gdy wyjeżdżali ze szpitalnego parkingu.

— To tylko zmęczenie — mruknął.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego ramienia.

— Powinieneś był pojechać do domu wczoraj wieczorem, zamiast siedzieć przy moim łóżku.

Odpowiedział uśmiechem, który zawsze powodował, że serce zaczynało jej szybciej bić w piersi.

— Nie mogłem postąpić inaczej.

Westchnęła przeciągle, z satysfakcją. Wszystko skończone. Teraz będzie mogła pomyśleć o życiu z mężczyzną, którego kochała od ponad dziesięciu lat. Zaczęła o tym mówić, ale zmieniła zdanie. Jeszcze nie teraz. Poczeka, aż dojadą do domu. Chciała, by ją przytulał, chciała czuć jego ramiona wokół siebie, gdy powie mu o swoich uczuciach.

Bo włączył radio.

„A teraz wiadomości lokalne. Rikki Blue, sławna prezenterka radiowa, która ostatnio powróciła do St. Joan, ledwo uniknęła wczoraj śmierci, i to nie raz, ale dwa razy. Jednakże dwie inne mieszkanki St. Joan nie miały tyle szczęścia. Sędzia Lilah Montana zginęła, gdy przypuszczalnie próbowała zepchnąć pannę Blue z autostrady Butter Forest wczoraj po południu. Następną ofiarą była Sally Jane Matthers, która zgodnie z tym, co twierdzi szeryf Witcomb,

została zastrzelona w swoim domu podczas próby zamordowania panny Blue. Nie znamy jeszcze wszystkich faktów, lecz nasz reporter dowiedział się, że panna Matthers i sędzia Montana były partnerkami w firmie, podejrzanej o oszustwa na rynku nieruchomości. Cała ta sprawa została wykryta przez prokuratora, Keena Bohannona. Będziemy...”

— Wyłącz to, Bo — powiedziała Rikki słabo, a kiedy radio umilkło, zwróciła głowę w jego stronę. — Czy już podziękowałam ci za uratowanie mi życia wczoraj wieczorem?

— Nie w tak wielu słowach.

Uśmiechnęła się.

— Skąd wiedziałeś, że jestem u Sally Jane?

— Czysty przypadek, dziecino. Pracowałem z Mary Beth nad tymi oszustwami, i ona przypadkiem wspomniała o wypadku z sędzią. Nie słyszałem o tym. A potem powiedziała mi o Cruthersie. Zadzwoiłem do szpitala, a Aaron poinformował mnie, że Sally Jane zabrała cię do domu. Lecz ja wiedziałem lepiej, ponieważ widziałem, jak wjeżdża do swego garażu. Miałem szczęście. Gdybym wyszedł z sądu minutę później, albo minutę wcześniej, w ogóle bym jej nie zauważył.

— Ale czy wiedziałeś, że będzie próbowała mnie zabić?

— Nie miałem pewności, lecz w powiązaniu z tym, że Lilah i Sally Jane były współniczkami, a sędzina próbowała zepchnąć cię z szosy w parę minut po tym, jak ktoś zamordował świadka... — potrząsnął głową. — Zbyt wiele przypadków, jak na mnie.

Rikki zadrżała, kiedy uświadomiła sobie, jakie miała szczęście. Gdyby Bo w porę nie odkrył powiązań pomiędzy dwiema kobietami...

Odsunął zablakany kosmyk z jej policzka.

— Nie myśl już o tym, Blue.

Lecz ona nie mogła o tym nie myśleć.

Ponieważ odkrycie, kim był morderca jej rodziców, nie obyło się bez kosztów. Życie kilkorga ludzi zostało wyrwone do góry nogami. A poza tym w pewnym sensie współczuła nawet Sally Jane, która już jako małe dziecko padła ofiarą straszliwej przemocy, nie mówiąc już o kazirodczych stosunkach, do jakich zmuszał ją ojciec. Rikki nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jakie spustoszenie musiało wywołać podobne wychowanie w umyśle dziecka i współczucie walczyło w niej z zadowoleniem, że ta kobieta już nie żyje.

Pomyślała o taśmach, nagranych przez jej matkę i doktora Granta, które nadal spoczywały w zapieczętowanych pudłach. Czy doktor Grant wiedział, że Sally Jane była jako dziecko wykorzystywana seksualnie? Czy jej nazwisko znajdowało się pośród innych? Westchnęła. Nigdy się tego nie dowie. Teraz nie miało to już znaczenia. Jak tylko się da najwcześniej, odeśle pudła z powrotem do magazynu, gdzie stały sobie spokojnie przez ostatnich dziesięć lat. Miała zamiar zostawić za sobą przeszłość. Spojrzała na Bo. No cóż, może nie całą przeszłość. Wykrzywiając usta w czymś, co było zaledwie cieniem uśmiechu, westchnęła znowu z zadowoleniem. Jak miło będzie wrócić do domu, być tylko z Bo.

Lecz kiedy skręcili w drogę, prowadzącą do domu na wzgórzu, gwałtownie wyprostowała się na siedzeniu. Na podjeździe parkowało co najmniej tuzin samochodów.

Bo sięgnął po jej rękę i położył ją sobie na kolanie.

— Wygląda na to, że prasa ma do ciebie słówko.

O, Boże, skąd wiedzieli, gdzie jej szukać? Ścisnęła dłoń Bo.

— Chcesz, żebyśmy pojechali do domku? Mogę cię tam przemycić, a potem wrócę tu i rozprawię się z nimi.

Rikki przygryzła wargę, a potem pokiwała przecząco głową.

— Nie, równie dobrze mogę przejść przez to teraz. Nie znasz ich tak jak ja. Są nieustępliwi,

niczym pitbulle. Nie odejdą, dopóki nie zdobędą solidnego kęsa Rikki Blue.

Nie przeszli nawet kilku kroków w stronę stopni tarasu, kiedy przystawiono im mikrofony do twarzy i Bo mógł tylko z podziwem obserwować, jak sprawnie Rikki radzi sobie, odpowiadając na istną lawinę pytań. Oparta o jego ramię, zdawała się czerpać z niego siłę. Co napawało go dumą, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę doskonale poradziłaby sobie sama, co trochę go przerażało.

W pół godziny po przybyciu do domu, Rikki uniosła dłoń.

— To na razie wszystko, chłopcy. Jestem naprawdę wykończona. Dziękuję za wyrozumiałość. A teraz, jeżeli macie jeszcze jakieś pytania, proponowałabym, żebyście zwrócili się z nimi do szeryfa.

Kilku co bardziej upartych dziennikarzy nalegało, by odpowiedziała jeszcze na ich pytania, lecz Rikki potrząsnęła głową:

— Wystarczy.

Bo zrozumiał wskazówkę, objął ją mocno ramieniem i poprowadził po schodkach. Lecz tłum, który oczekiwał ich na tarasie, był chyba jeszcze większy niż banda dziennikarzy na dole.

— O, Boże — mruknął.

Rikki rozpoznała kilka twarzy — Petite, Carrie, Danny'ego i Marylou — lecz w większości byli to sami nieznajomi.

— Kim oni są? — spytała Bo.

Lecz zanim zdążył odpowiedzieć, przez tłum przepchnęła się jakaś kobieta. Podeszła do Rikki i uścisnęła jej dłoń.

— Mam nadzieję, że nie weźmie nam pani tego za złe. Lekarz w szpitalu powiedział, że wraca pani do domu. Chcieliśmy tu panią przywitać, powiedzieć, jacy jesteśmy wdzięczni za wszystko, co pani dla nas zrobiła.

Rikki uśmiechnęła się słabo.

— Pani mnie nie zna, pani Blue — mówiła dalej kobieta. — Jestem Amanda Durant. Moja córeczka, Molly, była jednym z tych dzieci, które wielebny Pearson... no, wie pani. Mój mąż i ja wiele pani zawdzięczamy. Nie sądziliśmy już, że kiedykolwiek dowiemy się, kto ją zamordował, ale dzięki pani możemy teraz pozwolić jej odejść. Pozwolić, żeby spoczęła w pokoju. To właśnie pani to zawdzięczamy, pani Blue. Spokój ducha.

Rikki uśmiechnęła się, zaczęła jej dziękować, lecz teraz przed tłum wysunął się mężczyzna, który wystąpił z podobną przemową. Jego córka też była jedną z ofiar pastora.

Z boku podeszła kobieta, trzymająca w dłoniach ogromny bukiet kwiatów.

— To od wszystkich tych, którzy stracili domy na rzecz banku, pani Blue. Dziś rano zadzwonił jakiś urzędnik. Wygląda na to, że mają zamiar pomóc nam odzyskać naszą własność. Zawdzięczamy pani tyle, że nie będziemy w stanie kiedykolwiek się odplacić.

Rikki obrzuciła Bo pytającym spojrzeniem.

— Wczoraj wieczorem, gdy ty już spałaś, rozmawiałem ze Scooterem. Opowiedziałem mu o tych machlojkach, dzięki którym sędzinie i Sally Jane udało się wykupić tyle gruntów. On zaś dał oświadczenie do prasy. Było w wiadomościach, więc to pewnie dlatego bank od razu przystąpił do działania.

— Tak właśnie zrobili, młoda damo — powiedział jakiś staruszek z tyłu. — A wszystko to dzięki tobie.

Rikki potrząsnęła głową.

— Ja tylko wyciągnęłam te problemy na światło dzienne. To wy sami sobie pomogliście, ponieważ nie pozwoliliście, żeby pozostały w ukryciu. A co do wielebnego, powinniście podziękować Carrie Pearson. To ona znalazła dowody jego winy. — Uśmiechnęła się, co

wymagało większego wysiłku, niż mogła sobie wyobrazić. Z każdą chwilą czuła się bardziej zmęczona. — Jestem wam wdzięczna, że przyszlście, lecz chyba muszę się na chwilę położyć.

Rozległ się szmer rozczarowania, lecz ludzie, którzy przyszli tu, by jej podziękować, nie upierali się, by męczyć ją dłużej, choć nalegali, żeby obejrzała prezenty, które dla niej przynieśli.

Petite i Carrie wysunęły się, by jej pomóc, gdy przyjmowała podarki. Były tam domowe dania, olbrzymie bukiety, ręcznie zdobione poduszki i wiele innych rzeczy.

Po następnych piętnastu minutach ostatnie prezenty zostały wręczone i Rikki została wreszcie sama z ludźmi, których znała.

— Przepraszam cię za to — powiedziała Petite. — Carrie i ja przyszłyśmy, bo martwiłyśmy się o ciebie. Nie miałyśmy pojęcia, że zwali się tu połowa mieszkańców St. Joan.

Rikki uśmiechnęła się.

— Wszystko w porządku. To dobrzy ludzie. Zarówno ona sama, jak inni ze zdziwieniem dostrzegli, że mówiąc to, miała łzy w oczach.

— Dobrze się czujesz? — spytała Carrie.

Rikki skinęła głową, ocierając łzy czubkami palców.

— Nieco zakłopotana i przytłoczona, ale poza tym wszystko w porządku.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, z tyłu dał się słyszeć czyjś donośny głos.

— Kit! — zawołała Rikki, odwracając się i rzucając w ramiona przybysza. Przytuliła się do niego mocno.

Bo poczuł, jak serce ucieka mu do pięt. Facet był nieprzyzwoicie przystojny, a radosny okrzyk Rikki mówił sam za siebie. Mógł tylko stać tam i cierpieć, obserwując, jak się obejmują.

— Co ty tu robisz? — spytała wreszcie Rikki.

— A co ty sobie, u diabła, myślałaś? Kiedy ostatni raz z tobą rozmawiałem, o mało co nie zostałaś zamordowana przez handlarza kradzionymi samochodami, potem odkryłaś mordercę, a z tego, co mówią w radiu, zrozumiałem, że ledwie uniknęłaś zepchnięcia z szosy, po to by zaraz omal nie zginąć z podejrzanym gardłem z ręki jednej ze swoich przyjaciółek. — Odsunął się, by lepiej przyjrzeć się bandażom, okrywającym jej rany. — Powiedziałem Sadie, iż mam nadzieję, że zdążymy tu dotrzeć, nim komuś wreszcie uda się ciebie dopaść.

— Nic mi nie jest, naprawdę.

Kim, u diabła, jest Sadie? zastanawiał się Bo.

— A gdzie ona jest? — dopytywała się Rikki, spoglądając ponad ramieniem mężczyzny, którego nadal nie wypuszczała z objęć.

— Sadie? Zaraz tu będzie. Chciała poprawić makijaż. Te kobiety!

Rikki roześmiała się.

— Uwielbiasz nas i doskonale o tym wiesz.

— Jedną na pewno uwielbiałbym o wiele bardziej, gdyby nieustannie nie przerażała mnie niemal na śmierć — powiedział z uśmiechem, który — czego Bo po prostu nie mógł nie zauważyć — czynił go jeszcze przystojniejszym.

Kit dostrzegł spojrzenie Bo i wyciągnął rękę.

— Pan musi być Keenem Bohannonem. Rozpoznałbym pana wszędzie, po tym, jak Rikki pana opisała. Jestem Kit...

\* \* \*

Bo przyjął wyciągniętą dłoń, przerywając Kitowi niezbyt uprzejmie.

— Wiem, przyjaciel Rikki z Bostonu. Miło mi pana poznać. — A potem dodał, zwracając się do Rikki. — No cóż, Blue, wygląda na to, że póki co, jest tu dość ludzi, by się tobą zaopiekować,

więc chyba wrócę do domku i trochę się prześpię.

Rikki zrozumiała powód tego nagłego rozgoryczenia i uśmiechnęła się.

— Nie zrobisz niczego takiego. Przynajmniej, dopóki nie poznasz świeżo poślubionej żony Kita, Sadie. Odbyli taką długą podróż z Bostonu, więc chyba jeszcze trochę wytrzymasz?

Żona Kita? Bo uśmiechnął się szeroko.

— Pewnie, nie mogę się doczekać.

Kobieta, o której była mowa, właśnie pojawiła się na stopniach, rozpoczynając nową falę radosnych okrzyków i powitalnych uścisków. Rikki musiała odpowiedzieć na kolejną rundę pytań, dopóki Kit wreszcie nie interweniował.

— Potem nam wszystko opowie, kochanie. A teraz daj jej odetchnąć.

Carrie wysunęła się do przodu.

— Ja i mama musimy już iść, chcieliśmy się tylko upewnić, czy wszystko w porządku.

— Pogrzeb Bretta odbędzie się za dwie godziny — powiedziała Marylou.

Uwagi Rikki nie uszedł oskarżycielski ton, jakim zostało to powiedziane, ale zignorowała go i uściskała Carrie.

— Będę tam, kochanie.

— Nonsens — stwierdziła Carrie. — Idź do łóżka i zostań tam.

— Myślę, że powinna przyjść — powiedziała Marylou — i przynajmniej złożyć kondolencje Phoebe. Biedna kobieta, zupełnie się załamała. — Spojrzała na Danny'ego, który nadal stał z boku. — Oczywiście, niektórzy powinni trzymać się z daleka.

Carrie zaczerwieniła się, słysząc niedelikatną uwagę matki, lecz po raz pierwszy, odkąd ją Rikki знаła, nie przyjęła odezwania się matki potulnie.

— Cicho bądź, mamó. Rikki nie musi nic mówić matce Bretta. — Uśmiechnęła się do Danny'ego. — A co do tego, kto powinien, a kto nie powinien być na pogrzebie: ja o tym zdecyduję. Już nazbyt długo byłam hipokrytką. Nie będę udawała, że nie potrzebuję Danny'ego. A jeśli ludziom trudno będzie się z tym pogodzić, niech idą do diabła razem z moim małżonkiem.

— Carrie Ann! — krzyknęła cicho jej matka, unosząc dłoń ku szyi w geście absolutnego zaskoczenia.

Carrie zignorowała ją i zwróciła się znowu do przyjaciółki.

— Mam nadzieję, że kiedy wszystko się uspokoi, uda nam się odnowić naszą przyjaźń, Rikki. Tym razem nie dam sobie dyktować, co i jak mam czuć, obiecuję.

Rikki uśmiechnęła się.

— To mi się podoba.

Odsunęli się z Kitem, pozwalając by Carrie wraz z Dannym podążyli w ślady matki.

Z wnętrza domu wyszła Petite, która zanosila tam prezenty.

— No, to by było na tyle. Jedzenie w lodówce, kwiaty w wazonach. Co do innych rzeczy, to sama zdecydujesz, gdzie je umieścić. Ja muszę już wracać do mojego staruszka i brzdąców. — Objęła brata w pasie ramieniem i wspięła się na palce, by ucałować go w policzek. — Jesse z przyjemnością od czasu do czasu zobaczyłby się z wujkiem Keenem.

— Powiedz mu, że wpadnę jeszcze w tym tygodniu. Chciałbym także zobaczyć niemowlę.

Petite potrząsnęła głową.

— Masz na niego dobry wpływ, Rikki. Nie był u nas już ponad rok. Nawet nie widział młodszego. — Podeszła bliżej i dodała szeptem: — A tak nawiasem mówiąc, teraz powiedziałabym o nim, że jest żółty.

— Żółty? — spytała Rikki unosząc brwi.

— Aha. To kolor miłości, dzieciaku. — Petite roześmiała się. — Prawdę mówiąc, ty sama także wydajesz się dosyć żółta.



Rikki roześmiała się, podczas gdy inni patrzyli na nich zmieszani.

— O co jej chodziło? — zapytał Bo, gdy Petite odeszła.

— Nie teraz, powiem ci potem, jak już będziemy sami.

— Czy to aluzja, skarbie? — spytał Kit. — Bo jeśli tak; to ja i Sadie możemy spokojnie pójść do motelu.

— Nie ma mowy. Bardzo się cieszę, że tu jesteście, lecz muszę przez chwilę porozmawiać z Bo. Może byście tak weszli i odświeżyli się, a ja i Bo przejdziemy się do domku i pogadamy?

— Możemy porozmawiać później — powiedział Bo. Teraz, gdy Kit przestał być zagrożeniem, mógł sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

— Akurat! — stwierdziła Sadie. — Najwidoczniej nie znasz jej tak, jak ci się wydaje. Jeśli ona mówi, że chce porozmawiać, to znaczy, że chce porozmawiać natychmiast. Być może tobie uda się pozbawić ją nieco tego uporu.

— Nic z tego — zachichotała Rikki. — Lecz Sadie ma rację, jestem dość stanowcza. To co, idziemy?

Nagle Bo poczuł, jak opuszcza go pewność siebie. Cóż takiego chciała mu powiedzieć, co nie mogło czekać? Modlił się, żeby nie było to to, czego się obawiał.

Lecz kiedy szli drogą w dół wzgórza, nie naciskał. Jakoś zupełnie mu się nie spieszyło.

Gdy byli już na miejscu, zapytał, próbując odwlec nieuniknione:

— Może położyłabyś się na chwilę? Wiem, że jesteś skonana.

Podszedł do łóżka, aby poprawić pościel. Rano tak bardzo się śpieszył, że nawet nie poskładał pledu.

— Przepraszam cię za ten komitet powitalny, Blue — powiedział, nie patrząc na nią. — Powinienem był domyślić się, że będą na ciebie czekali i poprosić Scootera, by wysłał paru zastępców, żeby ich usunęli.

Rikki usiadła przy stole, składając dłonie na kolanach. Był zdenerwowany i jego niepewność wzruszała ją. Taki piękny, skomplikowany mężczyzna. Tak silny i pewny siebie pod wieloma względami, a zarazem taki wrażliwy i wątpliwy w swoje możliwości.

— Bo, chciałabym z tobą porozmawiać.

— A, prawda. — Usiadł na łóżku, utrzymując pomiędzy nimi dystans, jakby odległość mogła złagodzić cios. — Więc mów, Blue. Słucham.

Zaśmiała się cicho, podchodząc do łóżka i siadając obok niego.

Serce ścisnęło mu się w piersi.

— A zatem?

— Obejmij mnie — poprosiła.

— Wyrzuc to z siebie, Blue. A może wolisz, żebym powiedział to za ciebie? — Wstał i patrzył teraz na nią z góry, wciskając dłonie w kieszenie spodni. — No dobrze, to będzie mniej więcej tak. Było wspaniale. Cieszysz się, że spędziliśmy razem trochę czasu, lecz teraz, gdy wszyscy źli chłopcy zostali już wyłapani, wracasz na Wschód.

Rikki potrząsnęła głową. Uśmiechnęła się lekko i wstała. Opierając dłonie na piersi Bo, ustawiła go tyłem do łóżka tak, by jego łydki opierały się o nie, a potem popchnęła mocno, upadając razem z nim. Objęła go rękami za szyję.

— Jak taki inteligentny facet może wysuwać takie niemądre przypuszczenia?

Nie odpowiedział. Nie mógł. Zbyt dobrze mu było, kiedy tak na nim leżała.

— Po pierwsze, dlaczego miałabym wyjeżdżać teraz, kiedy wszyscy źli chłopcy zostali już wyłapani, jak byłeś uprzejmy to określić?

— Zostajesz? — zapytał.

— Po drugie, jak mogłabym stąd wyjechać, kiedy straciłam tu serce?

— No dobrze, odpowiadając na twoje „po pierwsze”: dlaczego miałabyś tu zostać, skoro nie ma już żadnych złych facetów do łapania?

— Drocysz się ze mną, Bohannon?

— Staram się rozumować logicznie — zauważył, włączając się z przyjemnością do gry.

— Logicznie, co? No dobrze, podejźmy do tego logicznie: zawsze znajdują się jacyś źli faceci. Pomyślałam sobie więc, że ja będę wykurzała ich za pomocą swojej audycji, a ty będziesz ich zamykał. Możemy stworzyć diabelnie dobrą drużynę.

Jego oczy straciły rozbawiony wyraz.

— Naprawdę, Blue?

Pocałowała go, a potem uśmiechnęła się, przyciskając wargi do jego ust.

— Wątpisz w to?

— Nie potrafię na ten temat żartować, Blue. Zbyt jestem w tobie zakochany.

— To dobrze — powiedziała — ponieważ ja także cię kocham. Uśmiech zniknął, a Rikki uniosła głowę, by spojrzeć w jego ciemne oczy. — Całym sercem, Bo. Zawsze tak było. Powiedziałam ci to zeszłej nocy, lecz nie słyszałeś. Spałeś.

— Słyszałem — przyznał — lecz bałem się uwierzyć.

— Uwierz.

Objął ją w pasie i przetoczył się po łóżku tak, że teraz on znalazł się na górze.

— Jesteś pewna, że chcesz tu zostać, Blue? Bo ja mogę wyjechać. Pojadę wszędzie, dokądkolwiek zechcesz.

Potrząsnęła głową.

— Nie chcę nigdzie jechać. Kocham to miejsce, Bo. Zawsze je kochałam. A poza tym jest sporo prawdy w tym starym, niemodnym powiedzeniu, że dom jest tam, gdzie serce. Tutaj są pochowani moi rodzice. Ty tu jesteś. Chcę, żeby moje dzieci... nasze dzieci urodziły się tutaj. Rozejrzała się po zaniedbanym pomieszczeniu. — No, może nie dosłownie tutaj.

Roześmiał się.

— Zbuduję ci największy, cholerny dom w całym St. Joan. Ludzie będą się zatrzymywać, pokazywać palcem i mówić: „O rany, spójrz na to miejsce”. Będzie wspanialszy niż Stone Hill.

— Nie potrzebuję niczego aż tak imponującego. Potrzebuję miejsca, gdzie czułabym się pogodna i szczęśliwa, a ty potrafisz to sprawić, Bo.

Zmarszczył brwi.

— A co z tymi wszystkimi bolesnymi wspomnieniami, Blue? Nie mogę cię od nich uwolnić, gdziekolwiek byśmy byli.

— Nie wszystkie są smutne. Mamy też kilka dobrych. I będzie ich coraz więcej. — Ukryła na moment twarz na jego piersi, a potem podniosła głowę, by znowu spojrzeć mu w oczy. — Na przykład wspomnienie pierwszego razu, gdy się kochaliśmy. Albo, drugiego, parę dni temu.

— Och, Boże, kocham cię — powiedział ochryple.

— Udowodnij mi — szepnęła.

— Teraz? Jesteś pewna?

— Nigdy w życiu niczego nie byłam tak pewna. Kocham cię, Keenie Bohannon. Chcę się z tobą kochać.

— Możesz mi wierzyć, Blue, niczego nie pragnę bardziej, niż kochać się z tobą, tu i teraz. Ale co z tymi przekłętymi jankesami tam, na wzgórzu? Powiedziałaś, że wracasz za kilka minut.

Błękitne oczy Blue błyszczały wesołością i pożądaniem.

— Kochanie, jestem teraz kobietą z Południa. A musisz wiedzieć, że są dwie rzeczy, które, my, kobiety z Południa, robimy najlepiej.

— Tak, a co to takiego?

— Jesteśmy najbardziej namiętymi kochankami — mruknęła z zadowoleniem, przesuwając paznokciem wzdłuż szyi Bo aż po rozcięcie koszuli.

— Uhm... — powiedział, całując zagłębienie jej szyi. — A druga rzecz?

Odpowiedziała głosem słodkim i jedwabistym, niczym domowy cukierek:

— No cóż, kochanie, kłamiemy.

— Innymi słowy, rozumiem, że nie wracamy zaraz na wzgórze.

Zachichotała.

— I to właśnie tak bardzo podoba mi się w was, Południowcach. Jesteście tacy diabelnie inteligentni.